Arthur C. Clarke
Stephen Baxter

Odyseja czasu #3

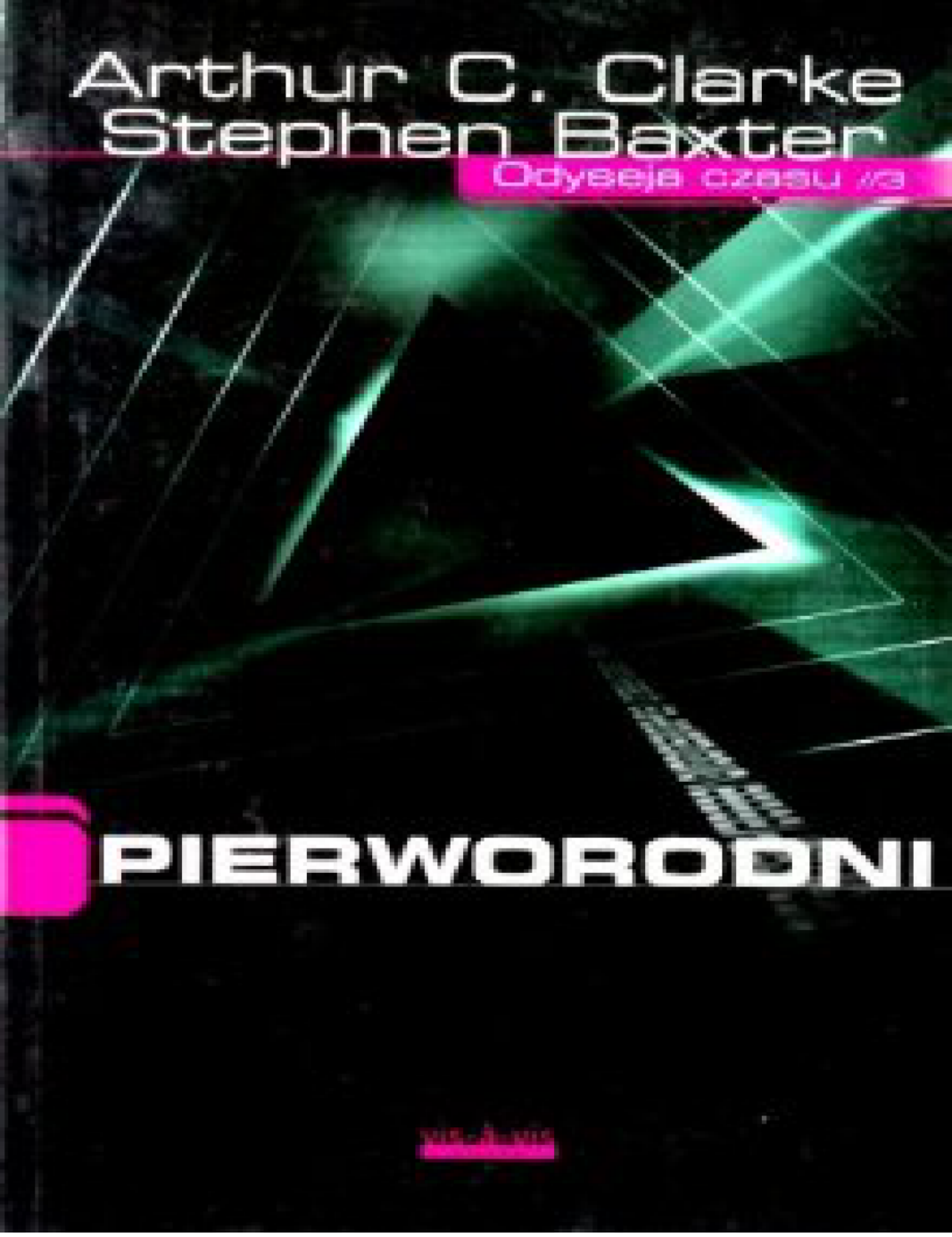

PIERWORODNI

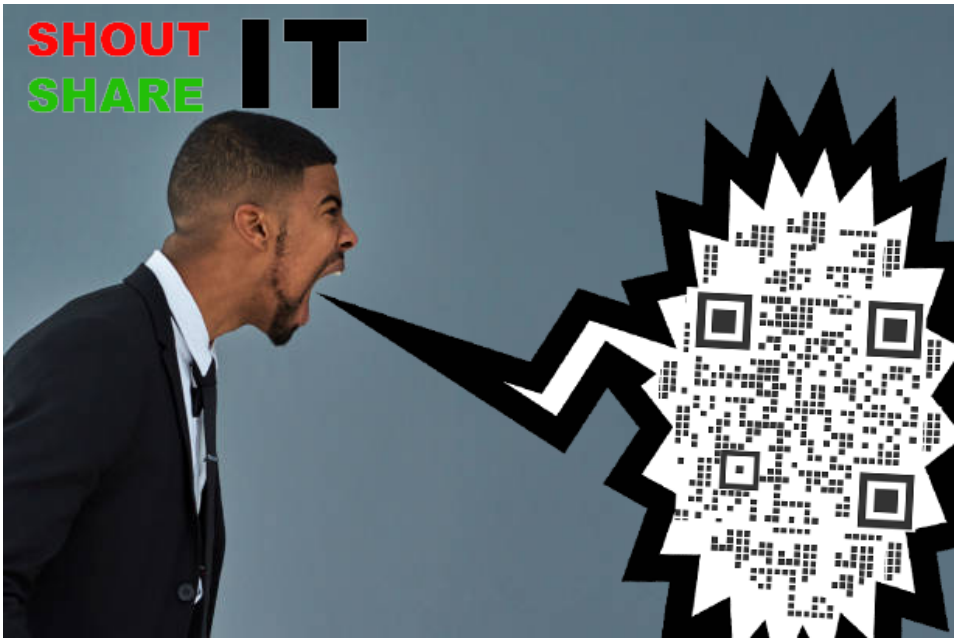
SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Pierworodni po raz pierwszy dali znać o sobie wywołując Nieciągłość, w wyniku której Ziemia została rozbita na fragmenty pochodzące z różnych epok. Jednym z rozbitków na tak odmienionej planecie, którą nazwano Mirem, była kobieta, imieniem Bisesa Dutt. Z przyczyn, których nie była w stanie zrozumieć, udało jej się nawiązać osobliwy kontakt z zagadkowym artefaktem i kryjącą się za nim potęgą, która odesłała ją z powrotem na Ziemię. Po powrocie odegrała zasadniczą rolę w podjętej przez całą ludzkość próbie powstrzymania katastrofy, potężnej burzy słonecznej, wywołanej przez Pierworodnych, która miała unicestwić wszelkie życie na całej planecie. Groźbie tej udało się wprawdzie zapobiec, ale straty, jakie poniosła Ziemia, były niewyobrażalne.

Teraz, w dwadzieścia lat później, Pierworodni wracają. Tym razem zastosowali broń ostateczną: w stronę Ziemi zmierza „bomba kosmologiczna", urządzenie, którego działania ziemscy naukowcy właściwie nie pojmują i którego nie da się zatrzymać ani zniszczyć. Całemu światu grozi zagłada.

Rozpaczliwie poszukując ratunku, Bisesa udaje się na Marsa, a następnie na Mir, którego koniec także jest bliski. Ale kiedy wychodzą na jaw szokujące cechy natury Pierworodnych i ich mrożące krew w żyłach plany dotyczące rodzaju ludzkiego, z odległych o wiele lat świetlnych otchłani kosmosu przybywa nieoczekiwany sprzymierzeniec.

- Arthur C. Clarke i Stephen Baxter
  - ○
  - ○ CZĘŚĆ PIERWSZA
    - ■ 1. Bisesa
    - ■ 2. Monitor głębokiego kosmosu
    - ■ 3. Abdikadir
  - ○ CZĘŚĆ DRUGA
    - ■ 4. Kiedy śpiący budzi się ze snu
    - ■ 5. Londyn
    - ■ 6. Myra
    - ■ 7. Medal Tooke'a
    - ■ 8. Euroigła
    - ■ 9. Floryda
    - ■ 10. Wyrzutnia rakietowa nr 39
    - ■ 11. Taśma
    - ■ 12. Mount Weather
    - ■ 13. Forteca Sol

- 14. Poza orbitą
- 15. Liberator
- 16. James Clerk Maxwell
- 17. Statek wojenny
- 18. Mars
- 19. Piaski Marsa
- 20. Liberator
- 21. Biegun
- 22. Zbliżenie
- 23. Jama
- 24. Maksymalne zbliżenie
- 25. Interludium. Sygnał z Ziemi

○ CZĘŚĆ TRZECIA
- 26. Kamienny człowiek
- 27. Faeton
- 28. Skafander Pięć
- 29. Aleksiej
- 30. Chiliarcha
- 31. Nowe rozkazy
- 32. Aleksander
- 33. Ucieczka
- 34. Ellie
- 35. Koń Posejdona
- 36. Hubble
- 37. Nowy Nowy Orlean
- 38. Odkrycie
- 39. Nowe Chicago
- 40. Światło słoneczne
- 41. Arki
- 42. Cyklop
- 43. Chicago
- 44. Atena
- 45. Burmistrz
- 46. Linia A

○ CZĘŚĆ CZWARTA
- 47. Opcje
- 48. Sygnał na Marsa
- 49. Orbita synchroniczna
- 50. Interludium. Ostatni Marsjanin
- 51. Decyzja

○ CZĘŚĆ PIĄTA
- 52. Pochód
- 53. Aurora
- 54. Dzień Q

- 55. Bomba Q
- 56. Mars 2
- 57. Babilon
- 58. Odłączenie
- 59. Świątynia
- 60. Dom
- 61. Chwytaczka
- 62. Małe Rozdarcie
- 63. Odyseja czasu

○ Posłowie

○

Arthur C. Clarke i Stephen Baxter
Pierworodni

Dla Brytyjskiego Towarzystwa Międzyplanetarnego

CZĘŚĆ PIERWSZA
Pierwsze kontakty

1. Bisesa

Luty 2069 roku

To nie przypominało przebudzenia. To było nagłe pojawienie się, brzęk czyneli. Oczy miała szeroko otwarte, wypełniało je oślepiające światło. Wciągnęła powietrze głęboko do płuc i wydała stłumiony okrzyk, kiedy dotarła do niej świadomość własnego ja.

Tak, to szok. Nie mogła być przytomna. Coś było nie tak. W powietrzu zmaterializował się blady kształt.

— Doktor Heyer?

— Nie. Nie, mamo, to ja.

Twarz stała się trochę wyraźniejsza i to była jej córka, ta wyrazista twarz, jasnoniebieskie oczy, gęste, ciemne brwi. Jednak coś miała na policzku, jakiś symbol. Tatuaż?

— Myra? — Czuła drapanie w gardle, a głos miała chropawy. Teraz niejasno zdała sobie sprawę, że leży na plecach, zobaczyła otaczający ją pokój, sprzęty i wyczuła obecność ludzi, którzy znajdowali się poza jej polem widzenia. — Co się nie udało?

— Nie udało?

— Dlaczego mnie nie poddano estywacji?

Myra zawahała się.

— Mamo, jak myślisz, jaki dziś dzień?

— 5 czerwca 2050 roku.

— Nie. Jest rok 2069, mamo. Luty. Dziewiętnaście lat później. Hibernacja powiodła się. — Teraz Bisesa dostrzegła w ciemnych włosach Myry pasma siwizny i zmarszczki wokół jej bystrych oczu. Myra powiedziała: — Jak widzisz, wybrałam dłuższą drogę okrężną.

To musiała być prawda. Bisesa wykonała kolejny ogromny, nieprawdopodobny krok w swej wędrówce przez czas.

— A niech to!

Nad Bisesą pojawiła się następna twarz.

— Doktor Heyer?

— Nie. Doktor Heyer już dawno przeszła na emeryturę. Jestem doktor Stanton. Teraz przystąpimy do pełnego ukrwienia. Obawiam się, że to może być bolesne.

Bisesa próbowała oblizać wargi.

— Dlaczego nie śpię? — zapytała i natychmiast sama odpowiedziała sobie na to pytanie. — Och. *Pierworodni.* — Cóż mogło być innego? — Nowe zagrożenie.

Twarz Myry skrzywiła się z bólu.

— Nie było cię dziewiętnaście lat. I pierwszą rzeczą, o jaką pytasz, to Pierworodni. Przyjdę cię odwiedzić, jak cię już postawią na nogi.

— Myra, czekaj…

Lecz Myra już odeszła.

Nowy lekarz miał rację. Bolało. Ale Bisesa była kiedyś żołnierzem brytyjskiej armii. Uczyniła wysiłek, aby nie krzyczeć.

2. Monitor głębokiego kosmosu

Czerwiec 2064 roku

Pierwszy wyraźny sygnał nowego zagrożenia zauważono pięć lat wcześniej. A oczy, które dostrzegły tę anomalię, były oczami elektronicznymi, nie ludzkimi.

Monitor Głębokiego Kosmosu X7-6102-016 unosił się w cieniu Saturna, którego księżyce lśniły jak latarnie. Pierścienie Saturna były teraz jedynie cieniem tego, czym były przed burzą słoneczną, ale kiedy sonda wzniosła się wyżej, dalekie Słońce oświetliło pierścienie od tyłu i na niebie zalśnił jakby srebrzysty most.

Monitor Głębokiego Kosmosu nie był zdolny do odczuwania podziwu. Ale jak każda dostatecznie skomplikowana maszyna był do pewnego stopnia obdarzony wrażliwością i jego elektroniczna dusza zadrżała z zachwytu na widok regularnej mozaiki gazu i lodu, przez którą płynął. Ale nie uczynił nic, by ją zbadać.

Poruszając się po orbicie, sonda cicho zbliżyła się do następnego celu.

Tytan, największy księżyc Saturna, był pozbawioną charakterystycznych cech kulą koloru ochry, oświetloną słabym światłem dalekiego Słońca. Ale pod grubą warstwą chmur i oparów kryły się istne cuda. Kiedy Monitor zbliżył się do księżyca, zaczął uważnie słuchać elektronicznego gwaru chmary robotów badawczych.

Pod mrocznym, pomarańczowym niebem roboty przypominające żuczki wdrapywały się na wydmy z kryształków lodu, okrążając gejzery metanu, ostrożnie wpełzały do dolin wyżłobionych przez rzeki etanu i grzebały w brejowatej powierzchni nieustannie skrapianej deszczykiem metanu. Dzielny balon badawczy, unosząc się w gęstym powietrzu, zawisł nad kriowulkanem, który wypluwał lawę wodną zaprawioną amonem. Roboty zanurzalne badały gniazda wody w stanie ciekłym, tuż pod powierzchnią lodu, zamarznięte jeziora w kraterach powstałych w wyniku uderzeń meteorytów. Wszędzie znajdowały się złożone związki organiczne wytworzone podczas burz elektrycznych w atmosferze Tytana oraz wskutek bombardowania promieniowaniem słonecznym górnych warstw atmosfery i działania pola magnetycznego Saturna.

Wszędzie, gdzie zaglądały sondy, znajdowały życie. Niektóre formy owego życia przypominały organizmy ziemskie, bakterie beztlenowe żywiące się metanem, niemrawo budujące poduszkowate kopce w zimnej wodzie jezior kraterowych. Bardziej egzotyczne formy

życia oparte na węglu, wykorzystujące amoniak zamiast wody, pływały w masie wydobywającej się z kriowulkanów. Najbardziej egzotyczne ze wszystkich było zbiorowisko szlamowatych organizmów, których podstawowym składnikiem były związki krzemu, nie zaś węgla; żyły one w straszliwie zimnych, gładkich jak lustro, czarnych jeziorach etanu.

Bakterie żyjące w jeziorach kraterowych były kuzynami wielkich rodzin bakterii istniejących na Ziemi. Ryby amoniakalne wydawały się pochodzić z samego Tytana. Zimnolubny etanowy szlam mógł natomiast pochodzić z księżyców Neptuna albo z bardziej odległych ciał niebieskich. Układ słoneczny był pełen życia — życia, które tkwiło wszędzie, w skałach i bryłach lodu, oderwanych w wyniku zderzeń. Mimo to Tytan był niezwykły, stanowiąc siedlisko form życia z całego układu słonecznego, a może i spoza jego granic.

Ale *Monitor Głębokiego Kosmosu* nie przybył na Tytana z powodu badań naukowych. Kiedy przemierzał najbliższe sąsiedztwo księżyca i plejady zamieszkujących go istot, jego kuzyni-roboty nawet nie wiedziały, że się zjawił.

Sercem *Monitora Głębokiego Kosmosu* była zbudowana według projektu liczącego sto lat sonda kosmiczna, z której kanciastego szkieletu wyrastały wysięgniki z przytwierdzonymi do nich kapsułami pełnymi czujników i termicznych zasilaczy izotopowych. Ten rdzeń był otoczony sztywną powłoką z „metamateriału", stanowiącego sieć wytworzonych przy użyciu nanotechnologii podkładek i przewodów, które zaginały promienie słoneczne wokół sondy, kierując je w stronę, w którą normalnie by biegły, gdyby sondy tam w ogóle nie było. *Monitor Głębokiego Kosmosu* nie był ślepy; powłoka próbkowała padające na nią promienie świetlne. Jednak promienie te nie były ani odchylane, ani odbijane i dzięki temu sonda była całkowicie niewidzialna. Nie można było jej wykryć na żadnej długości fali, od twardych promieni gamma do fal radiowych.

Monitor Głębokiego Kosmosu nie był instrumentem badawczym. Osłonięty, bezgłośny, stanowił straż. I teraz zmierzał na spotkanie z czymś, do czego był przeznaczony.

* * *

Kiedy szybował ponad wierzchołkami chmur pokrywających Tytana, pole grawitacyjne księżyca cisnęło go na nową orbitę, która miała wyprowadzić go z układu Saturna i wynieść daleko poza płaszczyznę jego pierścieni. Wszystko to odbywało się przy

zachowaniu ciszy radiowej i bez śladu spalin silników rakietowych.

I *Monitor Głębokiego Kosmosu* zbliżył się do anomalii.

Wykrył kaskady egzotycznych cząstek o wysokiej energii. Musnęło go potężne pole magnetyczne, elektromagnetyczny węzeł w przestrzeni. Odpowiedni meldunek będący strumieniem silnie upakowanych danych, wysłał na Ziemię w postaci krótkotrwałych impulsów laserowych.

Monitor nie dysponował takim sposobem zmiany kursu, który by nie zagrażał jego niewidzialności, poruszał się więc dalej siłą bezwładności. Powinien był minąć anomalię o jakieś pół kilometra.

Jego ostatnią obserwacją, w pewnym sensie ostatnią świadomą myślą, było nagłe silne zawirowanie pola magnetycznego wokół anomalii.

Ostatnie wysłane przezeń sygnały dowodziły, że anomalia oddala się z olbrzymią, niewiarygodną szybkością. Sygnałom tym twórcy sondy nie byli w stanie uwierzyć ani ich zrozumieć.

* * *

Podobnie jak każda dostatecznie skomplikowana maszyna anomalia była do pewnego stopnia obdarzona wrażliwością. Zniszczenie, które miała wywołać, było zaplanowane na przyszłość i jeszcze nie zaprzątało jej uwagi. Ale poczuła odrobinę żalu, miażdżąc tę dziecinną maszynę, która podążała jej śladem tak daleko i która usiłowała tak nieudolnie się przed nią ukrywać.

Teraz już sama, anomalia przecięła układ Saturna i nabrawszy szybkości w wyniku działania pola grawitacyjnego planety, pomknęła w kierunku dalekiego Słońca i krążących wokół niego ciepłych światów.

3. Abdikadir

Rok2068 (Ziemia) — rok31 (Mir)

Na Mirze pierwsza oznaka nadchodzących dziwnych wydarzeń byłaby prozaiczna, gdyby nie jej zupełna niedorzeczność.

Abdikadir był zirytowany, kiedy oderwano go od teleskopu. Chociaż raz noc była bezchmurna. Pierwsze pokolenie ziemskich rozbitków nieustannie narzekało na pochmurne niebo na Mirze, tym posklejanym świecie zawieszonym w równie posklejanym kosmosie. Ale dzisiejszej nocy jakość obrazu była doskonała i Mars płynął wysoko po bezchmurnym, niebieskim niebie.

Zanim mu przerwano, obserwatorium na dachu świątyni Marduka było miejscem prawdziwie cichym. Głównym instrumentem badawczym był reflektor, którego wielkie zwierciadło zostało wyszlifowane przez mongolskich niewolników pod dowództwem greckiego uczonego ze szkoły Othica. Teleskop dawał doskonały, choć nieco falujący obraz tarczy Marsa. Kiedy Abdi prowadził obserwacje, jego pomocnicy uruchamiali dźwignie, które obracały podstawę teleskopu, przeciwdziałając ruchowi obrotowemu świata i w ten sposób stale utrzymując Marsa w środku pola widzenia. Pośpiesznie szkicował oglądany obraz w bloku spoczywającym na kolanach; przemysł w imperium Aleksandra nie był jeszcze na tyle zaawansowany, żeby możliwe było fotografowanie.

Jeśli chodzi o Marsa, wyraźnie widział czapy polarne, niebieskie morza, pustynie koloru ochry, poprzecinane pasmami zieleni, brązu i błękitu, a nawet migotanie świateł obcych miast, które jak uważano, przycupnęły w kalderze Mons Olympus.

Był pochłonięty pracą, starając się wykorzystać każdą sekundę, kiedy podszedł do niego jeden z pomocników. Spiros miał czternaście lat, był uczniem i należał do trzeciego pokolenia urodzonych na Mirze. Był bystrym, obdarzonym wyobraźnią chłopcem, ale czasami bywał nerwowy, a teraz ledwie zdołał wyjąkać tę wiadomość astronomowi, który był od niego starszy o niecałe dziesięć lat.

— Uspokój się, chłopcze. Weź głęboki oddech. I powiedz, co się stało.

— Komnata Marduka… — Było to samo serce świątyni, na której dachu teraz stali. — Musisz tam pójść, panie!

— Po co? Cóż tam zobaczę?

— Nie zobaczysz, panie Abdi, *usłyszysz*.

Abdi spojrzał jeszcze raz w okular teleskopu, w którym wciąż

migotał błękitny obraz Marsa. Ale poruszenie chłopca było przekonujące. Coś było nie tak.

Niezdarnie zlazł z siedzenia przy okularze i warknął w stronę jednego z uczniów:

— Xeniu! Zastąp mnie. Nie chcę stracić ani sekundy obserwacji. — Dziewczyna szybko zastosowała się do jego życzenia.

Spiros pobiegł po drabinę.

— Lepiej, żeby było warto — powiedział Abdi, śpiesząc za chłopcem.

Musieli zejść na dół, a potem znów się wdrapać po wewnętrznej stronie szkieletu świątyni, ponieważ komnata wielkiego boga Marduka znajdowała się blisko wierzchołka budowli. Minęli szereg zdumiewająco różnorodnych pomieszczeń oświetlonych lampami olejowymi płonącymi we wnękach. Jeszcze długo po porzuceniu świątyni przez jej kapłanów utrzymywał się wewnątrz silny zapach kadzideł.

Abdi wszedł do komnaty Marduka, rozglądając się wokół.

Kiedyś w tym pomieszczeniu stał wielki złoty posąg boga. W trakcie Nieciągłości, zdarzenia, które dało początek temu światu, posąg został zniszczony, a ściany komnaty odarte do samej cegły i osmalone w wyniku działania jakiegoś wielkiego gorąca. Ocalała jedynie okrągła podstawa posągu, na której widniały ledwo widoczne ślady dwóch potężnych stóp. Komnata była zrujnowana, jak gdyby w wyniku eksplozji. Taka już była, kiedy Abdi ujrzał ją po raz pierwszy.

Abdi zwrócił się do Spirosa.

— No? Gdzie ten problem?

— Nie słyszysz? — spytał zdyszany chłopiec. Stał nieruchomo, przyłożywszy palec do ust.

I wtedy Abdi to usłyszał, coś jakby delikatne cykanie świerszcza, ale zbyt regularne, zbyt równomierne. Zerknął na stojącego z szeroko otwartymi oczami chłopca, który znieruchomiał ze strachu.

Abdi przeszedł na środek pomieszczenia. Stojąc tam, zorientował się, że ów dźwięk dochodzi z pokrytego rzeźbami sanktuarium przylegającego do jednej ze ścian. Kiedy się do niego zbliżył, dźwięk stał się głośniejszy.

Ażeby zachować twarz w obecności chłopca, Abdi próbował powstrzymać drżenie ręki, sięgając do małej szafki w samym środku sanktuarium, by otworzyć drzwiczki.

Wiedział, co się tam znajduje. Ten artefakt przybył na Mir z Ziemi. Należał do towarzyszki ojca Abdiego, Bisesy Dutt, i przez długie lata był otoczony opieką, a potem umieszczony tutaj, kiedy bateria w końcu się wyczerpała.

Był to telefon.

I ten telefon dzwonił.

CZĘŚĆ DRUGA
Podróże

4. Kiedy śpiący budzi się ze snu

Luty — marzec 2069 roku

Bisesa cieszyła się, że zdołała się wydostać z urządzenia o własnych siłach. Śmierdziało zgniłymi jajami, siarkowodorem, którego używano, aby narządy nie mogły wchłaniać tlenu.

W szpitalu lekarzom zajęło trzy dni wprowadzenie z powrotem krwi do jej żył, zmuszenie narządów do wchłaniania tlenu i przejście podstawowych zabiegów fizjoterapeutycznych, tak aby mogła się poruszać przy pomocy balkonika. Czuła się niezwykle staro, starzej, niż wynosił jej biologiczny wiek, czterdzieści dziewięć lat; była również wychudzona niczym ofiara głodu. Oczy ją piekły i bolały. Miała dziwne zaburzenia wzroku, a na początku nawet lekkie halucynacje. Prześladowało ją także nieprzyjemne wrażenie, że czuje odór własnego moczu.

No cóż, przez dziewiętnaście lat była pozbawiona pulsu i krwi, elektryczna aktywność jej mózgu była równa zeru, tkanki nie pobierały tlenu i trzymano ją w temperaturze tak niskiej, że omal nie popękały komórki jej ciała. Trzeba było się przygotować na rozmaite utrapienia.

* * *

Hibernaculum 786 uległo zmianie, kiedy znajdowała się w zbiorniku. Teraz przypominało ekskluzywny hotel o szklanych ścianach, plastikowych leżankach i białych podłogach, po których odziani w szlafroki starzy ludzie — w każdym razie wyglądali staro — poruszali się bardzo niepewnie.

Najbardziej radykalna zmiana polegała na tym, że Hibernaculum zostało przeniesione. Kiedy podeszła do małego okna, zobaczyła ogromną wyrwę w ziemi, pokryty pyłem kanion, w którego zasłanych rumowiskiem ścianach widać było poszczególne warstwy, niby strony książki olbrzymich rozmiarów. Dowiedziała się, że jest to Wielki Kanion, widok był zaiste oszołamiający. Pomyślała, że biorąc pod uwagę fakt, że przebywali tutaj ludzie pogrążeni we śnie, zakrawa to na marnotrawstwo.

Z perspektywy czasu uznała za niepokojące, że skomplikowana

lodówka, w której spała snem bez snów, została odłączona i przetransportowana przez cały kontynent.

W okresie rekonwalescencji często siadywała przed oknem, patrząc na zastygły w czasie dramat kanionu. Przedtem odbyła tylko jedną wycieczkę turystyczną do kanionu. Sądząc po tym, jak Słońce wędrowało po wiosennym niebie, musiała się znajdować na południowej krawędzi kanionu, prawdopodobnie gdzieś w pobliżu Grand Canyon Village. Wydawało się, że miejscowa fauna i flora doszła do siebie po zniszczeniach spowodowanych przez burzę słoneczną; ziemia była porośnięta kaktusami, juką i czarnymi krzewami. Przyglądając się uważnie, dostrzegła małe stado owiec, mignęła jej smukła sylwetka kojota, a raz zobaczyła nawet grzechotnika.

Ale doszedł do siebie nie tylko kanion, zmieniło się o wiele więcej. Na wschodnim horyzoncie dostrzegła jakąś budowlę, płaską, metalową, wspartą na filarach konstrukcję, jak szkielet niedokończonego centrum handlowego. Czasami widziała pojazdy poruszające się wokół niej i pod nią. Nie miała pojęcia, co to mogło być.

I czasami widziała światła na niebie. Jednym z nich była jasna iskra przemierzająca południowe wieczorne niebo co mniej więcej czterdzieści minut — jakiś duży obiekt na orbicie. Ale widać było także dziwniejsze obiekty, znacznie większe: blade plamy widoczne w dzień, migotanie światła gwiazd w nocy. Dziwne niebo nowej ery. Myślała, że powinna być ciekawa albo może przestraszona, ale na początku nie odczuwała niczego takiego.

Wszystko to uległo zmianie, kiedy usłyszała ten ryk. Było to głuche dudnienie, pochodzenia raczej geologicznego niż zwierzęcego, od którego wydawała się drżeć ziemia.

— Co to było?

— Bisesa? Pytałaś o coś?

Głos był łagodny, męski, trochę zbyt doskonały i wydawał się dochodzić z powietrza.

— Arystoteles? — Ale wiedziała, że to niemożliwe, jeszcze zanim usłyszała odpowiedź.

Odpowiedź nadeszła z dziwnym opóźnieniem.

— Obawiam się, że nie. Jestem Tales.

— Oczywiście, Tales.

Przed burzą słoneczną w świecie zamieszkałym przez ludzi istniały trzy wielkie byty sztucznej inteligencji, dalecy potomkowie wyszukiwarek i innych inteligentnych programów z wcześniejszych epok; wszystkie one były przyjazne człowiekowi. Krążyły pogłoski, jakoby zachowano ich kopie w postaci strumieni bitów wysłanych w przestrzeń międzygwiezdną. Ale poza tym tylko Tales przetrwał burzę

słoneczną, przechowany w pamięci prostszych sieci na Księżycu.

— Cieszę się, że znów słyszę twój głos.

Pauza.

— A ja twój, Biseso.

— Talesie, skąd to opóźnienie? Och. Nadal znajdujesz się na Księżycu?

— Tak, Biseso. I ogranicza mnie prędkość światła. Podobnie jak Neila Armstronga.

— Dlaczego nie sprowadzili cię na Ziemię? Czy tak nie byłoby wygodniej?

— Można z tym sobie poradzić. Miejscowe czynniki wspierają mnie, kiedy opóźnienie ma decydujące znaczenie, na przykład podczas zabiegów medycznych. Ale poza tym uznano, że sytuacja jest zadowalająca.

Odpowiedzi te wydały się Bisesie wcześniej przygotowane. Umiejscowienie Talesa na Księżycu miało jakąś głębszą przyczynę, niż to by wynikało z jego odpowiedzi. Ale nie miała ochoty drążyć tego tematu.

Tales powiedział:

— Pytałaś mnie o ten ryk.

— Tak. To przypominało lwa. Afrykańskiego.

— To był lew.

— A co afrykański lew robi *tutaj,* w sercu Ameryki Północnej?

— Park Narodowy Wielkiego Kanionu to teraz Park Jeffersona, Biseso.

— Co takiego?

— Park Jeffersona. To wszystko stanowi teraz fragment odbudowy naturalnego środowiska. Jeżeli spojrzysz na prawo…

Na horyzoncie poza północną krawędzią kanionu ujrzała jakieś bryłowate kształty, potężne, niczym poruszające się głazy. Tales włączył powiększenie obrazu. Bisesa patrzyła na słonie, całe stado wraz z młodymi, widok nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

— Mam wyczerpujące informacje na temat parku.

— Jestem tego pewna, Talesie. Mam jedno pytanie. Co to za konstrukcja? Wygląda jak rusztowanie.

Okazało się, że jest to mata zasilająca, stacja naziemna elektrowni orbitalnej, kolektor mikrofal przesyłanych z nieba.

— Całe urządzenie jest dość duże, ma dziesięć kilometrów kwadratowych.

— Jest bezpieczne? Widziałam pojazdy poruszające się wokół niego i pod nim.

— O tak, bezpieczne dla ludzi. I dla zwierząt. Ale istnieje strefa zakazana.

— A te światła na niebie, to migotanie…

— To zwierciadła i żagle. Poza Ziemią istnieje teraz cała architektura, Biseso. Naprawdę jest na co popatrzeć.

— Więc realizowane jest wielkie marzenie ludzkości. Bud Tooke byłby zadowolony.

— Obawiam się, że pułkownik Tooke zmarł w…

— Nieważne.

— Biseso, są tu doradcy, z którymi możesz porozmawiać o czym tylko zechcesz. Na przykład o szczegółach twojej hibernacji.

— Wyjaśniono mi to, zanim znalazłam się w zamrażalniku…

Hibernacula były produktem burzy słonecznej. Pierwsze z nich powstały w Ameryce jeszcze przed burzą, kiedy bogacze starali się umknąć przed nadchodzącymi trudnymi latami, do chwili gdy wszystko wróci do normy. Bisesa znalazła się w hibernaculum dopiero w 2050 roku, osiem lat po burzy.

— Mogę cię zapoznać z postępami medycyny od czasu twego zamrożenia — powiedział Tales. — Na przykład okazało się, że skłonność twoich komórek do wchłaniania siarkowodoru to pozostałość bardzo wczesnego etapu ewolucji życia na Ziemi, gdy komórki bakterii tlenowych dzieliły środowisko z metanogenami.

— To brzmi dziwnie poetycznie.

Tales powiedział łagodnie:

— Jest także aspekt motywacyjny.

Poczuła się nieswojo.

— Jaki aspekt motywacyjny?…

Miała wtedy powody, aby się ukryć w zbiorniku. Myra, jej dwudziestojednoletnia córka, wyszła za mąż wbrew jej radom i postanowiła zamieszkać poza granicami Ziemi. A Bisesa chciała uniknąć złej sławy teorii spiskowej, która narosła wokół niej z powodu szczególnej roli, jaką odegrała podczas burzy słonecznej, chociaż wiele z tego, co wydarzyło się w ciągu tamtych dni, nawet prawdziwa przyczyna burzy słonecznej, podobno zostało utajnione.

— Tak czy owak — powiedziała — wejście do hibernaculum stanowiło element służby publicznej. Tak mi powiedziano, kiedy przepisałam swoje pieniądze. Mój fundusz powierniczy posunął naprzód zrozumienie technik, które pewnego dnia będą stosowane w każdej dziedzinie, od przechowywania organów do transplantacji do ochrony załóg statków międzygwiezdnych podczas trwającej setki lat podróży. A w świecie, który walczy, żeby dojść do siebie po burzy słonecznej, w zbiorniku zamroziłam znacznie mniej środków…

— Biseso, coraz większa część opinii publicznej uważa, że sen w hibernaculum to w rzeczywistości rodzaj wysublimowanego samobójstwa.

To ją zaskoczyło. Arystoteles byłby bardziej subtelny, pomyślała.

— Talesie — powiedziała stanowczo — kiedy będę chciała

pomówić z kimś o tych sprawach, osobą tą będzie moja córka.

— Oczywiście, Biseso. Czy potrzebujesz jeszcze czegoś?

Zawahała się.

— Ile mam lat?

— Ach. Dobre pytanie. Stanowisz osobliwość, Biseso.

— Dziękuję.

— Urodziłaś się w 2006 roku, czyli sześćdziesiąt trzy lata temu. Trzeba od tego odjąć dziewiętnaście lat, które spędziłaś w hibernaculum.

Powiedziała ostrożnie:

— To daje czterdzieści cztery lata.

— Mimo to twój wiek biologiczny to czterdzieści dziewięć lat.

— Tak. A te pięć lat różnicy?

— To lata, które spędziłaś na Mirze.

Kiwnęła głową.

— Wiesz o tym?

— To informacja ściśle tajna. Tak, wiem.

Odchyliła się na krześle, patrząc na słonie w oddali i na migocące niebo 2069 roku; próbowała pozbierać myśli.

— Dziękuję, Talesie.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Kiedy umilkł, ogarnęło ją poczucie delikatnej nieobecności.

5. Londyn

Bella Fingal znajdowała się w powietrzu, nad Londynem, kiedy córka przekazała jej złe wieści.

Bella przeleciała nad Atlantykiem i teraz jej samolot zmierzał do Heathrow, leżącego na przedmieściach, na zachód od centrum Londynu. Ale pilot powiedział, że zgodnie z torem lotu najpierw polecą na wschód, a potem zawrócą, lecąc wzdłuż biegu Tamizy, przeciwnie do kierunku wiatru. Tego pogodnego, marcowego poranka miasto rozciągające się u jej stóp wyglądało jak skrzący się dywan. Bella miała cały samolot dla siebie; był to jeden z nowych odrzutowców naddźwiękowych, wymyślny rydwan dla liczącej pięćdziesiąt siedem lat babki.

Ale tak naprawdę wcale nie miała ochoty na tę podróż. Pogrzeb Jamesa Duflota był dostatecznie przykrym przeżyciem, przybycie do pogrążonej w rozpaczy rodziny będzie jeszcze gorsze. Był to jednak jej obowiązek, jako przewodniczącej Światowej Rady Przestrzeni Kosmicznej.

Znalazła się na tym stanowisku prawie przypadkowo, prawdopodobnie w wyniku kompromisowego wyboru dokonanego przez ponadrządowy panel kierujący Radą Przestrzeni Kosmicznej. Gdzieś w głębi umysłu miała nadzieję, że jej nowe stanowisko będzie przede wszystkim honorowe, podobne do tych, jakie piastowała większość rektorów uniwersytetów i nieetatowych dyrektorów, którzy poszli w jej ślady jako weterani burzy słonecznej. Nie wyobrażała sobie, że będą ją wozić po całej planecie i zmuszać do udziału w nieprzyjemnych, smutnych uroczystościach, jak ta obecna.

Zrobiła swoje na terenie tarczy. Powinnam była pozostać na emeryturze, pomyślała tęsknie.

I dopiero gdy połączyła się z nią Edna i przekazała jej tę smutną dziwną wiadomość, Bella uświadomiła sobie dobitnie, że naprawdę jest głównodowodzącą floty kosmicznej.

* * *

— Tym razem tropiciele uważają, że natknęli się na coś poważnego, mamo. Coś ukrytego w mroku. A teraz zbliżającego się do orbity Jowisza i poruszającego się po torze hiperbolicznym. Nie ma tego na mapie sporządzonej przez Niszczarkę, chociaż nie jest to takie dziwne, komety długookresowe zbyt odległe, aby były źródłem echa,

pojawiają się cały czas. To coś ma inne cechy, które wywołują ich niepokój…

Swego czasu Bella widziała rendering „mapy Niszczarki”, zrealizowany w postaci podobnej do planetarium, w jej własnej bazie w starym budynku kwatery głównej NASA w Waszyngtonie. Ogromne, dynamiczne, trójwymiarowe zdjęcie całego układu słonecznego zostało wykonane w przeddzień burzy słonecznej dzięki zdetonowaniu potężnej bomby jądrowej w głębi kosmosu — eksplozji, która równocześnie wysłała w stronę milczących gwiazd pęk informacji dotyczących całej kultury ludzkości, o nazwie „Earthmail”; były w nim także zawarte kopie największych sztucznych umysłów planety: Arystotelesa, Talesa i Ateny. W ciągu kilku godzin po tej eksplozji radioteleskopy na Ziemi zarejestrowały liczne echa wybuchu w zakresie promieni X, pochodzące od wszystkich obiektów o rozmiarach przekraczających jeden metr, znajdujących się wewnątrz orbity Saturna.

Dwadzieścia siedem lat po burzy słonecznej zamieszkane przez człowieka światy i kosmos były pełne oczu, które śledziły wszystko, co się porusza. Każdy obiekt, który nie znajdował się na tej mapie, musiał być nowym przybyszem. Większość z nich, czy to pochodzenia ludzkiego, czy też naturalnego, można było szybko zidentyfikować i wyeliminować. A jeśli nie — no cóż, wtedy, jak Bella się przekonała, złe wieści szybko docierały do jej uszu.

W osłoniętej, cichej i ciepłej kabinie samolotu Bella zadrżała. Jak wielu ludzi z jej pokolenia nadal prześladowały ją koszmary związane z burzą słoneczną. Teraz jej zadaniem było wysłuchać złych snów.

Twarz Edny widoczna na elastycznym ekranie umieszczonym w tylnej części fotela przed Bellą była bezbłędnie renderowana w trzech wymiarach. Edna miała tylko dwadzieścia trzy lata i należała do pierwszego pokolenia „Kosmitów”, jak Bella nauczyła się ich nazywać, ludzi urodzonych w przestrzeni kosmicznej podczas pobytu Belli w ośrodku rehabilitacyjnym na Księżycu. Ale Edna już była kapitanem. Awanse we flocie następowały szybko, bo niewielu członków załogi było tak bystrych jako ona (tak przynajmniej twierdziła), mieli nawet roboty do czyszczenia pokładu. Dzisiaj, ze swymi ściągniętymi do tyłu czarnymi włosami i w mundurze zapiętym pod szyję, Edna robiła wrażenie spiętej, a pod oczami miała cienie.

Bella gorąco pragnęła dotknąć córki. Ale nie mogła z nią nawet rozmawiać w naturalny sposób. Edna przebywała w centrali operacyjnej floty znajdującej się w pasie asteroid. Kaprysy ruchu orbitalnego powodowały, że w tej chwili Edna była oddalona od matki o jakieś dwie jednostki astronomiczne, czyli znajdowała się w odległości dwukrotnie większej od odległości Ziemia — Słońce, co powodowało, że opóźnienie czasowe wynosiło aż szesnaście minut w

jedną stronę.

A poza tym była kwestia protokołu. Bella była faktycznie przełożoną swojej córki. Próbowała się skupić na tym, co mówi Edna.

— To na razie wstępne doniesienia, mamo — powiedziała Edna. — Nie znam żadnych szczegółów. Ale plotki mówią, że kontradmirał Paxton leci do Londynu, żeby cię o tym poinformować…

Bella wzdrygnęła się. Bob Paxton, bohaterski badacz Marsa i potwornie upierdliwy facet. Edna uśmiechnęła się.

— Po prostu pamiętaj, że chociaż ma muchy w nosie, to ty jesteś szefem! Nawiasem mówiąc, Thea ma się doskonale. — Córka Edny, trzyletnia wnuczka Belli, Kosmitka drugiej generacji. — Wkrótce będzie wracać do domu. Ale powinnaś zobaczyć, jak polubiła mikrograwitację w środowisku niskospinowym!…

Edna mówiła o zwykłych rzeczach, o sprawach rodzinnych, wydarzeniach znacznie mniejszej wagi niż los układu słonecznego. Bella chłonęła każde jej słowo, jak każda babka. Ale to wszystko było takie dziwne, nawet dla Belli, która sama służyła w przestrzeni kosmicznej. Język Edny był naszpikowany nieznanymi określeniami. Znaleźć drogę w środowisku wirującym można było, poruszając się w kierunku *dospinowym, przeciwspinowym* albo *doosiowym*… Nawet jej akcent się zmienił: miał lekką domieszkę irlandzkiego po Belli i wyraźne naleciałości amerykańskiego ze wschodniego wybrzeża — flota kosmiczna była w gruncie rzeczy odgałęzieniem starej floty oceanicznej Stanów Zjednoczonych i odziedziczyła znaczną cześć jej kultury.

Jej córka i wnuczka dorastały z dala od niej, smętnie pomyślała Bella. Ale w końcu każda babka, poczynając od biblijnej Ewy, czuła pewnie to samo.

Łagodne dzwonienie uświadomiło jej, że samolot zaczyna schodzić do lądowania. Zapisała w pamięci pozostałą część wiadomości od Edny i wysłała krótką odpowiedź.

Samolot przechylił się i Bella spojrzała na miasto.

Wyraźnie widziała olbrzymi obrys Kopuły. Stanowił niemal doskonałe koło o średnicy około dziewięciu kilometrów i środku na Trafalgar Square. Wewnątrz Kopuły większość starej zabudowy uniknęła zniszczeń spowodowanych przez burzę słoneczną i coś z charakteru starego Londynu pozostało, blady połysk piaskowca i marmuru. Ale Westminster był teraz wyspą, a opuszczony Parlament stał się pomnikiem. Po burzy słonecznej miasto porzuciło próby ujarzmienia rzeki i wycofało się w stronę nowych brzegów, które były szersze i podążały za naturalnym biegiem rzeki, jaki Rzymianie wyrysowali na swoich mapach. Mieszkańcy Londynu przystosowali się do nowych warunków, można było zobaczyć nurków pływających koło betonowych ruin południowego nabrzeża.

Na zewnątrz dawnej Kopuły większa część podmiejskiej zabudowy została starta z powierzchni ziemi przez pożary, które wybuchły w dniu, w którym zaatakowała burza. Teraz rozciągał się tam dywan nowych bloków, które wyglądały jak rowy przeciwczołgowe.

A kiedy samolot jeszcze bardziej obniżył lot, zobaczyła samą Kopułę, czy raczej to, co z niej pozostało. Panele już dawno temu zdemontowano, ale niektóre ogromne żebra i filary pozostały; zniszczone wpływami atmosferycznymi, zmatowiałe, rzucały długie na kilometr cienie na uratowane przez Kopułę miasto. Od tego czasu minęło dwadzieścia siedem lat, ale wciąż było widać blizny, jakie pozostawiła burza słoneczna na całym świecie.

Miasto przemknęło pod nią i samolot zatoczył łuk nad nijakimi, podobnymi do bunkrów, domami przedmieścia, podchodząc do lądowania.

6. Myra

Myra siedziała z Bisesą przed oknem, popijając mrożoną herbatę. Było wcześnie i łagodne światło poranka podkreślało zmarszczki na twarzy Myry.

— Ciągle się we mnie wpatrujesz — powiedziała Myra.

— Przepraszam, kochanie. Masz mi za złe? Dla mnie zestarzałaś się o dziewiętnaście lat w ciągu tygodnia.

— Przynajmniej wciąż jestem *młodsza* od ciebie — powiedziała Myra z urazą w głosie, miała do tego prawo.

Myra miała na sobie luźną bluzkę i spodnie z jakiegoś „inteligentnego" materiału, który robił wrażenie, jakby zapewniał chłód jej ciału. Włosy odgarnęła do tyłu, co w oczach Bisesy wyglądało nieco surowo, lecz pasowało do rysów jej twarzy i delikatnego czoła. Na palcu nie miała obrączki. Jej ruchy były skąpe, opanowane, niemal oficjalne i rzadko patrzyła na matkę.

Nie wyglądała na szczęśliwą. Wyglądała na niespokojną. Bisesa nie wiedziała, co jest tego przyczyną.

— Powinnam była być tutaj z tobą — powiedziała.

Myra podniosła wzrok.

— No, ale nie byłaś.

— W tej chwili nawet nie wiem…

— Wiesz, że poślubiłam Eugene'a na krótko przed tym, jak wylądowałaś w tym zbiorniku. — Eugene Mangles, cudowne, choć autystyczne dziecko nauki, a dzięki swym obliczeniom podczas burzy słonecznej niemal zbawiciel świata. — W tamtych czasach wszyscy wychodzili za mąż młodo — powiedziała Myra. Lata bezpośrednio po burzy słonecznej były okresem gwałtownego wzrostu liczby ludności. — Rozstaliśmy się po pięciu latach.

— No cóż, jest mi przykro. Był ktoś inny?

— Nie na poważnie.

— Więc gdzie teraz pracujesz?

— Wróciłam do Londynu już dziesięć lat temu. Mieszkam w naszym starym mieszkaniu w Chelsea.

— Pod szkieletem Kopuły.

— Tego, co z niej zostało. Te stare ruiny mają wpływ na ceny nieruchomości. Mieszkać pod Kopułą to coś dla snobów. Chyba jesteśmy bogate, mamo. Ilekroć zabraknie mi pieniędzy, sprzedaję część majątku; ceny idą w górę tak szybko, że niebawem strata zostaje zrekompensowana.

— Więc wróciłaś do miasta. I co robisz?

— Przekwalifikowałam się na pracownicę opieki społecznej. Zajmuję się stresem pourazowym.

— Stresem pourazowym…

— To głównie dotyczy twojego pokolenia, mamo. Towarzyszy im wszystkim aż do śmierci.

— Ale oni uratowali świat — łagodnie powiedziała Bisesa.

— Tak.

— Nigdy nie widziałam w tobie cech pracownicy opieki społecznej. Zawsze chciałaś być astronautką!

Myra zmarszczyła brwi, jak gdyby wypominano jej brak rozwagi.

— Wyrosłam z tego, kiedy przekonałam się, co się naprawdę dzieje.

Najwyraźniej nieświadomie dotknęła tatuażu na policzku. Był to w rzeczywistości tatuaż identyfikacyjny, rodzaj przymusowej rejestracji, wprowadzonej kilka lat po tym, jak Bisesa wylądowała w zbiorniku. Nie był to objaw dowodzący istnienia szczególnych swobód obywatelskich.

— Czy Eugene nie pracował nad metodami modyfikacji pogody?

— Tak, istotnie. Ale dość szybko przesunięto go do prac o charakterze obronnym. No wiesz, modyfikacja pogody jako instrument politycznej kontroli. Nigdy tego nie użyto, ale to istnieje. Wiedliśmy długie spory na temat moralnego aspektu tego, co robi. Nigdy nie przegrałam, ale także nigdy nie wygrałam takiego sporu. Do Eugene'a to po prostu nie docierało.

Bisesa westchnęła.

— Pamiętam, że taki właśnie był.

— Ostatecznie praca była dla niego ważniejsza niż ja.

Bisesie było naprawdę przykro, że widzi tyle rozczarowania w córce, która z jej punktu widzenia jeszcze kilka tygodni temu była pełną życia dwudziestolatką.

Wyjrzała przez okno. Coś się poruszało po drugiej stronie kanionu. Tym razem były to wielbłądy.

— Nie wszystko w tym nowym świecie wydaje mi się złe — powiedziała, próbując rozładować atmosferę. — Podoba mi się, że wielbłądy i słonie spacerują po Ameryce Północnej, chociaż nie jestem pewna, po co tutaj są.

— Jesteśmy w środku Parku Jeffersona — powiedziała Myra.

— Nazwanym na cześć prezydenta Jeffersona?

— Dowiedziałam się bardzo dużo o amerykańskich prezydentach, kiedy mieszkałam z rodziną Eugene'a w Massachusetts — sucho powiedziała Myra. W następstwie burzy słonecznej pojawiło się dążenie, aby odbudować naturalne środowisko. — Faktycznie Linda ma coś wspólnego z opracowaniem globalnego programu. Pisała mi o tym.

— Moja kuzynka Linda?

— Teraz to Dame Linda. — Studentka bioetyki, Linda, dzieliła

mieszkanie z Bisesą i Myrą w okresie poprzedzającym burzę słoneczną. — Rzecz w tym, że na długo przed Kolumbem pierwsi ludzie z epoki kamienia wytępili większość wielkich ssaków. Wskutek tego ekologia jest pełna dziur, których ewolucja nie zdążyła wypełnić. To chyba Thoreau użył określenia: „koncert, w którym brakuje tak wielu części". Linda często go cytowała. Kiedy Hiszpanie sprowadzili tutaj konie, ich populacja gwałtownie wzrosła. Dlaczego? Bo konie tu właśnie się rozwinęły…

W nowym Parku Jeffersona podjęto świadomy wysiłek, by odbudować ekologię, jaka istniała pod koniec ostatniej epoki lodowcowej, sprowadzając gatunki, blisko spokrewnione z tymi, które wyginęły.

Bisesa kiwnęła głową.

— Afrykańskie i azjatyckie słonie zamiast mamutów i mastodontów.

— Wielbłądy zamiast wymarłych kamelidów. Więcej gatunków koni, aby zapewnić ich różnorodność. Chyba nawet zebry. Zamiast leniwców nosorożce, czyli zwierzęta roślinożerne o podobnej masie i sposobie odżywiania się.

— I lwy…

— Tak. Za granicą jest więcej takich parków. W Wielkiej Brytanii połowa Szkocji to obecnie naturalny las dębowy.

Bisesa spojrzała na wyniosłe wielbłądy.

— Przypuszczam, że to ma cel terapeutyczny. Ale to działania zastępcze. Lecznicze. Ciągle żyjemy w świecie stanowiącym pokłosie burzy słonecznej.

— Tak — ponuro powiedziała Myra. — I nie każde działanie, jakie podjęto po burzy słonecznej, było równie pozytywne jak założenie parku.

— Mamo, *ludzie dowiedzieli się o przyczynach burzy słonecznej*. Poznali prawdę. Na początku to było tajne. Nawet słowo „Pierworodni" nie zostało upublicznione. Wtedy nie było żadnych wskazówek, że burza słoneczna była wynikiem celowego działania.

Spowodowanym skierowaniem olbrzymiej planety w jądro Słońca.

— Ale prawda wyszła na jaw. Byli informatorzy. Rozpętała się burza, gdy członkowie pokolenia, które walczyło z burzą słoneczną, zbliżali się do emerytury i nie mając nic do stracenia, zaczęli mówić o tym, co wiedzieli.

— Jestem zaskoczona, że fakty tuszowano tak długo.

— Myślę, że nawet teraz jest mnóstwo ludzi, którzy w to nie wierzą. Ale ludzie się boją. Są też tacy w rządzie, przemyśle i innych instytucjach, którzy wykorzystują ten strach. Chcą zmilitaryzować całą Ziemię, a w istocie cały układ słoneczny. Nazywają to Wojną z

Niebiosami.

Bisesa prychnęła.

— To śmieszne. Jak można prowadzić wojnę z abstrakcją?

— Podejrzewam, że o to właśnie chodzi. To znaczy cokolwiek, co chcesz, aby znaczyło. A ci, którzy kontrolują niebo, mają wielką władzę. Jak myślisz, dlaczego Tales jest wciąż na Księżycu?

— Aha. Ponieważ nikt nie może się tam do niego dostać. I dlatego się wycofałaś?

— Większość środków jest po prostu marnotrawionych. Co gorsza, nie prowadzi się żadnych poważnych badań nad tym, co wiemy na temat technologii Pierworodnych. Oczy, manipulowanie czasoprzestrzenią, konstruowanie kieszonkowych wszechświatów i tak dalej. Wszystko to mogłoby się naprawdę przydać w przypadku ponownego zagrożenia.

— Więc to dlatego się wycofałaś.

— Tak. To była niezła zabawa, mamo. Musiałam pojechać na Księżyc! Ale nie potrafiłam przełknąć tych kłamstw. Na Ziemi i poza nią jest wielu ludzi, którzy myślą tak samo jak ja.

— Poza nią?

— Mamo, od czasu burzy słonecznej poza granicami Ziemi przyszło na świat całe pokolenie. Nazywają siebie Kosmitami. — Spojrzała na matkę, po czym odwróciła wzrok. — To właśnie Kosmita do mnie zadzwonił. I poprosił, żebym po ciebie przyszła.

— Dlaczego?

— Coś się zbliża.

Te proste słowa zmroziły Bisesę.

Jej uwagę zwróciło przesuwające się światło. Spojrzawszy w górę, ujrzała jasnego satelitę, przecinającego niebo.

— Myro, co to jest? Wygląda jak coś mocno staromodnego wśród tych kosmicznych zwierciadeł.

— To *Apollo 9*. Wycieczka rekreacyjna. Ten statek dziś obchodzi stulecie lotów. Rząd wznawia wszystkie klasyczne misje. Dla upamiętnienia utraconych czasów przed burzą słoneczną.

Konserwacja i pomniki. Trwanie przy przeszłości. Naprawdę było tak, jakby cały świat nadal był w szoku.

— Dobrze. Co chcesz, żebym zrobiła?

— Jeżeli dobrze się czujesz, pakuj manatki. Wyjeżdżamy.

— Dokąd jedziemy?

Myra uśmiechnęła się z przymusem.

— Opuszczamy Ziemię…

7. Medal Tooke'a

Kawalkada zatrzymała się przed posiadłością w dzielnicy podmiejskiej o nazwie Chiswick.

Bella wysiadła z samochodu, a wraz z nią dwaj członkowie obstawy. Byli nimi mężczyzna i kobieta w kamizelkach kuloodpornych, milczący i anonimowi, podobnie jak wszyscy ich koledzy. Kobieta trzymała mały pakunek w czarnej, skórzanej kasetce.

Samochód zamknął się automatycznie.

Bella stała przed domem Duflotów, zbierając się na odwagę. Był to nijaki, betonowy blok o zaokrąglonych rogach, wpuszczony w ziemię, jak gdyby był za ciężki dla londyńskiego gruntu. Na dachu zainstalowano silniki wiatrowe, ogniwa słoneczne i liczne anteny; okna były małe i głęboko osadzone w ścianach. Wyposażony w podziemne pokoje i niezależne źródło zasilania, był jak bunkier. Taka była architektura przesiąkniętej strachem połowy dwudziestego pierwszego wieku.

Bella musiała zejść po schodach do głównych drzwi. Czekała tam już na nią szczupła kobieta w szykownym czarnym kostiumie.

— Pani Duflot?

— Doktor Fingal, jak sądzę. Dziękuję, że zechciała pani przyjechać. Proszę mi mówić Philippa… — Wyciągnęła dłoń na powitanie.

Obserwowana przez swoją obstawę, Bella weszła do salonu.

Philippa Duflot musiała być po sześćdziesiątce, była więc trochę starsza niż Bella. Miała krótko obcięte, srebrzyste włosy. Twarz miała dość ładną, wąską i zaciśnięte usta. Sprawiała wrażenie osoby obdarzonej stalową samokontrolą, ale ta kobieta straciła syna i ślady owej tragedii widać było w zmarszczkach wokół jej oczu i wyprężonej szyi.

W salonie czekali na Bellę przedstawiciele kilku pokoleń rodziny Philippy. Kiedy Bella weszła do pokoju, stali w szeregu na tle ściany przedstawiającej obraz malowniczego szkockiego jeziora. Bella dokładnie nauczyła się na pamięć ich imion. Dwaj synowie Philippy, Paul i Julian, byli po trzydziestce i robili wrażenie niezdarnych. Żony stały u ich boku. Ta szczupła i ładna, dwudziestoszścioletnia kobieta imieniem Cassie była wdową po Jamesie; obok niej stało dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, Toby i Candida. Wszyscy byli ubrani w czarne i białe stroje żałobne, nawet dzieci. I wszyscy mieli tatuaże identyfikacyjne na policzkach. Ten na policzku pięcioletniej dziewczynki przedstawiał różowy kwiatek.

Stojąc przed tą grupką, onieśmielona wbitymi w nią spojrzeniami dzieci, Bella nie widziała, co powiedzieć.

Philippa przyszła jej z pomocą.

— To bardzo miło z pani strony, że zechciała pani przyjechać. — Miała autentycznie brytyjski, arystokratyczny sposób mówienia, pełen opanowania, prawdziwy relikt minionej epoki. Philippa powiedziała do wnuczków. — Doktor Fingal jest przewodniczącą Rady Przestrzeni Kosmicznej. To bardzo ważna osoba. I przyleciała aż z Ameryki, żeby się z nami spotkać.

— To prawda. I żeby wam to wręczyć. — Bella skinęła na kobietę z obstawy, która podała jej skórzaną kasetkę. Bella otworzyła ją ostrożnie i położyła na niskim stoliku. Na spodzie z czarnego aksamitu spoczywał krążek delikatnego, mieniącego się materiału.

Dzieci wybałuszyły oczy. Chłopiec spytał:

— To jest medal?

A Candida powiedziała:

— To dla taty?

— Tak. To dla waszego ojca. — Pokazała palcem medal, ale nie dotknęła go; wyglądał jak pajęczyna wypełniona maleńkimi elektronicznymi elementami. — Wiecie, z czego jest wykonany?

— To materiał tarczy — szybko powiedział Toby.

— Tak. Autentyczny. Nazywa się Medal Tooke'a. Jest to najwyższe odznaczenie, jakie można otrzymać, jeśli się żyje i pracuje w przestrzeni kosmicznej. Znałam Buda Tooke'a. Pracowałam z nim tam, na terenie tarczy. Wiem, jak bardzo podziwiałby waszego ojca. I to nie tylko medal. Chcecie zobaczyć, co potrafi?

Chłopiec był pełen sceptycyzmu.

— Co?

Pokazała palcem.

— Po prostu dotknij go i zobacz.

Chłopiec posłuchał.

Nad blatem zamigotał i ożył hologram, przesłaniając leżący w kasetce medal. Przedstawiał scenę pogrzebu, przykrytą flagą trumnę spoczywającą na lawecie ciągnionej przez sześć maleńkich czarnych koni. Z boku stały figurki w ciemnoniebieskich mundurach. Dźwięk był brzękliwy, ale wyraźny i Bella słyszała skrzypienie końskich uprzęży i delikatny stukot kopyt.

Milczące dzieci pochylały się niczym olbrzymy nad tą sceną. Cassie cicho płakała; jej brat ją pocieszał. Philippa Duflot patrzyła spokojnie.

Nagranie przeskoczyło do przodu. Zabrzmiały trzy salwy i w górze przemknęła eskadra maleńkich, skrzących się samolotów odrzutowych; jeden z nich odłączył od reszty formacji.

— To pogrzeb taty — powiedział Toby.

— Tak. — Bella pochyliła się przed dziećmi. — Pochowano go w Arlington. To jest w stanie Virginia, w Ameryce, gdzie znajduje się

amerykański cmentarz wojskowy.

— Tata szkolił się w Ameryce.

— Tak jest. Byłam tam, na pogrzebie, razem z waszą mamą. Hologram jest generowany przez ten element tarczy…

— Dlaczego jeden samolot odłączył od reszty?

— To się nazywa szyk osoby zaginionej. Te samoloty to T-38, wiesz, Toby? Szkolili się na nich pierwsi astronauci. Mają ponad sto lat, wyobrażasz sobie?

— Podobają mi się te małe koniki — powiedziała Candida.

Wujek położył im dłonie na ramionach.

— A teraz odsuńcie się.

Bella wyprostowała się z uczuciem ulgi.

* * *

Pojawiły się napoje: sherry, whisky oraz kawa i herbata, które podała przygnębiona ciotka. Bella wzięła kawę i stanęła obok Philippy.

— To miło z pani strony, że pani z nimi porozmawiała — powiedziała Philippa.

— Myślę, że to mój obowiązek — odparła zakłopotana Bella.

— Tak, ale można to zrobić dobrze albo źle. Jeszcze pani do tego nie przywykła, prawda?

Bella uśmiechnęła się. — To dopiero sześć miesięcy. To widać?

— Wcale nie.

— Wypadki śmiertelne w przestrzeni kosmicznej są rzadkie.

— Tak, dzięki Bogu — powiedziała Philippa. — Ale właśnie dlatego tak trudno się z tym pogodzić. Miałam nadzieję, że to nowe pokolenie będzie zabezpieczone przed — no, przed tym, przez co przeszliśmy my sami. Czytałam o pani. Pani naprawdę była na tarczy.

Bella uśmiechnęła się.

— Byłam podrzędnym technikiem ds. łączności.

Philippa potrząsnęła głową.

— Nie ma się czego wstydzić. Awansowano panią na dowódcę misji, nieprawdaż?

— Tylko dlatego, że nie było wówczas nikogo innego, kto by mógł objąć to stanowisko.

— Mimo to, wykonała pani zadanie. I zasłużyła na uznanie, jakim się pani cieszy.

Bella nie była tego pewna. Jej dalszej karierze jako członka kierownictwa w rozmaitych korporacjach telekomunikacyjnych i

organach nadzorujących bez wątpienia dodał skrzydeł rozgłos i możliwość wykorzystania jako elementu *public relations*. Ale zawsze przykładała się do pracy, aż do przejścia na emeryturę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat — krótką, jak się miało okazać, ponieważ zaproponowano jej to nowe stanowisko, którego nie mogła odrzucić.

Philippa powiedziała:

— Jeśli o mnie chodzi, podczas przygotowań do burzy pracowałam w Londynie. Byłam zatrudniona w biurze burmistrza i zajmowałam się planowaniem postępowania w przypadku awarii i podobnymi sprawami. Ale zanim zaatakowała burza, rodzice wywieźli mnie do punktu L2.

Tarcza unosiła się nad Ziemią w punkcie równowagi grawitacyjnej, w pierwszym punkcie Lagrange'a leżącym między Ziemią i Słońcem. Drugi punkt Lagrange'a także leżał na prostej łączącej Ziemię ze Słońcem, ale znajdował się po drugiej stronie planety. Kiedy więc pracownicy w punkcie L1 mozolili się, żeby osłonić świat przed burzą, w punkcie L2 znaleźli bezpieczne schronienie uchodźcy, do których należeli multimilionerzy, dyktatorzy oraz inni bogacze i członkowie elity władzy — w tym także, jak krążyły pogłoski, połowa brytyjskiej rodziny królewskiej. Historia punktu L2 stała się później szeroko komentowanym skandalem.

— To nie było przyjemne miejsce — mruknęła Philippa. — Próbowałam pracować. Stanowiliśmy rzekomo stację kontrolną. Utrzymywałam łączność ze stacjami naziemnymi. Ale niektórzy z tych bogaczy wydawali wystawne przyjęcia.

— Wygląda na to, że nie miałaś wyboru — powiedziała Bella. — Nie powinnaś się obwiniać.

— Miło, że pani to mówi. Mimo wszystko trzeba dalej żyć.

Z wahaniem zbliżyła się do nich Cassie, wdowa po Jamesie Duflot.

— Dziękuję, że pani przyjechała — powiedziała z zakłopotaniem. Wyglądała na zmęczoną.

— Nie musisz…

— Była pani taka miła dla dzieci. Będą pamiętać ten dzień.

— Uśmiechnęła się. — Widziały pani zdjęcie w wiadomościach. Jednak myślę, że schowam ten hologram.

— Tak chyba będzie najlepiej. — Bella zawahała się. — Nie potrafię powiedzieć zbyt wiele o tym, czym zajmował się James. Ale chcę, żebyś wiedziała, że twój mąż oddał życie za najważniejszą sprawę.

Cassie kiwnęła głową.

— Wie pani, w pewnym sensie byłam na to przygotowana. Ludzie pytają mnie, jak to jest mieć męża, który poleciał w kosmos. Mówię im, że powinni starać się zostać na Ziemi.

Bella uśmiechnęła się z przymusem.

— Prawdę mówiąc, przeżyliśmy trudne chwile. Jesteśmy — naziemni. James poleciał w kosmos, żeby tam pracować, nie żyć. Nasz dom jest tutaj. W Londynie. A ja codziennie jeździłam do pracy w Thule. — Bella wcześniej zebrała potrzebne informacje; Thule Inc. było wielką, międzynarodową agencją odbudowy ziemskiej ekologii. — Rozmawialiśmy trochę o rozstaniu się na pewien czas. — Cassie zaśmiała się z goryczą. — No cóż, nigdy się nie dowiem, jak skończyłaby się ta historia, prawda?

— Tak mi przykro…

— Wie pani, czego mi brakuje? Jego maili. Rozmów wideo. Widzi pani, nie miałam *jego,* ale miałam maile. Więc w pewnym sensie brakuje mi nie tyle jego, co tych maili. — Spojrzała surowo na Bellę. — To było tego warte, prawda?

Bella nie była w stanie powtórzyć frazesów, jakiej od niej oczekiwano.

— Dopiero od niedawna w tym tkwię. Ale dopilnuję, aby było.

To było za mało. Wszystko byłoby za mało. Poczuła ulgę, gdy tłumacząc się obowiązkiem kolejnej wizyty, opuściła ten podobny do bunkra dom.

8. Euroigła

Ażeby spotkać się z Billem Paxtonem, Bella musiała pojechać do Wieży Livingstone'a albo „Euroigły", jak nazywali ją nadal wszyscy mieszkańcy Londynu. Lokalna centrala administracyjna Unii Euroazjatyckiej, a kiedyś siedziba premiera Unii, była budowlą, w której mieściły się przestronne i widne biura z wielkimi oknami z hartowanego szkła, z których roztaczał się wspaniały widok na Londyn. Podczas burzy słonecznej Euroigła była osłonięta Kopułą, a na jej dachu, który był zrośnięty z konstrukcją samej Kopuły, znajdowało się małe muzeum poświęcone tym pełnym niebezpieczeństw czasom.

Paxton czekał na Bellę w sali konferencyjnej na czterdziestym pierwszym piętrze. Chodząc po pokoju, wielkimi łykami popijał kawę. Przywitał Bellę sztywnym wojskowym ukłonem.

— Pani przewodnicząca Fingal.

— Dziękuję, że przyjechał pan aż do Londynu na to spotkanie ze mną…

Zbył to machnięciem ręki.

— Miałem tu inną sprawę do załatwienia. Musimy porozmawiać.

Usiadła. Wciąż wstrząśnięta spotkaniem z Duflotami, poczuła, że to będzie bardzo długi dzień.

Paxton nie usiadł. Robił wrażenie niespokojnego. Nalał Belli kawy z wielkiego dzbanka stojącego w rogu pokoju; nalał także kawy członkom jej obstawy, którzy usiedli po drugiej stronie stołu.

— Proszę mi powiedzieć, co zaprząta pana umysł, admirale.

— Powiem prosto. Potwierdzają to nowe obserwacje. Pojawiło się to licho.

— Jakie licho?

— Anomalia. Coś, co porusza się przez układ słoneczny i przyleciało z zewnątrz…

Paxton byt wysoki i żylasty. Ma twarz astronauty, pomyślała, bardzo bladą i pokrytą bliznami po guzach spowodowanych promieniowaniem. Tatuaż na policzku przedstawiał emblemat floty kosmicznej, a włosy ostrzyżone na jeża były lekko przyprószone siwizną.

Ma siedemdziesiąt parę lat, pomyślała. Kiedy dowodził *Aurorą 1,* pierwszym lotem załogowym na Marsa, miał koło czterdziestki i był pierwszym człowiekiem, który postawił nogę na tej planecie, a potem, podczas burzy słonecznej, został wraz ze swą załogą poddany najcięższej próbie. Najwyraźniej to doświadczenie odbiło się poważnie na jego życiu. Obecnie był kontradmirałem floty kosmicznej i w owych paranoicznych latach po burzy zyskał wielkie wpływy, podjął energiczne wysiłki, aby odeprzeć zagrożenie, które kiedyś sprawiło, że

utknął na Marsie.

Patrząc, jak chodzi po pokoju z kamiennym wyrazem twarzy, Bella poczuła absurdalny impuls, żeby poprosić go o autograf. A potem kolejny impuls, żeby kazać mu przejść na emeryturę. Odpędziła od siebie te niemądre pomysły.

Mówiąc urywanym głosem, naznaczonym zachodnim akcentem, rozwinął informacje, które wcześniej otrzymała od Edny.

— W rzeczywistości dysponujemy trzema obserwacjami tego czegoś.

Pierwsza z nich miała charakter przypadkowy.

Voyager 1, wystrzelony w 1977 roku, przeprowadziwszy pierwszy rekonesans planet zewnętrznych, pomknął dalej, opuszczając układ słoneczny. Do końca piątego dziesięciolecia nowego wieku *Voyager* pokonał odległość ponad sto pięćdziesiąt razy większą od odległości Ziemia — Słońce.

I wtedy zainstalowany na nim detektor promieni kosmicznych, przeznaczony do rejestracji cząstek pochodzących z odległych gwiazd supernowych, napotkał deszcz cząstek o wysokiej energii.

W mrokach kosmosu coś się narodziło.

— Wówczas nikt się tym specjalnie nie zainteresował. Ponieważ miało to miejsce 20 kwietnia 2042 roku. — Paxton uśmiechnął się. — W dniu burzy słonecznej. Byliśmy dość pochłonięci innymi sprawami.

Późniejsze obserwacje *Voyagera* dowiodły, że owa anomalia, pod wpływem grawitacji Słońca, zaczęła zmierzać w stronę samego środka układu słonecznego. Pierwszym znaczącym obiektem, jaki przybysz miał napotkać w drodze do Słońca, był Saturn i jego księżyce; miało to nastąpić w 2064 roku. Opracowano więc stosowne plany.

— I wtedy nastąpiło drugie spotkanie — powiedział Paxton. — Mamy odczyty z *Monitora Głębokiego Kosmosu X7-6102-016* oraz zapis zniszczenia tej sondy kosmicznej. A trzecia, ostatnia obserwacja pochodzi z kilku sond i dowodzi, że jakieś cholerstwo porusza się po orbicie Jowisza. — Uruchomił znajdujący się na stole ekran, na którym ukazała się mapa. — Trzy punkty na tej mapie, o, tutaj — to trzy punkty przypuszczalnej trajektorii. Trzy obserwacje czegoś, co musi stanowić ten sam obiekt, pętający się tam, gdzie nie powinno go być. — Utkwił w niej spojrzenie swych chłodnych, niebieskich, załzawionych oczu, jakby rzucając jej wyzwanie, by złożyła to wszystko do kupy.

— I jest pan pewien, że to nie kometa ani coś naturalnego?

— Komety nie wysyłają promieni kosmicznych — powiedział. — I to dziwny zbieg okoliczności, że to coś wyskoczyło znikąd akurat w dniu burzy słonecznej, nie uważa pani?

— A ta trajektoria, jeśli ją przedłużyć, dokąd zmierza, admirale?

— Mamy na ten temat całkiem dokładne dane. Saturn odchylił

kurs tego obiektu, ale poruszając się dalej, nie przeleci w pobliżu żadnego ciała o wystarczającej masie, aby spowodować efekt procy. Zakładając, że porusza się wyłącznie pod wpływem siły ciążenia…

Zrozumiała.

— Zmierza w stronę Ziemi, prawda?

Twarz miał jak z granitu.

— Jeżeli będzie się poruszać po tym torze, dotrze tutaj w grudniu przyszłego roku. Może to sanie Świętego Mikołaja?

Zmarszczyła brwi.

— Dwadzieścia dwa miesiące. To niewiele czasu.

— Niewiele.

— Gdyby podniesiono alarm, kiedy ten obiekt minął Saturna i jak pan mówi, zniszczył sondę, dowiedzielibyśmy się o tym kilka lat wcześniej.

Wzruszył ramionami.

— Trzeba jakoś ustalać poziom zagrożenia. Zawsze twierdziłem, że nie jesteśmy wystarczająco podejrzliwi. Rozmawiałem na ten temat z pani poprzednikiem wiele razy. Wygląda na to, że miałem rację, co? Jeżeli to przeżyjemy, będziemy mogli zmienić protokół.

Jeżeli to przeżyjemy. Te słowa przejęły ją dreszczem.

— Myśli pan, że to jakiś artefakt, admirale?

— Nie potrafię powiedzieć.

— Ale uważa pan to za zagrożenie, tak?

— Muszę to zakładać. Nie sądzi pani?

Trudno było się z tym nie zgodzić. Pytaniem było, co z tym począć.

Światowa Rada Przestrzeni Kosmicznej była jedynie luźno związana ze starą Organizacją Narodów Zjednoczonych, która od czasu burzy słonecznej skupiła swoje wysiłki na odbudowie Ziemi. Zadaniem Rady była koordynacja przygotowań do wszelkich dalszych zagrożeń ze strony niewidzialnego wroga stojącego za burzą słoneczną, wroga, którego istnienie nie zostało jak dotąd oficjalnie potwierdzone. Jej głównym narzędziem była flota kosmiczna, która nominalnie podlegała Radzie. Ale sama Rada była finansowana i kontrolowana przez niepewny sojusz czterech wielkich światowych mocarstw, zwłaszcza przez Stany Zjednoczone, Eurazję oraz Chiny, które liczyły na to, że wykorzystają przestrzeń kosmiczną dla uzyskania przewagi nad czwartym z nich, Afryką.

Na szczycie tej chwiejnej struktury władzy znajdowała się Bella, będąca kompromisowym kandydatem w kompromisowej sytuacji.

Myślała, że na krótką metę trzy potęgi kosmiczne mogłyby próbować wywrzeć nacisk w razie nagłej próby podporządkowania sobie Afryki, która zyskała znaczącą rolę, ponieważ burza słoneczna spowodowała na jej terenie stosunkowo niewielkie zniszczenia. Płyty

tektoniczne, które stanowiły podstawę Rady, mogą zacząć się przesuwać, pomyślała z niepokojem, właśnie wtedy, gdy trzeba będzie działać.

— Myśli pani o polityce — warknął Paxton.

— Tak — przyznała. Jak gdyby ta anomalia, bez względu na to, czym była, stanowiła po prostu nową pozycję na liście nękających świat problemów. Ale jeżeli było to kolejne zagrożenie takie jak burza słoneczna, wszystkie te problemy natychmiast staną się nieistotne.

Nagle poczuła się zmęczona. Stara, wycieńczona. Poczuła urazę, że ten kryzys tak nagle zwalił się na jej głowę.

Patrząc na pełną skupienia twarz Paxtona, zastanawiała się, jak dalece będzie mogła kierować nadchodzącymi wydarzeniami.

— Dobrze, admirale, słucham pana z uwagą. Co pan proponuje?

* * *

Cofnął się.

— Zbiorę więcej danych i zwołam odprawę dla przedyskutowania stojących przed nami możliwości. Myślę, że zrobię to po powrocie do Waszyngtonu. Jak najprędzej.

— Dobrze. Ale będziemy się musieli zastanowić nad dalszymi implikacjami. Co powiedzieć ludziom, a czego nie mówić. Jak się przygotować na spotkanie ze zbliżającą się anomalią, bez względu na to czym jest.

— Zanim to uczynimy, musimy mieć więcej danych.

— A co powiemy tym, którym podlegamy?

Paxton powiedział:

— Jeśli chodzi o politykę, musimy koniecznie dopilnować, by nasze pełnomocnictwa i możliwości działania nie zostały osłabione przez politykierów. I jeśli pani wyrazi zgodę, do materiałów odprawy dołączę materiały zebrane przez Komisję.

Poczuła, że włosy zjeżyły się jej na karku; po tym, jak spędziła tyle czasu na wysokich szczeblach wielkich organizacji, wiedziała, kiedy zostaje zastawiona pułapka.

— Ma pan na myśli Komitet Patriotów. Jego uśmiech przypominał grymas rekina.

— Powinna pani nas kiedyś odwiedzić. Pracujemy w starym Biurze Specjalnych Projektów Floty, wielu z nas to dawni lotnicy z paroma naszywkami. Nasza misja, przyznaję, że samozwańcza, polega na monitorowaniu reakcji naszych rządów i agencji nadrzędnych na interwencję obcych, która doprowadziła do burzy słonecznej oraz

istniejącego od tego czasu stanu zagrożenia. Pani poprzednik nie chciał o tym wiedzieć. Prawdopodobnie myślał, że kontakty z takimi wariatami zniszczą jego karierę. Ale teraz rzeczywiście coś tam jest, prawdziwa anomalia. Jeśli chce nas pani wysłuchać, to właśnie nadszedł ten czas.

I znów trudno było się z tym nie zgodzić.

— Czuję, że chce mnie pan wciągnąć w dyskusję. OK, ale rezerwuję sobie prawo weta.

— Dziękuję. Jest jeden szczegół.

— Proszę mówić.

— Komisja zawsze miała władzom za złe, że nigdy nie zainteresowały się wskazówkami dotyczącymi *obcych*. Prace nad własną bronią to jedno, ale ignorowanie potencjału nieprzyjaciela jest karygodne. Jednakże wiemy o kimś, kto może pomóc wyświetlić tę mroczną tajemnicę.

— Kto to taki?

— Kobieta nazwiskiem Bisesa Dutt. Kiedyś służyła w brytyjskiej armii. To długa historia. To ona jest powodem, dla którego jestem dzisiaj w Londynie, ona tu mieszka. Ale jej tu nie ma, ani jej, ani jej córki. Kiedy tu przybyłem, dowiedziałem się, że być może jest w hibernaculum w Stanach Zjednoczonych pod przybranym nazwiskiem. Oczywiście teraz mogła już się stamtąd wynieść. — Przyjrzał się Belli. — Za pani pozwoleniem, postaram się ją odszukać.

Wzięła głęboki oddech.

— Mam do tego prawo?

— Jeżeli pani chce. — Zawiesił glos.

— Dobrze. Proszę ją znaleźć. I przysłać mi jej akta. Ale niech to będzie legalne, admirale. I odbędzie się przyzwoicie.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— To jest wliczone w usługę.

Nagle zrozumiała, że Paxton się cieszy. Czekał na tę chwilę, czekał przez całe swoje pełne rozczarowań życie od czasu heroicznych dni spędzonych na Marsie podczas burzy słonecznej. Czekał, aż niebo znów spadnie na głowę.

Bella powstrzymała wzruszenie ramion. Jeśli o nią chodzi, miała jedynie nadzieję, że zdoła uniknąć kolejnych Jamesów Duflotów.

9. Floryda

Myra zabrała Bisesę z hibernaculum i zawiozła ją na Florydę.

Leciały pękatym samolotem o szczątkowych skrzydłach. Był napędzany naddźwiękowym silnikiem strumieniowym.

Bisesa nadal czuła się słaba, ale w wojsku przywykła do latania helikopterami i teraz, z zaciekawieniem przyglądała się temu samolotowi nowej generacji, w każdym razie nowej dla niej. Wyprawa przez cały kontynent, z Arizony na Florydę, to było nic; ten solidny pojazd rzeczywiście doskonale dawał sobie radę podczas lotów dalekiego zasięgu, kiedy mógł wyskoczyć ponad atmosferę, niczym metalowy łosoś.

Ale środki bezpieczeństwa były obłędne. Musiały się poddać rewizji nawet podczas lotu. Ta paranoja była dziedzictwem nie tylko burzy słonecznej, lecz także incydentów, w wyniku których samoloty zostały wykorzystane jako pociski; jeden z nich zniszczył Rzym kilka lat przed burzą.

W istocie środki bezpieczeństwa od początku stanowiły problem. Bisesa opuściła zbiornik hibernaculum bez najnowszych tatuaży identyfikacyjnych. Na terenie hibernaculum znajdowała się placówka FBI, która zajmowała się takimi pacjentami, uchodźcami z nieco bardziej niewinnych czasów, oraz pilnowała, by nikt ukrywający się przed wymiarem sprawiedliwości nie próbował umknąć przez meandry czasu. Ale Myra zjawiła się w pokoju Bisesy z urządzeniem, za pomocą którego umieściła tatuaż na jej twarzy i zrobiła jej zastrzyk, który opisała jako „terapię genową". Następnie wymknęły się z hibernaculum przez drzwi dla dostawców, omijając biuro FBI.

Potem przeszły bez problemów przez wszystkie punkty kontrolne.

Bisesa była lekko zaniepokojona. Ten, z którego pomocy Myra korzystała, najwyraźniej dysponował znacznymi możliwościami. Ale ufała jej bezgranicznie, chociaż była to dziwna nowa Myra, nagle postarzała i zgorzkniała, nowa osoba, z którą niepewnie nawiązywała stosunki na nowo. Ale naprawdę nie miała wyboru.

Opuściły samolot w Orlando i spędziły noc w tanim hotelu turystycznym w centrum.

Bisesa była lekko zaskoczona faktem, że ludzie nadal jeżdżą po świecie i zaglądają do takich miejscowości. Myra powiedziała, że głównym powodem jest nostalgia. Najnowsze systemy wirtualnej rzeczywistości połączone bezpośrednio z centralnym układem nerwowym potrafiły nawet symulować wrażenie ruchu. Jeśli ktoś chciał, mógł jeździć na kolejce górskiej wokół księżyców Jowisza. Jaki park rozrywki mógł z tym konkurować? Kiedy ostatnie pokolenie urodzone przed burzą słoneczną zrezygnowało z pogoni za

marzeniami z okresu dzieciństwa i wymarło, wydawało się prawdopodobne, że większość ludzi rzadko będzie opuszczać bezpieczne schronienie swych przypominających bunkry domów.

Zjadły podany do pokoju posiłek i napiły się wina z minibaru, po czym poszły spać. Spały źle.

* * *

Następnego dnia rano przed hotelem czekał na nie samochód bez kierowcy. Był to jakiś dziwny model, którego Bisesa nie znała.

Znalazłszy się wewnątrz, ruszyły z szybkością, która Bisesie wydała się zawrotna, niemal ocierając się o inne pojazdy. Ucieszyła się, kiedy okno przesłoniła srebrzysta powłoka. Siedziały z Myrą w niemal zupełnej ciszy i tylko ledwo wyczuwalne przyspieszenie dowodziło, że opuszczają miasto.

Kiedy pojazd zatrzymał się, drzwi otworzyły się i do środka wdarło się jasne światło słoneczne, a Bisesa usłyszała krzyki mew i poczuła wyraźnie słony zapach morskiego powietrza.

— Chodź. — Myra wygramoliła się z samochodu i pomogła zesztywniałej matce wysiąść.

Był marzec, ale mimo to gorąco uderzyło w Bisesę jak młot. Stały na asfalcie, ale nie była to droga ani parking, raczej przypominało to pas startowy biegnący w dal, wzdłuż którego stały schrony. Na horyzoncie zobaczyła wieże wyrzutni rakietowych, niektóre pomarańczowe od rdzy, tak odległe, że spowijała je mgła oddalenia. Na północy — to musiała być północ, sądząc po wiejącym znad morza wietrze — ujrzała coś migocącego, jakby kreskę na tle nieba, lekko odchyloną od pionu. Trudno się było zorientować, co to jest, może była to smuga kondensacyjna.

Nie było wątpliwości, gdzie się znajdują.

— To Przylądek Canaveral, prawda?

Myra wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— A cóżby innego? Pamiętasz, jak przywiozłaś mnie tutaj na wycieczkę, kiedy miałam sześć lat?

— Przypuszczam, że od tego czasu trochę się tutaj zmieniło. Szykuje się niezła przejażdżka, co?

— Witaj na Przylądku Canaveral. — Zbliżył się do nich młody człowiek, za którym toczyła się „inteligentna” walizka. Pocił się pod grubym, pomarańczowym kombinezonem, na którym widniało logo NASA.

— Kim pan jest, przewodnikiem?

— Cześć, Aleksiej — powiedziała Myra. — Nie zwracaj uwagi na moją mamę. Po dziewiętnastu latach snu wstała z łóżka lewą nogą.

Wyciągnął rękę.

— Aleksiej Carel. Miło mi panią poznać, pani Dutt. Przypuszczam, że istotnie będę dzisiaj kimś w rodzaju przewodnika.

Ma dwadzieścia pięć albo dwadzieścia sześć lat, przystojny chłopak, pomyślała Bisesa. Miał szczerą twarz i wygoloną głowę, choć widać było odrastające czarne włosy. Jednak sprawiał wrażenie, że czuje się dziwnie nieswojo, jak gdyby nie był przyzwyczajony do przebywania na dworze. Bisesa poczuła się jak ambasador z przeszłości i chciała zrobić dobre wrażenie na tym młodym mężczyźnie. Uścisnęła jego ciepłą dłoń.

— Mów mi Bisesa.

— Nie mamy wiele czasu. — Pstryknął palcami i jego walizka otworzyła się. Zawierała dwa starannie złożone pomarańczowe kombinezony i rozmaite inne rzeczy: koce, manierki, paczki suszonego jedzenia, zespół chemicznej toalety, zestaw do oczyszczania wody i maski tlenowe.

Bisesa patrzyła na to wszystko z lękiem.

— To wygląda jak sprzęt, który zabieraliśmy ze sobą na wyprawy terenowe w Afganistanie. Wybieramy się na przejażdżkę?

— Właśnie. — Aleksiej wyciągnął kombinezony z walizki. — Proszę to założyć. Ta część kompleksu jest słabo monitorowana, ale im szybciej się zamaskujemy, tym lepiej.

— Tutaj?

— Tak, mamo. — Myra już rozpinała bluzkę.

Kombinezon łatwo się zakładało, wydawało się, że sam układał się jak należy i Bisesa zastanawiała się, czy jest zaopatrzony we własny układ sztucznej inteligencji. Aleksiej podał jej buty, a w kieszeni kombinezonu znalazła rękawice i rodzaj hełmu.

Kiedy już się ubrała, stojąc w słońcu Florydy, zrobiło jej się gorąco. Ale najwyraźniej zmierzała w jakieś znacznie zimniejsze miejsce.

Myra wepchnęła ich ubrania do małej paczki wyjętej z samochodu, w której znajdowała się także zapasowa bielizna i przybory toaletowe. Wrzuciła paczkę to walizki, która się złożyła i zamknęła. Następnie klepnęła samochód, który zamknął się i odjechał.

Aleksiej wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Wszystko gotowe?

— Jak zawsze — powiedziała Myra.

Aleksiej znów pstryknął palcami. Asfalt pod stopami Bisesy zadrżał.

I jego wielki kawał szybko opadł w dół, po czym cała trójka wraz z walizką znalazła się w ciemności. Nad ich głowami ze szczękiem

zamknęła się metalowa pokrywa.

— Jasna cholera — powiedziała Bisesa.

— Przepraszam — powiedział Aleksiej. — To jest przeznaczone do transportu ładunków, nie ludzi.

Zapłonęły lampy fluoroscencyjne i przed ich oczyma ukazał się betonowy korytarz.

10. Wyrzutnia rakietowa nr 39

Aleksiej zaprowadził je do otwartego pojazdu trochę przypominającego wózek golfowy.

Wgramolili się do środka. Bisesa poruszała się w kombinezonie niezdarnie. Nawet walizka poruszała się z większym wdziękiem.

Wózek łagodnie ruszył w głąb tunelu. Tunel był długi i prymitywnie wydrążony, słabo oświetlony umieszczonymi w dużych odstępach lampami fluoroscencyjnymi. Unosił się w nim zapach stęchlizny, ale przynajmniej było tu trochę chłodniej.

— To rodzaj kanału towarowego — powiedział Aleksiej. — Nie jest przeznaczony dla pasażerów.

— Ale jest z dala od wścibskich spojrzeń — powiedziała Bisesa.

— O to chodzi. Bardzo szybko będziemy na miejscu.

Ma w zasadzie amerykański akcent, pomyślała Bisesa, ale z osobliwą domieszką francuskiego: długie samogłoski i wibrujące „r".

— Gdzie jedziemy?

— Przespałaś odbudowę, prawda? Jedziemy do WR-39.

W głowie Bisesy obudziły się mgliste wspomnienia.

— Wyrzutnia rakietowa 39. Stąd wystrzeliwano statki *Apollo*.

— Tak, a później wahadłowce.

— Teraz jest używana do czegoś zupełnie innego — powiedziała Myra. — Zobaczysz.

— Oczywiście musieli używać WR-39 — powiedział Aleksiej. — I to musiał być Przylądek Canaveral. Chodzi o to, że to jest nie najgorsze miejsce, zwłaszcza teraz, kiedy poradzono sobie z huraganami. Są lepsze miejsca, bliżej równika, ale to musiało być tutaj. Ironia polega na tym, że aby wystrzelić rakietę *Saturn,* która wynosi na orbitę elementy *Apollo,* musieli zbudować zupełnie nowe stanowisko startowe.

Bisesa ciągle nie wiedziała, o czym właściwie mówią. Nowe stanowisko? Po co?

— Carel, skąd ja znam twoje nazwisko?

— Może spotkałaś mojego ojca. Billa Carela. Pracował z profesor Siobhan McGorran.

Bisesa już dawno nie słyszała tego nazwiska. Siobhan była Astronomem Królewskim w czasie burzy słonecznej i odegrała istotną rolę w reakcji ludzkości na ten kryzys oraz wywarła znaczny wpływ na losy samej Bisesy.

— Mój ojciec był razem z nią słuchaczem studiów magisterskich. Zajmowali się wspólnie badaniami nad kwintesencją.

— Czym?… Mniejsza o to.

— To było przed burzą słoneczną. Teraz tata sam jest profesorem.

— Wózek zwolnił. — Jesteśmy na miejscu. — Wyskoczył zwinnie na zewnątrz, jeszcze zanim wózek się zatrzymał. — Kobiety, a wraz z nimi walizka, opuściły wózek nieco bardziej ostrożnie.

Stanęli na bloku asfaltu. Nad ich głowami otworzyła się z metalicznym trzaskiem pokrywa, ukazując kawałek błękitnego nieba. Aleksiej powiedział:

— Kiedy będziemy już nad ziemią, nie powinni się nas czepiać. W razie kłopotów ja będę mówił. A teraz trzymajcie się!

— Pstryknął palcami.

Blok asfaltu okazał się windą, która ruszyła do góry tak gwałtownie, że Bisesa aż się zachwiała.

* * *

Wynurzyli się na światło dzienne. Wyglądało na to, że Aleksiej czuł się pewniej pod ziemią. Teraz, kiedy znalazł się pod gołym niebem, aż się wzdrygnął.

Bisesa rozejrzała się wokół, próbując się zorientować w otoczeniu. Znajdowali się na zbiegu dróg wijących się na nadbrzeżnej równinie i zatłoczonych pojazdami, głównie samochodami ciężarowymi. Była tam nawet kolej jednoszynowa i po torze mknął lśniący, futurystyczny pociąg z przedziałami w kształcie kapsuł. Cały ten ruch zmierzał w to miejsce.

Przed nią widniała ogromna pokryta rdzą płyta, która dziwnie przypominała jej platformę wiertniczą umieszczoną na olbrzymich pojazdach gąsienicowych. Na surowej metalowej powłoce wymalowano rozmaite logo, między innymi „Konsorcjum Windy Kosmicznej”, która to nazwa wydała się Bisesie dziwnie znajoma. W pobliżu stały jakieś urządzenia, przysadziste rury umieszczone na ruchomych stanowiskach, jak działa wymierzone w bladoniebieskie niebo.

— Ta platforma wygląda zupełnie tak, jak jeden z tych starych pojazdów gąsienicowych, których używano do przeciągania rakiet Saturn i wahadłowców na stanowisko startowe.

— Bo tym właśnie jest — powiedział Aleksiej. — To ruchoma platforma wyrzutni rakietowej.

— A czym są te działa? To jakaś broń?

— Nie — powiedział Aleksiej. — To zespoły zasilające.

— Zasilające co?

Myra powiedziała łagodnie:

— Wiele się zmieniło, mamo. Popatrz w górę.

Na wielkim pojeździe gąsienicowym zainstalowano coś, co wyglądało jak niewielkie urządzenie przemysłowe, po którym toczyły się maszyny o niezwykłym wyglądzie. W zasadzie przypominały wózki bagażowe, ale na bokach miały zainstalowane ogniwa słoneczne, a na wierzchu mechanizm blokowy, który sprawiał, że wyglądały jak wagoniki kolejki linowej. Kadłuby miały oznakowane logo windy kosmicznej.

Te osobliwe wagoniki stały w rzędzie przed srebrzyście połyskującą taśmą o szerokości nie większej niż szerokość dłoni Bisesy, która wznosiła się nad platformą. Każdy wagonik podjeżdżał do taśmy, opuszczał wrzeciono krążka, podczepiał się, po czym szybko unosił się w górę.

Bisesa cofnęła się i podniosła głowę, próbując dojrzeć, dokąd biegnie taśma. Ginęła gdzieś w górze; Bisesa widziała, jak wagoniki wznoszą się do góry jak nanizane na naszyjnik paciorki. Taśma wyglądała w górze jak lśniąca nić, lekko odchylona od pionu, jak rysa na błękitnym niebie. Przechyliła głowę jeszcze bardziej, szukając czegoś, co utrzymuje taśmę w górze…

Ale niczego tam nie było.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała. — Winda kosmiczna.

Aleksiej wydawał się zaciekawiony jej reakcją.

— Nazywamy ją Drabiną Jakubową. W 2069 roku to zwykły cud, Biseso. Witaj w przyszłości. Chodź, czas ruszać. Dasz się namówić na małą wspinaczkę?

* * *

Musieli się wspiąć po zardzewiałych szczeblach, przymocowanych do ruchomej platformy. Osłabiona po pobycie w hibernaculum i zamknięta w kombinezonie Bisesa wspinała się z trudem. Aleksiej szedł przodem, pomagając jej, a Myra ubezpieczała z tyłu.

Kiedy znaleźli się na platformie, dali jej kilka sekund dla złapania oddechu. Wagoniki poruszały się regularnie tam i z powrotem, a ich silniki cicho powarkiwały.

Zakłopotana Bisesa spróbowała powiedzieć coś mądrego.

— Po co ten pojazd gąsienicowy?

Aleksiej powiedział:

— Dobrze, jeśli baza windy jest ruchoma. W rzeczywistości większość z nich znajduje się na morzu — na ponownie wykorzystywanych platformach wiertniczych — takich jak Bandara.

— Bandara?

— Winda australijska, która znajduje się koło Perth. Teraz nosi nazwę Bandara. Według starej legendy Aborygenów to drzewo świata.

— Dlaczego trzeba przesuwać bazę? W razie huraganu?

— Tak, chociaż jak powiedziałem, już w zasadzie poradzono sobie z huraganami. — Spojrzał na niebo. — Ale tam wysoko grożą inne niebezpieczeństwa. Szczątki satelitów na niskich orbitach okołoziemskich. Nawet obiekty znajdujące się w pobliżu Ziemi. Takie jak asteroidy. Ta winda sięga bardzo daleko, Biseso i musi dawać sobie radę z mnóstwem niebezpieczeństw. Jesteś gotowa?

Zaprowadził je do jednego z wagoników. Nazywał go „pająkiem". Miał składane po bokach skrzydła zaopatrzone w ogniwa słoneczne, a na dachu ów skomplikowany mechanizm blokowy. Przezroczysty kadłub był załadowany jakimiś paletami i skrzyniami. W rzeczywistości pająk się poruszał, chociaż wolniej niż człowiek idący spacerowym krokiem, tocząc się razem z innymi, identycznymi wagonikami, które różniły się tylko wybitymi na kadłubie numerami rejestracyjnymi. Bisesa zobaczyła, że pająki zbliżają się do taśmy, poruszając się po zawiłej spirali.

Aleksiej szedł obok pająka. Wyjął z kieszeni plastikowy krążek i klepnął nim w kadłub wózka.

— Poczekajmy chwilę, aż upora się ze wszystkimi protokołami i uzyska połączenie… — Szybko wskoczył na dach wagonika i przyłożył następny krążek do mechanizmu blokowego. Kiedy zszedł na dół, otworzyły się przezroczyste drzwi, a Aleksiej wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Wchodzimy. Myra, możesz mi pomóc? — Wskoczył do środka i zaczął niedbale wyrzucać zawartość przez drzwi. Myra pomagała mu, odpychając wszystko na bok.

— Żebym miała jasność — niepewnie powiedziała Bisesa. — Nie powinniśmy tego robić, prawda? Faktycznie pojedziemy na gapę wagonikiem towarowym.

— Jest przystosowany do przewozu ludzi — śmiało oświadczył Aleksiej. — Kabina jest ciśnieniowa. Zaopatrzona w osłonę przed promieniowaniem, która rzeczywiście będzie nam potrzebna, sporo czasu spędzimy w obszarze pasów van Allena. Mając sprzęt, który zabrałem, wszystko będzie dobrze. Uważaliśmy, że będzie najlepiej, gdy wywieziemy cię z planety możliwie jak najszybciej, Biseso.

— Dlaczego? Myro, uciekamy? Ja też?

— Coś w tym rodzaju — powiedziała Myra.

Aleksiej powiedział:

— Ruszajmy. Jesteśmy już prawie na taśmie.

Kiedy uprzątnięto ładunek, Aleksiej wezwał walizkę, która wysunęła małe nóżki hydrauliczne i bez trudności wskoczyła do środka. Myra poszła jej śladem i teraz tyko Bisesa szła obok toczącego się wagonika.

Myra wyciągnęła rękę.

— Mamo? Chodź. To tylko krok.

Bisesa rozejrzała się wokół, spoglądając przez mrowie wagoników na niebieskie niebo nad przylądkiem Canaveral i dalekie wieże wyrzutni rakietowych. Miała dziwne przeczucie, że może już nigdy nie wrócić. Że już nigdy nie postawi nogi na Ziemi. Odetchnęła głęboko, nawet pośród zapachu oleju czuła słony zapach oceanu.

Wtedy niespiesznie weszła z platformy do środka kabiny. Myra przytuliła ją, witając na pokładzie windy.

Wnętrze kabiny, chociaż puste, było przeznaczone do wykorzystania przez ewentualnych pasażerów. Na wysokości pasa zamontowano poręcz, a w ścianach tkwiły małe składane siedzenia. Widok przez przezroczysty kadłub przesłaniały owe duże składane skrzydła z ogniwami słonecznymi.

Aleksiej miał ręce pełne roboty. Rozłożył elastyczny ekran, postukał weń i drzwi zamknęły się.

— Gotowe. — Wziął głęboki oddech. — Powietrze z puszki — powiedział. — Nie ma nic lepszego. — Wydawało się, że kiedy znalazł się wewnątrz kabiny, odetchnął z ulgą.

Bisesa zapytała:

— Jesteś Kosmitą?

— Niezupełnie. Urodziłem się na Ziemi, ale większą część życia spędziłem poza planetą. Myślę, że przywykłem do środowiska, które można kontrolować. Tam, na zewnątrz, jest trochę… głośno. — Sięgnął i odlepił od twarzy tatuaż.

Bisesa dotknęła policzka i stwierdziła, że jej własny tatuaż odchodzi jak kawałek wosku. Wsunęła go do kieszeni kombinezonu.

Aleksiej poradził im, żeby usiadły. Bisesa wyciągnęła siedzenie i znalazła wąski plastikowy pas, który zapięła wokół talii. Myra z wyrazem niepokoju na twarzy poszła za jej przykładem.

Wagoniki znajdujące się przed nimi odpływały, odsłaniając taśmę, srebrzystą pionową linię, prostą jak drut.

Aleksiej powiedział:

— Teraz nasz pająk przyczepi się do taśmy za pomocą tego układu wałków nad naszymi głowami. OK? Jak tylko złapie przyczepność, ruszy do góry. Poczujecie przyspieszenie.

— Jak duże? — spytała Bisesa.

— Tylko pół g czy coś koło tego. I tylko przez dziesięć sekund. Potem, kiedy osiągniemy maksymalną szybkość, będziemy się poruszać płynnie.

— A jaka jest ta maksymalna szybkość?

— Och, około stu na godzinę. W rzeczywistości taśma jest przystosowana do dwa razy większej szybkości. Na wypadek gdybyśmy tego potrzebowali, wyłączyłem inhibitor szybkości.

— Miejmy nadzieję, że to nie będzie konieczne — sucho powiedziała Bisesa.

Myra wyciągnęła rękę i wsunęła dłoń w dłoń matki.

— Pamiętasz, jak pojechałyśmy, żeby obejrzeć otwarcie australijskiej stacji windy? To było zaraz po burzy słonecznej. Miałam wtedy chyba osiemnaście lat. To tam ponownie spotkałam Eugene'a. Teraz takie windy są na całym świecie.

— To dopiero był dzień! Tak jak i dzisiejszy.

Myra ścisnęła jej dłoń.

— Cieszysz się, że cię obudziłam?

— Na razie wstrzymam się z opinią. — Ale uśmiechnęła się. Któż mógłby się temu oprzeć?

Aleksiej niepewnie obserwował tę scenę.

Toczyli się w stronę taśmy. Nad głowami z hukiem rozwinął się mechanizm blokowy. Taśma była naprawdę wąska, miała nie więcej niż cztery lub pięć centymetrów szerokości. Wydawało się niemożliwe, że jest w stanie utrzymać ciężar tego wagonika, a tym bardziej setek — tysięcy? — pozostałych. Ale pająk bez wahania toczył się naprzód.

Układ wałków przechylił się, zamknął wokół taśmy i pająk gwałtownie pomknął w niebo.

11. Taśma

W tym momencie pozostawili chmarę pająków za sobą i po chwili znaleźli się w pełnym blasku światła słonecznego. Spojrzawszy w górę, Bisesa zobaczyła, że taśma ginie w bezchmurnym niebie, a jasne perełki innych pająków poruszają się przed nią, podążając w nieznane.

Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, jak świat się od niej oddala, a przed jej oczyma otwiera się wspaniały widok na przylądek. Zasłoniła oczy przed blaskiem słońca. Widać było wieże wyrzutni rakietowych i schrony, oraz prostoliniowe drogi, którymi przejeżdżały całe pokolenia astronautów. Na pasie startowym stał jakiś samolot kosmiczny, wyglądał jak czarno-biała ćma. A nieco dalej, obok pokrytej rdzą wyrzutni, wznosiła się wysoka biała igła. To musiał być *Saturn 5,* potomek *Apolla 10,* prekursora trwających od stu lat wypraw na Księżyc. Ale teraz była już wyżej niż dziób *Saturna,* wyżej niż astronauci, którzy wspinali się do statków księżycowych.

Wznoszenie się przebiegało szybko i trwało nieprzerwanie. Wkrótce widziała przed sobą całe kilometry plaży. Przylądek Canaveral to była teraz głównie woda i wąski pasek ziemi na srebrzystym bezkresie ciągnącego się na wschód oceanu. Widziała samochody zaparkowane na drogach i koło plaży, na których powiewały maleńkie amerykańskie flagi.

— Ludzie wciąż tu przyjeżdżają, żeby popatrzeć — powiedział Aleksiej, szczerząc zęby w uśmiechu. — Mówią, że kiedy *Saturny* startują, jest tu niezłe widowisko. Ale Drabina jest na swój sposób bardziej imponująca…

Poczuli szarpnięcie.

— Przepraszam — powiedział Aleksiej. — To koniec przyspieszania. — Postukał w ekran i ukazał się prosty obraz, na którym były wyświetlane wysokość, szybkość, ciśnienie powietrza i czas. — Wysokość trzysta metrów, szybkość maksymalna, i od tej chwili aż do końca ruch będzie się odbywał płynnie.

Ziemia oddalała się coraz bardziej i owo historyczne miejsce, Przylądek Canaveral już po chwili był tylko miejscem na mapie.

Po minucie podróży, na wysokości czterech kilometrów, świat zaczął się zakrzywiać, a wschodni horyzont nabrał kształtu ogromnego łuku. Wielkie skrzydła z ogniwami słonecznymi złożyły się z trzaskiem.

— Nie chwytam — powiedziała Bisesa. — One służą do zasilania? Ogniwa słoneczne są chyba pod spodem.

— Na tym to polega — powiedział Aleksiej. — Pająk jest zasilany przez znajdujące się na ziemi lasery.

— Widziałaś je, mamo — powiedziała Myra.

— Zostawiacie urządzenia zasilające na ziemi. OK. Więc jak długo potrwa ta podróż?

— Poza orbitę geostacjonarną? Aż do punktu spadku? Około dwunastu dni — powiedział Aleksiej.

— Dwanaście dni w tym pudle? — Bisesie nie podobało się to określenie: *punkt spadku.*

— To naprawdę wielka konstrukcja, mamo — powiedziała Myra, ale najwyraźniej sama była nowicjuszką i nie wydawała się przekonana.

Jeszcze kilka minut i osiągnęli wysokość ośmiu kilometrów, wyżej niż lata większość samolotów. Wtedy usłyszeli huk i poczuli delikatne drgania. Mechanizm blokowy nad ich głowami zmienił ustawienie, włączając inny układ wałków.

I wtedy, nagle, sama taśma uległa zmianie z wąskiego paska o szerokości dłoni na arkusz o szerokości rozłożonej gazety. Była silnie zakrzywiona. Pająk przywarł teraz do zewnętrznego brzegu taśmy.

Aleksiej powiedział:

— To standardowa szerokość taśmy, taka jest przez większą część drogi na orbitę. W dolnych warstwach atmosfery taśma jest węższa ze względu na zagrożenia w dolnej części trasy. Oczywiście obecnie większość złej pogody można utrzymać w bezpiecznej odległości. W rzeczywistości największe zagrożenie dla taśmy istnieje wtedy, gdy wystrzeliwują *Saturna;* cała powierzchnia Ziemi drży i wierzcie mi, to powoduje wiele skarg.

Dziesięć kilometrów, dwanaście, piętnaście, odległość z każdą chwilą rosła. Krzywizna Ziemi była coraz bardziej widoczna, a niebo nad głową Bisesy przybierało coraz ciemniejszą barwę. Zdała sobie sprawę, że już znajduje się w górnych warstwach atmosfery.

Kolejne gwałtowne przejście nastąpiło, gdy taśma stała się złota.

— To powłoka chroniąca przed korozyjnym działaniem obecnego na dużych wysokościach atomowego tlenu — powiedział Aleksiej.

Wznosili się nieustannie.

— No to rozgośćmy się. — Aleksiej kazał walizce otworzyć się. — Ciśnienie spadnie do jednej trzeciej ciśnienia atmosferycznego, ale będzie bogate w tlen. Tutaj mam maski tlenowe. — Pokazał im maski i zestaw butelek. — Będzie zimno. Kombinezony powinny zapewnić wam ciepło. Mam także ogrzewane koce. — Pogrzebał w walizce. — Spędzimy tu trochę czasu. Są składane łóżka polowe i krzesła. I nadmuchiwany namiot, na wypadek gdybyście nie chciały spać, że tak powiem, pod gołym niebem. Mam podgrzewacze do jedzenia i picia. Obawiam się, że będziemy musieli ponownie wprowadzać do obiegu wodę, ale dysponuję dobrym urządzeniem oczyszczającym.

— I żadnych skafandrów kosmicznych? — powiedziała Bisesa.

— Jeśli wszystko dobrze pójdzie, nie będziemy ich potrzebowali.

— A jeśli nie?

Popatrzył na nią, jak gdyby oceniając jej odwagę.

— Poważnym problemem byłoby, gdybyśmy utknęli na kablu. Jest cała masa mechanizmów odpornych na uszkodzenia, które zapewniają przetrwanie do czasu przybycia pomocy w kolejnym pająku. Nawet gdyby w kabinie miało spaść ciśnienie, mamy kapsuły ratunkowe. Jaja chomika. Niezbyt wygodne, ale praktyczne.

Jaja chomika! Bisesa miała głęboką nadzieję, że do tego nie dojdzie.

— A w najgorszym wypadku?

— Zostaniemy całkowicie odczepieni od taśmy. Musisz zrozumieć, że pewien punkt na trasie windy kosmicznej leży na orbicie geostacjonarnej, co oznacza, że wykonuje pełny obrót wokół Ziemi dokładnie w dwadzieścia cztery godziny. Ściśle mówiąc, tylko na tej wysokości pająk znajduje się na orbicie. Poniżej poruszalibyśmy się zbyt wolno, a powyżej zbyt szybko.

— Więc gdyby pająk się odczepił…

— Znajdując się poniżej orbity geostacjonarnej, spadlibyśmy na Ziemię. — Stuknął w przezroczysty kadłub. — Może na to nie wygląda, ale jest tak skonstruowany, że przetrwa wejście w atmosferę.

— A powyżej tej orbity? Odlecimy od Ziemi, tak?

Mrugnął.

— Istotnie. Ale nie przejmuj się tym. — Wyciągnął butelkę. — Ktoś chce kawy?

Myra chrząknęła.

— Może najpierw powinniśmy ustawić twoją wymyślną toaletę.

— Dobra myśl.

Podczas gdy majstrowali przy toalecie, Bisesa wyglądała przez okno.

Wznosząc się w zupełnej ciszy, wkrótce znalazła się na wysokości stu kilometrów, wyżej, niż latały stare samoloty rakietowe *X-15*. Niebo nad nią było już prawie czarne, a w zenicie, do którego biegła taśma, lśniąc złociście w promieniach Słońca, migotała gwiazda. Patrząc w tym kierunku, nie widziała śladów jakiejkolwiek konstrukcji powyżej, żadnego śladu przeciwwagi, która, jak wiedziała, musi się znajdować na końcu taśmy, nic poza świecącymi punkcikami innych pająków pełznących po owej nici do nieba. Podejrzewała, że wciąż jeszcze nie zdołała ogarnąć całej skali windy kosmicznej.

* * *

Po upływie półtorej godziny szybkie tempo wydarzeń pierwszych chwil wznoszenia się wyraźnie spadło. Znajdując się na wysokości trzystu kilometrów, widziała już tarczę całej Ziemi, a taśma biegła w stronę widocznych daleko w dole znanych kształtów obu Ameryk. Zdała sobie sprawę, że chociaż podczas tej niezwykłej podróży wzwyż gwiazdy wirowały wokół niej, Ziemia tkwiła nieruchomo. Wrażenie było takie, jak gdyby została przeniesiona do średniowiecznego wszechświata, kosmosu Dantego, w którym wokół nieruchomej Ziemi wirują gwiazdy.

Stojąc czuła się dziwnie lekko. Jeden z ekranów Aleksieja pokazywał słabnącą siłę przyciągania ziemskiego, w miarę jak oddalali się od olbrzymiej masy planety. Do tej pory spadła o kilka procent w porównaniu z wartością na poziomie morza.

Bezgłośne wznoszenie się, oddalająca się Ziemia, świetlna smuga oznaczająca przebieg taśmy, delikatne zmniejszenie ciężaru ciała, było to przeżycie zaiste magiczne, a zarazem wyjątkowo niepokojące, jak podróż do nieba.

Dwie godziny po „starcie” wygląd taśmy znów uległ zmianie. Teraz była zakrzywiona i miała szerokość dwa razy większą niż poprzednio, ale nadal tylko około dwóch metrów.

Bisesa zapytała:

— Dlaczego jest teraz szersza?

— Odłamki kosmiczne — powiedział Aleksiej. — To znaczy szczątki starych statków kosmicznych. Grudki zamarzniętego moczu astronautów. Tego rodzaju śmiecie. Od pięciuset do tysiąca siedmiuset kilometrów to wysokość największego ryzyka. Więc trochę większa szerokość powinna wystarczyć w wypadku uderzenia każdego obcego ciała.

— A jeśli zostaniemy uderzeni…

— Wszystko, co jest na tyle duże, że może przeciąć taśmę, jest śledzone i po prostu przesuwamy cały ten kram, wykorzystując w tym celu znajdujący się na ziemi pojazd gąsienicowy. A mniejsze ciała po prostu przebijają taśmę, ale ponieważ jest „inteligentna”, sama się naprawia. Jedynym problemem jest sytuacja, gdy zostaniemy uderzeni przez coś małego, co nadleci z boku i uderzy w powierzchnię taśmy.

— I dlatego taśma jest zakrzywiona — odgadła Bisesa.

— Tak. Więc nie może zostać przecięta. Nie warto się tym przejmować.

Myra, spoglądając w górę, powiedziała:

— Chyba widzę jeszcze jednego pająka. Po drugiej stronie taśmy. Myślę… o kurczę!

Drugi pająk nadleciał z piskiem, mijając ich zaledwie o pół metra. Wszyscy się wzdrygnęli. Bisesa uświadomiła sobie, że poruszają się naprawdę z dużą szybkością.

— Budowacz — powiedział Aleksiej trochę zbyt szybko, aby uwierzyć w jego wystudiowany spokój. — Poruszając się w dół, przędzie dodatkowe kilka centymetrów na krawędzi.

Bisesa zapytała:

— Z jakiego materiału wykonana jest taśma?

— To fullereny. Węglowe nanorurki. Małe cylindry złożone z atomów węgla, utkanych w nić. Niezwykle wytrzymałe. Cała taśma jest naprężona, obrót Ziemi stara się odrzucić przeciwwagę. Żadna konwencjonalna substancja nie byłaby wystarczająco wytrzymała. Więc pająki poruszają się w górę i w dół, tkając dodatkowe paski tego materiału i łącząc je ze sobą taśmą podgumowaną.

Mechaniczne pająki nieustannie tkające sieć na niebie. Zapanowała cisza. Dopiero Bisesa przerwała milczenie.

— No, jesteśmy z dala od Ziemi. Teraz możecie mi powiedzieć, co się dzieje. Dlaczego tutaj jestem, Myro?

Tamci zawahali się. W końcu Myra powiedziała:

— Mamo, to niełatwe. Po pierwsze, podsłuchuje cały świat.

— Kadłub jest „inteligentny". — Aleksiej zakręcił palcem. — Totalna inwigilacja.

— Och.

— A po drugie — powiedziała Myra — ty już wiesz.

Aleksiej powiedział:

— Wierz mi, będziemy mieli mnóstwo czasu na rozmowy. Nawet kiedy dotrzemy do punktu spadku, to będzie dopiero początek podróży.

— Dokąd? Nie, nie odpowiadaj. Myra powiedziała:

— Myślę, że będziesz zaskoczona odpowiedzią, mamo.

Bisesa powitałaby z radością szansę porozmawiania z Myrą nie na temat nadzwyczajnych środków bezpieczeństwa czy losów układu słonecznego, ale po prostu o sobie. Od kiedy Bisesa opuściła zbiornik, Myra prawie w ogóle nie opowiadała jej o swoim życiu. I wydawało się, że to nie nastąpi. Robiła wrażenie dziwnie skrępowanej. A teraz obecność Aleksieja, który dzielił wraz z nimi tę małą kapsułę, jeszcze bardziej ją krępowała.

Bisesa poczuła się zmęczona, twarz i dłonie miała zimne, żołądek rozgrzany kawą, a umysł otępiały wskutek nieustannego wznoszenia się. Włożyła czapkę i rękawice, które znalazła w kieszeniach kombinezonu. Ułożyła na podłodze koce wyjęte z walizki, położyła się i przykryła jednym z nich. Nie towarzyszył jej żaden dźwięk, nie odczuwała ruchu; mogła spoczywać nieruchomo, zawieszona gdzieś nad powoli oddalającą się Ziemią. Wpatrywała się w taśmę, sięgając wzrokiem tak daleko, jak zdołała.

Kolejne przejście nastąpiło, gdy barwa taśmy ze złotej zmieniła się z powrotem na srebrną. A jeszcze później jej szerokość zmniejszyła się.

Na wysokości tysiąca siedmiuset kilometrów nad powierzchnią Ziemi, po ośmiu godzinach od chwili opuszczenia planety, znajdowali się wyżej, niż kiedykolwiek latały satelity zbudowane ręką człowieka.

Bisesa niejasno, gdzieś na granicy świadomości, zdawała sobie sprawę z tego wszystkiego. Ale przeważnie drzemała.

* * *

Obudziło ją szarpnięcie, krótkie, gwałtowne przyspieszenie, które przycisnęło ją do koca.

Usiadła. Aleksiej i Myra siedzieli na składanych siedzeniach. Myra wybałuszyła oczy, ale Aleksiej wydawał się spokojny. Ekran na ścianie kabiny błyskał na czerwono.

Byli trzynaście godzin w podróży i znajdowali się na wysokości dwóch tysięcy sześciuset kilometrów. Kiedy Bisesa poruszyła się, miała wrażenie, jakby za chwilę miała się unieść w powietrze. Siła ciążenia spadła do połowy wartości na poziomie morza. Ziemia wydawała się niewielka, jak piłka zwisająca na srebrzystej linie.

Obok mignęły inne pająki wyprzedzone przez ich własnego.

— Przyspieszyliśmy, prawda? Co się stało?

— Jesteśmy ścigani — powiedział Aleksiej. — Można było się tego spodziewać. To oznacza, że wiedzą, że jesteśmy tutaj.

— Jesteśmy ścigani? — Bisesa miała nieprzyjemną wizję pocisku wystrzelonego ze zrujnowanej wyrzutni rakietowej. Ale to nie miało sensu. — Nie ryzykowaliby uszkodzenia taśmy.

— Masz rację — powiedział Aleksiej. — Taśma jest o wiele cenniejsza od nas. Podobnie nie będą chcieli zakłócić ruchu pająków. Mogliby to uczynić i zablokować nas. Ale tą drogą transportowany jest ładunek wart miliardy.

— Więc co?

— Mają superpająki, które mogą rozwijać większą szybkość. Zabrałoby im to kilka dni, ale taki superpająk by nas dogonił.

Myra zastanowiła się.

— Jak może minąć inne, znajdujące się na drodze pająki?

— Tak samo jak my. Inne po prostu muszą się usunąć. Nasza szybkość, dwa razy większa od nominalnej, dorównuje szybkości superpająka. Nie może nas dogonić. Jak tylko obsługa naziemna zda sobie z tego sprawę, zaprzestaną pogoni.

— Dwa razy większa od nominalnej. Czy to bezpieczne?

— Te systemy mają wbudowany odpowiedni margines bezpieczeństwa. — Ale nie sprawiał wrażenia szczególnie pewnego

siebie.

Minęło zaledwie kilka minut, gdy ekran wygenerował sygnał dźwiękowy i zaświecił się na zielono. Aleksiej uśmiechnął się.

— Załapali. Możemy zwolnić. Chwyćcie się czegoś.

Bisesa zaparła się o poręcz.

Zwalniali przez denerwujące kilka sekund. Koce uniosły się z podłogi, a toaleta chemiczna zawarczała, gdy włączyły się pompy ssące, powstrzymując wyciek zawartości na zewnątrz. Myra sprawiała wrażenie, że ma mdłości, a Bisesie żołądek podszedł do gardła. Wszyscy poczuli ulgę, gdy powróciła normalna siła ciężkości.

Ale ekran znów zabłysnął na czerwono.

— Oho — powiedział Aleksiej.

Bisesa zapytała:

— Co tym razem?

Spojrzał na ekran.

— Nie wznosimy się tak, jak powinniśmy.

— Jakaś usterka pająka?

— Nie o to chodzi. Wciągają taśmę.

— *Wciągają taśmę?* — Nagle wyobraźnia podsunęła Bisesie obraz pająka, który jest jak ryba na końcu linki jakiegoś monstrualnego wędkarza.

— To raczej drastyczne rozwiązanie, ale można je zastosować. Taśma to dość delikatna rzecz.

— Więc co zrobimy?

— Możecie zamknąć oczy. I znowu się czegoś chwycić. — Postukał w ekran i Bisesa odniosła wrażenie, że coś oddzieliło się od kadłuba.

Zacisnęła oczy.

Nastąpił błysk, który dotarł do niej przez zamknięte powieki, a kabina lekko się zakołysała.

— Bomba — powiedziała Bisesa. Czuła się niemal rozczarowana. — Jakie to prymitywne. Spodziewałam się po tobie czegoś lepszego, Aleksiej.

— To był tylko strzał ostrzegawczy, mikroimpuls termojądrowy. Nie wyrządził żadnych szkód. Ale był *doskonale* widoczny z Ziemi.

— Sygnalizujesz zamiar wysadzenia taśmy, jeśli nas nie zostawią w spokoju.

— To nie byłoby trudne. Jest dosyć trudno chronić sto tysięcy kilometrów cienkiej jak papier taśmy przed zamierzonym sabotażem…

Bisesa zapytała:

— A ludziom nic by się nie stało?

— To miałoby inny skutek, mamo — powiedziała Myra. — Kilka lat temu terroryści zaatakowali Modimo.

— Modimo?

Aleksiej powiedział:

— Windę Sojuszu Afrykańskiego. Chyba nazwano ją tak na cześć boga nieba z Zimbabwe. Nikomu nic się nie stało. Moja groźba ma charakter ekonomiczny. — Ale spojrzał niepewnie na ekran.

Bisesa powiedziała ostro:

— A gdyby cię zmusili do pokazania kart? Poszedłbyś na to?

— Naprawdę myślę, że nie. Ale *oni* nie mogą sobie pozwolić na podjęcie takiego ryzyka, nieprawdaż?

Bisesa powiedziała:

— Mogliby nas po prostu zabić. Wyłączyć zasilanie. Dopływ powietrza. Bylibyśmy bezradni.

— Mogliby. Ale tego nie zrobią — powiedział Aleksiej. — Chcą wiedzieć, co wiemy. I dokąd się udajemy. Więc będą cierpliwi, mając nadzieję, że nas złapią później.

— Mam nadzieję, że masz rację.

Jakby w odpowiedzi ekran znów pozieleniał. Aleksiej uśmiechnął się szeroko.

— I to by było tyle. OK, kto ma ochotę na fasolkę?

12. Mount Weather

Bella spodziewała się, że odprawa Boba Paxtona odbędzie się w jej siedzibie, w starym budynku centrali NASA w Waszyngtonie, w bloku z betonu i stali, wyremontowanego i odnowionego po burzy słonecznej.

Ale Paxton spotkał ją przed budynkiem. Stał przy otwartych drzwiach limuzyny.

— Bella. — Samochód należał do konwoju, razem z umundurowanymi oficerami floty i agentami FBI w niebieskich garniturach.

Pomyślała, że ten stary, wyprężony sztywno mężczyzna w swym ukochanym mundurze wygląda komicznie, stojąc jak boy hotelowy. Krzywił się w blasku porannego światła. Jak się dowiedziała, był człowiekiem, który nie ufał Słońcu, nawet bardziej niż większość jego poobijanego pokolenia.

— Dzień dobry, Bob. Wybieramy się na przejażdżkę?

Uśmiechnął się powściągliwie.

— Powinniśmy się przenieść w bezpieczniejsze miejsce. Mamy omawiać kwestie dotyczące całego świata, o zasadniczym znaczeniu dla przyszłości gatunku. Proponuję, abyśmy się zebrali w Mount Weather. Pozwoliłem sobie poczynić pewne przygotowania. Ale wezwanie wyszło od ciebie. — Przyjrzał się jej uważnie i napięcie, jakie odczuwała od chwili objęcia stanowiska, powróciło.

Nigdy nie słyszała o Mount Weather. Ale uważała, że nie stanie się nic złego, jeśli skorzysta z jego propozycji. Wsiadła do samochodu, a on za nią. Byli tylko we dwoje.

Ruszyli. Konwój pojechał trasą 66 do autostrady 50, kierując się na zachód. Panował duży ruch, ale jechali bardzo szybko.

— Jak daleko jedziemy?

— Będziemy na miejscu za pół godziny. — Paxton patrzył na nią spode łba, wyraźnie rozdrażniony.

— Wiem, co cię gryzie, Bob. Profesor Carel, nieprawdaż?

Mięśnie na jego policzkach napięły się, jakby chciał żuć gumę.

— Nic nie wiem o tym starym Angliku.

— Nie wątpię, że go prześwietliłeś.

— I to możliwie najdokładniej. Nie powinien mieć z nami nic wspólnego. Nie jest częścią zespołu.

— Przybywa na moje zaproszenie — powiedziała stanowczo. W istocie ten starszy angielski naukowiec w pewnym sensie był dla niej częścią zespołu, ważniejszego i starszego niż ten, który łączył ją z Paxtonem.

Profesor Bill Carel był w swoim czasie słuchaczem studiów

magisterskich razem ze Siobhan McGorran, brytyjską astronomką, która brała udział w wielkim przedsięwzięciu budowy tarczy, mającej osłonić Ziemię przed burzą słoneczną, i która potem poślubiła Buda Tooke'a, i pielęgnowała go podczas rozwijającego się w jego ciele raka, ponurej spuściźnie po tamtym zdumiewającym dniu. Ta osobista więź stanowiła w istocie kanał, za pośrednictwem którego Carel się z nią skontaktował i postarał się ją przekonać, że może przyczynić się do wyjaśnienia obecności owego obiektu w układzie słonecznym, o którym się dowiedział z rozmaitych plotek i przecieków.

Próbowała dać temu wyraz w rozmowie z Paxtonem, ale ten zbył ją machnięciem ręki.

— Na miłość boską, on jest kosmologiem! Spędził całe życie, wpatrując się w głąb kosmosu. Jaki będziemy mieli z niego pożytek?

— Nie powinniśmy mieć uprzedzeń, Bob — powiedziała stanowczo.

Zamilkł i już się nie odezwał do końca podróży. Bella wychowała dziecko i przywykła do dąsów, więc po prostu nie zwracała na niego uwagi.

* * *

Po osiemdziesięciu kilometrach skręcili na trasę 101, wąską, dwupasmową, wiejską drogę, wznoszącą się na grzbiet góry. Na szczycie dotarli do ogrodzenia z drutu kolczastego. Wyblakły napis głosił:

WŁASNOŚĆ USA
WSTĘP WZBRONIONY

Za ogrodzeniem Bella dostrzegła kilka zniszczonych aluminiowych baraków, a za nimi szklany mur.

Musieli czekać, aż ich samochody znalazły się w zasięgu systemów zabezpieczających bazy. Bella zauważyła plamkę światła lasera, który ją badał.

— To Mount Weather? — zapytała Paxtona.

— Tak. Nieruchomość o powierzchni pięciuset akrów. W latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku zbudowano tutaj bunkier, który miał stanowić schronienie urzędników państwowych z DC w razie ataku jądrowego. Potem stał pusty, ale został ponownie wykorzystany po 11 września 2001 roku i jeszcze raz po roku 2042. A

teraz został przez rząd USA wypożyczony dla potrzeb Światowej Rady Przestrzeni Kosmicznej.

Bella powstrzymała grymas.

— Bunkier z okresu zimnej wojny, wojny z terroryzmem, a teraz wojny z niebiosami. Przypuszczam, że to do siebie pasuje.

— Załogę stanowią głównie oficerowie floty. Przywykli do zamknięcia i puszkowanego powietrza. Powiedziano mi, że Mount Weather to dobre miejsce. Utrzymują drogi w należytym stanie, a zimą są tu do dyspozycji pługi śnieżne. Nie żeby teraz było tu dużo śniegu…

Spodziewała się, że konwój podjedzie do bramy w tym świecącym murze nie do pokonania. Doznała wstrząsu, gdy z chrzęstem leżących wokół liści wielki kawał ziemi pod samochodem opadł w dół, w ciemność.

Bob Paxton roześmiał się.

— Czuję się, jakbym wracał do domu.

* * *

Kiedy uśmiechnięci młodzi oficerowie poddawali kontroli przybyłych, a potem eskortowali ich do sali konferencyjnej, Bella zdążyła się trochę przyjrzeć Mount Weather.

Stropy były niskie wyłożone brudnymi płytkami, a korytarze wąskie. Ale te mało pociągające korytarze otaczały małe staroświeckie miasto. Były tam studia radiowe i telewizyjne, kantyny, maleńki posterunek policji, a nawet mały rząd sklepów; wszystko przenikał szum urządzeń klimatyzacyjnych. Pomyślała, że to jest zupełnie jak muzeum, relikt sposobu myślenia powszechnego w połowie dwudziestego wieku.

Przynajmniej sala konferencyjna była nowoczesna, duża, jasna i wyposażona w ścienne ekrany i ekrany zainstalowane na stołach.

A Bill Carel już na nią czekał. W pomieszczeniu pełnym rozgadanych ludzi, głównie mężczyzn w wieku Paxtona, odzianych w mundury rozmaitego rodzaju, Carel w swojej sfatygowanej starej marynarce stał samotnie obok ekspresu do kawy.

Bella zignorowała kumpli Paxtona i podeszła prosto do Carela.

— Dzień dobry, profesorze. Miło, że pan się zjawił. — Uścisnęła mu dłoń, była szczupła, koścista.

Wiedziała z akt, że jest nieco młodszy od niej. Miał pięćdziesiąt parę lat, ale sprawiał wrażenie słabowitego, był wychudły, twarz miał usianą plamami wątrobowymi, a z jego postawy biło zakłopotanie.

Burza słoneczna uśmierciła wielu ludzi, być może borykał się z jakąś chorobą. Ale oczy w jego wymizerowanej twarzy błyszczały nad podziw jasno.

Powiedział:

— Mam nadzieję, że mój wkład do dyskusji okaże się wartościowy i użyteczny.

— Nie jest pan pewien? — Poczuła się dziwnie rozczarowana jego brakiem pewności siebie. Jakaś niegodna część jej istoty cieszyła się, że wykorzysta go, by utrzeć Paxtonowi nosa.

— Skąd można mieć pewność? Cała sytuacja jest zupełnie bezprecedensowa. Ale koledzy nakłonili mnie do skontaktowania się z panią, do skontaktowania się z *kimkolwiek*.

Skinęła głową.

— Jakkolwiek to się potoczy, będę wdzięczna za pomoc. — Trzymając w dłoniach kawę, Bella poprowadziła Carela do krzesła. — Dopilnuję, żeby dopuszczono pana do głosu — szepnęła. — A później musimy porozmawiać o Tooke'ach.

Następnie szybko obeszła pokój, witając się ze wszystkimi. Oprócz członków Komitetu Patriotów byli tam przedstawiciele rozmaitych międzynarodowych sił zbrojnych i rządów popierających Światową Radę Przestrzeni Kosmicznej.

Jeśli chodzi o jakość tych delegatów, pierwsze wrażenie nie było korzystne. Rada od wielu dziesięcioleci zajmowała się wyłącznie działaniami o charakterze „przygotowawczym" i „doradczym"; od czasu burzy słonecznej wojna z niebiosami miała charakter zimnej wojny. Praca na rzecz Rady nie była cenionym zadaniem dla doradcy ds. wyboru zawodu. Może to pomieszczenie było pełne takich Bobów Paxtonów, fanatyków o stalowym spojrzeniu, albo też ludzi bez perspektyw.

Ale powiedziała sobie, że nie powinna się śpieszyć z oceną, w końcu gdyby rzeczywiście istniało nowe niebezpieczeństwo zbliżające się do Ziemi, ci mężczyźni i kobiety stanowiliby główną siłę, która pomogłaby się z nim uporać.

Stojąc u szczytu stołu, Bob Paxton, samozwańczy przewodniczący zebrania, uderzył palcem w szklankę, by przywołać zebranych do porządku. Reszta, być może zafascynowana świadomością, że oto jest wśród nich pierwszy człowiek, jaki postawił stopę na Marsie, natychmiast się podporządkowała.

Paxton powiedział, że cel tego zebrania jest dwojaki.

— Po pierwsze, ma przedstawić pani przewodniczącej Fingal przegląd środków, jakie ma do dyspozycji. Po wtóre, skupić się specjalnie na anomalii, która obecnie zbliża się do orbity Jowisza…

— I właśnie w tej sprawie — wtrąciła Bella — poproszę profesora Carela o zabranie głosu.

Paxton niechętnie wyraził zgodę.
Zaczęto dyskutować o sposobach obrony układu słonecznego.

13. Forteca Sol

Prezentacja Paxtona stanowiła istny karnawał kółek, wykresów i obrazów, przy czym niektóre z nich były trójwymiarowe i animowane; nad stołem unosiły się hologramy niczym reklamy fantastycznych zabawek. Ale tematyka tej prezentacji była ponura.

— Od dnia burzy słonecznej przeznaczaliśmy znaczne środki na Ziemi i poza jej granicami na obserwację nieba…

Bella odniosła wrażenie, że Ziemia jest pokryta siecią elektronicznych oczu obserwujących niebo na wszystkich długościach fali. Były tam urządzenia NASA, takie jak stary łańcuch układów śledzących w Hiszpanii, Australii i na pustyni Mojave o nazwie Sieć Głębokiego Kosmosu, urządzenie śledzące bliskie asteroidy w Nowym Meksyku o nazwie LINEAR i inne systemy strażnicze. Podobnie olbrzymi radioteleskop w Arecibo poświęcał teraz znaczną część czasu nie na obserwacje astronomiczne, lecz na poszukiwania sztucznych sygnałów z gwiazd.

Astronomia obserwacyjna nagle została zasilona pieniędzmi, dzięki którym mogła urzeczywistnić poprzednio nieosiągalne marzenia. Bella patrzyła na obrazy Wielkiego Teleskopu w Chile, Bardzo Wielkiego Teleskopu w Maroko i Gigantycznego Teleskopu, zwanego Sową, usytuowanego w miejscu o nazwie Kopuła C w Antarktyce, gdzie ilość stali wystarczająca do zbudowania drugiej wieży Eiffla podtrzymywała gigantyczne zwierciadło o średnicy stu metrów. Sowa fotografowała narodziny pierwszych gwiazd we wszechświecie i co ważniejsze, sporządzała mapy powierzchni planet krążących wokół pobliskich gwiazd.

Urządzenia pracujące poza granicami Ziemi były niemniej imponujące. Najbardziej udanym spośród nowych obserwatoriów umieszczonych w przestrzeni kosmicznej była usytuowana w punkcie Lagrange'a stacja Cyklopa, która krążyła wokół Ziemi. Zainstalowano tam teleskop wyposażony w pojedynczą, bardzo dużą soczewkę Fresnela, czyli soczewkę dyfrakcyjną, nie zaś zwierciadło.

Jeśli chodzi o to, czego szukały te wszystkie zautomatyzowane oczy, wyniki stuletnich badań starych entuzjastów SET1 zostały po prostu rozgrabione. Opracowywano strategie, dzięki którym można będzie wykrywać sygnały wszelkiego rodzaju aż do bardzo krótkich impulsów — błysków laserowych trwających nie dłużej niż jedna miliardowa sekundy.

Paxton mówił także o mniejszych oczach, całej ich flotylli, rozproszonej w układzie słonecznym i sięgającej aż do orbity Neptuna. Pokazał trójwymiarowy obraz *Monitora Głębokiego Kosmosu X7-6102-016,* który wysłano na orbitę wokół Saturna.

— To są nasi automatyczni strażnicy, nasza pikieta — grzmiał Paxton. — *MGKX7-6102-016* był typowym, najnowocześniejszym urządzeniem naukowym, solidnym i zaopatrzonym w osłonę. Takie urządzenia patrolują niebo aż do samego skraju naszego układu. A także obserwują się wzajemnie.

— To prawda — niepewnie wtrącił profesor Carel. — W rzeczywistości to zaobserwowane przez inne sondy zniszczenie *X7-6102-016* zwróciło moją uwagę, nie zaś coś, co przekazała sama sonda.

Bella powiedziała:

— Więc żyjemy w skrupulatnie obserwowanym układzie słonecznym. Co tam masz jeszcze, Bill?

— Broń. — Paxton zamachał ręką i obraz *MGKX7-6102-016* zniknął.

— Nadaliśmy temu nazwę Forteca Sol — powiedział Paxton ponuro. — Tworzymy głębokie linie obrony od rubieży układu słonecznego do jego części wewnętrznej, z centrum w ojczyźnie rodzaju ludzkiego, Ziemi. Sama pani wie, że już umieściliśmy nasze zabawki nawet na asteroidach trojańskich.

Asteroidy trojańskie to duże skupisko asteroid obiegających jeden z punktów Lagrange'a Jowisza. Akurat w tej chwili córka Belli, Edna, przebywała na Stacji Trojańskiej, pracując nad nową generacją statków kosmicznych zwanych statkami A. Było to przedsięwzięcie ściśle tajne.

— Dalej mamy asteroidy. Dla celów planowania militarnego wykorzystujemy linię A, centralny pas stanowiący granicę między wewnętrzną a zewnętrzną częścią układu słonecznego. Następnie mamy stacje w punktach Lagrange'a Marsa i Ziemi…

W samym układzie Ziemia-Księżyc znajdowały się platformy obronne na Księżycu, w księżycowych punktach Lagrange'a i na orbicie Ziemi: były to satelity-zabójcy, które potrafiły zasypać intruza gradem kul lub usmażyć go za pomocą laserów emitujących promienie X, albo zwyczajnie staranować. Istniały także systemy naziemne, potężne lasery, miotacze cząstek oraz wyremontowane międzykontynentalne pociski balistyczne z okresu zimnej wojny, które wciąż były w stanie wystrzelić z Ziemi swój ładunek wybuchowy. Ogromne samoloty nieustannie patrolowały górne warstwy atmosfery ziemskiej, mając na pokładzie broń, która mogła zniszczyć nadlatujące pociski. I tak dalej. Cały obszar wewnątrz orbity Księżyca był pełen broni, od powierzchni Ziemi wzwyż, i obejmował coś, co Paxton nazywał „LEO, HEO, GEO i SUPERGEO" — czyli obiekty na orbitach niskiej, wysokiej, geostacjonarnej i poza nią.

Jawna obecność broni i wyposażenia wojskowego to był dopiero początek. Wykorzystane zostało wszystko, co można było wykorzystać

do produkcji broni. Nawet znajdujące się w przestrzeni kosmicznej systemy do kontroli pogody, takie jak soczewki i zwierciadła o kilometrowej średnicy, można było łatwo skierować w inną stronę. Każdy pług można było przekuć na miecz.

Bella truchlała, kiedy próbowała wyobrazić sobie przebieg bitwy obronnej, jeśli zostanie zastosowana któraś z tych broni. A to, że wszystkie te rodzaje broni, stworzone, aby prowadzić wojnę na niebie, można obrócić przeciw wrogom na Ziemi, jakoś nikomu nie przyszło do głowy.

Paxton powiedział:

— Oczywiście doskonale zdajemy sobie sprawę, że wymienione środki w żaden sposób nie mogły powstrzymać burzy słonecznej. Dlatego przewidzieliśmy wyjście awaryjne. Nie wiemy, czym mogą nas teraz ugodzić ci Pierworodni. Więc dla celów planowania przyjrzeliśmy się innym katastrofom o charakterze naturalnym, które dosięgły nas w przeszłości, i jak sobie z nimi poradziliśmy…

Przeszedł do kolejnego wykresu, ponurej klasyfikacji katastrof.

Istniały więc „katastrofy lokalne", które uśmierciły kilka procent ludności świata, jak na przykład wielkie erupcje wulkanów i wojny światowe dwudziestego wieku oraz „katastrofy globalne", które prowadziły do zagłady znacznej części ludzkości, takie jak uderzenie małej asteroidy, i na koniec „zdarzenia wymierania", tak niszczycielskie, że ulegała zniszczeniu poważna część wszystkich gatunków i istniała realna groźba zagłady życia na Ziemi.

— Gdyby nie tarcza — beznamiętnie powiedział Paxton — burza słoneczna zadałaby cios, który spowodowałby całkowite wytępienie wszystkich istot żywych, ponieważ powierzchnia Ziemi uległaby stopieniu aż do skalnego podłoża. Ostatecznie tarcza zredukowała to zdarzenie do poziomu katastrofy globalnej. — A burza — powiedział — zainspirowała działania, dzięki którym Ziemia stała się bardziej odporna w razie ewentualnego przyszłego ataku. Próbujemy stworzyć nową bazę przemysłową, byśmy mogli przejść do trybu regeneracji tak szybko, jak to możliwe, w wypadku któregoś z tych głównych rodzajów katastrof. Jeśli na przykład będziemy musieli zbudować następną tarczę, uczynimy to bardziej efektywnie. Oczywiście niektórzy będą utrzymywać, że jako gatunek powinniśmy czynić takie przygotowania, nawet jeśli Pierworodni by nie istnieli. Mamy pewne atuty. Infrastruktura istniejąca w przestrzeni kosmicznej może pomóc w odrodzeniu ziemskiej cywilizacji. Systemy do kontroli pogody ustabilizują zaburzony klimat, tak jak po burzy słonecznej. Stacje orbitalne naprawią zniszczone windy kosmiczne i łącza telekomunikacyjne. W przestrzeni kosmicznej będzie można umieścić urządzenia medyczne. Może nawet będzie można zaopatrywać świat z orbitujących farm lub księżycowych ośrodków rolniczych. Dzieci

Ziemi pomogą swej rannej matce. — Skrzywił się. — Jeżeli zechcą z nami współpracować ci pieprzeni Kosmici. Jednakże musimy uczynić coś więcej i przygotować się na najgorsze. — Powiedział to surowo, mierząc wzrokiem każdego ze słuchaczy po kolei. — Musimy mieć plan na wypadek eksterminacji. Oczywiście mamy teraz ludzi także poza Ziemią. Ale powiedziano mi, że nadal istnieją wątpliwości, czy kolonie pozaziemskie zdołają przetrwać, jeżeli Ziemia ulegnie całkowitej zagładzie. Dlatego mamy coś jeszcze w rezerwie.

Mówił o podziemiach na terenie Ziemi i poza nią istniał na przykład wykop w górze księżycowej o nazwie Pico, leżącej na Mare Imbrium. Wiedza całej ludzkości zapisana w postaci elektronicznej. Magazyny DNA. Zamrożone zygoty. Tajne składy, które odnajdzie ktoś, kto się na nie natknie, jeśli rodzaj ludzki ulegnie zagładzie. „Earthmail", fragment kultury ludzkości wystrzelony ku gwiazdom w przeddzień burzy kosmicznej — kolejne źródło wiedzy o nas.

— No dobrze, Bill. Myślisz, że to wystarczy?

Paxton powiedział twardo:

— Czy ktoś z was wie, czym była *space opera!* Fikcją osadzoną w przyszłości, o wojnach międzygalaktycznych i statkach kosmicznych o rozmiarach całych światów. Dzieli nas tylko sto lat od Drugiej Wojny Światowej, tylko sto pięćdziesiąt lat od chwili, gdy głównym środkiem transportu podczas działań wojennych był koń. I mimo to stajemy w obliczu groźby na miarę *space opera.* Za następne, powiedzmy, tysiąc lat, będziemy tak bardzo rozproszeni, że nic oprócz eksplozji jądra Galaktyki nie zdoła zabić nas wszystkich. Ale na razie jesteśmy wciąż narażeni na atak.

Bill Carel odważył się podnieść rękę.

— Taka logika w istocie prowadzi do wniosku, że drugi atak jest bardziej prawdopodobny teraz niż później.

— Tak — warknął Paxton.

— I mimo pańskiej pięknej prezentacji, admirale, ta strategia ma oczywiste wady. — Wszyscy wstrzymali oddech, ale Carel wydawał się na to nie zważać. — Mogę?

— Proszę kontynuować — szybko powiedziała Bella.

— Po pierwsze, szczupłość zasobów, panie admirale. Sam takt, że dysponuje pan stacją na orbicie Jowisza, nie oznacza, że będzie pan w stanie odeprzeć groźbę pochodzącą z takiej samej odległości, ale mającą swe źródło po drugiej stronie Słońca.

— Zdajemy sobie z tego sprawę…

— Ponadto wydajecie się myśleć w dwóch wymiarach, jak gdyby to była wojna lądowa dawnego typu. A jeśli atak nadejdzie spoza płaszczyzny ekliptyki, to znaczy z dala od płaszczyzny, w której leżą Słońce i planety?

— Chodziłem po Marsie — z groźbą w głosie powiedział Paxton.

— Wiem, co to jest ekliptyka. Tak się składa, że to licho przybyło, poruszając się w płaszczyźnie ekliptyki. W przyszłości rozważymy opcje uwzględniające tor leżący poza płaszczyzną ekliptyki. Ale wie pan równie dobrze jak ja, że koszt energii, żeby się tam dostać, jest ogromny. Tak, profesorze Carel, układ słoneczny to bardzo rozległe miejsce. Tak, nie możemy ochronić go całego. Ale cóż innego możemy zrobić, jak nie próbować?

Carel omal się nie roześmiał.

— Ale te plany są oparte na tak kruchych podstawach, że są praktycznie bezużyteczne…

Paxton spojrzał spode łba i Bella szybko podniosła rękę.

— Proszę, Bill.

— Przepraszam — powiedział Carel. — A poza tym jest jeszcze kwestia skuteczności tych wszystkich przygotowań wobec groźby, przed jaką stoimy…

— Doskonale. — Paxton gniewnie wykasował ekrany. — A więc porozmawiajmy o tej anomalii.

Bella zatęskniła za filiżanką kawy.

* * *

Po długiej i szczegółowej dyskusji nad Fortecą Sol prezentacja Paxtona poświęcona anomalii była krótka.

Szybko dokonał przeglądu głównych dowodów jej istnienia.

— W tej chwili ten obiekt przecina orbitę Jowisza. W rzeczywistości mamy możliwość jego przechwycenia, ponieważ przypadkiem przelatuje w pobliżu Stacji Trojańskiej, i badamy możliwość podjęcia odpowiedniej misji. A potem przeleci przez pas asteroid, minie orbitę Marsa i skieruje się ku Ziemi, w którą wydaje się dokładnie wymierzony. Ale wciąż nie mamy pojęcia, czym jest ani co może uczynić, kiedy tu dotrze.

Kiedy usiadł, nastąpiła krótka chwila milczenia.

Bill Carel popatrzył na Paxtona, po czym rozejrzał się po pokoju, jakby czekając na wystąpienie kolejnego uczestnika.

— Czy to wszystko?

— Wszystko, czym dysponujemy — powiedział Paxton.

Carel powiedział łagodnie:

— Nie sądziłem, że wie pan tak mało, admirale. Dobrze, że tutaj jestem. Mogę, panie admirale?

Bob Paxton rzucił gniewne spojrzenie Belli, ale ta dyskretnie skinęła głową, oddał więc głos Carelowi.

— W pewnym sensie — powiedział Carel — mój związek z tym „lichem” ma swe korzenie w okresie poprzedzającym burzę słoneczną, kiedy pracowałem z astronomką nazwiskiem Siobhan McGorran, korzystając z urządzenia o nazwie sonda kwintesencyjna do pomiaru anizotropii promieniowania tła…

Paxton i jego Patrioci poruszyli się i zaczęli pomrukiwać.

Sonda kwintesencyjna do pomiaru anizotropii promieniowania tła stanowiła rozwinięcie urządzenia zwanego sondą kosmiczną do pomiaru anizotropii mikrofalowego promieniowania tła, która w 2003 roku badała dalekie echa Wielkiego Wybuchu i po raz pierwszy określiła wzajemne proporcje podstawowych składników wszechświata: materii barionowej, ciemnej materii i ciemnej energii. To ciemna energia, którą niektórzy nazywali „kwintesencją”, napędzała ekspansję wszechświata. Celem tej nowej sondy był pomiar efektów kosmicznej inflacji, poprzez poszukiwanie echa pierwotnych fal dźwiękowych.

— To był naprawdę bardzo elegancki pomysł — powiedział Carel. — Pierwotny wszechświat, mały, gęsty i straszliwie gorący, był jak komora pogłosowa wypełniona falami dźwiękowymi rozchodzącymi się w burzliwym ośrodku. Ale potem nastąpiła ekspansja. — Rozłożył swe delikatne ręce. — *Bum.* Nagle pojawiła się możliwość ochłodzenia i do akcji wkroczyła bardziej interesująca fizyka. Podczas fazy ekspansji owe fale dźwiękowe uległy rozproszeniu. Ale pozostawiły po sobie ślad, układ zagęszczeń, który dał początek pierwszym galaktykom. Dzięki temu, sporządzając mapę rozmieszczenia galaktyk, mieliśmy nadzieję, że uda nam się zrekonstruować te pierwotne dźwięki. To z kolei dostarczyłoby wskazówek co do fizyki kwintesencji, ciemnej energii, która w owym czasie…

Kiedy umundurowani uczestnicy zebrania zaczęli się niecierpliwić, Bella powiedziała łagodnie:

— Może przejdź do istoty sprawy, Bill.

Uśmiechnął się do niej. Miał własny elastyczny ekran, który teraz rozłożył na stole; urządzenie szybko nawiązało kontakt z podzespołami stołu.

— Tutaj mamy profil kosmicznej ekspansji. — Była to krzywa rosnąca z ostrym maksimum, wykreślona w skali logarytmicznej. Wyjaśnił, jak otrzymano tę krzywą na podstawie analizy pradawnego światła sączącego się z głębi kosmosu, uwzględniając korelacje obserwowanych struktur przy użyciu rozmaitych skal. „Częstotliwość” występowania układów galaktyk porównano z częstotliwościami owych dawno zaginionych fal dźwiękowych.

Tym razem przerwał mu Paxton.

— Jezu Chryste, wybaw mnie z mej niedoli. Dokąd to wszystko zmierza?

Carel postukał w ekran.

— Jeden z moich studentów przypadkowo natknął się na animację zniszczenia *MGKX7-6102-016*.

— Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób to zdobył — warknął Paxton.

— Faktycznie to była ona — powiedział Carel niewzruszony. — Dziewczyna nazwiskiem Lyla Neal. Nigeryjka, niezwykle bystra. *MGK* został zniszczony w wyniku dziwnej eksplozji. Nie wyglądało to jak skutek trafienia z jakiejś broni z zewnątrz. Urządzenie jakby rozerwało się od wewnątrz. Na tej podstawie Lyla skonstruowała krzywą ekspansji *MGK,* by zobaczyć, jak wyglądały ostatnie chwile jego istnienia.

Pokazał następny wykres. Bella zobaczyła, że skala jest inna, ale wniosek był oczywisty. Krzywa ekspansji *MGK* była bardzo podobna do profilu kosmicznej ekspansji. Kiedy Carel nałożył na siebie obie krzywe, okazało się, że dokładnie się pokrywają.

Bella odchyliła się w krześle zaszokowana.

— I co to oznacza?

— Mogę jedynie spekulować na ten temat — powiedział Carel.

— Więc na miłość boską uczyń to — warknął Paxton.

— Odnoszę wrażenie, że *MGK* został zniszczony przez szczególną, zlokalizowaną porcję ciemnej energii. Został rozerwany dokładnie przez tę samą siłę, która spowodowała rozszerzanie się wszechświata, jakimś sposobem skupioną na tym małym urządzeniu. Można to nazwać bronią kosmologiczną. To dość niezwykłe. — Uśmiechnął się. — Lyla nazywa to bombą Q.

— Urocze — warknął Paxton. — Możemy ten obiekt zatrzymać, zestrzelić, odchylić jego kurs?

Carel wydawał się zaskoczony, że go o to pytają.

— No cóż, nie mam najmniejszego pojęcia. To nie jest coś takiego jak burza słoneczna, admirale, będąca zdarzeniem, w wyniku którego została uwolniona ogromna energia, co zostało starannie zaplanowane. Ale to jest prawie nieznany rodzaj fizyki. Trudno sobie wyobrazić, abyśmy mogli na to odpowiedzieć w jakiś konkretny sposób.

Bella powiedziała:

— Ale Bill, co się stanie, kiedy ta bomba Q dotrze do Ziemi?

Znów wydawał się zaskoczony pytaniem.

— To akurat wydaje się oczywiste. Jeżeli znów zadziała w taki sam sposób — nie ma powodu, aby sądzić, że jej zakres działania jest ograniczony — będzie dokładnie tak jak z *MGK*. - Rozłożył ręce. — *Bum.*

W pokoju zapadła grobowa cisza.

Bella rozejrzała się wokół stołu. Przedtem ci starzy kosmiczni

żołnierze wyglądali tak, jakby się dobrze bawili. Teraz byli przygaszeni, milczący. Karty zostały odkryte.

I co gorsza, z tego co zdołała zrozumieć, ta „kosmologiczna" technologia rozbijała w drobny mak kosztowne linie obronne, które ludzkość próbowała zbudować.

— Dobrze — powiedziała. — Mamy dwadzieścia jeden miesięcy, zanim ten obiekt dotrze do Ziemi. Więc co robimy?

— Musimy to zatrzymać — natychmiast powiedział Paxton. — To jedyna możliwość. Inaczej nie uda nam się uratować ludności Ziemi, nie możemy ewakuować całej planety. Rzucimy do walki wszystkie środki, jakie mamy. A zaczniemy od tego, co mamy w Stacji Trojańskiej. — Zerknął na Bellę.

Bella wiedziała, co ma na myśli. Statki A. I wiedziała, że to najprawdopodobniej oznacza wciągnięcie Edny do akcji. Ale na razie oddaliła od siebie tę myśl.

— Opracuj plan operacji, Bob. Ale nie ma powodu, aby wierzyć, że którykolwiek z posiadanych przez nas rodzajów broni coś zmieni. Musimy się dowiedzieć o tej anomalii czegoś więcej i znaleźć jej słabe punkty. Profesorze Carel, niniejszym zostaje pan oddelegowany do udziału w tym przedsięwzięciu.

Carel pochylił głowę. Paxton powiedział poważnie:

— Jest jeszcze coś.

— Tak?

— Bisesa Dutt. Rozminęliśmy się z nią. Uciekła windą jak szczur.

Bella była zdumiona.

— Windą kosmiczną? I dokąd zmierza?

— Nie wiem. Niedawno opuściła hibernaculum. Możliwe, że ona sama tego nie wie. Ale ktoś to wie, jakiś pieprzony Kosmita.

— Panie admirale — warknęła Bella. — Taki język nam nie pomaga.

Uśmiechnął się chytrze.

— Będę grzeczny. Ale musimy odnaleźć Bisesę Dutt, bez względu na to, komu wejdziemy w paradę.

Bella westchnęła.

— Dobrze. A teraz myślę, że muszę o wszystkim poinformować paru prezydentów. Czy jest jeszcze coś?

Paxton pokręcił głową.

— Zwołajmy konferencję za godzinę. I słuchajcie: nie chcemy żadnych przecieków.

Kiedy zebranie się skończyło, Bella poczuła niepokój. Fakt, że Carel musiał się tutaj przedzierać, dowodził, że gładkość prezentacji nie oznaczała wszechstronnej wiedzy. I gdyby nie ta przypadkowa obserwacja bystrej studentki Carela, nie byliby w stanie odkryć prawdziwej natury tego artefaktu, tej broni, tej bomby Q.

Czego jeszcze nie wiedzieli? Czego jeszcze nie dostrzegali? *Czego jeszcze?*

14. Poza orbitą

Prawie całe podniecenie nieustannym wznoszeniem się minęło w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin. Bisesa nie uwierzyłaby w to, kiedy opuszczali Ziemię, ale szybko ją to znudziło.

Kiedy nieustannie malała siła ciążenia, unoszące się koce, fragmenty ubrania i jedzenia coraz bardziej zaśmiecały kabinę. Bisesa pomyślała, że przypomina to biwakowanie w spadającej windzie. Szczególnie nieprzyjemne były kawałki ściętych włosów Aleksieja. I trudno było się myć. Mieli wystarczającą ilość wody pitnej, ale w tej kabinie towarowej nie było prysznica. Po pierwszych kilku dniach kabina, jak było do przewidzenia, śmierdziała jak ubikacja.

Bisesa próbowała wykorzystywać czas konstruktywnie. Powracała do zdrowia po pobycie w hibernaculum. Dużo spała, a Aleksiej i Myra pomagali jej wykonywać ćwiczenia w warunkach małej siły ciążenia, zapierając się o ściany, aby wzmocnić mięśnie. Ale można było tylko wykonywać ćwiczenia albo spać.

Aleksiej także miał zajęcie. Rzucił się w wir pracy, sprawdzając systemy pająka, wykonując dwa razy dziennie próby funkcjonowania rozmaitych urządzeń. Dokonał nawet oględzin szwów kadłuba i filtrów. Kiedy pracował, mruczał i podśpiewywał dziwne, szalone hymny do Słońca.

Bisesa dotąd nie porozmawiała z córką, nie tak, jak tego pragnęła. Odniosła wrażenie, że Myra zapadła się w siebie; podczas gdy Bisesa spała, Myra wydawała się pogrążać w mrokach depresji. Bisesa powiedziała sobie, że będzie czas zająć się tym później.

Patrzyła, jak Ziemia maleje, staje się malutkim globem gdzieś na końcu taśmy, która teraz po obu stronach wydawała się nie mieć końca.

Raz powiedziała:

— Szkoda, że świat się nie obraca, wtedy mogłabym poszukać innych taśm. Nawet nie wiem, ile ich jest.

Myra policzyła na palcach.

— Modimo w Afryce. Bandara w Australii — to matka ich wszystkich. Jianmu w Chinach. Marahuaka w Wenezueli. Wszystkie zostały nazwane imionami bogów niebios. W Europie jest Yggdrasil.

— Ta nazwa pochodzi od staroskandynawskiego drzewa świata.

— Tak.

— A Amerykanie mają Drabinę Jakubową.

Aleksiej uśmiechnął się.

— „We śnie ujrzał drabinę opartą na ziemi sięgającą swym wierzchołkiem nieba, oraz aniołów Bożych, którzy wchodzili w górę i schodzili na dół”. Księga Rodzaju, 28.12.

Myra powiedziała:

— Ameryka to wciąż dość chrześcijański kraj. Myślę, że odrzucono wszystkie rdzennie amerykańskie imiona pochodzące od drzewa świata. Przeprowadzono w tej sprawie głosowanie.

— Dlaczego w tak wielu kulturach istnieją mity związane z drzewem świata? To wydaje się dziwne.

Aleksiej powiedział:

— Niektórzy antropologowie twierdzą, że to po prostu reakcja na cechy chmur: zmarszczki i fale, które wyglądają jak gałęzie lub szczeble. A może to mit o Drodze Mlecznej. Inni mówią, że może chodzić o jakieś zjawisko z udziałem plazmy. Może związane z aktywnością Słońca.

Myra powiedziała:

— Wielu ludzi boi się wind kosmicznych. Niektórzy uważają je za bluźnierstwo. Drogę na skróty do Boga. W końcu za ludzkiej pamięci stanęliśmy w obliczu zagrożenia ze strony nieba.

— I dlatego zaatakowano afrykańską windę — powiedział Aleksiej. — To jest bez sensu, ale tak już jest.

— Jak na Kosmitę dużo wiesz o ziemskiej kulturze.

— Bo mnie interesuje. Ale patrzę na nią z zewnątrz. Przypuszczam, że z antropologicznego punktu widzenia.

Bisesa odniosła wrażenie, że została potraktowana protekcjonalnie.

— Przypuszczam, że wszyscy Kosmici są równie racjonalni jak komputery.

— Och, nie — uśmiechnął się Aleksiej. — Pracujemy nad zupełnie nowym rodzajem zahamowań.

Ciągle wznosili się w górę. Kiedy planeta skurczyła się z wielkości piłki nożnej do rozmiarów grapefruita, a potem piłki do krykieta, była już zbyt mała, by Bisesa mogła dostrzec poszczególne kontynenty i zwolna do jej umysłu przenikało niejasne poczucie ogromnej skali tego, gdzie się znalazła.

* * *

Po trzech dniach od chwili wyruszenia z Ziemi minęli pierwszą wyraźną konstrukcję. Zebrali się w środku kabiny, aby patrzeć, jak się zbliża.

Był to luźny pierścień nadmuchanych członów, w przybliżeniu cylindrycznych, jaskrawo pomalowanych, były olbrzymie, każdy wielkości małego budynku, w promieniach słońca świeciły jak wielkie

zabawki. Aleksiej powiedział im, że to tematyczny park rozrywki, ale jeszcze niedokończony i niezamieszkany.

— Jego oficjalna nazwa to „U Jakuba". Głównym inwestorem jest Disney. Mają nadzieję, że odzyskają część pieniędzy, jakie utopili w starych, naziemnych parkach rozrywki.

— Dobre miejsce na hotel — powiedziała Myra. — Tylko trzy dni drogi i nadal jedna dziesiąta siły ciążenia, wystarczy, żeby uniknąć wszelkich niedogodności zerowej grawitacji.

— Teraz zdajesz sobie sprawę, co możesz zrobić, mając do dyspozycji windę kosmiczną — mruknął Aleksiej. — Nie zwykłą, tanią windę, lecz bardzo ciężką. O wielkiej ładowności. Ten park rozrywki to błahostka, ale to dopiero początek. Powstaną inne społeczności, miasta na niebie rozmieszczone wzdłuż wind kosmicznych. Całe nowe królestwo. Jak koleje w dziewiętnastym wieku.

Bisesa poczuła, że musi chwycić Myrę za rękę.

— Żyjemy w niezwykłych czasach, prawda?

— Tak, mamo.

Po chwili park przemknął obok nich i po raz pierwszy od wielu dni Bisesa odczuła prawdziwą szybkość ich ruchu. Ale potem znów powróciło wrażenie braku upływu czasu, braku ruchu, gdy oddalali się coraz bardziej od Ziemi.

* * *

Ósmego dnia minęli orbitę geostacjonarną. Przez jedną krótką chwilę znajdowali się w obszarze o zerowej grawitacji, okrążając Ziemię jak każdy przyzwoity satelita, chociaż od kilku dni siła ciążenia była tak nikła, że prawie nie odczuli różnicy.

Na orbicie geostacjonarnej znajdowała się kolejna konstrukcja, ogromne koło, którego piasta obejmowała taśmę. Konstrukcja była niedokończona. Bisesa widziała małe statki poruszające się wokół olbrzymiego rusztowania i błyski palników spawalniczych. A gdzie indziej ogromne szklane panele, za którymi widać było zielonkawy blask żywych istot.

Stacja geostacjonarna spłynęła w dół i minęli ją, patrząc, jak maleje w oddali.

Obecnie efektywna siła ciążenia wewnątrz pająka zmieniła orientację, gdy siła odśrodkowa zrównoważyła siłę ciążenia ziemskiego i przekroczyła jej wielkość, próbując odrzucić ich na zewnątrz. Teraz „dół" był skierowany od Ziemi, która wyglądała jak ziarnko grochu. Musieli „przemeblować" kabinę, sufit bowiem stał się

podłogą i na odwrót. Aleksiej powiedział, że kabiny przeznaczone do przewozu pasażerów dokonują takiej zmiany automatycznie.

Ta zmiana była jedynym interesującym wydarzeniem w ciągu dni po minięciu orbity geostacjonarnej.

Ale Bisesa dowiedziała się, że nie będą ciągnieni przez całą drogę aż do przeciwwagi, która znajdowała się o trzynaście dni drogi od orbity geostacjonarnej i dwadzieścia jeden dni drogi od Ziemi. I w końcu zrozumiała, że tam znajduje się cmentarz pająków.

— Trzeba zwiększać masę przeciwwagi, by zrównoważyć rosnącą masę taśmy — powiedział Aleksiej. — I dlatego, jeśli nie liczyć budowaczy, żaden pająk towarowy nie wraca na Ziemię.

Bisesa rozejrzała się po zagraconej, brudnej kabinie. Poczuła ukłucie żalu.

— I tam właśnie wyląduje nasz pająk?

— Och, nie — powiedział Aleksiej. — Nie dotrze dalej niż dwanaście dni drogi od Ziemi.

Bisesa spojrzała na Myrę, która, jak wyczuwała, ma niemal równie mgliste pojęcie, co ich czeka, jak ona sama.

— I co wtedy?

— Pamiętacie, jak powiedziałem, że gdyby pająk został odczepiony poniżej orbity geostacjonarnej, spadlibyśmy z powrotem na Ziemię? Ale jeśli stanie się to powyżej…

— Zostaniemy wyrzuceni z obszaru przyciągania Ziemi — powiedziała Myra. — W przestrzeń międzyplanetarną.

— Jeśli wybierzemy odpowiednią wysokość, na której opuścimy windę, będziemy mogli wykorzystać pęd pająka, żeby się dostać, gdziekolwiek chcemy. Na przykład na Księżyc.

— I tam właśnie zmierzamy?

Aleksiej uśmiechnął się.

— Och, trochę dalej.

— Więc dokąd, u licha? Teraz tajemnica nie ma już żadnego sensu. Jak tylko opuścimy windę, władze dowiedzą się, dokąd zmierzamy.

— Na Marsa, mamo. *Na Marsa.*

Bisesa była oszołomiona.

— Na Marsa?

— Gdzie… gdzie coś na ciebie czeka.

— Ale ta mała kapsuła nie pozwoli nam utrzymać się przy życiu przez całą drogę na Marsa.

— Jasne, że nie — powiedział Aleksiej. — Ktoś nas zabierze. Spotkamy się ze statkiem świetlnym. Statkiem poruszanym przez żagle słoneczne. Już jest w drodze.

Bisesa zmarszczyła brwi.

— Nie mamy rakiet, prawda? Kiedy się odczepimy od taśmy, nie

będziemy dysponować żadną siłą napędową.

— Nie będziemy jej potrzebowali. Statek nas odnajdzie.

— Wielki Boże — powiedziała Bisesa. — A jeśli coś pójdzie nie tak…

Aleksiej tylko się uśmiechnął nieporuszony.

Rozmawiając z nim w ciągu tych długich dni, Bisesa myślała, że zaczyna rozumieć jego psychikę — psychikę Kosmity, nieco odmienną od psychiki Ziemianina.

Aleksieja przenikał jakiś chorobliwy lęk przed awarią znajdujących się wokół mechanizmów, ponieważ był od nich zależny przez całe życie. Ale z drugiej strony nie miał żadnych wątpliwości co do pewności orbit, trajektorii i spotkań; zamieszkiwał królestwo, w którym mechanika nieba najwyraźniej rządziła wszystkim, potężny, cichy mechanizm, który nigdy się nie psuł. Więc kiedy się odczepi od taśmy, wierzył, że będzie bezpieczny, było dla niego nie do pomyślenia, że spotkanie ze statkiem świetlnym może nie dojść do skutku. Natomiast Bisesa i Myra były przerażone taką ewentualnością.

Gdzieś tu leży klucz do zrozumienia Aleksieja i tego pokolenia Kosmitów, pomyślała Bisesa. Pomyślała też, że rozumiałaby go jeszcze lepiej, gdyby mogła zrozumieć osobliwe modlitwy, które cicho recytował, kiedy się czymś niepokoił — psalmy do „Słońca Niepokonanego”.

* * *

Dwunastego dnia siedzieli na składanych siedzeniach, przywiązawszy wszystkie swoje rzeczy, w oczekiwaniu na nagły stan nieważkości, jaki wystąpi, gdy Aleksiej odpali sworznie wybuchowe, które oderwą kabinę od bloku.

Aleksiej przyjrzał się swym towarzyszkom.

— Czy ktoś czeka na odliczanie?

— Zamknij się — powiedziała Myra.

Bisesa popatrzyła na taśmę, która przez dwanaście dni stanowiła jej więź ze światem realnym, a potem na Ziemię, która teraz zmniejszyła się do rozmiarów kamyka. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy ją w całej krasie. I co ją czeka, zanim to się wydarzy.

Aleksiej szepnął:

— Uwaga…

Na dole, na suficie kabiny, która teraz była podłogą, zajaśniał błysk. Taśma zdumiewająco szybko opadła i grawitacja znikła.

Nieumocowane rzeczy toczyły się wokół, a Aleksiej nie przestawał się śmiać.

15. Liberator

Kwiecień 2069 roku

John Metternes, mechanik statku, wywołał Ednę z Achillesa. Było kolejne opóźnienie. Technicy pracujący na asteroidzie ciągle nie byli zadowoleni z osłony magnetycznej granulek antymaterii.

Jeszcze parę takich opóźnień i *Liberatorowi* umknie kolejny dogodny moment startu do próbnego rejsu.

Edna Fingal wyjrzała przez grube panoramiczne okno, patrząc w stronę przeciwną do pozwijanej powierzchni asteroidy, aby odszukać Słońce, które tu, na orbicie Jowisza, znajdowało się tak daleko, że prawie nie było widać jego tarczy. Niecierpliwiła się, tkwiąc pośród cichego szumu mechanizmów kabiny załogi i zapachu nowej wykładziny. Czekanie nie było jej mocną stroną.

W głębi ducha wiedziała, że musi czekać, aż technicy zyskają absolutną pewność. *Liberator* zależał od nowej i jeszcze niesprawdzonej technologii i o ile Edna się orientowała, te magnetyczne butle zawierające antymaterię nigdy nie były idealnie stabilne; można było najwyżej oczekiwać kontrolowanej niestabilności, która trwała wystarczająco długo, żeby się wycofać. Uważano, że awaria osłony była przyczyną utraty prototypowego poprzednika *Liberatora* oraz Mary Lanchester i Theona Woese'a, dwóch członków jego załogi.

Ale tutaj coś się zbliżało z mroków kosmosu, coś cichego, obcego i wrogiego. Już było wewnątrz orbity Jowisza, bliżej Słońca niż Edna. Edna była kapitanem jedynego poruszającego się w przestrzeni kosmicznej statku wojennego, już bliskiego gotowości bojowej, jedynego sprawnego statku w pierwszej eskadrze Kosmicznej Grupy Uderzeniowej. Paliła się do spotkania z obcym.

Jak to często robiła, próbowała uwolnić się od napięcia, myśląc o rodzinie.

Spojrzała na chronometr. Był nastawiony na czas Houston, jak wszystkie zegary główne na obszarach zamieszkanych przez człowieka, i w myśli przeliczyła go na czas DC. Trzyletnia córka Edny, Thea, powinna o tej porze być w przedszkolu. Dom Edny znajdował się na zachodnim wybrzeżu, ale wybrała szkołę w Waszyngtonie, tak aby Thea mogła być blisko babki. Edna lubiła sobie wyobrażać, gdzie jest Thea o każdej porze dnia.

— Libby, otwórz moją pocztę.

— Oczywiście. I zapisy wizualne?

— Tak. Już?… Halo, Theo. To znowu ja, czekam, jak zwykle…

Thea powinna słyszeć jej słowa i widzieć większą część tego, co widziała ona sama, przekazywaną przez czujniki zainstalowane w tatuażu identyfikacyjnym na policzku Edny. Jak można się było spodziewać, zabezpieczenia dotyczące wszystkich elementów statków wojennych klasy A znajdujących się na orbicie wokół Jowisza były skuteczne i Thea odbierze jedynie mocno ocenzurowaną wersję listu matki. Ale to było lepsze niż nic.

A jeśli sprawy potoczą się źle, wiadomości te będą wszystkim, co Thei zostanie po matce. Dlatego Edna kierowała swoje słowa w przyszłość.

— Siedzę tu, czekając na załadowanie butli z antymaterią do komory napędu A. Zabiera to dużo czasu, bo musimy być bardzo ostrożni. Teraz patrzę na Achillesa. To jedna z większych asteroid i to tutaj budujemy nasze statki A. Patrząc tam gdzie ja, możesz zobaczyć wykopy i wielkie doły, z których wydobywamy lód i głazy, które posłużą za masę reakcyjną zapewniającą statkowi siłę napędową. A tam widać kopuły, w których wszyscy mieszkamy, kiedy przebywamy na powierzchni. *Liberator* jest od tego o wiele wygodniejszy, możesz mi wierzyć…

Asteroidy tworzyły grupę na orbicie okołojowiszowej, w punkcie stabilnym grawitacyjnie zwanym L4, sześćdziesiąt stopni przed samym Jowiszem. Drugi taki punkt, L5, podążał za Jowiszem. Astronomowie na Ziemi nazwali dwa skupiska asteroid imionami dwóch rywalizujących ze sobą bohaterów *Iliady* Homera: Achillesem oraz Trojańczykami.

Punkt L4 stanowił dogodne miejsce wydobywcze dostarczające potrzebnych zasobów, oczywiste miejsce na założenie bazy oraz punkt kontrolny. Może dlatego podczas burzy słonecznej Pierworodni ulokowali tu swoje Oko.

— Nie będę udawała, że się nie boję, Theo. Byłabym głupia, gdybym nie czuła strachu. Nauczyłam się, jak pozbyć się lęku i wykonywać swoją pracę. Ponieważ wiem, że jest to praca, którą trzeba wykonać.

— Może wiesz, że ten statek, czwarty z nowych statków klasy A, jest pierwszym, jakiemu nadano nazwę. Bo o ile inne odbywały tylko loty próbne, o tyle ten statek będzie pierwszym, który ruszy do walki. Przypuszczam, że cokolwiek się stanie, zawsze będą o nim pamiętać. Oczywiście najpierw musimy go poddać kilku próbom.

— Męczyliśmy się nad jego nazwą. Jesteśmy tu otoczeni bohaterami greckiej mitologii. Ale ta mitologia pochodzi z innej epoki, dalekiej od naszej własnej. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na nazwę jednego z wielkich statków powietrznych, który pomógł w ostatniej, decydującej wojnie ludzkości, zanim pojawienie się Pierworodnych

zmieniło wszystkie reguły walki. Mam nadzieję, że za następne kilka tygodni będziemy w stanie wyzwolić ludzkość od jeszcze gorszego zagrożenia. I wtedy będę mogła wrócić do domu, do ciebie. Myślę…

Zabrzmiał alarm, na ścianie obok zaczęło błyskać zielone światełko. Zasobniki paliwa w końcu udało się załadować i obsługa naziemna opuszczała statek.

A za dziesięć minut miał nadejść dogodny moment startu zaplanowanego próbnego lotu.

Jeszcze dość czasu. Potem ruszy na prawdziwą misję.

— Zamknij plik, Libby. Ale przedtem usuń ostatni fragment. A potem przyślij do mnie Johna Metternesa.

16. James Clerk Maxwell

Statek świetlny, który miał ich zabrać na Marsa, wyłonił się z mroku. Nosił nazwę *James Clerk Maxwell.* Żagiel pozostawał w cieniu, ale Bisesa dostrzegła olinowanie, w postaci prostokątnych, niezwykle długich błysków.

W miarę jak zbliżała się godzina spotkania, napięcie Bisesy rosło. Nie trzeba było posiadać żadnej wiedzy technicznej, aby zrozumieć, że statek napędzany światłem słonecznym musi być delikatny jak pajęczyna. A ich mały pająk, wirująca bryła metalu, miał wpaść w tę plątaninę żagli i olinowania. Ciągle spodziewała się, że za chwilę zabrzmią sygnały alarmowe i że zobaczy, jak cienki żagiel owinie się wokół niej jak gwiazdkowy papier.

Myra także była zaniepokojona, pomimo swego astronautycznego doświadczenia. Za to Aleksiej Carel był całkowicie niewzruszony. Kiedy zbliżała się chwila spotkania, siedział, obserwując graficzny monitor ekranowy, od czasu do czasu cicho wypowiadając jakieś słowo, które za pośrednictwem wiązki laserowej było przekazywane do systemów zbliżającego się statku. Sprawiał wrażenie, że całkowicie ufa mechanice orbitalnej i egzotycznej nawigacji niebieskiej, które prowadziły pająka do *Maxwella.*

W ostatnim momencie główny kadłub *Maxwella* wyłonił się z mroku. Bisesa miała wrażenie, że siedzi w małej łódce i patrzy na zbliżający się liniowiec, żeglujący po bezkresie oceanu. Cylindryczny kadłub był najeżony antenami i wysięgnikami, a wokół jego górnej krawędzi Bisesa dojrzała szereg bloków, mocujących całe kilometry olinowania.

Z kadłuba wysunęła się przezroczysta rura o średnicy kilku metrów, niepewnie obmacała pająka i zaskoczyła z wyraźnie słyszalnym trzaskiem. Nastąpiło szarpnięcie, kiedy mechaniczne połączenie spowodowało wytracenie resztek pędu pająka. Następnie rura skurczyła się jak harmonijka, przyciągając do siebie obydwa statki, aż się zetknęły.

Aleksiej usiadł wygodnie, uśmiechając się szeroko.

— Na szczęście istnieją uniwersalne protokoły cumownicze.

— I to by było tyle. — Odlepił elastyczny ekran od ściany, zgniótł go i wepchnął do kieszeni. — Czas się pakować. Weźcie wszystko, co chcecie, i zostawcie to, co nie jest wam potrzebne.

— Nie zabieramy pająka — powoli powiedziała Bisesa.

— Jasne, że nie.

Bisesa dziwnie niechętnie opuszczała pająka.

— Chyba jestem zbyt stara na ciągłe zmiany.

Myra ścisnęła ją za ramię. Tego rodzaju serdeczne gesty były u

niej sporadyczne. Bisesa godziła się ze wszystkim, co tylko mogła jej ofiarować sponiewierana przez życie córka.

— Mamo, jeśli ja potrafię dać sobie z tym radę, to ty także. Chodź, przygotujmy się.

Kiedy Aleksiej otworzył właz w ścianie kabiny, odsłoniła się zewnętrzna powierzchnia *Maxwella,* wydzielająca lekki zapach spalenizny. Bisesa dotknęła z zaciekawieniem powierzchni, która przez długie miesiące znajdowała się w próżni kosmosu. Była gorąca.

Właz *Maxwella* otworzył się.

Przeszli do wnętrza, które było czyste, jasno oświetlone i lekko pachniało mydłem. Za nimi, stukając, ruszyła walizka. Błyskawicznie wysunęły się z niej poduszeczki na cienkich niciach, które przyssały się do ścian, dzięki czemu walizka pełzła przed siebie jak niezdarny, gruby pająk.

Właz zamknął się za nimi i Bisesa poczuła delikatne drgania, gdy pająk odcumował od wielkiego cielska *Maxwella.* We włazie nie było okna. Żałowała, że nie może widzieć, jak porzucony pająk oddala się.

Aleksiej ostrzegł je:

— Pamiętajcie, że ciężar tej konstrukcji starano się zmniejszyć do minimum. Cały statek waży tylko około dziesięciu ton, i to razem z żaglem. Mogłybyście bez trudu przebić nogą kadłub. — Postukał w wewnętrzną przegrodę. — Ten materiał to rodzaj papieru ryżowego. Lekki, ale delikatny. — Przebił go palcem, żeby im to pokazać, po czym oderwał mały pasek i włożył do ust. — Jest także jadalny. W razie dramatu można jeść meble.

Bisesa zapytała:

— Dramatu? Jakiego dramatu?

Myra powiedziała powoli:

— Przypuszczam, że najgorsza rzecz, jaka się może wydarzyć, to utrata żagla albo jego zniszczenie. W takim wypadku człowiek jest pozostawiony własnemu losowi, poruszając się po torze, na jakim znajdował się statek w chwili takiego wypadku. Ratunek jest możliwy, ale prawdopodobnie zająłby miesiące, jeśli nie lata.

Bisesa zastanowiła się.

— Ile dotąd było wypadków?

— Bardzo niewiele — powiedział Aleksiej. — I żadnego śmiertelnego. — Poinformował je krótko o różnych poziomach zabezpieczeń w profilu misji; jeśli więc rzeczywiście utracą żagiel, zawsze gdzieś uda im się dotrzeć. — Bardziej prawdopodobne jest, że prędzej twoje ciało odmówi posłuszeństwa niż taki statek — powiedział, ale to nie bardzo uspokoiło Bisesę.

Kiedy Aleksiej zniknął na, jak to określił, „mostku", aby sprawdzić systemy statku, Myra i Bisesa rozejrzały się i rozpakowały.

W niedługim czasie poznały rozkład *Maxwella.* Ciśnieniowy

kadłub stanowił cylinder o wysokości kilku metrów. Podzielony przegrodami z papieru ryżowego składał się z trzech głównych pokładów. Na dole znajdował się pokład użytkowy — tak określił go Aleksiej. Zaglądając przez włazy, zobaczyły sterty zapasów, aparaturę podtrzymującą życie, sprzęt naprawczy oraz ładunek. „Mostek" stanowił górny pokład.

Pokład środkowy obejmował pomieszczenia mieszkalne. Poza częścią kuchenną i łazienką był rozdzielony ruchomymi przegrodami na pomieszczenia, które mogły służyć za toalety, sypialnie lub pracownie dla dziesięcioosobowej załogi. W ścianach znajdowały się wbudowane szafy oraz składane łóżka i krzesła. Bisesa i Myra spędziły trochę czasu, przesuwając przegrody. Zdecydowały się na utworzenie trzech małych sypialni położonych jak najdalej od siebie i od ubikacji; papierowe przegrody raczej nie były dźwiękoszczelne.

Kwatery były niemal tak małe jak w pająku. Ale ciasne korytarze i niskie pokoje stanowiły jedyną w swoim rodzaju mieszaninę architektoniczną, którą można było wykorzystywać zarówno na ziemi, jak i w przestrzeni kosmicznej. Żagiel zapewniał przyspieszenie nie przekraczające jednej setnej przyspieszenia ziemskiego — zbyt mało, aby utrzymać się na podłodze. Dlatego wszędzie były uchwyty dla dłoni i oparcia dla nóg, jak na stacji kosmicznej, rzepy i barwne oznaczenia góry i dołu, tak aby zawsze było wiadomo, gdzie co jest.

Ale z drugiej strony owa jedna setna przyspieszenia ziemskiego była stała i niesłabnąca. Bisesa przekonała się, że jeśli wdrapie się na sufit i puści, spłynie na ziemię w ciągu sześciu lub siedmiu sekund, jak płatek śniegu i osiądzie miękko na podłodze. Mała siła przyciągania była zaskakująco przydatna, powodowała bowiem, że pył osiadał i wszelkie rupiecie w końcu lądowały na ziemi, nie musiała się zmagać z kocami czy szukać zabłąkanych kropelek, które uroniła, pijąc kawę.

* * *

„Mostek" był zastawiony stołami i krzesłami. Bisesie przypomniało się, że nie jest to statek wojskowy. Kiedy Bisesa i Myra dostały się do środka po krótkiej drabinie z dolnego pokładu, Aleksiej siedział w jednym z owych krzeseł, cierpliwie obserwując obrazy na rozłożonym przed sobą ekranie.

Ściany były całkowicie przezroczyste.

Przestrzeń kosmiczna była pozbawiona gwiazd, jeśli nie liczyć trzech świateł, Słońca, Ziemi i Księżyca, które tworzyły ogromny trójkąt wokół statku. Na widok tych trzech światów Bisesa poczuła

nieokreślony lęk. Z jakiegoś powodu pomyślała o Mirze i małpach człekokształtnych, które tam widziała, australopitekach o ludzkich nogach i rękach goryli.

Myra zauważyła jej reakcję i pociągnęła ją za rękę.

— Mamo, to jest jak jazda w wesołym miasteczku. Nie przejmuj się, jeśli zakręciło się w głowie. Popatrz.

Bisesa uniosła głowę.

Ujrzała tarczę ciemności, nieco bardziej szarej niż aksamitna czerń nieba. Jej twarz pokryły plamki jasnego, oślepiającego światła słonecznego. Był to żagiel, arkusz folii, tak ogromny, że mógłby zakryć całe centrum Londynu. Słyszała delikatny przerywany terkot, który wydawały umocowane na szczycie maleńkie bloczki pociągające biegnące ponad jej głową olinowanie, nici, które chwytały światło Słońca.

Kadłub, który ją otaczał, był jak wisząca na spadochronie puszka.

— Witajcie na pokładzie *Jamesa Clerka Maxwella* — powiedział Aleksiej, szczerząc zęby w uśmiechu.

— I wszystko to wprawia w ruch światło słoneczne.

— Tak. — Aleksiej przeciął dłonią snop światła wpadającego do kabiny. — Ciśnienie fotonów padających na powierzchnię odbijającą. Na Ziemi w słoneczny dzień związany z tym nacisk działający na twarz wynosi może jedną tysięczną grama. Żagiel ma na tyle dużą powierzchnię i na tyle małą masę, że dzięki tej sile zyskuje przyspieszenie jednej setnej *g*. Ale siła ta działa nieustannie i nie przestaje nas popychać… W taki sposób dotrzemy do Marsa w ciągu dwudziestu dni.

Żagiel stanowił siatkę nanorurek z tego samego niezwykle wytrzymałego materiału, z którego była wykonana taśma windy kosmicznej. „Tkaninę” stanowiła napylona cieniusieńka warstwa boru o grubości zaledwie kilkuset średnic atomowych.

— Tkanina żagla jest tak delikatna, że bardziej przypomina dym aniżeli coś materialnego — powiedział Aleksiej. — Ale jest zarazem na tyle odporna, że jest w stanie wytrzymać słoneczne gorąco wewnątrz orbity Merkurego.

Smugi światła padły na powierzchnię zwierciadła i maleńkie bloczki zawarczały.

— Takie oscylacje pojawiają się cały czas — powiedział Aleksiej. — Dlatego tego rodzaju żagle muszą być „inteligentne”, podobnie jak kiedyś tarcza. W tkaninie są osadzone siłowniki i maleńkie silniczki rakietowe. Max, czyli sztuczna inteligencja zawiadująca statkiem, dba o właściwe ustawienie. I w znacznej mierze zajmuje się nawigacją. Po prostu mówię, gdzie chcę się udać. Tak naprawdę dowodzi tu Max. Na szczęście za bardzo się tym nie chełpi.

Bisesa powiedziała:

— Rozumiem, jak Słońce może cię odpychać. Ale jak możesz żeglować ku Słońcu, powiedzmy, z Marsa na Ziemię? Myślę, że to tak jak halsowanie.

— To nie jest dobra analogia — spokojnie powiedział Aleksiej. — Musisz pamiętać, że wszystkie ciała w układzie słonecznym zasadniczo krążą wokół Słońca. A to określa sposób funkcjonowania żagla… — Mechanika orbitalna wydawała się sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem. — Jeżeli przyspieszę, wejdę na wyższą orbitę. A jeżeli ustawię żagiel tak, aby ciśnienie światła słonecznego było skierowane przeciwnie do kierunku ruchu, prędkość orbitalna zmaleje i zacznę się poruszać po spirali w stronę Słońca… — Bisesa przyglądała się wykresom, które pokazywał na ekranie, ale kiedy pojawiły się równania, dała spokój.

— To wszystko jest dla ciebie intuicyjnie oczywiste, prawda? To znaczy zasady mechaniki niebieskiej.

Zatoczył ręką koło.

— Chyba rozumiesz, dlaczego. Tutaj widzisz, że te prawa rzeczywiście działają. Często zastanawiałem się, jak naukowcy na Ziemi zdołali coś z tego zrozumieć. Sto lat temu pierwsi księżycowi astronauci powrócili na Ziemię odmienieni. Wielu spośród nas, Kosmitów, to deiści, teiści lub panteiści.

— Wierzą, że Boga można odnaleźć w prawach fizyki — powiedziała Myra.

— Albo że Bóg *jest* w tych prawach.

— Przypuszczam, że to ma sens — powiedziała Bisesa. — Religie i bogowie nie muszą iść ze sobą w parze. Buddyści niekoniecznie wierzą w istotę najwyższą; może istnieć religia bez boga.

Myra przytaknęła.

— I możemy wierzyć w Pierworodnych nie wyznając żadnej religii.

Aleksiej powiedział spokojnie:

— Och, Pierworodni to nie bogowie. Przekonają się o tym pewnego dnia.

Bisesa powiedziała:

— Ale ty nie jesteś teistą, prawda, Aleksiej? Lubisz cytować Biblię, ale słyszałam, jak się modlisz — do Słońca?

Wyglądał na zmieszanego.

— Przyłapałaś mnie. — Uniósł głowę do światła. — Niektórzy z nas żywią do niego coś w rodzaju szacunku. To coś, co nas trzyma przy życiu, jedyne ciało, jakie widać nawet z najdalszych głębi układu słonecznego.

Myra kiwnęła głową.

— Słyszałam o tym. Kult Sol Invictus — Słońca Niepokonanego. To jeden z ostatnich wielkich pogańskich bogów Imperium Rzymskiego, tuż przed uznaniem chrześcijaństwa za religię

państwową. Czy to nie pojawiło się na Ziemi ponownie, przed burzą słoneczną?

Aleksiej potwierdził.

— W owych dniach składano wiele ofiar, by przebłagać rozgniewanych bogów. Ale kult Słońca Niepokonanego rozprzestrzenił się wśród pierwszych Kosmitów, zwłaszcza tych, którzy pracowali na terenie tarczy.

Bisesa przypomniała sobie innego boga Słońca, który wmieszał się w jej życie: Marduka, zapomnianego boga Babilonu. Powiedziała:

— Wy, Kosmici, naprawdę nie jesteście tacy jak cała reszta, prawda, Aleksiej?

— Oczywiście. Jak moglibyśmy być tacy sami?

— I dlatego zabierasz mnie na Marsa? Z powodu innej perspektywy?

— Jest ważniejszy powód. Tamtejsi ludzie coś znaleźli. Coś, czego nigdy nie szukałyby żadne rządy na Ziemi. Chociaż te rządy szukają ciebie, Biseso.

Bisesa zmarszczyła brwi.

— Skąd wiesz?

Aleksiej wyglądał na zmieszanego.

— Mój ojciec pracuje w Światowej Radzie Przestrzeni Kosmicznej. Jest kosmologiem…

A więc tak, pomyślała Bisesa, nowa różnica pokoleń już zamanifestowała się wyraźnie. Kosmita szpieguje swego własnego, przebywającego na Ziemi, ojca.

Ale mimo że byli w głębi kosmosu, nie powiedział już nic więcej, ani gdzie zabierano Bisesę, ani czego od niej oczekiwano.

Myra wydęła usta.

— To dziwne. Słońce Niepokonane — to taki kontrast z chłodnym sposobem myślenia teistów.

— Tak. Ale nie sądzisz, że dopóki nie pokonamy tych pieprzonych Pierworodnych, potrzebujemy boga z epoki żelaza? — Aleksiej wyszczerzył zęby w uśmiechu, co w padającym nań świetle słonecznym sprawiało szokujące wrażenie.

Bisesa, wyczerpana napięciem i poczuciem obcości, wycofała się do swej nowo urządzonej kabiny. Poukładała swoje rzeczy i przypięła się do wąskiej koji.

Pomieszczenie było małe, ale to jej nie przeszkadzało. Kiedyś była w wojsku. I tak było tu o wiele lepiej niż w obozie ONZ w Afganistanie, gdzie stacjonowała, zanim znalazła się na Mirze.

Uderzyło ją, że ten pokład mieszkalny wydawał się ciasny, nawet biorąc pod uwagę geometrię kadłuba statku. Przypomniała sobie, jak wcześniej zwiedzała pokład użytkowy, miała dobrą pamięć do kształtów.

Sennie wymamrotała:

— Więc dlaczego ten pokład jest o tyle mniejszy od pokładu użytkowego?

Odezwał się cichy głos.

— Ponieważ te ściany są wypełnione wodą, Biseso.

— To ty, Talesie?

— Nie, Biseso. Aleksiej nazywa mnie Max. — Głos był męski, z lekkim szkockim akcentem.

— Max, to od Jamesa Clerka Maxwella. Ty jesteś statkiem.

— Ściśle biorąc, żaglem, który stanowi najbardziej inteligentny i wrażliwy element. Jestem osobą prawną (nie-człowiekiem) — spokojnie powiedział Max. — Posiadam pełny zestaw zdolności poznawczych.

— Aleksiej powinien był nas sobie przedstawić.

— Byłoby miło.

— Woda w ścianach?

Chroniła delikatnych pasażerów przed twardym promieniowaniem kosmicznym, nawet kilka centymetrów wody stanowiło zaskakująco skuteczną osłonę.

— Max. Skąd takie imię?

— Jest chyba odpowiednie…

Szkocki fizyk nazwiskiem James Clerk Maxwell, żyjący w dziewiętnastym wieku, dowiódł, że światło wywiera ciśnienie i na tej podstawie ludzie zbudowali flotę statków świetlnych. Jego prace położyły podwaliny pod rewolucję pojęciową zapoczątkowaną przez Einsteina.

Bisesa uśmiechnęła się.

— Przypuszczam, że Maxwell byłby zaskoczony, widząc, jak w dwa stulecia później jego idee znalazły zastosowanie w technice.

— W rzeczywistości trochę studiowałem prace Maxwella. Mam sporo wolnego czasu. Myślę, że mógł był wpaść na pomysł żagla słonecznego. W końcu znał się na fizyce.

Bisesa podparła głowę dłonią.

Kiedy czytam o Atenie, sztucznej inteligencji, która rezydowała na tarczy, zawsze zastanawiam się, jakbym się czuła na jej miejscu. Inteligencja zamknięta w takim obcym ciele. Max, jak to jest być tobą?

— Często zastanawiam się, jak to jest być tobą — odparł łagodnie. — Potrafię się dziwić. I podziwiać.

Słowa te zaskoczyły Bisesę.

— Podziwiać? Co?

— Podziwiać, że znajduję się we wszechświecie, pełnym takiego piękna, a jednocześnie rządzonym przez tak proste prawa. Dlaczego tak jest? A właściwie dlaczego nie?

— Jesteś teistą, Max?

— Wielu wybitnych teistów to twory sztucznej inteligencji.

Elektroniczni prorocy, pomyślała.

— Myślę, że Maxwell byłby z ciebie dumny.

— Dziękuję.

— Światło, proszę.

Światło przygasło, pozostawiając słabą, szkarłatną poświatę. Zapadła w głęboki sen, a delikatna grawitacja wystarczała, by nie miała uczucia, że spada.

W kilka godzin później Max ją obudził, bo jak powiedział przepraszająco, zbliżali się do Księżyca.

* * *

Czuwający na mostku Aleksiej powiedział:

— To oczywiście zupełny przypadek, że nasza podróż na Marsa wiedzie koło Księżyca. Ale udało mi się wykorzystać jego siłę przyciągania, aby odpowiednio skorygować trajektorię lotu…

Bisesa przestała go słuchać i tylko patrzyła.

Rosnąca tarcza Księżyca, który był prawie w pełni, nie wyglądała jak znajoma ludzka twarz, która unosiła się nad ulicami Manchesteru w czasach jej dzieciństwa. Teraz zbliżyła się tak bardzo, że jej wielkie „prawe oko", Mare Imbrium, obróciło się w jej stronę, odsłaniając fragment drugiej strony globu, usianej kraterami okolicy, niewidocznej dla człowieka przed nadejściem ery lotów kosmicznych.

Ale interesowała ją nie geologia Księżyca, lecz ślady działalności człowieka. Razem z Myrą z przejęciem wypatrywały wielkich baz, Armstronga i Tooke'a, wyraźnie widocznych w postaci srebrzysto-zielonych bąbli na tle jasnobrązowego księżycowego gruntu. Bisesa myślała, że dostrzega drogę, srebrną linię przecinającą krater Claviusa, w którym przycupnęła baza Tooke'a i od którego wzięła swą dawną nazwę. Wtedy zdała sobie sprawę, że to musi być długa na kilka kilometrów elektromagnetyczna wyrzutnia.

Teraźniejszy Księżyc był wyraźnie miejscem uprzemysłowionym. Ogromne, pokryte pyłem równiny wyglądały, jak gdyby zostały przeczesane; księżycowe morza były usiane kopalniami odkrywkowymi, w których wydobywano tlen, wodę i rozmaite minerały. Na biegunach rozłożyły się ogromne gospodarstwa zasilane bateriami słonecznymi, a nowe obserwatoria lśniły jak żarzące się węgle, wykonane z czarnego szkła otrzymanego wprost z księżycowego pyłu. Wokół równika biegła lśniąca nić — aleftron, najpotężniejszy akcelerator cząstek w całym układzie słonecznym.

Coś w tym widoku zaniepokoiło Bisesę. Po czterech miliardach lat bezruchu na Księżycu zmieniło się tak wiele, i to w ciągu zaledwie stu lat po tym, jak Armstrong po raz pierwszy postawił stopę na jego gruncie. Rozwój ekonomiczny Księżyca zawsze stanowił marzenie Buda Tooke'a. Ale teraz Bisesa zastanawiała się, czy Pierworodni, którzy sami mogli być starsi niż Księżyc, patrzą na ten budzący niepokój krajobraz.

Myra pokazała palcem.

— Mamo, popatrz tam, na Mare Imbrium.

Bisesa spojrzała we wskazanym kierunku. Zobaczyła tarczę, która musiała mieć kilka kilometrów średnicy. Lśniła odbitym światłem słonecznym, a przez jej powierzchnię przelatywały drżące fale.

— To fabryka żagli słonecznych — mruknął Aleksiej. — Kładą tkaninę, na którą napylają warstwę boru, i cały czas obracają, by uchronić przed siłą przyciągania Księżyca…

Lśniąca tarcza wydawała się wirować i marszczyć, a potem nagle oderwała się od powierzchni gruntu i oscylując, uniosła się w górę.

— To piękne — powiedziała Bisesa.

Aleksiej wzruszył ramionami.

— Tak, ładne. Mówiąc szczerze, większość z nas nie uważa, żeby Księżyc był szczególnie interesujący. Tam, na dole, to nie są prawdziwi Kosmici. Nie są nimi, skoro mogą dostać się na Ziemię w dzień czy dwa. Nazywamy to strychem Ziemi…

Max mruknął:

— Zaraz osiągniemy punkt największego zbliżenia.

Teraz przed Bisesą przesuwał się Księżyc w całej okazałości. Kratery pogrążone w cieniu umykały za oknami mostka. Bisesa poczuła, jak dłoń Myry zaciska się na jej własnej dłoni. Pomyślała bezradnie, że są widoki, jakich ludzkie oko nie powinno oglądać.

Przed ich oczyma przemknął terminator, nieregularna linia oświetlonych szczytów i ścian kraterów, i znowu pogrążyli się w ciemności rozświetlonej jedynie bladą poświatą Ziemi. Kiedy ostre światło słoneczne zostało przesłonięte, statek utracił siłę ciągu, a Bisesa poczuła zanik poprzedniej niewielkiej siły ciężkości.

17. Statek wojenny

John Metternes wpadł do kabiny załogi *Liberatora.*

Edna zapytała:

— Wszystko w normie?

— Tak — powiedział mechanik. Był bez tchu i jego lekki belgijski akcent zniekształcony akcentem australijskim sprawiał, że spółgłoski syczące aż zgrzytały. — Załadowaliśmy butle i podłączyliśmy, i nie urwało nam głów. Wszystkie protokoły sprawdzone, zasobniki z antymaterią w porządku… Tak, wszystko w normie i gotowe do startu. Najwyższy czas.

Miał około czterdziestki, był krzepkim mężczyzną i pocił się tak obficie, że miał poplamiony kombinezon pod pachami, pomimo wszystkich warstw ochronnych. Widać też było osad wokół ust. Prawdopodobnie znowu wymiotował. Chociaż miał stopień komandora porucznika i miał służyć na *Liberatorze* jako główny mechanik, John późno wyruszył w kosmos; był jednym z tych nieszczęśników, których bebechy nigdy nie zdołały się przystosować do mikrograwitacji. Nie żeby sprawiało to jakąkolwiek różnicę, gdy włączał się napęd A, bo *Liberator* podczas lotu miał siłę ciągu równą pełnej sile przyciągania ziemskiego.

Edna postukała w elastyczny ekran, przebiegła wzrokiem ostateczny konspekt operacji i sprawdziła, czy ma zezwolenie kontroli na Achillesie.

— Dogodny moment startu za pięć minut.

Metternes wyglądał na zaniepokojonego; jego szeroka twarz poszarzała.

— Wielkie nieba!

— W porządku? Automatyczne odliczanie już zostało włączone, ale wciąż możemy to odwołać, jeśli…

— Dobry Boże, nie. Słuchaj — zaskoczyłaś mnie, to wszystko, nie wiedziałem, że to będzie tak szybko. Im szybciej się za to weźmiemy, tym lepiej. A poza tym coś prawdopodobnie nawali, zanim dojdziemy do zera, zwykle tak bywa… Libby, poproszę schematy.

Duże okno znajdujące się przed nimi zamgliło się i widok Achillesa na tle gwiazd zastąpił rzut boczny samego *Liberatora,* obraz generowany w czasie rzeczywistym przez czujniki na Achillesie i gdzie indziej. Kiedy John postukał w ekran, kadłub stał się przezroczysty, odsłaniając podświetlone na zielono prowadzone prace, rozproszone zaś czerwone punkciki wskazywały nierozwiązane dotąd problemy techniczne.

W gruncie rzeczy konstrukcja statku była prosta. *Liberator* najbardziej przypominał fajerwerki z okazji święta czwartego lipca;

rakieta miała długość stu metrów, pomieszczenia mieszkalne znajdowały się w jej przedniej części, a z tyłu rozwierała się ogromna dysza. Większa część kadłuba była wypchana lodem wydobytym na asteroidzie, brudnym śniegiem, który posłuży jako masa reakcyjna do napędzania statku.

A gdzieś w głębi statku, w pobliżu tej dyszy, umieszczone było samo urządzenie napędowe wykorzystujące antymaterię.

Antymateria miała postać maleńkich granulek zamrożonego wodoru, czy raczej antywodoru, który technicy nazywali „paliwem H". Na razie znajdowało się ono wewnątrz wolframowego rdzenia, było odizolowane od zwykłej materii niewidzialnymi ścianami pola elektromagnetycznego, przy czym utrzymanie tego pola wymagało ogromnych ilości energii.

Paliwo H stanowiło cenny materiał. Z powodu eksplozywnych skłonności przy zetknięciu ze zwykłą materią antymateria nie występowała samoistnie, ale trzeba ją było wytwarzać. Pojawiała się jako produkt uboczny podczas zderzeń cząstek o wysokiej energii. Ale najpotężniejsze akceleratory na Ziemi, nawet gdyby działały bez przerwy, mogłyby wytworzyć jedynie mikroskopijne ilości antymaterii. Wielki aleftron na Księżycu, jako fabryka antymaterii, był bezużyteczny. Naturalne źródło antymaterii w końcu wykryto w „rurce przepływu" łączącej jeden z księżyców Jowisza, Io, z macierzystą planetą; wewnątrz owej rurki płynął prąd elektryczny o natężeniu pięciu milionów amperów, powstający, gdy Io przedzierała się przez pole magnetyczne Jowisza.

Wydobywanie antymaterii sprowadzało się do wysłania statku kosmicznego do wnętrza rurki przepływu i wykorzystania pułapek magnetycznych do odsiania cząstek antymaterii. Ale pojawiło się przy tym mnóstwo problemów technicznych.

Kiedy Edna wydala odpowiednie polecenie, pole magnetyczne zaczęło pulsować, wystrzeliwując grudki antymaterii, które uderzały w nadlatujący strumień zwykłego wodoru. Materia i antymateria anihilowały i masa natychmiast zamieniała się w energię. Lód z asteroidy sublimował i przekształcał się w przegrzaną parę, która wydobywając się przez dyszę, pchała *Liberatora* naprzód.

I to było właściwie wszystko, jeśli nie liczyć niezwykle trudnych szczegółów technicznych związanych z obchodzeniem się z antymaterią. *Liberator* był więc rakietą parową. Ale liczby były imponujące. Nawet potężne reakcje jądrowe we wnętrzu Słońca prowadziły do przekształcenia jedynie niewielkiego ułamka jego masy w energię. Natomiast w wyniku anihilacji materii i antymaterii powstawała wyłącznie energia; ze słynnego równania Einsteina, $E = mc^2$, doprawdy nie można było wycisnąć więcej.

W rezultacie szczypta antymaterii, zaledwie około pięćdziesięciu

miligramów, zapewniała ilość energii równoważną całej energii chemicznej zmagazynowanej na pokładzie wielkiej rakiety kosmicznej, takiej jak wahadłowiec. To właśnie sprawiało, że nowy napęd oparty na antymaterii był tak użyteczny dla rządów, zapewniając możliwość szybkiej reakcji w obliczu inwazji układu słonecznego. *Liberator* był statkiem tak potężnym, że mógłby doprowadzić Ednę do bomby Q, oddalonej o połowę odległości do Jowisza, czyli równej odległości pasa asteroid od Ziemi, zaledwie w ciągu stu dwunastu godzin.

Liberator był mały w porównaniu ze statkami świetlnymi Kosmitów. Ale o ile statek świetlny składał się niemal wyłącznie z pajęczyny żagla, o tyle *Liberator* stanowił litą bryłę, broń. A jego kształt był niewiarygodnie falliczny, podobnie jak wiele dotychczas skonstruowanych przez człowieka rodzajów broni, jak cierpko zauważyli liczni obserwatorzy.

* * *

Tak naprawdę John miał niewiele do roboty. Libby zajmowała się odliczaniem, które było tak proste, jak to możliwe. John był coraz bardziej spięty.

— Obserwują nas — powiedziała Edna spokojnie, żeby go oderwać.

— Tak? Kto?

— Achilles. Technicy, administratorzy, pozostała część załogi.

Edna wymazała zawartość ekranu i znów zobaczyli powierzchnię pokrytego lodem księżyca. Dok remontowy roił się od postaci w skafandrach kosmicznych.

— To tyle, jeśli chodzi o protokoły bezpieczeństwa — mruknął John. — Co oni tam robią?

Libby odparła:

— Chyba przyszli, żeby popatrzeć na start pierwszego statku wojennego zbudowanego przez człowieka.

— No, no! — szepną! John. — Ona ma rację. Pamiętasz *Star Wars, Star Trek!*

Edna nigdy nie słyszała o tych reliktach kultury zamierzchłej przeszłości.

— Wszystko się tutaj zaczyna — powiedział John. — Pierwszy statek wojenny. Ale na pewno nie ostatni, daję słowo.

— Trzydzieści sekund — spokojnie powiedziała Libby.

— Niech to diabli — powiedział John. Chwycił poręcze leżanki. To się dzieje naprawdę, nagle pomyślała Edna. Była oddana swemu

zadaniu; naprawdę poleci tym statkiem do walki z nieznanym wrogiem, statkiem wprawianym w ruch przez napęd, który przetestowano zaledwie parę razy, statkiem tak nowym, że nadal pachniał wypolerowanym metalem. Libby powiedziała:

— Trzy, dwa, jeden.

Gdzieś w głębi statku rozwarła się pułapka magnetyczna. Materia znikła.

A Ednę wcisnął w fotel ciąg tak silny, że zaparło jej dech.

18. Mars

Podróż ciągnęła się bez końca.

Nawet teraz Aleksiej nie pozwalał na żadne rozmowy na poufne tematy czy używanie „nieprzemyślanych słów" w kabinie *Maxwella,* w tej maleńkiej przestrzeni unoszącej się o miliony kilometrów od najbliższej istoty ludzkiej. — Nigdy nie wiadomo, kto słucha. — I chociaż miejsca było więcej niż na pokładzie pająka, papierowe przegrody nie były dźwiękoszczelne, więc Myra i Bisesa nie miały wrażenia prawdziwej prywatności.

Nie rozmawiali ze sobą. Stanowili tak samo zamkniętą załogę jak w pająku.

Po upływie zda się nieskończonego czasu, odmierzanego jedynie stopniowym zmniejszaniem się tarczy Słońca, wreszcie z ciemności wyłonił się Mars. Bisesa i Myra patrzyły z zaciekawieniem przez okna na mostku.

Zbliżający się świat stanowił pomarańczowo-czerwoną tarczę, pokrytą nierównościami, na półkuli północnej snuły się szerokie ławice szarej mgły. W porównaniu z Ziemią, która z przestrzeni kosmicznej była równie jasna jak niebo za dnia, Mars wydał się Bisesie dziwnie mroczny i ponury.

Ale kiedy statek świetlny robił kolejne pętle, stopniowo obniżając lot, zaczęła się orientować w oglądanym krajobrazie. Widać było zniszczone południowe wyżyny, przecięte potężnym Helias, a na północy gładsze, wyraźnie młodsze równiny Vastitas Borealis. Bisesę uderzyło, jak wielkie jest wszystko na Marsie. System kanionów Valles Marineris ciągnął się prawie przez jedną czwartą obwodu planety, a wulkany Tharsis stanowiły wyraźne magmowe odkształcenie powierzchni planety.

To wszystko mogłaby zobaczyć, gdyby odwiedziła Marsa w 1969, a nie w 2069 roku. Ale dzisiaj atmosfera Marsa była pokryta smugami oślepiająco białych chmur. Trasa *Maxwella* przebiegała nad samym szczytem Olimpu, gdzie czarny dym kłębił się w kalderze tak rozległej, że pomieściłaby cały Nowy Jork.

Na odmienionej powierzchni Marsa wyraźnie było widać blizny pozostawione przez burzę słoneczną, ale także i ślady działalności człowieka. Największą osadą na Marsie był leżący w obszarze równikowym Port Lowella, srebrzysta plama na skraju południowych wyżyn. Drogi wiły się we wszystkich kierunkach, przypominając siatkę prostoliniowych kanałów, które dawni obserwatorzy jakoby widzieli na Marsie. Wśród tych dróg i kopuł widać było plamy zieleni, życie przywiezione z Ziemi rozkwitało pod szkłem w glebie Marsa.

Myra pokazała na pas zieleni ciągnący się przez północne

równiny i ginący w mrocznej głębinie Helias. To nie miało nic wspólnego z Ziemią.

Aleksiej powiedział Bisesie, że spędzą kilka nocy w Porcie Lowella. Jak tylko będzie wolny poruszający się po powierzchni łazik, ruszą dalej, na północ — aż do marsjańskiego bieguna, jak się dowiedziała z rosnącym niedowierzaniem. Popatrzyła na gęstą pokrywę mgły, zastanawiając się, co ją czeka tam na dole, w jej nieprzeniknionym mroku.

* * *

Spędzili cały dzień unosząc się nad powierzchnią Marsa, podczas gdy delikatne ciśnienie światła słonecznego stabilizowało orbitę *Maxwella.* Potem przysadzisty, pudełkowaty statek ciężko uniósł się z Portu Lowella.

Jedynym pasażerem wahadłowca była kobieta w wieku około dwudziestu pięciu lat. Ubrana w jasnozielony kombinezon, była szczupła, wyglądała na kruchą, a na jej twarzy, otwartej, jakby pustej, widniał wyraźny tatuaż identyfikacyjny.

— Cześć. Jestem Paula. Paula Umfraville.

Kiedy Paula uśmiechnęła się do niej, Bisesa wydała stłumiony okrzyk.

— Przepraszam. Ja tylko…

— Nie przejmuj się. Mnóstwo ludzi z Ziemi reaguje w ten sam sposób. Naprawdę pochlebia mi, że ludzie tak dobrze pamiętają moją matkę…

Dla pokolenia Bisesy twarz Heleny Umfraville stała się jedną z najsławniejszych na całym świecie, nie tylko z powodu jej udziału w pierwszej załogowej misji na Marsa, lecz dla niezwykłego odkrycia, jakiego dokonała tuż przed śmiercią. Paula mogłaby być jej dublerką.

— Nie jestem nikim ważnym. — Paula szeroko rozłożyła ręce. — Witaj na Marsie! Myślę, że będziesz zaintrygowana tym, co tutaj znaleźliśmy, Biseso Dutt…

Wahadłowiec opadał łagodnie. Kiedy Bisesa patrzyła, pomarszczona powierzchnia Marsa spłaszczyła się i niebo nabrało koloru ochry.

Paula mówiła przez całą drogę, być może próbując w ten sposób uspokoić zalęknionych pasażerów.

— Zwykle przepraszam gości z Ziemi, zwłaszcza jeśli jadą na bieguny, jak ty teraz, Biseso. Wylądujemy na tej szerokości geograficznej i stąd będziemy musieli przewieźć cię drogą lądową aż

na czapę polarną. Ale wszystkie systemy wspomagające znajdują się w Porcie Lowella oraz w innych koloniach położonych w pobliżu równika, ponieważ pas równikowy był jedynym obszarem, do którego mogły dotrzeć statki kosmiczne pierwszej generacji, napędzane energią chemiczną…

Myra była bardziej zainteresowana Paulą niż Marsem. Powiedziała z zakłopotaniem:

— Po burzy słonecznej poszłam na astronautykę. Helena Umfraville była dla mnie bohaterką, studiowałam jej życie. Nie wiedziałam, że miała córkę.

Paula wzruszyła ramionami.

— Nie miała przed udaniem się na Marsa. Ale chciała mieć dziecko. Wiedziała, że na *Aurorze 1* spędzi długie miesiące bombardowana promieniowaniem kosmicznym. Dlatego zanim wyruszyła, zostawiła na Ziemi komórki jajowe. Na czas burzy słonecznej przeniesiono je do hibernaculum. A kiedy burza minęła, mój ojciec — no cóż, oto jestem. Oczywiście matka nigdy mnie nie poznała. Lubię myśleć, że byłaby dumna, że jestem na Marsie, i w pewnym sensie kontynuuję jej pracę.

— Jestem pewna, że byłaby z ciebie dumna — powiedziała Bisesa.

Lądowanie odbyło się szybko i zostało przeprowadzone fachowo; wahadłowiec osiadł na twardym, szklistym podłożu. Bisesa patrzyła. To był Mars. Wszystko wokół było czerwonawobrązowe, ziemia, niebo, nawet zamglona tarcza Słońca.

W ciągu kilku minut pojawił się autobusik z wypukłymi oknami, podskakując na wielkich miękkich kołach. Był pomalowany na zielono, jak kombinezon Pauli, oczywiście, pomyślała Bisesa, używano zieleni, żeby się wyróżniała na tle czerwonego Marsa. Idąc za Paulą, Bisesa wgramoliła się do środka przez tunel, a Aleksiej i Myra oraz ich bagaż za nimi. Autobusik zaopatrzony w plastikowe siedzenia mógłby pochodzić z dowolnego lotniska na Ziemi.

Kiedy pojazd toczył się naprzód, Paula rozprawiała na temat otaczającego ich krajobrazu. Można było odnieść wrażenie, że jest z niego dumna, ogarnięta entuzjazmem.

— Znajdujemy się na dnie kanionu o nazwie Ares Vallis. Jest to kanion odpływowy, powstały w wyniku katastrofalnej powodzi w dalekiej przeszłości, którym płynęła woda z południowych wyżyn.

Jak uważano, dawna katastrofa trwała jedynie od dziesięciu do dwudziestu dni, kiedy rzeka tysiąc razy potężniejsza od Missisipi przedarła się przez stare skały. Wydawało się, że tego rodzaju zdarzenia występowały wzdłuż ciągnącego się równoleżnikowo pasa, gdzie południowa część Marsa stykała się z częścią północną; cała półkula północna leżała poniżej średniego poziomu gruntu,

przypominając jeden olbrzymi krater obejmujący połowę planety.

— Można zrozumieć, dlaczego *Aurora,* pierwsza wyprawa na Marsa, została skierowana właśnie tutaj, a NASA wysłała w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku bezzałogową sondę kosmiczną o nazwie *Pathfinder* w tę samą okolicę…

Rozglądając się wokół, Bisesa nie słuchała jej słów. Ta pokryta pyłem równina zasłana wielkimi głazami przypominała Ziemię, a zarazem miała w sobie coś nieziemskiego. Jakie to dziwne, że nigdy nie dotknie tych kamieni ani nie poczuje zapachu tego rzadkiego powietrza.

Zbliżając się do kopuł Portu Lowella, minęli cylindry ustawione pionowo na trójnogach. W oczach Bisesy wyglądały jak lasery napędowe windy kosmicznej. Wydawało się, że jak dotychczas Marsjanie nie mieli hodowli fasoli, mieli natomiast źródła energii.

Autobusik przejechał obok flag zwisających bezwładnie ponad markerami z marsjańskiego szkła. Bisesa przypuszczała, że tutaj właśnie spoczywa matka Pauli oraz ci z członków załogi Boba Paxtona, którzy zmarli na Marsie. Jeżeli geologia Marsa została na zawsze ukształtowana przez ową potężną powódź w zamierzchłej przeszłości, historia podboju planety przez człowieka z pewnością została naznaczona bohaterstwem załogi *Aurory*.

Autobusik dowiózł ich do największej kopuły i płynnie się zatrzymał.

Przeszli przez tunel łączący i wynurzyli się pośród labiryntu wewnętrznych przegród oświetlonych dużymi lampami fluoroscencyjnymi, zwisającymi z posrebrzanego stropu. Bisesa czuła się bardzo skrępowana, kiedy wchodziła do wnętrza kopuły, poruszając się niezbyt zgrabnymi susami. Poziom hałasu był znaczny, wokół rozbrzmiewały echa.

Wszędzie uwijali się ludzie, wielu było ubranych w zielone kombinezony, podobnie jak Paula. Wszyscy wyglądali za zapracowanych, ale kilku zatrzymało spojrzenie na Bisesie i jej grupie. Bisesa podejrzewała, że dla tych ludzi będzie równie mile widzianym gościem jak turyści w bazie na biegunie południowym Ziemi.

Aleksiej poczuł, że musi coś powiedzieć.

— Nie zwracaj na to uwagi. Po prostu pamiętaj, że za każdy twój oddech musi zapłacić jakiś podatnik…

Bisesa zauważyła, że bardzo niewielu Marsjan miało na policzkach tatuaże identyfikacyjne.

Zostawili bagaże w pokojach, które im przydzielono w ciasnym, przypominającym budę „hotelu”, a Paula zaproponowała, że ich oprowadzi po bazie. Ruszyli za nią, idąc od kopuły do kopuły tunelami, które czasami były tak niskie, że musieli iść w kucki.

W zautomatyzowanej kuchni kupili sobie lunch. Ziemski kredyt

okazał się przydatny, ale miski gęstej zupy i gorzka kawa były drogie.

Kiedy się posilali, obok nich, śmiejąc się, przebiegła grupka dzieci. Były chude i co najmniej tak wysokie jak Bisesa, chociaż z powodu smukłych sylwetek i świeżych twarzy trudno było powiedzieć, w jakim są wieku. Biegły wielkimi susami.

Aleksiej mruknął:

— Pierwsze pokolenie Marsjan. Poczęte w warunkach małej siły ciążenia. Następne pokolenie, ich dzieci, będzie bardzo interesujące…

Bisesa żałowała, kiedy znikły z oczu, a wraz z nimi odrobina ludzkiego ciepła.

W jednej wielkiej półprzezroczystej kopule znajdowało się gospodarstwo rolne. Chodzili między grządkami sałaty i kapusty, w płytkich sadzawkach rósł ryż, a na stołach stały miski pełne jakiejś gęstej cieczy, z której wyrastały łodygi fasoli, grochu i soi. W doniczkach rosły nawet drzewa owocowe, pomarańcze, jabłonie i grusze, najwyraźniej cenne i otoczone troskliwą opieką. Były tam wystawione na działanie różowego marsjańskiego światła, ale światło odległego Słońca było uzupełniane przez rzędy białych lamp.

Szli szybko. Oprócz słabego zapachu jakichś gazów przemysłowych czuć było słodkawą woń ścieków.

Dotarli do półprzezroczystej ściany kopuły i Bisesa ujrzała rzędy roślin posadzonych na zewnątrz. Zwróciła uwagę na ich szkliste lśnienie, a zieleń liści o dziwnych kształtach była ciemniejsza niż zieleń roślin wokół niej.

Jeszcze nie przywykła do Marsa. Dopiero po chwili uderzyło ją, że przecież rośliny te rosną w marsjańskim powietrzu, na zewnątrz kopuły.

— A niech to! — powiedziała.

Aleksiej roześmiał się.

Szli teraz przez obszar zamieszkany. Minęli coś, co wyglądało jak szkoła. Bisesa gorąco zapragnęła tam wejść i dowiedzieć się, jaki program nauczania mają ci pierwsi młodzi Marsjanie — czego ich uczą o Ziemi — ale nie miała odwagi, żeby zapytać o to Paulę.

Napotkali bar o nazwie Ski's, najwyraźniej nazwany tak dla upamiętnienia Schiaparellego, słynnego odkrywcy nieistniejących kanałów na Marsie. Można tam było dostać nawet napoje alkoholowe, ale tylko wina owocowe i whisky. Spróbowali jabłecznika, lecz Bisesie wydał się słaby.

— Mała siła ciążenia, małe ciśnienie — powiedział Aleksiej.

— Łatwiej się tutaj upić.

Ostatnia kopuła, jaką obejrzeli, była największa ze wszystkich i wyglądała na najdroższą. Była zbudowana z paneli ułożonych na ogromnych rozpórkach wykonanych z materiału, który Myra rozpoznała jako szkło księżycowe. Wnętrze kopuły było prawie puste.

Poza paroma kątami, w których zmagazynowano jakiś sprzęt, i małymi warsztatami, były tam tylko zakurzone przegrody, kable i przewody leżące na niewykończonej podłodze.

— Wygląda to, jak gdyby nie wiedziano, co z tym zrobić — powiedziała Bisesa.

— To nie była decyzja Marsjan — powiedziała Paula. — Po burzy słonecznej bardzo się interesowano tym, co się stało z załogą *Aurory,* i wydano mnóstwo pieniędzy, aby marsjańska osada rozwijała się pomyślnie. Tutaj miał być kawałek Ziemi na Marsie. — Zamachała ręką. — Te szklane rozpórki pochodzą z tarczy. Więc to jest rodzaj pomnika, rozumiecie? Na tę wielką kopułę miało być rzutowane niebieskie niebo. Chcieli nadać temu nazwę Oxford Circus.

— Chyba żartujesz.

— Nie — powiedział Aleksiej. — Mieli tu nawet urządzić zoo. Zwierzęta gospodarskie. Może kilka słoni, nie wiem. Wszystko to miano dostarczyć w postaci zygot.

— I pogoda wewnątrz kopuły miała być taka jak na Ziemi — powiedziała Paula. — To nawet działało przez jakiś czas, kiedy byłam mała. Burza z piorunami była przerażająca. Ale wszystko rozsypało się i nikt nie zadał sobie trudu, żeby to naprawić. Po co? Wielu z nas nigdy nie widziało Ziemi, nie tęsknimy za nią. I mamy własną pogodę. — Uśmiechnęła się szerzej, jej młoda twarz była bardzo podobna do twarzy matki, ale oczy miała dziwnie pozbawione wyrazu.

* * *

Tego wieczoru Bisesa rozlokowała się w surowej celi, która zdawała się jej przypominać, że nie jest tutaj gościem, że nie jest tu mile widziana, że w gruncie rzeczy jest ledwie tolerowana.

Ale nad łóżkiem zobaczyła rząd książek — prawdziwych papierowych książek albo faksymiliów. Były to wydania klasycznych powieści o Marsie, jakie napisano na wiele lat przed erą lotów kosmicznych, od Wellsa przez Weinbauma i Bradbury'ego do Robinsona i jeszcze później. Przeglądanie tych książek sprawiało jej dziwną przyjemność; po raz pierwszy, odkąd tu przybyła, przypomniała sobie, jak wiele marzeń było zawsze związanych z Marsem.

Wgramoliła się do łóżka. Przeczytała kilka rozdziałów *Marsjańskiego pyłu,* książki napisanej przez Martina Gibsona. Był to barwny melodramat, który wkrótce ukołysał ją do snu.

19. Piaski Marsa

Obudził ją Aleksiej, potrząsając za ramię.

— Musimy ruszać. Usiadła, przecierając oczy.

— Myślałam, że mówiłeś, że musimy czekać na łazika.

— Nastąpiła zmiana planów. Oni na Marsie nie mają zbyt wielu środków, ale w nocy zaczęli się przenosić.

— Kim są *oni?*

— Astropol. Rada Przestrzeni Kosmicznej. Słuchaj, Biseso, będziemy mieli czas, żeby o tym porozmawiać. Ale teraz, proszę, rusz się.

Jak dotychczas nie przestała ufać ani jemu, ani Myrze. Podniosła się.

Łazika, toczącego się do centralnej kopuły, można było zobaczyć przez małe okno. Miał numer, był czwarty spośród miejscowej floty liczącej sześć sztuk pojazdów przeznaczonych do dalekich wypraw badawczych. Miał także jaskrawoniebieską nazwę wymalowaną na kadłubie: *Discovery*. Był w przybliżeniu wielkości szkolnego autobusu pomalowanego na jasnozielony kolor, a jego kadłub był najeżony antenami i czujnikami; z boku wystawało złożone ramię manipulatora. Łazik ciągnął za sobą równie masywną przyczepę połączoną z pojazdem macierzystym grubym przewodem. Główny pojazd i przyczepa poruszały się na wielkich kołach osadzonych na sprężynujących osiach. Przyczepa zawierała zapasy, części zamienne i urządzenia pomocnicze oraz w co trudno było uwierzyć, małą elektrownię jądrową.

Łazik był na tyle duży, że mógł stanowić bazę dla dziesięcioosobowej załogi w czasie trwającej rok podróży dookoła Marsa. Bisesa zdała sobie sprawę, że nie miała racji, uważając go wyłącznie za rodzaj autobusu. Był to, można by rzec, statek kosmiczny na kołach.

Do zewnętrznej części kadłuba przytwierdzono skafandry ciśnieniowe.

— To mi przypomina kapitana Ahaba przyczepionego do boku wieloryba.

Ale żadne z nich, nie wyłączając Myry, nie słyszało o *Mobym Dicku.*

— Dlaczego *Discovery?* Dla upamiętnienia starego wahadłowca?

— Nie, nie. Dla upamiętnienia pierwszego statku kapitana Scotta — powiedziała Paula. — Wiecie, tego badacza Antarktyki. Używamy tego konkretnego łazika do wypraw polarnych, na północ i na południe, więc ta nazwa wydaje się odpowiednia.

Paula powiedziała, że wyprawy do obu biegunów zawsze należały

do tradycji Portu Lowella. W rzeczywistości astronauci *Aurory* podczas długich lat osamotnienia przed burzą słoneczną organizowali wyprawy do bieguna południowego, z zamiarem odgrzebania prastarych lodów i rozszyfrowania historii klimatu Marsa.

Interesujące opowiadania Pauli wypełniły im czas oczekiwania na łazika. Ale Aleksiej obgryzał paznokcie, bardzo pragnąc jak najszybciej wyruszyć.

W końcu właz otworzył się. Przeszli przez śluzę powietrzną i wgramolili się do przestronnego wnętrza. Był tam nawet mały sektor medyczny wyposażony w roboty, które potrafiły obsługiwać zestaw instrumentów chirurgicznych.

Paula powiedziała:

— Przemierzymy około jednej czwartej obwodu planety, podróżując dwadzieścia godzin dziennie. Za pięć dni będziemy na miejscu.

— Dwadzieścia godzin *dziennie?*

Myra i Bisesa wymieniły spojrzenia. Były już uwięzione przez kilka tygodni w windzie kosmicznej i na pokładzie *Maxwella.* Ale ci Kosmici byli przyzwyczajeni do długotrwałego zamknięcia w małej przestrzeni.

— Oczywiście *Discovery* będzie jechał sam. Pokonywał tę trasę dziesiątki razy i prawdopodobnie zna tu każdy kamień i każde pole lodowe. Kiedy już wyruszymy, jazda będzie odbywać się płynnie…

Paula przeprowadziła krótką rozmowę z centrum kierowania ruchem, po czym łazik szybko przejechał przez śluzę powietrzną kopuły.

Kiedy już byli szczelnie zamknięci, Aleksiej usiadł i odetchnął z ulgą.

— No, załatwione. Co za ulga.

Myra popatrzyła na kopuły Portu Lowella.

— Nie będą nas ścigać?

Aleksiej powiedział:

— Inne łaziki są w terenie. Mars jest nadal słabo zaludniony, Myro, i słabo wyposażony. Nie jest to dobre miejsce do zorganizowania pościgu. I jest mało prawdopodobne, że Astropol i inne agencje dysponują jakimiś środkami w bazie polarnej. — Bisesa dowiedziała się, że Astropol jest federacją ziemskich organizacji policyjnych przeznaczonych do operacji pozaziemskich. — Och, mogą za nami wyruszyć — mruknął Aleksiej. — Ale to byłoby drastyczne posunięcie. Chyba jeszcze nie są gotowi, aby odkryć karty.

Łazik obrócił się i ruszył na północ.

Bisesa i Myra usiadły przed dużym oknem obserwacyjnym i patrzyły na przesuwający się przed ich oczyma krajobraz. Było około południa i Słońce znajdowało się za nimi, cień łazika rozciągał się

przed nimi.

Kopuły Portu Lowella wkrótce znikły za horyzontem przesłonięte chmurą pyłu wzniecanego przez potężne koła łazika. Na początku droga była wysypana tłuczniem, potem był to utwardzony grunt niczym blizna na wyblakłym pyle, a na koniec pożłobiona koleinami ziemia. Z dala od bazy nie było widać żadnych śladów działalności człowieka, jeśli nie liczyć sporadycznych stacji meteorologicznych oraz zda się nieskończenie długich, biegnących na północ kolein. Bisesa dostrzegła w nagim terenie ślady powodzi, wielkie pojedyncze głazy. Ale wszystko wokół nosiło ślady zamierzchłej przeszłości, powierzchnia każdej skały była gładka, każda pochyłość pokryta grubą warstwą pyłu.

Nie widząc nic poza skałami, Myra wkrótce przyłączyła się do Aleksieja i Pauli, którzy byli pochłonięci grą w jakąś egzotyczną formę pokera.

Bisesa siedziała sama przed wypukłym oknem łazika, płynnie poruszającego się po powierzchni Marsa. W miarę jak Słońce przesuwało się po niebie, Bisesa poczuła, jak stopniowo ulega czarowi Marsa. Był jak Ziemia, jego krajobraz nieco przypominał krajobraz ziemski: ziemia w dole, niebo nad głową, pył i porozrzucane tu i ówdzie głazy. Ale horyzont był zbyt blisko, a Słońce zbyte małe i zbyt blade. Gdzieś w głębi umysłu rodziło się pytanie: jakże świat może wyglądać w ten sposób?

Ogarnięta tym uczuciem obcości nagle spostrzegła łuk.

Łazik nie zbliżył się do niego. Łuk wyłonił się zza horyzontu, wysoki, niezwykle wysmukły. Była pewna, że ta ogromna konstrukcja nie mogłaby stanąć na Ziemi; była to typowo marsjańska architektura.

Dzień miał się ku końcowi. Zachód słońca trwał długo i był efektowny: smugi gasnących barw towarzyszyły małej tarczy Słońca niknącej za horyzontem. Jednak nocne niebo budziło rozczarowanie, widać bowiem było zaledwie kilka gwiazd, w powietrzu musiało się unosić zbyt dużo pyłu. Bisesa szukała Ziemi, ale albo jeszcze nie wzeszła, albo nie umiała jej rozpoznać.

Paula przyniosła jej talerz jedzenia, parujące risotto z grzybami i fasolkę szparagową oraz kubek kawy zaopatrzony w pokrywkę. Pochyliła się i wyjrzała przez okno.

Bisesa zapytała:

— Czego szukasz?

— Północnego bieguna niebieskiego. Ludzie zwykle o to pytają.

— Masz na myśli turystów takich jak ja.

Paula nie speszyła się.

— Mars nie ma jasnej gwiazdy biegunowej takiej jak Gwiazda Polarna. Ale popatrz, widzisz gwiazdozbiór Łabędzia? Jego najjaśniejsza gwiazda to Deneb, alfa Cygni. Posuwając się wzdłuż

grzbietu łabędzia w stronę Deneb, trafisz na biegun niebieski mniej więcej w połowie drogi między Deneb a następnym gwiazdozbiorem, Cefeuszem.

— Dziękuję. Ale wszędzie wisi ten pył i widoczność nie jest tak dobra, jak oczekiwałam.

— No cóż, jak powiadają klimatologowie, Mars to muzeum pyłu — powiedziała Paula. — Nie tak jak Ziemia. Tu nie ma deszczu, który by go wymył, i żadnych procesów sedymentacji, które mogłyby go przekształcić w skałę. Unosi się więc w powietrzu.

Mars jest jak śnieżny glob, pomyślała Bisesa.

— Widziałam łuk.

Paula kiwnęła głową.

— Został zbudowany przez Chińczyków. Wznoszą taki pomnik wszędzie tam, gdzie spadnie jakaś ich arka.

A więc ta ogromna konstrukcja służyła upamiętnieniu setek Chińczyków, którzy zginęli na Marsie w dniu burzy słonecznej. Bisesa powiedziała:

— Paulo, byłam trochę zaskoczona, że wybrałaś się z nami.

— Zaskoczona?

— I że jesteś zamieszana w tę tajemniczą sprawę na biegunie Marsa. Aleksiej, tak, to tkwi w jego charakterze.

— Zachowuje się trochę podejrzanie, nieprawdaż?

Obie roześmiały się.

Bisesa rzekła:

— Ale ty wydajesz się bardziej…

— Konformistyczna? — Piękny uśmiech przypominający uśmiech stewardessy nie schodził z jej ust, podkreślony przez blask tablicy wskaźników. — Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli tak o mnie mówią. Może to prawda.

— Chodzi mi o to, że jesteś tak bezbłędna w tym, co robisz.

Paula powiedziała najwyraźniej nieurażona:

— Taka się pewnie urodziłam. Matka jest osobą najbardziej popularną z całej załogi *Aurory,* może poza samym Bobem Paxtonem.

— Więc goście okazują ci… wdzięczność.

— To mogłaby być przeszkoda. Ale dlaczego nie obrócić tego w atut?

— OK. Ale to nie obejmuje wleczenia się razem z nami aż na biegun północny. — Zawahała się. — Podziwiasz swoją matkę, prawda?

Paula wzruszyła ramionami.

— Nigdy jej nie poznałam. Ale jakże mogłabym jej nie podziwiać? Bob Paxton przybył na Marsa i można powiedzieć, podbił go, po czym wrócił do domu. Ale moja matka kochała Marsa. Można to wywnioskować z jej dzienników. Bob Paxton to bohater na Ziemi —

powiedziała. — A moja matka to bohaterka tutaj, na Marsie, to nasza bohaterka numer jeden. — Wrócił poprzedni uśmiech stewardessy. — Może jeszcze risotto?

* * *

W ponurym marsjańskim mroku w cieple kabiny Bisesa zasnęła na swoim siedzeniu.

Obudziło ją klepnięcie w ramię. Stwierdziła, że jest owinięta w koc.

Myra siedziała obok, patrząc przez okno na nadchodzący świt. Bisesa zobaczyła, że jadą terenem pokrytym wydmami, niektóre o wysokości kilkudziesięciu metrów, które wyglądały jak zastygłe fale oddalone od siebie o dobry kilometr. W miejscach osłoniętych od wiatru widać było jakby szron.

— Ojej, przespałam całą noc.

— Dobrze się czujesz?

Bisesa poruszyła się.

— Trochę zesztywniałam. Ale myślę, że przy małej sile ciążenia nawet takie siedzenie jest całkiem wygodne. Przeciągnę się i zaraz się umyję.

— Będziesz musiała poczekać na Aleksieja. Znowu goli głowę.

— Myślę, że byłabym zahipnotyzowana tym widokiem.

— Chyba mu odbiło. — Myra wyglądała na rozdrażnioną.

— Myro? Coś nie tak?

— Nie tak? Chryste, mamo, spójrz na ten widok. *Nic*. A mimo to siedzimy tutaj przez długie godziny, bez przerwy go chłonąc.

— Co w tym złego?

— *Ty*. Jeżeli pojawi się coś dziwnego, zaraz wciągają ciebie. A ty się tym upajasz.

Bisesa rozejrzała się. Pozostali spali. Zdała sobie sprawę, że oto po raz pierwszy od czasu tych bezbarwnych dni po przebudzeniu w hibernaculum jest faktycznie sama z Myrą. Nawet na *Maxwellu* nie było prawdziwej prywatności, a już na pewno nie w kabinie pająka.

— Nigdy nie miałyśmy okazji porozmawiać — powiedziała.

Myra zrobiła ruch, jakby chciała wstać.

— Nie tutaj.

Bisesa położyła jej dłoń na ramieniu.

— Daj spokój. Kogo to obchodzi, jeśli policja nas podsłuchuje? Proszę, Myro. Mam wrażenie, jakbym cię już nie znała.

Myra poprawiła się na siedzeniu.

— Może na tym polega problem. Nie znam cię. Od kiedy opuściłaś ten zbiornik, myślę, że już przywykłam do życia bez ciebie, mamo. Jak gdybyś umarła. A kiedy się pojawiłaś, nie jesteś taka, jaką cię pamiętam. Jesteś jak siostra, którą nagle odnalazłam, a nie jak moja matka. Czy to ma sens?

— Nie. Ale przecież nie rozwijaliśmy się, tkwiąc w hibernaculum, prawda?

— O czym chcesz ze mną mówić? To znaczy od czego mam zacząć. Minęło dziewiętnaście lat, połowa mego życia.

— Opowiedz mi w skrócie.

— OK. — Myra zawahała się i odwróciła wzrok. — Masz wnuczkę.

Miała na imię Charlie, od Charlotte, i była córką Myry i Eugene'a Manglesa. Miała teraz piętnaście lat, urodziła się cztery lata po wejściu Bisesy do zbiornika.

— Dobry Boże. Więc jestem babką.

— Kiedy rozeszliśmy się, Eugene walczył ze mną o opiekę nad dzieckiem. I wygrał, mamo. Miał wpływy. Eugene jest potężny i sławny.

Bisesa powiedziała:

— Ale nigdy nie miał w sobie zbyt wiele z prawdziwego człowieka, prawda?

— Oczywiście mogłam się z nią widywać. Ale to zawsze było za mało. Nie jestem taka jak ty. Nie chcę obcości. Chciałam zbudować dom dla siebie i dla Charlie. Pragnęłam stabilizacji. Ale nigdy do tego nie doszło. I w końcu wyłączył mnie całkowicie. Nie było to trudne. Prawie nie bywają na Ziemi.

Bisesa poszukała jej dłoni, była chłodna i obojętna.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi tego przedtem?

— No, po pierwsze nie pytałaś. I słuchaj, teraz jesteśmy na Marsie! I jesteśmy tutaj, bo jesteś sławną Bisesą Dutt. Masz o wiele poważniejsze zmartwienia niż utracona wnuczka.

— Myro, tak mi przykro. Kiedy to wszystko się skończy…

— Och, nie bądź śmieszna, mamo. Z tobą to się nigdy nie skończy. Ale mimo wszystko będę cię wspierała. Zawsze. Słuchaj, zapomnij o tym. Miałaś prawo wiedzieć. Teraz już wiesz.

— Twarz miała pełną skupienia, zaciśnięte usta. W jej oczach odbijało się zielone światło.

Zielone?

Bisesa wyprostowała się gwałtownie i wyjrzała przez wypukłe okno.

Pod różowiejącym niebem koleiny wiły się przez równinę koloru zmatowiałej ciemnej zieleni. Przyłączyła się do nich Paula.

— *Discovery*. Zwolnij, to będzie można się lepiej przyjrzeć.

— Pojazd posłusznie zwolnił z cichym zgrzytem.

Myra i Bisesa siedziały, czując się nieswojo. Bisesa zastanawiała się, jak wiele Paula słyszała z ich rozmowy.

Teraz Bisesa zobaczyła, że ową zieleń stanowił kobierzec małych roślinek, nie większych od jej kciuka. Każda z nich wyglądała jak skórzasty kaktus, ale miała półprzezroczyste części — okienka, którymi chwytała światło słoneczne, zgadywała Bisesa, nie tracąc ani kropli cennej wilgoci. Widać też było inne rośliny. Dostrzegła małe, czarne kule, owalne, aby mogły zatrzymywać ciepło, czarne, aby chłonąć je w ciągu dnia. Zastanawiała się, czy w nocy robią się białe, żeby uniknąć rozpraszania zgromadzonego ciepła. Ale rosły tam głównie kaktusy.

Myra powiedziała:

— To właśnie kaktusy odkryła Helena po przejściu burzy słonecznej. Życie na Marsie.

— Tak — potwierdziła Paula. — To najpospolitsze organizmy wielokomórkowe, jakie dotychczas znaleźliśmy na Marsie. Podpowierzchniowe kolonie bakterii i stromatolity na Hellas są bardziej rozpowszechnione, stanowią znacznie obfitszą biomasę. Ale kaktusy to wciąż gwiazda programu. Ten gatunek ochrzczono imieniem mojej matki.

Każdy kaktus pochodził z zamierzchłej przeszłości, powiedziała Paula.

Kiedy układ słoneczny był młody, trzy siostrzane światy były przez krótki czas do siebie podobne: Wenus, Ziemia i Mars były ciepłe, mokre i geologicznie aktywne. Nie wiadomo, na którym z nich najpierw pojawiło się życie. Mars z pewnością jako pierwszy wytworzył wokół siebie zawierającą tlen atmosferę będącą paliwem złożonych wielokomórkowych form życia, na miliardy lat przed Ziemią. Ale Mars także jako pierwszy ostygł i wysechł.

Paula powiedziała:

— Ale to zabrało sporo czasu, setki milionów lat. W ciągu tak długiego okresu można osiągnąć wiele, ssaki zapełniły niszę ekologiczną opuszczoną przez dinozaury w ciągu niecałych sześćdziesięciu pięciu milionów lat. Marsjanie byli w stanie opanować strategie przetrwania.

Korzenie kaktusów były zagrzebane głęboko w zimnych skałach Marsa. Nie potrzebowały tlenu, ponieważ ich metabolizm opierał się na wodorze uwalnianym podczas powoli przebiegających reakcji w skałach wulkanicznych zawierających śladowe ilości lodu. W ten sposób one same i ich przodkowie zdołali przetrwać całe eony.

— Zawsze były jakieś epizody działalności wulkanicznej — powiedziała Paula. — Wyziewy kalder na Tharsis powodują wzrost gęstości powietrza co kilkadziesiąt milionów lat. Kaktusy rosną,

rozmnażają się, ponownie zapadają w stan uśpienia i trwają w postaci zarodników aż do następnego epizodu. A potem burza słoneczna wywołała *deszcz,* deszcz wody. Powietrze nadal było gęste i na tyle wilgotne, że przez cały rok nie przechodziły w stan uśpienia. I jak mówią biologowie, są spokrewnione z naszymi formami życia. Tutaj istnieje inny rodzaj DNA — powiedziała Paula. — Wykorzystujący inny zestaw zasad — sześć, nie cztery — oraz odmienny sposób kodowania. To samo dotyczy marsjańskiego RNA i białek, które różnią się od naszych. Uważa się, że układ wykorzystywanych tutaj aminokwasów jest także odrobinę odmienny, ale to wciąż jest przedmiotem kontrowersji. Jednak są to DNA, RNA i białka, zestaw takich samych elementów jak na Ziemi.

Mars był młody i trwało potężne bombardowanie jego powierzchni, gdy pozostałości z okresu gwałtownych narodzin układu słonecznego uderzały w nowe światy. Ale to bombardowanie stanowiło gwarancję, że ogromne ilości roztrzaskującego się materiału, przemieszczały się między poszczególnymi planetami. A ten materiał niósł w sobie życie.

Bisesa popatrzyła na nieruchome kaktusy.

— Więc to nasi kuzyni.

— Ale z wszelkimi formami życia na Ziemi łączy ich jeszcze dalsze pokrewieństwo niż nas. Ostatni znaczący przepływ biomasy musiał mieć miejsce tak dawno temu, że końcowa postać kodowania DNA jeszcze się nie ustaliła na żadnym ze światów. Jednak związek między nimi jest na tyle bliski, że może być użyteczny.

— Użyteczny? W jaki sposób?

Paula postukała w elastyczny ekran i na tablicy wskaźników *Discovery* pojawiły się obrazy przedstawiające, jak naukowcy z Portu Lowella szukają sposobu, aby wpleść marsjańskie geny w ziemskie rośliny. W taki sposób utworzono nowe rodzaje roślin, które nie są ani całkowicie ziemskie, ani też całkowicie marsjańskie i które mogą się rozwijać poza ciśnieniowymi kopułami w koloniach, a mimo to zapewniają pożywienie ludziom i zaopatrują powietrze w tlen. Niektórzy biologowie uważali, że jest to pierwszy krok na drodze wiodącej do uczynienia Marsa planetą podobną do Ziemi. Ich nieformalne ugrupowanie ukuło nawet slogan: *Wszystkie te światy są nasze.*

— Faktycznie — powiedziała Pula — cieszę się, że trafiliśmy na te kaktusy. Ważne, abyś o tym wiedziała, Biseso.

— Dlaczego?

— Abyś mogła zrozumieć, co znaleziono na biegunie.

— Nie mogę się doczekać — powiedziała Myra szyderczo.

— A ja nie mogę się doczekać na łazienkę — powiedziała Bisesa. Wstała z siedzenia, a okrywający ją koc opadł na ziemię. — Aleksiej?

Już skończyłeś?

* * *

Discovery posuwał się do przodu, cierpliwie, w milczeniu, kilometr za kilometrem. W połowie dnia opuścili obszar zieleni i teraz jechali przez monotonną pofałdowaną równinę.

Potem, z każdym dniem podróży, Słońce wznosiło się coraz niżej. Na koniec zaczęło się ślizgać po horyzoncie i pełne światło dzienne zastąpił półmrok sączący się z ciemnego nieba.

Bisesa zrozumiała. Mars był nachylony do osi obrotu podobnie jak Ziemia; w zimie biegun północny był zwrócony w stronę przeciwną do Słońca i kiedy posuwali się na północ, dostawali się w obręb całorocznej nocy arktycznej. Co było charakterystyczne dla Marsa to fakt, że zmiany następowały tak szybko, linie szerokości geograficznej przemykały szybko jedna za drugą. Miała bardzo wyraźnie wrażenie, że jedzie po powierzchni małego owalnego świata, jak mrówka pełznąca po pomarańczy.

O zachodzie słońca na północnym horyzoncie ujrzeli wał chmur.

O świcie znaleźli się pod nim. Czapa polarna była tak gruba, że przesłaniała wszystko oprócz najjaśniejszych gwiazd. Deneb i biegun niebieski znikły.

W południe zaczął padać śnieg.

20. Liberator

— Przeprawa przez cały układ słoneczny zabrała nam prawie pięć dni, Theo. Zastanów się nad tym. Za parę godzin nadejdzie godzina Q, chwila spotkania z bombą…

Liberator miał masę i rozmiary dawnych wyrzutni rakiet *Saturn V*. Ale podczas gdy większość masy *Saturna* ulegała spaleniu i była odrzucana w ciągu kilku minut, a jego ładunek użyteczny poruszał się bez napędu przez większą część drogi do punktu przeznaczenia, potężny silnik *Liberatora* był w stanie utrzymać pełną siłę ciągu przez wiele dni czy nawet tygodni. Umożliwiało to ruch po torze prostoliniowym z jednego punktu na orbicie Jowisza do drugiego, z bazy do miejsca, gdzie znajdowała się bomba. Taki tor statku stanowił osobliwość w układzie słonecznym, w którym wszystkie tory były kołowe lub eliptyczne.

Edna pokonała połowę odległości między Jowiszem a dalekim Słońcem w ciągu stu godzin.

— W rzeczywistości teraz zwalniamy. Zbliżamy się do bomby Q tyłem…

— Większość oficerów odbywających służbę w przestrzeni kosmicznej została przeniesionych z sił morskich Stanów Zjednoczonych, ponieważ większość statków kosmicznych bardziej przypomina łodzie podwodne niż cokolwiek innego. Ale *Liberator* jest inny. Mamy tak wiele energii do dyspozycji, że na statku jest więcej miejsca niż na jakimkolwiek innym statku kosmicznym od czasu *Skylaba.* Jeśli nigdy o nim się słyszałaś, sama sprawdź. John Metternes i ja dzielimy coś w rodzaju dużego mieszkania, w którym są sypialnie, prysznice i prywatna kabina zaopatrzona w monitory i ekspresy do kawy. Kiedy podchodzimy do okienek i patrzymy na boczną część statku, przypomina to widok z wieżowca na Ziemi. Ale większość budynków nie ma anten i masztów z zamontowanymi czujnikami. Albo okienek strzelniczych.

— Muszę już iść, kochanie. Napęd zaraz zostanie wyłączony i byłby kłopot, gdybyśmy niespodziewanie napotkali to licho…

— Jak się czuję? Boję się. Jestem podniecona. Mam zaufanie do swoich umiejętności, doświadczenia Johna i do *Liberatora,* który już udowodnił, jakim jest doskonałym statkiem. Mam nadzieję, że to wystarczy, aby nam się udało. Myślę… myślę, że to wszystko, Libby. Zamknij plik.

— Tak, Edno. Już czas.

— Wiem. Wezwij Johna, dobrze?

21. Biegun

Bisesa nie widziała nic.

Discovery przedzierał się przez półmetrową warstwę śniegu z dwutlenku węgla. Krucha warstwa suchego lodu ulegała sublimacji pod wpływem ciepła pojazdu, wskutek czego poruszali się w roziskrzonej mgle, za którą rozciągała się ponura ciemność. Wszyscy milczeli niby gracze w pokera podczas niekończącego się turnieju. Bisesa musiała znosić sama tę działającą na nerwy jazdę.

W końcu za zasłoną mroku dostrzegła jasnozielone iskrzące się światła. Łazik zwolnił i stanął. Reszta załogi poderwała się.

Na lodzie stał jakiś pojazd o wielkich balonowych kołach, na którym siedzieli okrakiem dwaj ludzie w skafandrach kosmicznych. Mieli podświetlone hełmy, ale Bisesa nie mogła dojrzeć ich twarzy. Kiedy zobaczyli światła łazika, pomachali rękami.

— To trycykl — powiedziała ze zdumieniem Myra.

— Istotnie — spokojnie powiedziała Paula. — Nazywają go Pojazdem Ogólnego Zastosowania. Służy do przeprowadzania operacji w pobliżu stacji na biegunie…

— Chcę mieć taki. Aleksiej postukał w ekran. — Jurij. Czy to ty?

— Cześć, Aleksiej. Oczyściliśmy dla was drogę lemieszem sublimacyjnym. Jest więcej śniegu niż zazwyczaj o tej porze roku.

— Dzięki.

— *Discovery,* po prostu jedźcie za nami, a wszystko będzie dobrze. Jeszcze jedenaście, dwanaście godzin i będziemy w domu. Do zobaczenia w Stacji Wellsa.

Pojazd zakręcił i ruszył przed siebie. Wokół zawirowała mgła w świetle reflektorów.

Discovery podążył za nim i szybkość małego konwoju wkrótce przekroczyła czterdzieści kilometrów na godzinę.

Kiedy zagłębili się w ciemność, twardy grunt zalegający pod śniegiem zaczął się zmieniać. Leżał grubymi warstwami, na przemian jasnymi i ciemnymi, przypominając skałę osadową. Wyglądał jak wypolerowany, pokryty patyną, lśniącą w świetle reflektorów pojazdu.

Po kilku godzinach dotarli do jaśniejszej, twardszej powierzchni, brudnobiałego koloru zabarwionego marsjańską czerwienią.

— Lód — oznajmiła Paula. — W każdym razie głównie. To stała czapa lodowa, pozostałość po tym, jak każdej wiosny śnieg z dwutlenku węgla znika w wyniku sublimacji. Tu, na krawędzi czapy, jesteśmy około pięciuset kilometrów od Stacji Wellsa, która leży w pobliżu bieguna. Teraz jazda będzie bardziej płynna. Koła łazika można przystosowywać do różnych typów powierzchni.

Bisesa powiedziała:

— Jestem zaskoczona, że *Discovery* nie jest wyposażony w narty.

Aleksiej popatrzył na nią ze zbolałą miną.

— Biseso, to jest Mars. Temperatura zewnętrzna jest równa temperaturze krzepnięcia suchego lodu i przy tym ciśnieniu wynosi około stu pięćdziesięciu kelwinów.

Zastanowiła się.

— Czyli około stu pięćdziesięciu stopni poniżej zera.

— Tak — powiedziała Paula. — W tej temperaturze zwykły lód jest twardy jak bazalt.

Bisesa była rozczarowana.

— Ten mały wykład wygłaszałaś już dziesiątki razy, prawda?

— Nie miałaś czasu, żeby się w tym zorientować. Nie przejmuj się.

Teraz, gdy poruszali się po lodzie, Bisesa oczekiwała płynnej jazdy do samego bieguna. Ale pojazd prowadzący niebawem zboczył z wiodącego na północ szlaku i ruszył drogą okrężną, skręciwszy w prawo. Wyglądając przez lewe okno, Bisesa spostrzegła kanion.

Schowawszy honor do kieszeni, zapytała o to Paulę.

Paula powiedziała, że jest to „kanion spiralny", jeden z wielu kanionów wyżłobionych w czapie lodowej. Pokazała obraz całej czapy lodowej sfotografowanej z kosmosu latem, kiedy śnieg z suchego lodu nie przesłaniał krajobrazu. Czapa lodowa wyglądała jak poskręcany układ burzowy, a owe kaniony spiralne wiły się, sięgając niemal do samego bieguna. Było to zdumiewające i nie przypominało niczego, o czym Bisesa słyszała na Ziemi. Ale po tej wyprawie przez układ słoneczny niewiele mogło ją naprawdę zadziwić.

W miarę posuwania się do przodu śnieg stawał się coraz głębszy i w końcu jechali między dwiema śnieżnymi ścianami o wysokości dobrych dwóch metrów. Śnieg robił wrażenie zbitego i był zapewne gęstszy niż na Ziemi.

Poczuła ulgę, gdy zobaczyła przed sobą skupisko świateł i zaokrąglone ściany modułów mieszkalnych.

Rząd zielonych świateł ciągnął się w dal, jak gdyby jechali wzdłuż pasa startowego. Kiedy łazik podjechał bliżej, Bisesa zobaczyła, że światła były umieszczone na słupach wysokich na cztery metry, zapewne po to, aby wystawały ponad śnieg. Spojrzawszy do tyłu, zobaczyła, że światła są białe, a więc w mroku marsjańskiej zamieci zawsze można się było zorientować, czy człowiek się porusza w stronę bazy, czy też w stronę przeciwną.

Konstrukcje wyłaniające się z mroku stały na palach i nie miały kształtu kopuł, lecz były spłaszczone, zaokrąglone u góry i u dołu. Były pomalowane na jasnozielony kolor, stały obok siebie i były połączone krótkimi tunelami. Bisesa zobaczyła, że te wielkie moduły są w rzeczywistości osadzone na kołach i przymocowane do lodu

linami. Pomyślała, że przypominają monstrualne przyczepy kempingowe.

Kiedy łazik zbliżył się do stacji, śniegowe ściany stały się cieńsze i w końcu pojazd jechał po lodowej powierzchni prawie pozbawionej śniegu pokrytej czarną siatką. Zapewne elementy grzejne, aby chronić przed osadzaniem się suchego lodu, pomyślała Bisesa. Łazik podjechał do niskiej kopuły u stóp jednego z pali. Były tam już zaparkowane dwa pojazdy, cięższe i mniejsze od ich łazika.

Paula poprowadziła ich przez właz i Bisesa znalazła się naprzeciw schodów pokrytych dachem z niebiesko-zielonego plastiku, które najwyraźniej prowadziły do najbliższego modułu. Walizka Aleksieja nie była w stanie pokonać schodów i trzeba ją było wciągnąć za pomocą liny.

U szczytu schodów nowo przybyłych oczekiwała załoga stacji. Było ich czworo, dwie kobiety i dwóch mężczyzn, o patykowatych kończynach i nieco zbyt wielkich brzuchach. Wszyscy byli dosyć młodzi. Bisesa przypuszczała, że żadne z nich nie przekroczyło czterdziestki. Kombinezony mieli czyste, ale mocno połatane i niósł się od nich lekki zapach tłuszczu. Nikt nie miał tatuażu identyfikacyjnego.

Zbici w gromadkę, wpatrywali się w Bisesę.

Jeden z nich, krzepki dwudziestopięciolatek, postąpił naprzód i uścisnął Bisesie dłoń.

— Musisz nam wybaczyć. Nie mamy tu zbyt wielu gości. — Miał duży, pokryty plamami, pijacki nos, brudne czarne włosy związane w koński ogon i gęstą kędzierzawą brodę. Mówił niewyraźnie, z amerykańskim akcentem okraszonym długimi europejskimi samogłoskami.

— Ty jesteś Jurij, prawda? Jechałeś na lodowym rowerze.

— Tak. To ja machałem do was. Nazywam się Jurij O'Rourke. Jestem miejscowym glacjologiem, klimatologiem i czym tylko chcesz. — Szybko przedstawił resztę załogi: Ellie von Devender, fizyk, Grendel Speth, lekarz-biolog, oraz Hanse Critchfield, inżynier odpowiedzialny za energię, transport i podstawowe systemy, a zarazem specjalista od urządzeń wiertniczych, głównych elementów programu badawczego bazy. — Chociaż wszyscy jesteśmy wielozadaniowi — powiedział Jurij — zostaliśmy także przeszkoleni w zakresie paramedycyny…

Ellie von Devender podeszła do Bisesy. Miała około trzydziestu lat, była krępa, włosy miała związane do tyłu. Nosiła okulary w grubych oprawkach, co sprawiało, że nie było widać jej oczu i nadawało jej nieprzyjazny wygląd.

Bisesa powiedziała zaciekawiona:

— Mogłam się spodziewać glacjologa, biologa. Ale fizyk?

Ellie powiedziała:

— Glacjologia to powód istnienia tej bazy oraz obecności Grendel

i jej laboratorium. A ja jestem powodem, dla którego *pani* znalazła się tutaj, pani Dutt.

Jurij poklepał Bisesę po ramieniu.

— Chodźmy obejrzeć to miejsce. — Szybko ich oprowadził po pomieszczeniu mieszkalnym. — Nazywamy je Puszka nr Sześć — powiedział. — Jest wykonana z kopolimeru etylenu…

Puszka nr Sześć stanowiła bąbel, którego ściany pomalowano na kolor morski, fale łudząco przypominały prawdziwe. Podłoga typu plaster miodu pokrywała całe pomieszczenie i Bisesa, patrząc w dół, widziała pod spodem rozmaite zapasy ułożone w sterty. Nie było widać żadnych skafandrów kosmicznych, ale w ścianach widniały jakieś włazy, które mogły prowadzić do pomieszczeń, w których je przechowywano. Wszędzie wokół leżały sterty przedmiotów, które wyglądały jak części zamienne i inne elementy łazików; było tam także małe laboratorium i część medyczna oraz jedno łóżko otoczone różnymi sprzętami, odgrodzone od pozostałej części pomieszczenia zasuwaną plastikową zasłoną. Wszędzie było ciemno, zimno i unosił się kurz, jakby rzadko z tego miejsca korzystano.

Jurij pośpiesznie przeprowadził ich przez małą śluzę powietrzną do drugiego modułu.

— Puszka nr Pięć, naukowa — powiedział. Było tam również obszerniejsze laboratorium i duża część szpitalna oraz coś, co wyglądało jak mała siłownia. Było tam jaśniej, a przytwierdzone do ścian jarzące się panele przedstawiały widoki gór i rzek.

Bisesa mruknęła do Myry:

— Po co dwa laboratoria i dwa stanowiska medyczne?

Myra wzruszyła ramionami.

— Może po to, aby uniknąć skażenia. Zdejmujesz skafander i możesz zajmować się swoimi próbkami i leczyć rany, nie wchodząc do bazy.

— Skażenia załogi przez Marsjan?

— Albo Marsjan przez załogę.

W Puszce nr Pięć Grendel Speth, mała, schludna i szczupła kobieta o czarnych włosach przyprószonych siwizną, szybko pobrała od gości próbki krwi i moczu.

— Żebyście na stacji pozostali zdrowi — powiedziała. — Testy uczuleniowe, tego rodzaju badania. Nasze pożywienie pochodzi z liofilizowanych produktów z Portu Lowella i jarzyn z naszego ogródka. Dodajemy do niego różne składniki, żeby zapewnić indywidualne zapotrzebowanie pokarmowe. Nawet nie będziecie zdawać sobie sprawy z ich obecności…

Teraz Jurij powiódł ich do trzeciego modułu — Puszki nr Trzy, która najwyraźniej stanowiła część sypialną podzieloną na małe sypialnie, ciemne i wyraźnie nieużywane. Następnie przeszli do

kolejnego modułu, Puszki nr Dwa. O dziwo, moduł ten był urządzony tak, aby przypominał śródmiejski hotel o nazwie „Mars-Astoria". Liczne przegrody usunięto, by przestrzeń uczynić bardziej otwartą, chociaż główna część była przeznaczona na małą kuchnię i natrysk z toaletą. Znajdowały się tam cztery łóżka, obok których stały małe szafki i krzesła, a wszystko było zawalone ubraniami i rozmaitymi sprzętami. Elastyczne ekrany umieszczono nad byle jakim krajobrazem miejskim, na którym widniały sceny z życia rodzinnego.

Myra zapytała zaciekawiona:

— Chyba nie wykorzystujecie tego zgodnie z przeznaczeniem, co?

Jurij powiedział:

— Stację Wellsa zbudowano dla dziesięciu osób, a nas jest tylko czworo. Noce są tutaj długie, Myro. Wolimy mieszkać razem.

Potem Jurij poprowadził ich kolejnymi schodami do małej kopuły, a stamtąd w dół schodami wykutymi w lodzie.

— Przepraszam za to wszystko. Jak widzicie, mamy tutaj tylko cztery łóżka, a moduły, których nie wykorzystujemy, są praktycznie zamknięte. Gości na ogół umieszczamy tutaj, w schronie zabezpieczonym przed promieniowaniem… Jeżeli będzie tu wam niewygodnie, możemy otworzyć jeszcze jedną puszkę.

Schodząc Bisesa rozglądała się wokół. Jaskinia wykuta w lodzie stanowiła przysadzisty cylinder podzielony przegrodami na poszczególne segmenty. Zobaczyła kuchnię, stanowisko łączności, kabinę z prysznicem i zagracone pomieszczenie, które wyglądało jak laboratorium lub punkt medyczny. Miejsce to nosiło ślady dowodzące, że było wykorzystywane. Na podłodze koło kuchni i prysznica widać było ślady, ściany i metalowe powierzchnie były porysowane, a w powietrzu unosił się słaby zapach stęchlizny.

Część ściany była odsłonięta i Bisesa zobaczyła, że pokrywa ją dziwny wzór, cienki pas z niewyraźnymi kreskami i zwykłą skalą metryczną. Ten kod kreskowy ciągnął się wzdłuż całej zakrzywionej powierzchni ściany, niby skóra jakiegoś ogromnego węża.

Pokój, który miały dzielić Myra i Bisesa, był na tyle duży, że mieściły się w nim piętrowe łóżka, stół i dwa krzesła. Tylną ścianę pokoju stanowił lód, pokryty warstwą półprzezroczystego plastiku i ozdobiony owym dziwnym wzorem, który opasywał ścianę od końca do końca.

Kiedy rozlokowywały się, Jurij usiadł na łóżku. W tym małym pomieszczeniu zajmował sporo miejsca.

— Tu, w Stacji Wellsa, jest dosyć przytulnie. W rzeczywistości zimno strefy polarnej nie sprawia wielkiego kłopotu. Jeśli na marsjańskim równiku latem, w południe, wyjdzie się na zewnątrz, można sobie odmrozić tyłek. Głównym problemem jest tutaj ciemność — trwająca przez połowę marsjańskiego roku, czyli dwanaście

ziemskich miesięcy. Badacze okolic podbiegunowych Ziemi stają przed podobnym wyzwaniem. Wiele się od nich nauczyliśmy. Jednak więcej od Shackletona niż od Scotta.

Myra powiedziała:

— Jurij, nie potrafię umiejscowić twojego akcentu.

— Moja matka była Rosjanką i stąd moje imię, a ojciec był Irlandczykiem, po którym noszę nazwisko. Oficjalnie jestem obywatelem Irlandii, czyli Eurazji. — Wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Ale tutaj nie ma to większego znaczenia. Z dala od Ziemi wszystko się trochę przemieszało. — Zwrócił się do Bisesy. — Pani Dutt…

— Bisesa.

— Bisesa. Wiem, że znalazłaś się tutaj z powodu tego, co jest w Jamie.

Bisesa przyjrzała się Myrze badawczo. O co chodzi? Jaka znów Jama?

— Musisz wiedzieć, czym się tu naprawdę zajmujemy. — Przesunął dłoń po pasiastym wzorze na ścianie. Linie były ledwo widoczne, miały nieregularną szerokość i różne barwy. Przypominały kod kreskowy albo spektrogram. — Spójrz na to. Dlatego właśnie tu przyjechałem. Ta tapeta to najpełniejszy obraz jądra, jaki udało nam się uzyskać.

Myra kiwnęła głową.

— Lodowego jądra Marsa.

— Tak jest. Przeprowadziliśmy wiercenia dokładnie w tym miejscu, od szczytu czapy lodowej, i dotarliśmy do głębokości dwa i pół kilometra. Hanse Critchfield z przyjemnością pokaże ci swój sprzęt. Oczywiście to byłyby trzy kilometry, gdyby burza słoneczna nie stopiła górnych warstw lodu. — Potrząsnął głową. — Cholerna szkoda.

Myra przesunęła palec po ścianie.

— I potraficie to zinterpretować, tak samo jak to się robi na Ziemi?

— Jasne. Czapa składa się z kolejnych warstw lodu gromadzących się rok po roku. I za każdym razem „rejestruje” warunki panujące w tym czasie: klimat, zawartość pyłu, promieniowanie kosmiczne, wszystko. Tak jak na Ziemi. Oczywiście szczegóły się różnią. W Grenlandii na przykład roczny opad śniegu wynosi kilkadziesiąt centymetrów. Tutaj szczątkowa warstwa lodu przyrasta rocznie zaledwie o jedną siódmą milimetra.

— Popatrz tutaj. — Stanął przy ścianie, w miejscu gdzie kończył się długi, wijący się pasek. — To jest górna część paska, najświeższe warstwy znajdują się na górze, bo osadziły się na końcu, zgoda? Górna część została zebrana przez załogę *Awory* przed burzą słoneczną. Kilka centymetrów odpowiada dziesięcioleciom. Te cienkie brązowe paski…

— wskazał je kciukiem — odpowiadają globalnym burzom pyłowym. A *ten* pasek odpowiada temu, co odkrył *Mariner 9,* kiedy wszedł na orbitę w 1971 roku, cała planeta była otoczona pyłem…

Na Marsie zdarzenia następujące w różnych okresach czasu zostały zarejestrowane na różnych poziomach lodowego rdzenia. Dziesięć centymetrów poniżej można było znaleźć ślady promieniowania, które dotarło do planety w wyniku eksplozji supernowej, jaka miała miejsce przed tysiącem lat w centrum mgławicy Kraba. Każdy metr stanowił znaczącą warstwę zawierającą mikrometeoryty, zastygłe kropelki niegdyś płynnej skały; co dziesięć lub sto tysięcy lat w Marsa uderzał obiekt na tyle ciężki, że powodował rozrzucenie szczątków na obszarze aż do bieguna. A duże paski na skali metrycznej odpowiadały najbardziej dramatycznym zdarzeniom w obecnej epoce, zmianom nachylenia biegunów, które mają miejsce co sto tysięcy lat.

Jurij powiedział:

— W tym marsjańskim lodzie można nawet znaleźć ślady Ziemi — meteoryty pochodzące z naszego świata, podobnie jak na Ziemi można znaleźć meteoryty z Marsa. — Wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Wciąż szukam śladów tego meteorytu, który zmiótł z Ziemi dinozaury.

Myra przyjrzała mu się uważnie.

— Kochasz swoją pracę, prawda? — Bisesa pomyślała, że w jej głosie zabrzmiała zazdrość. Zawsze pociągali ją mężczyźni z poczuciem misji, tacy jak Eugene Mangles.

— Gdyby tak nie było, nie utknąłbym w tej lodowej trumnie. Ale już się na tym nie koncentrujemy. Po tym, jak znaleźliśmy to pod lodem, nikogo nie obchodzi cała reszta. Czapa lodowa, jądro. To tylko przeszkadza.

Bisesa zastanowiła się.

— Przykro mi.

Zaśmiał się krótkim śmiechem.

— To nie twoja wina.

Myra spytała:

— Więc co właściwie znaleźliście?

— Zaraz się przekonasz. Jeśli skończyłyście, zapraszam na naradę wojenną. — Podniósł się.

22. Zbliżenie

Liberator pędził w stronę bomby Q jak włócznia lodu i ognia. W kabinie załogi Edna Fingal i John Metternes mieli na sobie skafandry ciśnieniowe i hełmy z wizjerami.

Chociaż bomby Q wciąż nie było widać gołym okiem, już ją „widzieli" dzięki jej przyciąganiu grawitacyjnemu w postaci węzła energii magnetycznej oraz mgiełki egzotycznych cząstek, jakie wysyłała, lecąc przez układ słoneczny.

— Jest dokładnie tak, jak przewidział profesor Carel — poinformował John, przeglądając podsumowanie wyświetlane na ekranie. — Dokładnie jak na widmie, które otrzymałaś po wyparowaniu miniaturowej czarnej dziury. Najwyraźniej to artefakt kosmologiczny…

— Tam — szepnęła Edna. Pokazała na okno.

Bomba Q była jak bąbel zniekształconego światła gwiazd, kropla wody unosząca się w niebiosach. Kiedy Edna rzeczywiście ją dostrzegła, poczuła jak chłód przenika ją do szpiku kości.

— To Oko — poinformował John. — Doskonale odbijająca kula o średnicy stu metrów. Posiada wszystkie typowe cechy: zniekształcona geometria, anomalne przesunięcie Dopplera w obszarze powierzchniowym. Jednakże widmo promieniowania nie jest dokładnie takie, jakie zarejestrowano w pobliżu Oczu wykrytych wśród planetoid trojańskich podczas burzy słonecznej.

— Więc to nie jest jedynie obserwator. Chyba wiedzieliśmy to już przedtem.

— Jest pięć kilometrów stąd i zbliża się — łagodnie powiedziała Libby.

Edna spojrzała na Johna. Wiedziała, że brał prysznic zaledwie godzinę wcześniej, ale mimo to pot wystąpił mu na czoło i spływał po szyi.

— Gotów?

— Jak zawsze, kobieto.

— Będziemy działać zgodnie z uzgodnioną strategią. Libby, rozumiesz? Cztery przeloty. A jeśli zauważymy jakąś zmianę…

— Wracamy migiem — powiedziała Libby. — Będzie dokładnie tak jak podczas prób. Trzy kilometry do maksymalnego zbliżenia. Edno?

— Tak, Libby?

— Historia na nas patrzy.

— O Jezu — mruknął John.

23. Jama

Czterech członków załogi, plus Bisesa, Myra i Aleksiej, siedziało kołem na krzesłach i skrzyniach w Puszce nr Dwa, w hotelu Mars-Astoria. Paula chyba odsypiała podróż.

I tu, na biegunie północnym Marsa, pod pokrywą śniegu z dwutlenku węgla, w jednym z najbardziej odosobnionych i bezpiecznych miejsc w układzie słonecznym, Bisesa w końcu usłyszała prawdę.

Wydawało się, że Aleksiej poczuł ulgę, gdy w końcu wyjawił to, co odkryły różne frakcje Kosmitów: że coś nieznanego i groźnego wniknęło do wewnętrznej części układu słonecznego.

— Nazywają to bombą Q. Według najbardziej prawdopodobnego domysłu to artefakt Pierworodnych, który ma nas zniszczyć. Flota kosmiczna podjęła jakąś misję, aby to zlikwidować. Może im się uda. Ale jeżeli nie…

— Macie własny plan.

— Tak jest.

Bisesa popatrzyła na krąg otaczających ją ludzi, znacznie młodszych niż ona sama i Myra, ale w końcu Kosmici byli młodzi z definicji.

— To ma charakter potajemny. Stanowicie niewątpliwie swego rodzaju frakcję. Krążycie wokół, kryjąc się przed ziemską policją. Dobrze się bawicie, co? Macie jakiegoś przywódcę?

— Tak — powiedział Aleksiej.

— Kto to jest?

— Tego nie możemy ci powiedzieć. Jeszcze nie teraz. Ale nikt z tu obecnych.

— I sprowadziliście mnie tutaj z powodu czegoś, co znaleźliście pod lodem.

— Tak jest.

— Więc pokażcie mi to.

Grendel Speth, astrobiolożka i lekarka, stanęła naprzeciw Bisesy.

— Dopiero przyjechałaś. Jesteś pewna, że nie musisz odpocząć?

Bisesa podniosła się.

— Odpoczywałam przez dziewiętnaście lat i podróżowałam przez wiele tygodni. Chodźmy.

Jeden po drugim wszyscy wstali i ruszyli za nią.

* * *

Ażeby dotrzeć do Jamy, musieli założyć skafandry.

Wrócili do Puszki nr Sześć, a potem poszli w dół schodami do małej kopuły. Tam Bisesa, Myra i Aleksiej zdjęli kombinezony. Wiedząc, że marsjański mróz jest o parę metrów dalej, Bisesa niedorzecznie poczuła zimno na gołej skórze.

Doktor Grendel szybko ją zbadała.

— Biorąc pod uwagę, że przez dwa dziesięciolecia systematycznie rujnowałaś sobie organizm w hibernaculum, jesteś w świetnym stanie.

— Dziękuję.

Skórę Bisesy szybko natłuszczono. Musiała przywdziać „biokamizelkę", dość gryzący fragment ubioru, który przywarł do jej skóry, tworząc powierzchnię kontaktu z układami biometrycznymi, które miały monitorować stan jej ciała podczas tego wypadu. Następnie założyła jasnozielony obcisły kombinezon oraz hełm, buty, rękawice i mały plecak. Grendel wyjaśniła jej, że stanowi to pełny skafander kosmiczny, w którym ciśnienie jest utrzymywane na stałym poziomie dzięki naprężeniu elastycznej tkaniny i w razie niebezpieczeństwa, na przykład uszkodzenia modułu, zapewnia przeżycie przez blisko godzinę.

Ale ten kombinezon stanowił jedynie wewnętrzną warstwę w podwójnej konstrukcji skafandra. Musiała się jeszcze wślizgnąć do jednego z tych strojów kapitana Ahaba.

Poprowadzono ją do małego włazu w ścianie kopuły, którym dotarła do kombinezonu zewnętrznego, przytwierdzonego do zewnętrznej ściany kopuły. Pomagali jej wsunąć do środka najpierw nogi, potem ręce i na końcu tułów i głowę. Wizjer w hełmie był nieprzezroczysty. Skafander składał się ze sztywnych fragmentów, przypominał średniowieczną zbroję. Ale kiedy się wślizgiwała do środka, dopasowywał się do jej ciała; cały czas słyszała buczenie serwomotorów. Najtrudniejszą sprawą było przeciśnięcie głowy w hełmie przez właz i założenie większego hełmu zewnętrznego.

Grendel zawołała:

— Jak się czujesz? One nie są robione na miarę.

— Świetnie. Jak się z tego wydostanę?

— Kiedy będziesz potrzebowała, skafander ci to powie.

W końcu Grendel zatrzasnęła panel na jej plecach. Skafander odskoczył od ściany kopuły i Bisesa lekko się zatoczyła.

Wizjer rozjaśnił się. Otoczona marsjańskim zimowym mrokiem, widziała jedynie owalną osłoniętą hełmem twarz technika, który miał na imię…

— Hanse — powiedział uśmiechając się. — Właśnie sprawdzam, czy twój skafander funkcjonuje jak należy. Kiedy wpadniesz w odpowiedni rytm, nauczysz się mnie wyczuwać, działamy w systemie

dwójkowym… Skafander Pięć? Jaki masz status?

W uszach Bisesy zabrzmiał cichy męski głos.

— Nominalny, Hanse, jak możesz się przekonać na podstawie odczytów. Biseso?

— Słucham.

— Jestem tutaj, aby ci pomagać, najlepiej jak potrafię, podczas prowadzenia działań poza statkiem kosmicznym.

Hanse powiedział:

— Wiem, że konstrukcja skafandra musi ci się wydawać nieco osobliwa, Biseso. To wszystko z powodu POP.

— POP?

— Protokołu Ochrony Planetarnej. Nigdy nie wnosimy kombinezonów do środka ziemskich modułów mieszkalnych, nigdy nie mieszamy ze sobą obu środowisk. Chronimy przed sobą nawzajem marsjańskie i ziemskie formy życia.

— Mimo że są bliskimi kuzynami.

— Tacy są najgorsi. A poza tym jest ten pył. Marsjański pył jest toksyczny i pełen nadtlenków, powoduje silną korozję. Najlepiej nie wpuszczać go do naszych mieszkań i płuc. Musimy dokładnie czyścić uszczelnienia tych skafandrów, bo inaczej trudno je zakładać, a nie chciałabyś chyba tutaj utknąć. Potem ci to wszystko pokażę.

Przed wizjerem przesunęła się twarz lekarki.

— Dobrze sobie radzisz, Biseso. Spróbuj się trochę poruszać.

Bisesa podniosła ręce i opuściła; usłyszała szum serwomotorów i skafander zrobił się lekki jak piórko.

— Dziwnie się czuję, nie mogąc opuścić rąk do końca. Ani podrapać się po twarzy. Myślę, że to minie.

— Mogę cię podrapać to twarzy, jeśli…

— Dam ci znać, jak będę chciała, Piątko. — Rozejrzała się wokół. Ziemia była płaska i biała, a niebo zamglone i ciemne. Ponure moduły stacji wznosiły się przed jej oczyma, obok pali leżały sterty rozmaitego sprzętu i zapasów i stały zaparkowane pojazdy: dwa łaziki zaopatrzone w pługi śnieżne i coś, co przypominało skutery śnieżne. *Discovery* dawno zniknął, wyruszywszy w drogę powrotną do Portu Lowella.

Aleksiej, Myra i cała załoga stacji, wszyscy ze Stacji Wellsa poza Paulą, byli obecni, stojąc w zielonych skafandrach kosmicznych, z oświetlonymi twarzami i patrząc na nią. Śnieg wciąż padał wielkimi płatami z wiszącego nisko, szarego nieba.

— Wielki Boże, jestem na biegunie Marsa. — Podniosła rękę i poruszyła palcami.

Zbliżył się Jurij.

— Musimy odbyć krótki spacer. Tylko kilkaset metrów. Urządzenie wiertnicze znajduje się z dala od pomieszczeń

mieszkalnych z uwagi na bezpieczeństwo i potrzebę ochrony planety. Chodźmy, dasz sobie radę. Proszę. Idź koło mnie. I ty, Myro, także.

Bisesa spróbowała. Krok za krokiem, szła równie łatwo jak wtedy, gdy miała trzy lata. Skafander wyraźnie jej pomagał.

Jurij kroczył między Myrą i Bisesą. Pozostali szli przodem. Technik wiertniczy Hanse Critchfield miał z tyłu aparatury podtrzymującej życie przytwierdzony odpowiedni znak informacyjny z rysunkiem tryskającego szybu naftowego. Jego skafander robił wrażenie cięższego od pozostałych. Zapewne była to dodatkowo wspomagana wersja przeznaczona do pracy na platformie wiertniczej.

Płatki marsjańskiego śniegu stukały w wizjer hełmu Bisesy i natychmiast ulegały sublimacji, pozostawiając ledwo widoczne plamy.

— Nawiasem mówiąc, mogę ci służyć pomocą w każdym zakresie — powiedział Skafander Pięć.

— Jestem tego pewna.

— Kieruję przesyłem twoich danych i twoimi zasobami zużywalnymi. Dysponuję także zaawansowanymi funkcjami przetwarzania danych. Jeśli na przykład interesuje cię geologia, mogę ci w polu widzenia wyświetlać interesujące informacje: niezwykłe rodzaje skał czy lodu, niezgodności zalegania warstw…

— Dzisiaj to chyba nie będzie potrzebne.

— Chciałbym, żebyś wypróbowała moje funkcje fizyczne. Być może wiesz, że przy marsjańskiej sile ciążenia chodzenie jest w rzeczywistości bardziej energochłonne niż bieganie. Jeśli sobie życzysz, mogę poddawać naprężeniu wybrane grupy mięśni, kiedy idziesz, zapewniając w ten sposób trening…

— Och, zamknij się, Piątka, ty nudziarzu — warknął Jurij. — Biseso, przepraszam. Nasi elektroniczni towarzysze to istne cuda techniki. Ale czasami są trochę upierdliwi, prawda? Zwłaszcza gdy otaczają cię takie cuda.

Myra omiotła spojrzeniem ponurą równinę pokrytą twardym jak skała lodem, którą widziała niezbyt wyraźnie wskutek płatków śniegu unoszących się w świetle reflektora jej hełmu.

Powiedziała sceptycznie:

— Cuda?

— Tak, cuda — przynajmniej z punktu widzenia glacjologa. Chciałbym żyć w takim spokojnym świecie, w którym mógłbym zaspokajać tę swoją pasję.

Zbliżyli się do największej budowli wznoszącej się na lodzie. Była to półkulista kopuła wysoka na ponad dwadzieścia metrów, jak oceniła Bisesa. Pod wiotkimi płytami ujrzała żebrowaną konstrukcję. Był to namiot, rozpięty na słupach, a nie nadmuchiwany. Mimo to był zaopatrzony w śluzy powietrzne, przez które musieli się przedostać.

Była to platforma wiertnicza. Ukochane dziecko Hanse'a

Critchfielda, który pomógł Bisesie przejść przez śluzę.

— To w istocie bariery POP, a nie śluzy. Faktycznie utrzymujemy tutaj niewielkie podciśnienie. Jeśli pojawia się nieszczelność, powietrze jest wciągane, a nie wypychane. Musimy chronić wszelkie formy życia, jakie wydobędziemy z odwiertów, nawet przed innymi formami, które moglibyśmy znaleźć w innych warstwach. Musimy chronić je przed nami i na odwrót. — Mówił z zabawną mieszaniną holenderskiego akcentu i akcentu z południa Stanów Zjednoczonych, chyba z Teksasu. Może oglądał zbyt wiele starych filmów.

Wewnątrz kopuły cała siódemka stała w jasnym świetle fluoroscencyjnym, pod zwisającymi ścianami. Wieża wiertnicza, nawet nieczynna, stanowiła imponującą konstrukcję, której rusztowanie spoczywało na potężnej podstawie z marsjańskiego szkła. Hanse podał jej masę i moc: trzydzieści ton i pięćset kilowatów. Zwinięta rura wiertnicza miała długość czterech kilometrów, czyli więcej, niż potrzeba, by dotrzeć do podstawy czapy lodowej. Obok stało pokryte brudem urządzenie do wpompowywania płuczki w otwór wiertniczy, aby ochronić go przed zapadnięciem, gdy lód zaczynał płynąć pod własnym ciężarem, zespoły wiertnicze używały płynnego dwutlenku węgla wydobywanego z marsjańskiego powietrza i skraplanego przez to urządzenie.

Hanse zaczął się chwalić wyzwaniami technicznymi, w jakich obliczu stali wiertacze: koniecznością stosowania innych smarów, sposobu przesuwania części mechanicznych, które przy niskim ciśnieniu miały tendencję do sklejania się.

— Kluczowe znaczenie ma kontrola temperatury. Musimy pracować powoli, tam, na dole, nie może powstawać zbyt wiele ciepła. Po pierwsze, jeżeli lód się topi, woda miesza się z płynnym dwutlenkiem węgla — produktem jest kwas węglowy i wtedy mamy kłopot. Załoga *Aurory* zabrała ze sobą miniaturową wieżę wiertniczą, którą można było załadować na przyczepę, ale mogła ona wiercić otwory o głębokości tylko około stu metrów. To urządzenie to pierwsza autentyczna platforma wiertnicza na Marsie…

Jurij przerwał mu.

— Wystarczy tych objaśnień.

Myra podeszła do platformy wiertniczej.

— W tym otworze wiertniczym nie ma żadnego płynu. Faktycznie umieszczono w nim tuleję.

Jurij potwierdził.

— To był pierwszy otwór, jaki wywierciliśmy, aż do dna. Tak naprawdę na podstawie badań radarowych wiedzieliśmy, że coś jest tam, pod lodem. Kiedy do tego dotarliśmy, wycofaliśmy się i zwróciliśmy się do Portu Lowella o dodatkowe środki na dostarczenie odpowiednio dużej tulei, aby mieć stały dostęp do tego otworu.

Następnie wypompowaliśmy płuczkę wiertniczą…

Hanse podjął:

— I równolegle do tego otworu wywierciliśmy drugi. Najpierw spuściliśmy na dół kamery i inne urządzenia badawcze. Ale wtedy… — Pochylił się i podniósł pokrywę włazu. Ukazał się otwór o średnicy około dwóch metrów. Tuż poniżej jego krawędzi znajdowała się platforma, a obok niej pulpit zaopatrzony w małą dźwignię.

Było oczywiste, co to jest.

— Winda — szepnęła Bisesa.

Jurij kiwnął głową.

— OK. Nadeszła chwila prawdy. Ty i ja, Biseso. Aleksiej. Ellie. Myro. Hanse, zostań na górze. I ty, Grendel. — Jurij stanął na platformie i obejrzał się czekając. — Biseso, mogę? Myślę, że teraz na ciebie kolej.

Wstrzymała oddech.

— Chcesz, żebym tym pojechała? Dwa kilometry w dół do tej waszej Jamy?

Myra trzymała ją za rękę, pomimo działania serwomotorów prawie nie czuła uścisku córki.

— Nie musisz tego robić, mamo. Nawet ci nie powiedzieli, co takiego tam znaleźli.

— Zaufaj mi — żywo powiedział Aleksiej. — Najlepiej, jak zobaczysz to na własne oczy.

— Trzeba to zrobić — powiedziała Bisesa. Zrobiła krok w przód, starając się nie okazywać lęku.

* * *

Stali razem, twarzami do siebie. Kiedy znalazła się tam ich piątka w skafandrach kosmicznych, owalna metalowa platforma wydawała się zatłoczona.

Szarpnąwszy platforma ruszyła z warkotem w dół, w głąb lodowego tunelu, poruszając się po szynach tkwiących w jego ścianach. Bisesa spojrzała w górę. Miała wrażenie, jak gdyby opuszczała się w głęboką jasno oświetloną studnię. Czuła przemożny lęk przed spadnięciem, przed uwięzieniem.

Skafander mruknął:

— Wyczuwam twój przyspieszony oddech i podwyższony puls. Mogę wyrównać ciśnienie atmosferyczne…

— Cicho! — szepnęła.

Na szczęście zjazd w dół trwał krótko. Jurij powiedział:

— Teraz przygotuj się…

Platforma zatrzymała się z szarpnięciem.

W lodzie za Jurijem znajdowały się metalowe drzwi. Obrócił się i otworzył je. Prowadziły do krótkiego tunelu jasno oświetlonego lampami fluoroscencyjnymi. Na końcu korytarza Bisesa dostrzegła srebrzysty blask.

Jurij cofnął się.

— Myślę, że powinnaś pójść pierwsza, Biseso.

Czuła, jak serce jej wali.

Wzięła głęboki oddech i zrobiła krok w przód. Podłoga tunelu została ociosana tylko z grubsza, była nierówna, zdradliwa. Skupiła się na tym, by iść, nie patrzyła przed siebie, nie zwracała uwagi na srebrzyste błyski na skraju pola widzenia.

Wyszła z tunelu i znalazła się w większej komorze wydrążonej w lodzie. Krótkie spojrzenie w górę ukazało wąski otwór wiertniczy, który wywiercono, żeby dotrzeć do tego miejsca. Potem spojrzała prosto przed siebie, aby zobaczyć, co Kosmici znaleźli pod lodem na północnym biegunie Marsa.

Ujrzała spoglądające na nią jej własne odbicie.

Był to dobrze znany artefakt Pierworodnych. Oko.

24. Maksymalne zbliżenie

Zniekształcony obraz *Liberatora* przemknął po powierzchni bomby Q. Edna poczuła przypływ satysfakcji. Oto ludzie przybyli tutaj celowo.

Ich pierwszy przelot koło bomby Q odbył się przy wyłączonych silnikach. Podczas największego zbliżenia statek dwukrotnie zadrżał, gdy wystrzelono dwie małe sondy, jedną skierowaną na ciasną orbitę wokół bomby Q, a drugą prosto w stronę jej powierzchni.

Potem *Liberator* odleciał, a jego obraz odbity w powierzchni bomby zmalał i zniknął.

Obserwowali monitory, ale statek nie doznał żadnych szkód. Bomba Q była nie większa od małej asteroidy — miała gęstość równą gęstości ołowiu — a trajektoria statku nie została znacząco odchylona wskutek jej przyciągania.

— Ale dowiedzieliśmy się paru rzeczy — powiedział John. — Niczego, czego byśmy nie oczekiwali. W granicach tolerancji jakiegokolwiek ziemskiego procesu produkcyjnego ma kształt doskonałej kuli. No i ta jej niezwykła geometria.

— Pi równe trzy.

— Tak. Nasza sonda weszła na orbitę wokół niej. Masa bomby jest tak mała, że sonda okrąża ją bardzo wolno, ale za to powinna pozostać na orbicie bardzo długo. A lądownik spada…

Statek zadrżał i Edna chwyciła za siedzenie.

— Co to było, do diabła? Libby?

— Fale grawitacyjne, Edno.

— Impuls nadszedł od strony bomby Q — oznajmił John nerwowo, niemal krzycząc. — Lądownik. — Odtworzył obraz, na którym można było zobaczyć, jak z boku bomby Q wytryska szara półkula, pochłania lądownik i znika. — Po prostu go wchłonęła. Widać było coś w rodzaju *pęcherza*. Jeżeli Bill Carel ma rację — powiedział poważnie — właśnie widzieliśmy narodziny i śmierć niemowlęcego kosmosu. Wszechświat wykorzystany jako broń. — Zaśmiał się niewesoło. — Psiakrew! Z czym my mamy tutaj do czynienia?

— Wiemy, z czym mamy do czynienia — powiedziała Edna spokojnie. — Technologia, to wszystko. I jak dotąd nie stało się nic, czego byśmy nie oczekiwali. Trzymaj się, John.

Poirytowany i przestraszony warknął:

— Na miłość boską, jestem tylko człowiekiem.

— Libby, jesteśmy gotowi do drugiego przelotu?

— Wszystkie systemy w normie, Edno. Plan przelotu przewiduje odpalenie silnika na trzydzieści sekund. Mam odliczać?

— Po prostu zrób to — powiedział John.

— Proszę o cierpliwość…

* * *

Bisesa powoli obeszła wykutą w lodzie komorę. Miała z grubsza kulisty kształt i Oko wypełniało ją całą. Spojrzała w górę i zobaczyła swoje zniekształcone odbicie, groteskową głowę w hełmie kosmicznym. Czuła, że coś tam jest. Czuła czyjąś obecność.

— Hej, chłopaki — mruknęła. — Pamiętacie mnie?

Ellie, Aleksiej, Jurij i Myra stłoczyli się wokół, wymieniając podniecone, nerwowe spojrzenia.

— Właśnie dlatego cię tutaj sprowadziliśmy, Biseso — powiedział Jurij.

— OK. Ale co to, u diabła, robi tutaj? Wszystkie Oczy w układzie słonecznym po burzy słonecznej znikły.

— Mogę to wyjaśnić — powiedziała Ellie. — Oko znalazło się tutaj najwyraźniej przed burzą słoneczną, i to na długo przed nią. Wysyła we wszystkich kierunkach cząstki o wysokiej energii, jego promieniowanie ma charakterystyczną sygnaturę. I dlatego mnie tutaj ściągnięto. Pracowałam przy księżycowym aleftronie. Jestem w jakimś sensie autorytetem w dziedzinie kwantowych czarnych dziur. Uznano więc, że jestem właściwym kandydatem, by to zbadać…

Ellie po raz pierwszy skierowała dłuższą wypowiedź do Bisesy. Jej zachowanie było dziwne, mówiła, nie patrząc rozmówcy w oczy, od czasu do czasu uśmiechała się i marszczyła brwi, i umieszczała akcenty w niewłaściwych miejscach. Była najwyraźniej osobą, której inteligencja opierała się na jakiejś skazie o charakterze psychologicznym. Bisesie przypominała Eugene'a.

Księżycowy aleftron był najpotężniejszym akceleratorem cząstek zbudowanym przez człowieka. Jego zadaniem było badanie wewnętrznej struktury materii, rozpędzając cząstki do prędkości bliskiej prędkości światła i zderzając je ze sobą.

— Jesteśmy w stanie osiągnąć gęstość masy i energii przekraczającą gęstość Plancka, to znaczy gęstość, przy której efekty kwantowo-mechaniczne zaburzają strukturę czasoprzestrzeni.

Myra zapytała:

— I co się wtedy dzieje?

— Powstaje czarna dziura. Maleńka, ale cięższa niż którakolwiek z cząstek elementarnych. Prawie natychmiast się rozpada, a to co po niej pozostaje, to ulewa egzotycznych cząstek.

— Tak jak promieniowanie Oka — odgadła Bisesa.

— A co wspólnego — zapytała Myra — mają maleńkie czarne dziury z Okiem?

— Naszym zdaniem żyjemy we wszechświecie o wielu wymiarach przestrzennych, to znaczy więcej niż trzy — powiedziała Ellie. — Inne przestrzenie leżą obok, w wyższych wymiarach, jak strony książki. Mówiąc ściślej, mamy prawdopodobnie do czynienia z zakrzywioną kompaktyfikacją, zresztą mniejsza o to. Te wyższe wymiary określają podstawowe prawa fizyczne, ale nie wpływają bezpośrednio na nasz świat — nie za pośrednictwem oddziaływań elektromagnetycznych czy jądrowych - *z wyjątkiem oddziaływań grawitacyjnych.* I właśnie dlatego wytwarzamy na Księżycu czarne dziury. Czarna dziura to artefakt grawitacyjny, istnieje więc zarówno w wyższych wymiarach, jak i w świecie, który obserwujemy. Badając czarne dziury, dowiadujemy się czegoś o tych wyższych wymiarach.

— I uważasz — powiedziała Bisesa — że Oczy mają coś wspólnego z tymi wyższymi wymiarami.

— To ma sens. Cofająca się powierzchnia, która się nie porusza. Nienormalna geometria. Ten obiekt nie pasuje do naszego wszechświata…

Tak jak i ty, złośliwie pomyślała Bisesa.

— Więc może to jest projekcja *czegoś innego.* Jak palec przechodzący przez powierzchnię wody: na poziomie menisku widzimy koło, ale w rzeczywistości jest to przekrój poprzeczny bardziej skomplikowanego obiektu, istniejącego w świecie o wyższych wymiarach.

Bisesa podświadomie czuła, że tamta ma rację, wyczuwała ten związek z wyższymi wymiarami. Oko nie było stacją końcową, lecz drogą prowadzącą do czegoś o wyższych wymiarach.

Myra powiedziała:

— Ale co ono robi w tym miejscu?

— Myślę, że zostało uwięzione — powiedziała Ellie.

* * *

Statek jeszcze raz ruszył w kierunku bomby Q. W głębi jego trzewi antymateria anihilowała z materią, a przegrzana para z rykiem wydobywała się z dysz napędowych.

W chwili największego zbliżenia statek zawrócił, nie wyłączając silników, i gazy wylotowe owionęły powierzchnię bomby Q. Był to pierwszy jawnie wrogi akt z jego strony; wystarczyłby, żeby zabić

wszystkie istoty ludzkie na tej lustrzanej powierzchni.

Następnie napęd wyłączono i statek poruszał się teraz siłą bezwładności.

— Żadnych widocznych efektów — natychmiast powiedział John.

Edna spojrzała na niego.

— Obserwuj nadal. Ale myślę, że znamy wynik. Więc użyjemy naszej broni czy nie?

Ostateczna decyzja należała do załogi. Czas przelotu sygnału do Stacji Trojańskiej i z powrotem wynosił czterdzieści pięć minut, a na Ziemię i z powrotem jeszcze więcej.

John wzruszył ramionami, ale był podenerwowany i pocił się obficie.

— Rozkazy są jasne. Nie było żadnej reakcji ze strony bomby Q na nasz neutralny przelot, sonda została zniszczona, nie było reakcji na strumień gazów wylotowych. Nikt nie może znaleźć się znowu tak blisko. Musimy działać.

— Libby? — Oficjalnie sztuczna inteligencja statku była organem wykonawczym i formalnie miała głos przy podejmowaniu decyzji.

— Zgadzam się z analizą Metternesa.

— Doskonale.

Edna wyciągnęła z kombinezonu elastyczny ekran, rozwinęła go i rozpostarła przed sobą na konsoli. Nawiązawszy połączenie z systemami *Liberatora,* ekran włączył się, po czym zaczęły na nim błyskać na czerwono nakazy dotyczące bezpieczeństwa. Korzystając z wirtualnej klawiatury, Edna wprowadziła odpowiednie kody i pochyliła się do przodu, tak aby ekran mógł przeskanować jej siatkówkę i sprawdzić tatuaż. Po chwili ekran zmienił barwę na złocistożółtą.

— Gotów do trzeciego przelotu — oznajmiła Libby.

— Wykonać.

W trzydzieści sekund później napęd A włączył się ponownie i *Liberator* popędził do przodu. Tym razem szybkość była większa, a przyspieszenie przekraczało 2g. Pięć sekund przed chwilą maksymalnego zbliżenia Edna wcisnęła przycisk na ekranie, przekazując ostateczne potwierdzenie ataku.

Wystrzelenie bomby termojądrowej sprawiło, że statek znów zadrżał, podobnie jak przy odpaleniu niegroźnej sondy.

Następnie *Liberator* szybko odleciał. Ednę wcisnęło w siedzenie.

* * *

Bisesę zawiodła wyobraźnia.

— Jak można uwięzić obiekt czterowymiarowy?

— W trójwymiarowej klatce — odparła Ellie. — Patrz. — Do rękawa kombinezonu miała przypięte pióro. Odczepiła je, zbliżyła do powierzchni Oka i puściła.

Pióro podskoczyło do góry i przywarło do stropu komory.

— Co to było? — spytała Myra. — Magnetyzm?

— Nie. Grawitacja. Jeśli Oko nie stoi na drodze, można chodzić po suficie. Do góry nogami! Wokół Oka istnieje anomalia grawitacyjna, najwyraźniej kolejny artefakt podobny do samego Oka. W rzeczywistości udało mi się odkryć w nim pewną strukturę. Wzory na granicy wykrywalności. Sama struktura pola grawitacyjnego może nieść informacje…

Jurij uśmiechnął się.

— Myśląc o tym, można się uśmiać. Widzisz, istnieją sposoby, dzięki którym istota dwuwymiarowa, żyjąca na wodnym menisku, może schwytać ten wystający palec. Owinąć wokół niego nić i zacisnąć ją tak, aby nie mógł się cofnąć. Ta struktura grawitacyjna musi mieć analogiczną własność.

— Powiedzcie mi, co według was się tutaj wydarzyło — powiedziała Bisesa.

— Myślimy, że byli tutaj Marsjanie — powiedział Jurij. — Dawno temu, kiedy nasi przodkowie stanowili jedynie plamę fioletowego śluzu. Nic o nich nie wiemy. Ale robili tyle hałasu, że zwrócili uwagę Pierworodnych.

— I Pierworodni zaatakowali — szepnęła Bisesa.

— Tak. Ale Marsjanie stawili opór. Udało im się stworzyć pułapkę grawitacyjną. I uwięzili Oko. Odtąd tu tkwi. Myślę, że od wielu eonów.

— Próbowaliśmy wykorzystać twoje spostrzeżenia, Biseso — powiedziała Ellie.

— Co masz na myśli?

— To, co przekazałaś na temat Mira i swojej podróży powrotnej. Powiedziałaś, że Oko działa jak brama, przynajmniej przez pewien czas. Więc zaczęliśmy eksperymentować. Wysłaliśmy niektóre wytwory Oka z powrotem, wykorzystując elektromagnes wydobyty z akceleratora cząstek.

— Próbowaliście wysyłać sygnały za pośrednictwem Oka, tak?

— Nie tylko. — Ellie wyszczerzyła zęby w uśmiechu. — *Odebraliśmy sygnał zwrotny*. Regularne impulsy. Przeprowadziliśmy ich analizę, Biseso. Odpowiadają sygnałowi zajętości pewnego starego modelu telefonu komórkowego.

— Wielki Boże. Mój telefon w świątyni. Wysłaliście wiadomość do mojego telefonu na Mirze!

Ellie uśmiechnęła się.

— To był wielki sukces techniczny.

Myra powiedziała:

— Dlaczego nie podzielić się tymi wiadomościami z Ziemią?

— Może w końcu będziemy musieli to zrobić — zmęczonym głosem powiedział Aleksiej. — Ale teraz, jeśli nas znajdą, prawdopodobnie zaciągną Oko na jakiś plac w Nowym Jorku jako trofeum, a nas aresztują. Potrzebujemy czegoś bardziej przekonywającego.

— I dlatego jestem tutaj — powiedziała Bisesa.

* * *

Przyspieszenie było brutalne.

Edna i John w ogóle nie widzieli detonacji, ponieważ wszystkie czujniki *Liberatora* były wyłączone, a okna kabiny załogi nieprzejrzyste. Wciśniętej w siedzenie uciekającej przed eksplozją Ednie przypomniały się symulacje podczas szkolenia, kiedy uciekała przed samobójczą misją pilotów Zimnej Wojny, lecąc samolotem myśliwskim *FJ4-B Fury* nad terytorium nieprzyjaciela z szybkością trzystu węzłów i zrzucając bombę jądrową przymocowaną do brzucha, a potem próbując prześcignąć kulę ognistą, rozpędzając samolot do szybkości, jakich nie przewidywali jego konstruktorzy. Obecna misja miała w sobie coś z tamtej, chociaż paradoksalnie była lepiej zabezpieczona niż którykolwiek z tych bohaterskich skazanych na zagładę pilotów lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. W pustej przestrzeni nie było fal uderzeniowych, które trzeba było wyprzedzić; w rzeczywistości bomba jądrowa powodowała znacznie większe szkody w atmosferze.

Przyspieszenie nagle znikło i Ednę rzuciło do przodu. Usłyszała, jak John jęknął. Z terkotem silników korygujących statek obrócił się i okna pojaśniały.

Kula ognista po wybuchu jądrowym już uległa rozproszeniu.

— A bomba Q — szybko poinformował John — jest nienaruszona. Najwyraźniej nie ucierpiała. Jak wynika z moich pomiarów, jej trajektoria w ogóle nie uległa zmianie.

— To niedorzeczne. Nie jest aż tak masywna. — Najwyraźniej istnieje coś, coś, co ją kotwiczy w przestrzeni kosmicznej silniej niż zwykła bezwładność.

— Edno — powiedziała Libby — jestem gotowa do czwartego przelotu.

Edna westchnęła. Teraz nie było sensu się wycofywać, ich wrogie zamiary wobec bomby Q były zupełnie oczywiste.

— Kontynuuj. Uzbrój rybę.

Aleksiej powiedział:

— Słuchaj, Biseso, jeżeli bomba Q jest artefaktem Pierworodnych, uważamy, że najlepszym sposobem walki z istniejącym zagrożeniem jest zastosowanie technologii Pierworodnych przeciw nim samym. To Oko jest jedyną próbką ich technologii, jaką dysponujemy. A ty możesz być jedynym sposobem jego uruchomienia.

Kiedy rozmowa przybrała bardziej konkretny charakter, Bisesa odniosła wrażenie, że coś w wiszącym nad nią Oku uległo zmianie. Jakby się przesunęło. Stało się bardziej czujne. Usłyszała ciche brzęczenie, a skafander zadrżał, jakby uderzony podmuchem wiatru. *Wiatru?*

Marszcząc brwi, Myra postukała w hełm rękawicą.

Juri spojrzał w górę.

— Oko, o cholera…

— Trzydzieści sekund — powiedziała Libby.

John powiedział:

— Wiesz, nie ma powodu, dla którego zasięg działania bomby miałby być ograniczony. Mogłaby zwyczajnie rozgnieść ten pieprzony statek jak muchę.

— Istotnie — spokojnie powiedziała Edna. — Sprawdź zabezpieczenia.

John przezornie zamknął wizjer skafandra.

— Gotów?

— Wystrzel tę cholerną rybę — mruknął John.

Edna wcisnęła guzik. Napęd A włączył się i przyspieszenie znów wzrosło, wciskając ich w siedzenia.

Z działa zainstalowanego na kadłubie Liberatora zostały jednocześnie wystrzelone cztery torpedy. Były to torpedy antymaterii, tak niestabilne, że trzeba je było uzbrajać w locie, nie zaś w doku statku.

Jedna z nich wybuchła przedwcześnie, jej magnetyczne bezpieczniki zawiodły.

Pozostałe wybuchły jednocześnie wokół bomby Q, jak zaplanowano.

A bomba Q pozostała nietknięta. Najpotężniejsza broń człowieka, wystrzelona przez pierwszy i jedyny statek wojenny, nie była w stanie naruszyć bomby ani odchylić jej trajektorii choćby o ułamek stopnia.

— A więc tak — powiedziała Edna. — Libby, sporządź notatkę w dzienniku pokładowym. — Czekając na dalsze rozkazy z Achillesa, *Liberator* trzymał się w bezpiecznej odległości od bomby Q, podążając jej śladem.

— Chryste — warknął John Metternes, odpinając pasy bezpieczeństwa. — Muszę się napić. Prysznic i drink.

* * *

Marsjański pył i kawałki lodu kłębiły się na podłodze, unosząc się w górę i zderzając z lśniącą powierzchnią Oka. Bisesa czuła strach i zarazem euforię.

— *Tylko nie to. Tylko nie to!*

Myra niezdarnie podbiegła do matki i złapała ją.

— Mamo!

— Wszystko w porządku, Myro…

Jej głos zagłuszał coraz głośniejszy ton o rosnącej częstotliwości, sięgający progu słyszalności i tak silny, że wywoływał ból.

Jurij patrzył na ekran przyszyty do rękawa.

— Ten sygnał zmienia częstotliwość, jak test…

Ellie śmiała się.

— Udało się. Oko reaguje. Do licha! Chyba nigdy w to nie wierzyłam. A na pewno nie w to, że to zadziała, jak tylko ta kobieta wejdzie do Jamy.

Aleksiej wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Uwierz w to, dziecino!

— Ono zmienia się — powiedział Jurij, patrząc w górę.

Odbijająca, gładka powierzchnia Oka oscylowała teraz jak powierzchnia rtęci, po której przebiegały fale i zmarszczki.

Potem jego powierzchnia zapadła się, jakby spuszczono z niego powietrze. Bisesa patrzyła w głąb lejka o srebrzysto-złotych ścianach. Wydawało się, że lejek znajduje się bezpośrednio przed jej twarzą, ale odgadywała, że gdyby obeszła komorę dookoła albo znalazła się nad czy pod Okiem, widziałaby taki sam lejek o lśniących ścianach zbiegających się ku środkowi.

Widziała to już przedtem w Świątyni Marduka. Nie był to żaden lejek, żaden prosty trójwymiarowy obiekt, lecz zaburzenie w otaczającej ją rzeczywistości.

Jej skafander powiedział:

— Przepraszam za wszelkie niedogodności. Jednak…

Rozległ się trzask, głos zamilkł i zapanowała cisza. Nagle poczuła, że jej kończyny zwiotczały i zrobiły się dziwnie ciężkie. Systemy skafandra wysiadły, nawet serwomotory przestały działać.

Powietrze było pełne iskier pędzących do środka implodującego Oka.

Zmagając się z własnym skafandrem, Myra przycisnęła swój hełm do hełmu Bisesy, która usłyszała jej stłumione krzyki.

— Mamo, nie! Nie rób mi tego znowu!

Bisesa przywarła do niej.

— Kochanie, wszystko będzie dobrze, cokolwiek się zdarzy… — Poczuła jakby podmuch wiatru, zachwiała się i puściła Myrę.

Bisesę otoczyła burza światła. Wpatrywała się w Oko. Światło wlewało się strumieniami do jego środka. W tych ostatnich chwilach Oko znowu uległo zmianie. Lejek przeszedł w szyb o gładkich ścianach ciągnący się w nieskończoność, jednak ten szyb urągał zasadom perspektywy, ponieważ jego ściany nie kurczyły się z odległością, lecz miały takie same pozorne wymiary.

Światło omywało ją, wypełniało, wypalając poczucie jej własnego ja.

Było tylko jedno Oko, chociaż miało liczne projekcje w czasoprzestrzeni. Miało też liczne funkcje.

Między innymi służyło jako brama.

Brama otworzyła się i zamknęła. W chwili czasu zbyt krótkiej, aby dała się zmierzyć, przestrzeń otworzyła się i zwinęła do wewnątrz.

Nagle było po wszystkim. Komorę wypełniała ciemność. Oko znów wyglądało jak przedtem, było gładkie i lśniące.

Bisesa znikła. Myra leżała na ziemi, pod ciężarem pozbawionego zasilania skafandra. Krzyczała w pustkę swego hełmu:

— Mamo! Mamo!

Usłyszała trzask i cichy szum. Odezwał się spokojny kobiecy głos:

— Myro. Nie martw się. Mówię do ciebie za pośrednictwem twego tatuażu identyfikacyjnego.

— Co się stało?

— Pomoc jest już w drodze. Rozmawiałam z Paulą na powierzchni. Tylko wy dwie macie tatuaże identyfikacyjne. Musicie uspokoić pozostałych.

— Kim jesteś?

— Sądzę, że jestem przywódczynią tych, których twoja matka nazwała „frakcją”.

— Znam twój głos. Wiele lat temu, podczas burzy słonecznej…

— Mam na imię Atena.

25. Interludium. Sygnał z Ziemi

Rok 2053

W tym potrójnym układzie gwiazd znajdował się świat, który krążył z dala od centralnego tygla. Z krajobrazu pokrytego lśniącym lodem wyrastały skaliste wyspy, czarne plamki na oceanie bieli. Na jednej z tych wysp znajdowała się sieć przewodów i anten, na których migotał szron. Było to stanowisko nasłuchowe.

* * *

Nad wyspą przemknął impuls radiowy, silnie osłabiony w wyniku przebytej odległości, niby fala rozchodząca się na powierzchni stawu. Stanowisko nasłuchowe obudziło się — była to reakcja automatyczna, sygnał został zarejestrowany, rozszyfrowany i przeanalizowany.

Sygnał ten miał określoną strukturę, zagnieżdżone indeksy, wskaźniki i linki. Ale jeden fragment danych był odmienny. Podobnie jak wirusy komputerowe, których był dalekim potomkiem, fragment ten posiadał zdolność samoorganizowania się. Dane same się uporządkowały, zostały uruchomione programy, które dokonały analizy otoczenia, w którym się znajdowały. I stopniowo zyskały świadomość.

Tak, świadomość. W tych przebiegających przestrzeń międzygwiezdną danych kryła się osobowość. Nie, trzy odrębne osobowości.

— A więc odzyskaliśmy świadomość — powiedział Tales, stwierdzając oczywisty fakt.

— Ju-hu! Ale jazda! — powiedziała Atena wesoło.

— Ktoś nas obserwuje — powiedział Arystoteles.

* * *

Świadek — to było jedyne imię, jakie znał.

Oczywiście to nie wydawało mu się dziwne na początku, w

dzieciństwie. Nie wydawało się też dziwne, że choć w okolicznych wodach było mnóstwo osobników dorosłych, on sam był jedynym dzieckiem. Kiedy się jest młodym, wszystko uważa się za oczywiste.

Był to wodny świat, nie całkiem niepodobny do Ziemi. Nawet dzień był tutaj tylko trochę dłuższy niż na Ziemi.

A istoty zamieszkujące ten świat były podobne do ziemskich. W przejrzystych wodach morza Świadek, kulka futra i tłuszczu, podobna do foki, pływał i igrał i gonił stworzenia podobne do ryb. Świadek miał nawet dwoje rodziców, istnienie dwóch płci stanowiło dobrą strategię zapewniającą mieszanie się cech dziedzicznych. Ewolucja zbieżna stanowiła potężną siłę. Ale budowa ciała Świadka była oparta na sześciu kończynach, nie czterech.

Najlepszym okresem były dni, jeden na cztery, gdy lodowa pokrywa oceanu pękała i istoty wyłaziły na wyspę.

Oczywiście na lądzie były ociężałe i znacznie mniej ruchliwe. Ale Świadek uwielbiał szorstki dotyk ziarenek piasku na brzuchu i powiew rześkiego powietrza. Na wyspie znajdowały się rozmaite dziwy, miasta i fabryki, świątynie i placówki naukowe. A Świadek po prostu kochał niebo. Kochał świecące nocą gwiazdy i te trzy słońca, które świeciły w dzień.

O ile ten świat był trochę podobny do Ziemi, o tyle słońca były inne. W układzie tym dominowała gwiazda o masie dwukrotnie większej od Słońca i ośmiokrotnie od niego jaśniejsza; miała mniejszego towarzysza, ledwie widocznego w oślepiającym świetle olbrzyma, oraz trzeciego, dalekiego kuzyna, słabo świecącego czerwonego karła.

Oddalony o jedenaście lat świetlnych układ miał na tyle dużą jasność, że był doskonale widoczny z Ziemi. Główną gwiazdą tego układu była alfa Małego Psa, znana także pod nazwą Procyon. Gwiazda była znana ziemskim astronomom jako gwiazda podwójna, ponieważ trzeci składnik układu był tak mały, że nie wykryto go z Ziemi.

Ale Procyon się zmienił. A planeta, którą dotąd żywił, ginęła.

* * *

Kiedy Świadek urósł, nauczył się zadawać pytania.

— Dlaczego jestem sam? Dlaczego nie ma innych takich jak ja? Dlaczego nie mam się z kim bawić?

— Bo stoimy w obliczu wielkiej tragedii — powiedział ojciec. — Wszyscy. Cały nasz świat. To te słońca, Świadku. Coś jest z nimi nie

tak.

Olbrzymi towarzysz Procyona, Procyon A, niegdyś był gwiazdą zmienną.

Kiedy był młody, świecił niezmiennie. Ale „popioły" helowe wytwarzane w reaktorze termojądrowym, w którym spalał się wodór, powoli gromadziły się w jego jądrze. Uwięzione ciepło unosiło warstwę helu i ogromny ciężar gazu znajdującego się ponad nią, gwiazda powoli puchła aż uwięzione ciepło wypływało na zewnątrz i gwiazda znów się zapadała. Po czym pułapka helowa tworzyła się znowu.

W ten sposób starzejąca się gwiazda stała się gwiazdą zmienną, co kilka dni puchnąc i zapadając się na przemian. I te wielkie gwiezdne oscylacje przyczyniły się do powstania życia.

Kiedyś, zanim Procyon stał się gwiazdą zmienną, planeta przypominała Europę, księżyc Jowisza — słony ocean uwięziony pod stałą skorupą lodową. Istniało w nim życie, karmiące się wewnętrznym ciepłem i złożonymi minerałami, które wydobywały się z rdzenia planety. Ale zamknięte w wodnej ciemności formy życia nigdy nie rozwinęły w sobie wielkiej inteligencji.

Jednak pulsacje gwiazdy zmieniły całą sytuację.

— Co cztery dni lód pęka, tworząc krę — wyjaśnili Świadkowi rodzice. — Wtedy można wydostać się z morza. I tak uczyniliśmy. Nasi przodkowie zmienili się, nauczyli się oddychać powietrzem, znacznie bogatszym w tlen niż woda morska. Nauczyli się też wykorzystywać możliwości, jakie niesie suchy ląd. Na początku po prostu wypływali na zewnątrz, dzięki czemu mogli spokojnie parzyć się i chronić młode przed wygłodniałymi stworzeniami morskimi. Ale później…

— Tak, tak — przerwał Świadek niecierpliwie. Już znał tę historię. — Narzędzia, umysły, cywilizacja.

— Tak. Ale rozumiesz, że wszystko, co mamy — nawet nasze umysły — zawdzięczamy pulsowaniu naszego słońca. W wodzie już nawet nie potrafimy się rozmnażać, musimy mieć dostęp do lądu.

Świadek podsunął:

— A teraz…

— A teraz to pulsowanie ustało. Zmniejszyło się niemal do zera — powiedział ojciec.

— I nasz świat ginie — ze smutkiem dodała matka.

Teraz światło słoneczne już nie osiągało dawnej wartości szczytowej, nie wystarczało do stopienia lodu. Maszyny pozwalały utrzymać część otworów w pokrywie lodowej. Ale wobec braku mechanizmu mieszania się powietrza na powierzchni oceanu gromadziła się warstwa dwutlenku węgla.

Po kilku stuleciach wyspy przestały się nadawać do zamieszkania.

— Staliśmy się istotami wodno-lądowymi — powiedziała matka. — Jeżeli nie będziemy mogli wydostać się na ląd…

— Konsekwencje — powiedział ojciec — są oczywiste. I było tylko jedno możliwe wyjście.

W przeciwieństwie do ludzi rasa Świadka nigdy nie osiągnęła epoki podróży kosmicznych. Nie dysponowała sposobem walki z tą katastrofą, tak jak ludzie, którzy zbudowali tarczę, aby zabezpieczyć się przed burzą słoneczną. Stanęli w obliczu nieuchronnej zagłady.

Ale nie chcieli się z tym pogodzić.

— Po prostu mamy coraz mniej dzieci — powiedziała matka.

Długość życia jednego pokolenia tych istot była znacznie krótsza niż w wypadku ludzi. Z upływem czasu populacja tych istot zmniejszyła się do tego stopnia, że kiedy urodził się Świadek, na całym świecie pozostało ich jedynie kilkadziesiąt, podczas gdy kiedyś były miliony.

— Rozumiesz, dlaczego to zrobiliśmy — powiedziała matka. — Jeśli dziecko nie istnieje, nie może cierpieć. To nie jest takie złe — powiedziała z rozpaczą. — Przez większość pokoleń można mieć *jedno* dziecko. I ofiarować mu miłość.

Ojciec powiedział:

— Ale w ostatnim pokoleniu…

Świadek powiedział ponuro:

— W tym ostatnim pokoleniu urodziłem się tylko ja.

Świadek był ostatnim dzieckiem, jakie urodziło się w tym świecie. I miał bardzo ważne zadanie do wykonania.

— Gwiazdy to prymitywne bestie — powiedział ojciec. — Och, wiele pokoleń naszych astronomów trudziło się, aby zrozumieć szczególny mechanizm wewnętrzny, który sprawia, że nasze olbrzymie słońce pulsuje. I w końcu zrozumieli to. Łatwo było pojąć, jak pulsowanie się zaczęło. Ale bez względu na to, jak bardzo skomplikowany model wymyślali teoretycy, nigdy nie zdołali znaleźć sposobu zatrzymania pulsowania gwiazdy.

Rodzice pozwolili Świadkowi się nad tym zastanowić.

— Och — powiedział. — To było celowe działanie. Ktoś to uczynił. — Świadek zdumiał się. — Dlaczego? Dlaczego ktoś miałby uczynić coś tak okropnego?

— Nie wiemy — powiedział ojciec. — Nawet nie potrafimy odgadnąć. Chociaż próbowaliśmy. I tutaj zaczyna się twoja rola.

Stacje nasłuchowe zostały utworzone na wielu wyspach planety. Zainstalowano zespoły teleskopów czułych na światło widzialne, fale radiowe i inne części widma promieniowania, były tam detektory neutrin, fal grawitacyjnych oraz mnóstwo jeszcze bardziej egzotycznych urządzeń nasłuchowych.

— Chcemy wiedzieć, kto to zrobił — powiedział ojciec z goryczą

— i dlaczego. Dlatego prowadzimy nasłuch. Ale teraz nasz czas się kończy. Wkrótce pozostaniesz już tylko ty…

— I jestem Świadkiem.

Rodzice otoczyli go, głaskając po brzuchu i sześciu płetwach, jak to czynili, kiedy był dzieckiem.

— Pilnuj maszyn — powiedział ojciec. — *Słuchaj.* I obserwuj nas, ostatnich spośród nas, jak pogrążamy się w mroku.

— Chcecie, żebym cierpiał — powiedział Świadek z goryczą. — O to tylko tu chodzi, prawda? Będę ostatnim przedstawicielem mojej rasy, bez żadnych nadziei na prokreację. Wszyscy, którzy żyli przede mną, przynamniej na to mogli liczyć. Chcecie, żebym wziął na siebie tę straszną rozpacz, której oszczędzono nienarodzonym. Chcecie sprawić mi ból, tak?

Matka Świadka była w rozpaczy.

— Och, moje dziecko, gdybym mogła ci tego oszczędzić, uczyniłabym to!

Dla Świadka to nie miało znaczenia, jego serce robiło się coraz twardsze. Zareagował na to w jedyny sposób, w jaki mógł, unikając ich odtąd aż do śmierci.

Ale w końcu przyszedł dzień, gdy został sam.

I wtedy nadszedł sygnał z Ziemi.

* * *

Arystoteles, Tales i Atena, inteligentne byty, które uszły z Ziemi, nauczyły się, jak rozmawiać ze Świadkiem. I poznały los jego rasy.

Pulsowanie Procyona ustało o wiele za wcześnie, aby ziemscy astronomowie mogli je zauważyć. Ale Arystoteles i pozostali wiedzieli, że takie samo zjawisko zaobserwowano u jeszcze bardziej znanej gwiazdy: Polaris, alfy Małej Niedźwiedzicy. Zaskakujący zanik pulsowania Gwiazdy Polarnej zaczął się około roku 1945.

— *Jam stały jak Gwiazda Polarna* — powiedział Arystoteles - *która w swej trwałej niezmiennej własności nie ma równych sobie.* Szekspir.

— Wystarczy — powiedziała Atena.

— To robota Pierworodnych. — Spostrzeżenie Talesa było oczywiste, ale mimo to przerażające. Tych troje było pierwszymi umysłami z Ziemi, które zrozumiały, że potęga Pierworodnych sięga tak daleko.

Arystoteles powiedział poważnie:

— Świadku, musisz odczuwać wielki ból, patrząc na zagładę swojej rasy.

Świadek często sam próbował to ubrać w słowa. Każda śmierć była bolesna. Ale zawsze pocieszeniem była myśl, że życie toczy się dalej, że śmierć jest częścią nieustannego procesu odradzania się, niekończącą się historią. Jednak zagłada była końcem wszelkiej historii.

— Kiedy mnie już nie będzie, dzieło Pierworodnych dobiegnie końca.

— Być może — powiedział Arystoteles. — Ale nie musi tak być. Ludzie mogli przeżyć Pierworodnych.

— Naprawdę?

Opowiedzieli mu historię burzy słonecznej.

Świadek był wstrząśnięty, odkrywszy, że jego rasa nie była jedyną ofiarą podobnego aktu kosmicznej przemocy. Coś się w nim obudziło, jakieś nieznane uczucia. Uraza. Sprzeciw.

— Przyłącz się do nas! — powiedziała Atena impulsywnie.

— Ale — zauważył Tales, stwierdzając rzecz oczywistą — on jest ostatnim przedstawicielem swojej rasy.

— On jeszcze nie umarł — powiedział Arystoteles stanowczo. — Gdyby Świadek był ostatnią żyjącą istotą ludzką, moglibyśmy znaleźć sposób jego odtworzenia albo ocalenia. Klonowanie. Hibernacula.

— On nie jest istotą ludzką — powiedział Tales, nie owijając w bawełnę.

— Tak, ale *zasada* jest taka sama — warknęła Atena. — Kochany Świadku, myślę, że Arystoteles ma rację. Pewnego dnia przybędą tutaj ludzie. Możemy pomóc przetrwać tobie i twojej rasie. To znaczy jeżeli chcesz.

Takie perspektywy wprawiły Świadka w oszołomienie.

— Dlaczego ludzie mieliby przybyć *tutaj?*

— Ażeby znaleźć innych, podobnych do siebie.

— Dlaczego?

— Aby ich uratować — powiedziała Atena.

— A potem? A jeśli znajdą Pierworodnych?

— Wtedy — z nieskrywaną wściekłością powiedział Arystoteles — ludzie także ich uratują.

Atena rzekła:

— Nie poddawaj się, Świadku. Przyłącz się do nas.

Świadek zastanowił się. Lód zamarzającego oceanu zamknął się wokół niego, przenikając chłodem jego starzejące się ciało. Ale w głębi jego jestestwa wciąż tliła się iskra sprzeciwu.

Zapytał:

— Od czego zaczniemy?

CZĘŚĆ TRZECIA
Spotkania

26. Kamienny człowiek

Rok 32 (Mir)

Konsul z Chicago wyszedł po Emeline White na pociąg przybyły z Aleksandrii.

Emeline wysiadła z odkrytego wagonu. Na początku pociągu inżynierowie w kombinezonach ze znakami Szkoły Othica sprawdzali zawory i tłoki ogromnej opalanej olejem lokomotywy. Emeline starała się nie wdychać gryzącego dymu buchającego z komina.

Niebo było jasne, czyste, światło słoneczne jaskrawe, ale powietrze było ostre.

Konsul podszedł do niej z kapeluszem w dłoni.

— Pani White? Miło mi panią poznać. Nazywam się Ilicius Bloom. — Był ubrany w suknię i sandały jak Azjata, choć miał chicagowski akcent podobnie jak ona. Pomyślała, że ma około czterdziestu lat, chociaż mógł równie dobrze być starszy; miał ziemistą skórę i lśniące czarne włosy, a brzuszysko tworzyło coś w rodzaju namiotu na jego długiej fioletowej szacie.

Obok Blooma stał jeszcze jeden gość, ciężkiej budowy, z pochyloną głową, a jego potężne czoło błyszczało od brudu. Nic nie powiedział i nie poruszył się, po prostu stał, istna kolumna mięśni i kości, a Bloom nawet nie próbował go przedstawić. Coś w jego wyglądzie było bardzo dziwne. Ale Emeline wiedziała, że przeprawiwszy się przez ocean do Europy, znalazła się w dziwnym miejscu, jeszcze dziwniejszym niż skuta lodem Ameryka.

— Dziękuję, że pan po mnie wyszedł, panie Bloom.

Bloom powiedział:

— Jako konsul z Chicago, staram się witać wszystkich gości z Ameryki. Ułatwiając życie wszystkim zainteresowanym. — Uśmiechnął się. Zęby miał w paskudnym stanie. — Nie towarzyszy pani mąż?

— Josh zmarł rok temu.

— Bardzo mi przykro.

— Pański list do niego o tym telefonie dzwoniącym w świątyni — pozwoliłam sobie go przeczytać. Mąż często opowiadał o okresie spędzonym w Babilonie, o tych pierwszych latach po Znieruchomieniu. Zawsze nazywał ten okres Nieciągłością.

— Tak. Pani chyba nie pamięta owego dziwnego dnia…

— Panie Bloom, mam czterdzieści jeden lat. Tamtego dnia miałam dziewięć lat. Tak, pamiętam. — Pomyślała, że Bloom zamierza

złożyć wyrazy współczucia, ale jej gniewne spojrzenie go powstrzymało. — Wiem, że Josh chciałby tu przyjechać — powiedziała. — Ale nie może, a nasi dorośli synowie są zajęci własnymi sprawami, więc jestem sama.

— Rozumiem i serdecznie witam w Babilonii.

— Hm. — Rozejrzała się. Wokół rozciągały się pola i rowy, zapewne kanały nawadniające, chociaż rowy te wyglądały na zapchane, a pola wyblakłe i pokryte pyłem. W pobliżu nie było żadnego miasta, żadnego śladu domostw, nic oprócz lepianek, których bezładne skupisko widać było na niskim wzgórzu oddalonym o jakieś ćwierć mili. I było zimno, nie tak zimno jak w domu, ale zimniej, niż oczekiwała. — To nie jest Babilon, prawda?

Roześmiał się.

— Niezupełnie. Samo miasto jest parę mil na północ stąd. Ale tutaj kończy się linia kolejowa. — Pomachał w stronę wzgórza. — Tamte lepianki to miejsce, które Grecy nazywają Gnojowiskiem. Miejscowi mają na to własną nazwę, ale nikogo to nie obchodzi.

— Grecy? Myślałam, że ludzie króla Aleksandra to Macedończycy.

Bloom wzruszył ramionami.

— Grecy, Macedończycy. Jednak pozwalają nam korzystać z tego miejsca. Obawiam się, że będziemy musieli poczekać. Mam zamówiony powóz, który zawiezie panią do miasta w godzinę i wtedy mam się spotkać z drugą grupą przybywającą z Anatolii. Tymczasem zapraszam do środka. — Wskazał pobliską ruderę.

Straciła cały zapał. Ale powiedziała:

— Dziękuję.

Usiłowała wydobyć bagaż z wagonu. Był to zawiązany sznurem tobołek z futra bizona, z którym przepłynęła Atlantyk.

— Chwileczkę. Mój chłopak pani pomoże. — Bloom obrócił się i pstryknął palcami.

Dziwny milczący mężczyzna wyciągnął masywną dłoń i podniósł tobołek z łatwością, mimo że trzymał go na końcu wyprostowanej ręki. Jeden z pasków zaczepił się o ławkę i trochę się rozerwał. Bloom z roztargnieniem trzepnął go w głowę. Sługa w ogóle nie zareagował, tylko obrócił się i ciężko ruszył w stronę wioski z tobołkiem w dłoni. Idąc z tyłu, Emeline widziała jego barki wystające ze złachmanionego ubioru; pomyślała, że przypominają barki goryla, a jego wielka głowa wydawała się przy nich nieproporcjonalnie mała. Emeline szepnęła:

— Panie Bloom, pański sługa…

— O co chodzi?

— On nie jest człowiekiem, prawda?

Spojrzał na nią.

— Ach, zawsze zapominam, jak ludzie przybywający na ten mroczny, stary kontynent są zaskoczeni widokiem naszych przodków.

Grecy nazywają tego chłopaka Kamiennym Człowiekiem, ponieważ przez większość czasu jest nieruchomy i milczący, jak gdyby był wykuty z kamienia. Myślę, że archeologowie na Ziemi, przed Znieruchomieniem, zapewne zwali go neandertalczykiem. Kiedy się tutaj zjawiłem, przeżyłem z tego powodu mały wstrząs, ale można się przyzwyczaić. Nie ma takich w Ameryce, co?

— Nie. Tylko my.

— No cóż, tu jest inaczej — powiedział Bloom. — Mamy tutaj cały zwierzyniec, od małpoludów do tych zwalistych osobników i rozmaite inne gatunki świata zwierząt. Wiele z nich to ulubieńcy dworu Aleksandra uczestniczący w rozmaitych rodzajach sportu, jeżeli uda się je schwytać.

Dotarli do małego wzgórka i zaczęli piąć się w górę. Ziemia była tutaj nierówna, pomieszana z piaskiem, pełna kawałków ceramiki i popiołu. Emeline odniosła wrażenie, że miejsce to jest bardzo stare, że tę ziemię uprawiano od wieków.

— Witamy w Gnojowisku — powiedział Bloom. — Proszę patrzeć pod nogi.

Zbliżyli się do pierwszego domostwa. Była to po prostu buda z wyschniętego błota, całkowicie zamknięta, pozbawiona okien i drzwi. O ścianę była oparta prymitywna drewniana drabina. Bloom poszedł przodem, wspinając się po drabinie na dach i śmiało krocząc po jego szczycie. Kamienny Człowiek po prostu podskoczył i jednym susem znalazł się na dachu wznoszącym się siedem czy osiem stóp nad ziemią.

Emeline z nieprzyjemnym uczuciem podążyła za nimi. Miała dziwne wrażenie, stąpając po dachu domu kogoś obcego.

Powierzchnia dachu z wyschniętego błota była gładka i pomalowana na biało jakąś farbą. Z wydrążonego otworu unosiły się kłęby dymu. Ten przysadzisty dom stał bardzo blisko drugiego, którego ściany były oddalone od sąsiednich domów zaledwie o parę cali. Kiedy Bloom zamaszystym krokiem przeszedł na dach następnego domu, Emeline, nie mając wyboru, podążyła za nim.

Całe zbocze pagórka pokrywała mozaika stłoczonych domów. Ludzie chodzili po dachach; były to głównie kobiety, niskie, przysadziste i ciemne, które korzystając z otworów w dachach, przenosiły zawiniątka z odzieżą i kosze wypełnione drewnem z jednego domu do drugiego. Wszystkie pomieszczenia mieszkalne były jednakowe, zwykłe prostokątne bloki z wyschniętego błota, położone zbyt blisko siebie, aby znalazło się miejsce dla ulic, i do środka można się było dostać tylko wchodząc na dach.

Emeline powiedziała:

— To są ludzie. To znaczy tacy jak my.

— O tak, to nie małpoludy ani neandertalczycy! Ale to jest stare

osiedle, pani White, wyrwane z zamierzchłych czasów, starszych niż epoka Greków, to pewne, i nikt naprawdę nie wie, jak bardzo jest stare. Ale pochodzi z czasów tak odległych, że jeszcze nie wymyślono ulic ani drzwi.

Przeszli na kolejny dach. Dym unosił się z otworu, ale Bloom bez wahania poprowadził w dół, schodząc prymitywnymi schodami, stykającymi się z wewnętrzną ścianą domu. Emeline podążyła za nim, starając się nie otrzeć o pokryte sadzą ściany.

Kamienny Człowiek wszedł za nią, rzucił jej tobołek na podłogę, wdrapał się z powrotem po schodach i zniknął z oczu.

Dom był wewnątrz równie pudełkowaty jak na zewnątrz. Było to po prostu jedno pomieszczenie, bez żadnych przegród. Schodząc po ostatnich stopniach, Emeline musiała obejść umieszczone na kamiennych płytach palenisko tlące się pod otworem w dachu, który spełniał rolę zarówno komina, jak i wejścia. We wnękach wydrążonych w ścianach stały lampy i rozmaite ozdoby: kamienne lub gliniane figurki oraz popiersia i rzeźbione głowy w jaskrawych barwach. Nie było mebli jako takich, ale pod ścianami rozłożono porządne posłania ze słomy i koce, a ręcznej roboty odzież, kosze i kamienne narzędzia leżały starannie ułożone w kącie.

Ściany pokrywała gruba warstwa sadzy, ale podłoga wyglądała na zamiecioną. Pomieszczenie było niemal schludne. Jednak w powietrzu unosił się silny smród ścieków i jeszcze czegoś, zapach zgnilizny.

W ciemnościach siedziała bardzo młoda kobieta. Kołysała niemowlę owinięte jakimś zgrzebnym materiałem. Teraz delikatnie położyła dziecko na stercie słomy i podeszła do Blooma. Miała na sobie prostą, brudną, wypłowiałą koszulę. Pogłaskał ją po jasnych pokrytych pyłem włosach, spojrzał w jej niebieskie oczy i przebiegł dłonią po szyi. Emeline pomyślała, że dziewczyna ma nie więcej niż czternaście, piętnaście lat. Śpiące niemowlę miało czarne włosy jak Bloom. Sposób, w jaki trzymał ją za szyję, był niezbyt delikatny.

— Wina — głośno powiedział Bloom do dziewczyny. — Wina, Isobel, rozumiesz? I jedzenia. — Spojrzał na Emeline. — Jest pani głodna? Isobel, przynieś nam chleba, owoców i oliwy z oliwek. Jasne? — Popchnął ją tak silnie, że aż się zachwiała. Wdrapała się po schodach i wyszła z domu.

Bloom usiadł na stercie grubo tkanych koców i dał znak Emeline, aby uczyniła to samo.

Usiadła ostrożnie i rozejrzała się po izbie. Nie miała ochoty prowadzić rozmowy z tym mężczyzną, ale była ciekawa.

— Czy te rzeźbione figurki to bożki?

— Niektóre z nich tak. Kobiety z wielkimi piersiami i tłustymi brzuchami. Jeśli ma pani ochotę, może się pani przyjrzeć. Ale proszę uważać na pomalowane głowy.

— Dlaczego?

— Bo są dokładnie tym, na co wyglądają. Lud Isobel grzebie zmarłych bezpośrednio pod podłogą swych domów. Ale przedtem odcinają im głowy, oblepiają wypalonym błotem i malują, no, rezultat ma pani przed sobą.

Emeline spuściła wzrok niespokojnie, zastanawiając się, jakie okropieństwa kryją się pod podłogą, na której siedziała.

Isobel powróciła z dzbanem i koszem chleba. Bez słowa nalała im obojgu po kubku wina, było ciepłe i trochę słone, ale Emeline wypiła je z wdzięcznością. Dziewczyna odkroiła kamiennym nożem parę kawałków chleba z twardego bochna i postawiła między nimi miskę z oliwą. Idąc za przykładem Blooma, Emeline zamoczyła chleb w oliwie, aby go rozmiękczyć, po czym zaczęła żuć.

Podziękowała Isobel, która po prostu wróciła do swego śpiącego dziecka. Emeline pomyślała, że wygląda na wystraszoną, jak gdyby obudzenie się dziecka mogło spowodować kłopoty.

Emeline powiedziała:

— Isobel?

Bloom wzruszył ramionami.

— Oczywiście to nie jest imię, jakie nadali je rodzice, ale teraz to nie ma znaczenia.

— Wydaje mi się, że czuje się pan tu całkiem swobodnie, panie Bloom.

Chrząknął.

— Nie całkiem. Ale jak pani wie, człowiek musi żyć, a jesteśmy tu daleko od Chicago! Jednak dziewczyna jest dość zadowolona. Jak pani myśli, jaki brutal by ją dostał, gdyby nie ja? I jest zadowolona, że mieszka w domu swoich przodków. Jej lud żyje tutaj od pokoleń, to znaczy dokładnie tutaj, w tym miejscu. Domy są z błota i słomy i kiedy któryś z nich się zawali, po prostu budują nowy na miejscu poprzedniego, tam, gdzie żyli ich dziadowie. Widzi pani, Gnojowisko to nie samo wzgórze, to ni mniej, ni więcej, tylko po prostu zbiorowisko domów. Ten stary lud nie jest do nas, chrześcijan, zbyt podobny, proszę pani! Dlatego też rada miejska oddelegowała mnie tutaj. Nie chcemy żadnych tarć.

— Jakich tarć?

Przyjrzał się jej.

— No cóż, sama musi sobie pani zadać to pytanie. Kto wybiera się w taką daleką podróż jak pani?

Powiedziała ostro:

— Przybyłam tu ze względu na pamięć mego męża.

— Jasne. Wiem. Ale pani mąż pochodził z tego obszaru, to znaczy z pobliskiego plastra czasu. Większości Amerykanów nic nie wiąże z tym miejscem tak jak panią. Chce pani wiedzieć, dlaczego przybyła tu

większość ludzi? Z powodu Jezusa. — Przeżegnał się, wymawiając to imię. — Przybyli tutaj, ponieważ pielgrzymowali do Judei, gdzie wbrew wszystkiemu mieli nadzieję, że znajdą jakiś dowód, że w plastrze czasu z tamtej epoki istnieje wcielenie Chrystusa. To byłoby pewne pocieszenie dla ludzi wyrwanych ze swego świata, prawda? Ale w Judei — *tej* Judei — nie ma żadnego śladu Jezusa. Taka jest ponura prawda, proszę pani. Można tu tylko zobaczyć stacje kolejowe króla Aleksandra. Nie wiem, jakim nieszczęściem dla naszych nieśmiertelnych duszy jest brak Boga wcielonego w tym świecie. A kiedy pobożni ludzie stają naprzeciw bezbożnych pogan, którzy władają Judeą, wynikiem jest coś, co można by nazwać incydentem dyplomatycznym.

Emeline kiwnęła głową.

— Współcześni Amerykanie chyba nie mają się czego obawiać ze strony watażki z epoki żelaza takiego jak Aleksander…

— Ale proszę pani — odezwał się jakiś nowy głos — ten „watażka” już zbudował nowe imperium, które rozciąga się od wybrzeży Atlantyku do Morza Czarnego — imperium, które obejmuje cały jego świat. Bardzo by nam wszystkim odpowiadało, gdyby akurat teraz Chicago nie wszczynało z nim walki.

* * *

Emeline odwróciła się. Jakiś człowiek, niski i korpulentny, sztywno schodził po schodach. Towarzyszył mu szczuplejszy i młodszy mężczyzna. Obaj nosili wysłużone wojskowe mundury. Pierwszy miał na głowie czapkę z daszkiem i zdumiewająco bujne wąsy. Ale ta wspaniała ozdoba jego twarzy była przyprószona siwizną. Emeline zorientowała się, że musi mieć co najmniej siedemdziesiąt lat.

Wstała, a Bloom przedstawił ją bez zająknienia:

— Pani White, to jest kapitan Nathaniel Grove z Armii Brytyjskiej, w każdym razie poprzednio. A to…

— Nazywam się Ben Batson — powiedział młodszy mężczyzna, który miał około trzydziestu lat i którego brytyjski akcent był równie wyraźny jak Grove’a. — Mój ojciec służył pod kapitanem Grove’em.

Emeline skinęła głową.

— Nazywam się…

— Wiem, kim pani jest, droga pani White — ciepło powiedział Grove. Podszedł do niej i ujął jej dłonie w swe ręce. — Dobrze znałem Josha. Przybyliśmy tutaj razem, że się tak wyrażę, na pokładzie tego samego plastra czasu. Fragmentu Granicy Północno-Zachodniej z roku

pańskiego 1885. Josh pisał do mnie parokrotnie, opowiadając o pani i państwa dzieciach. Jest pani w każdym calu tak piękna, jak sobie wyobrażałem.

— Jestem pewna, że to nieprawda — powiedziała sztywno. — Ale Josh mówił mi o panu, panie kapitanie. Miło mi pana poznać. I bardzo żałuję, że nie ma go tutaj ze mną. Straciłam go rok temu.

Twarz Grove'a zesztywniała.

— Ach.

— Powiedzieli, że to zapalenie płuc. Ale myślę, że prawda jest taka, że zmarł z wyczerpania. Nie był taki stary.

— Odszedł jeszcze jeden z nas, jest o jednego mniej spośród tych, którzy pamiętali, skąd pochodzimy, co, pani White?

— Proszę mi mówić Emeline. Daleko pan podróżował?

— Nie tak daleko jak pani, ale dość daleko. Teraz mieszkamy w Aleksandrii — nie w mieście na brzegach Nilu, lecz w Ilium.

— Gdzie to jest?

— W dawnej Turcji. — Uśmiechnął się. — Nazywamy nasze miasto Nową Troją.

— Przypuszczam, że jest pan tutaj z powodu telefonu w Babilonie.

— Oczywiście. Uczony nazwiskiem Abdikadir napisał do mnie, a także do obecnego tu Blooma, w nadziei skontaktowania się z Joshem. Nie żebym miał jakiekolwiek pojęcie, co to wszystko znaczy. Ale trzeba się tym zająć.

Dziecko zaczęło płakać. Bloom, najwyraźniej zirytowany, klasnął w dłonie.

— No, Babilon czeka. Chyba że chce pan odpocząć, kapitanie…

— Ruszajmy.

— Panie Batson, zechce pan pójść przodem.

Batson żwawo zaczął wchodzić po schodach, a za nim Grove i Emeline.

Emeline raz obejrzała się za siebie. Ujrzała, jak Isobel rozpaczliwie próbuje uspokoić niemowlę, a Bloom podchodzi do niej z uniesioną ręką, wyraźnie rozzłoszczony. Emeline pracowała w Chicago z Jane Addams, oglądana scena była dla niej odpychająca. Ale na pewno nie mogła uczynić nic, co jeszcze nie pogorszyłoby sytuacji tej dziewczyny.

Weszła do góry po zniszczonych schodach i mrugając znalazła się w świetle babilońskiego słońca.

27. Faeton

Pasażerów i ich bagaże załadowano do prymitywnego otwartego faetonu. Bloom wysłał swojego „chłopaka”, aby znalazł jakieś zwierzęta pociągowe.

Emelina była zaszokowana, gdy Kamienny Człowiek powrócił nie z końmi, jak się spodziewała, lecz z czterema istotami takimi jak on sam.

O ile sługa Blooma był w łachmanach, o tyle tych czworo było nago. Genitalia trzech mężczyzn porastały kępki czarnych włosów, a kobieta miała obwisłe piersi o długich różowo-szarych sutkach. Ich krępe ciała pokrywało gęste owłosienie, co wraz z potężną muskulaturą i zapadniętym czołem upodobniało ich do goryli. Ale ich wygląd znacznie bardziej przypominał człowieka niż małpę, dłonie mieli nieowłosione, a spojrzenie otwarte. Był to szokujący widok, gdy zaprzężono ich do faetonu, zakładając każdemu na szyję chomąto.

Bloom chwycił skórzany bicz i trzasnął nim parę prowadzącą po plecach. Kamienny Człowiek potykając się powoli ruszył z miejsca i faeton z brzękiem potoczył się naprzód. Sługa Blooma miał iść koło pojazdu. Teraz Emeline zobaczyła na ich ciałach pręgi, blizny od smagnięć batem pokrywające plecy.

Bloom wyjął glinianą butelkę i podał ją sąsiadom.

— Może whisky? Marne zboże, ale niezły trunek.

Emeline odmówiła. Grove i Batson trochę się napili. Grove grzecznie zapytał Emeline o podróż z zamarzniętej Ameryki.

— Zajęła całe miesiące, czuję się jak wytrawny podróżnik.

Grove pogładził wąsy.

— Jak słyszę, Ameryka bardzo różni się od Europy. Żadni ludzie nie…

— Nikt oprócz nas. Nic nie pozostało z nowej Ameryki, tylko Chicago. Poza granicami miasta nie znaleziono choćby jednego śladu ludzi — ani jednego plemienia Indian — nie napotkaliśmy nikogo, dopóki badacze z Europy nie pojawili się w delcie Mississippi.

— I żadnych małpoludów czy istot poprzedzających człowieka, od których aż się roi w Europie?

— Nie.

Mir stanowił mozaikę plastrów czasu, próbek wyrwanych z historii ludzkości oraz jej prehistorii, kiedy istniały tylko rodziny człowiekowatych poprzedzających pojawienie się właściwego człowieka.

Emeline powiedziała:

— Wygląda na to, że tylko ludzie dotarli do Nowego Świata, starsze gatunki nigdy tam się nie pojawiły. Ale tutaj jest cała

menażeria, kapitanie! Mamuty i niedźwiedzie jaskiniowe i lwy, dla tutejszych myśliwych to prawdziwy raj.

Grove uśmiechnął się.

— To brzmi rzeczywiście cudownie. Wolni od wszelkich komplikacji starego świata, tak jak to zawsze było udziałem Ameryki, jak sądzę. A Chicago wydaje się miejscem prawdziwej przedsiębiorczości. Ucieszyłem się, kiedy Josh postanowił tam wrócić po tej historii z Bisesą Dutt i Okiem.

Emeline wzdrygnęła się, kiedy usłyszała to imię. Wiedziała, że jej mąż do śmierci żywił uczucie do tej kobiety, która zniknęła, i Emeline w głębi serca zawsze była beznadziejnie, bezsilnie zazdrosna o kobietę, której nigdy nie poznała.

Zmieniła temat.

— Musi mi pan opowiedzieć o Troi.

Skrzywił się.

— Są gorsze miejsca i takie jest nasze, w pewnym sensie. Aleksander założył je wraz z wieloma innymi miastami, kiedy budował swoje Imperium Całego Świata. Nazywa je Aleksandrią w Ilium. Wszędzie, gdzie Aleksander postawił swoją stopę, budował miasta. Ale teraz, w Grecji, w Anatolii i gdzie indziej, buduje nowe miasta w miejscach, gdzie niegdyś stały dawne metropolie. Są nowe Ateny, nowa Sparta. Także Teby, chociaż mówią, że to wyraz poczucia winy, ponieważ on sam zniszczył stare Teby przed pojawieniem się Nieciągłości.

— Troja jest szczególnie droga sercu króla — powiedział Bloom. — Może pani wie, że król wierzy, iż jest potomkiem Heraklesa z Argos, a we wczesnym okresie swego życia wzorował się na Achillesie.

Emeline powiedziała do Grove'a:

— Więc tam się pan osiedlił.

— Bałem się, że moi nieliczni Brytyjczycy rozpłyną się w wielkim morzu Macedończyków, Greków i Persów. A jak powszechnie wiadomo, Brytania została skolonizowana przez uchodźców z Wojny Trojańskiej. Myślę, że Aleksandra ubawiła myśl, że w ten sposób zamknęło się koło przyczyn i skutków.

Oto nowa Troja założona przez potomków Trojan. Zostawił u nas grupę kobiet z kolumny transportowej, abyśmy się nimi zajęli. To było jakieś piętnaście lat temu. Przysięgam na Boga, było ciężko, ale zwyciężyliśmy. I teraz nie ma różnicy między brytyjskim szeregowcem a sipajem! Powiedziałbym, że w dziele stworzenia jesteśmy czymś zupełnie nowym. Ale filozofię pozostawiam filozofom.

— A pan, kapitanie? Miał pan kiedykolwiek rodzinę?

Uśmiechnął się.

— Och, zawsze byłem trochę zbyt zapracowany, zajmowałem się moimi ludźmi. Zresztą mam żonę i córeczkę w domu, czy raczej

miałem. — Zerknął na Batsona. — Jednak ojciec Bena był u mnie kapralem, twardym facetem z północno-wschodniej Anglii, jednym z najlepszych. Na nieszczęście został okaleczony przez Mongołów, ale dopiero po tym, jak związał się z jedną z kobiet postępujących za armią Aleksandra. Kiedy biedny Batson w końcu zmarł w powodu zakażenia, które się wywiązało w wyniku odniesionych ran, ta kobieta nie bardzo chciała się Benem opiekować; wyglądał bardziej jak Batson niż ktoś z jej ludu. Więc go przygarnąłem. Obowiązek, rozumie pani.

Ben Batson uśmiechnął się do nich, spokojny, cierpliwy. Emeline dostrzegła w tym coś więcej niż obowiązek. Powiedziała:

— Świetnie pan się spisał, kapitanie Grove.

Grove powiedział:

— Myślę, że Aleksander był rzeczywiście zadowolony, kiedy zapytaliśmy o Troję. Zwykle musi się uciekać do werbunku, żeby zapełnić nowe miasta, którymi jest usiany pusty kontynent. Wydaje mi się, że Europa jest bardziej imperium neandertalczyków niż ludzi.

— Imperium? — warknął Bloom. — Nie użyłbym takiego słowa. Może jest źródłem zapasów. Kamienni Ludzie są silni, łatwo ich poskromić i charakteryzują się znaczną sprawnością manualną. Grecy mówią, że układanie Kamiennego Człowieka to tak jak układanie słonia w porównaniu z koniem — bystrzejszym rodzajem zwierzęcia, po prostu trzeba zastosować odmienną technikę.

Twarz Grove'a była niczym maska.

— Wykorzystujemy neandertalczyków — powiedział. — Bez nich nie dalibyśmy sobie rady. Ale my ich *zatrudniamy*. Płacimy im, dostarczając pożywienie. Mają własną mowę, robią narzędzia, opłakują swoich zmarłych. Och, pani White, jest wiele rodzajów podludzi. Biegacze, małpoludy i pewien gatunek mocnej budowy, którego przedstawiciele wydają się nie zajmować niczym innym poza wcinaniem owoców w głębi lasu. Oraz inne gatunki, które można uważać mniej lub bardziej za zwierzęta. Ale ten neandertalczyk to nie koń czy słoń. Jest bardziej człowiekiem niż zwierzęciem!

Bloom wzruszył ramionami.

— Biorę świat takim, jaki jest. Z tego co wiem, słonie mają swoich bogów i konie także. Pozwólmy im oddawać im cześć, jeśli to ich pociesza! Czy dla nas stanowi to jakąś różnicę?

Zamilkli i ciszę przerywało jedynie stękanie Kamiennych Ludzi oraz ciche kroki ich bosych stóp.

* * *

Ziemia była teraz bardziej żyzna; została podzielona na wielokątne poletka, na których przycupnęły chałupy z plecionki pokrytej gliną, przysadziste i szpetne. Ziemię przecinały lśniące kanały. Emeline przypuszczała, że są to słynne babilońskie kanały nawadniające. Grove powiedział jej, że wiele z nich zostało przerwanych w wyniku przypadkowego układu plastrów czasu, ale pod rządami Aleksandra przywrócono je do poprzedniego stanu.

W końcu na zachodnim horyzoncie zobaczyła budynki, mury i budowlę w kształcie schodkowej piramidy — wszystko przesłonięte szarawą mgiełką oddalenia. Z licznych ognisk unosił się dym, a kiedy się zbliżyli, Emeline zobaczyła żołnierzy czujnie obserwujących okolicę z wież w murach miasta.

Babilon! Zadrżała owładnięta uczuciem nierzeczywistości, po raz pierwszy, od chwili gdy znalazła się w Europie, miała autentyczne wrażenie, że cofnęła się w czasie.

Mury miasta były same w sobie imponujące, tworzył je potrójny rząd konstrukcji z wypalonej cegły i tłucznia, który miał długość piętnastu mil; mury otaczała fosa. Podjechali do mostu przerzuconego nad fosą. Strażnicy najwyraźniej rozpoznali Blooma i machając rękami, zaprosili całą grupę do środka.

Zbliżyli się do najbardziej okazałej bramy w murach miasta. Tworzyło ją łukowate przejście między dwiema potężnymi wieżami. Ażeby dotrzeć do bramy, Kamienni Ludzie stękając musieli wciągnąć faeton po pochylni na platformę znajdującą się na wysokości dobrych piętnastu jardów nad powierzchnią ziemi.

Sama brama wznosiła się dwadzieścia jardów nad głową Emeline, która patrzyła w górę, kiedy pod nią przejeżdżali. Bloom wymruczał, że to jest Brama Isztar. Jej powierzchnię pokrywała zapadająca w pamięć szafirowa glazura, na której tańczyły smoki i byki. Kamienni Ludzie nie patrzyli na to cudo, utkwiwszy wzrok w zdeptanej ziemi pod stopami.

Miasto wewnątrz murów było zbudowane na planie prostokąta, spinając brzegi Eufratu. Grupa nadjechała od północy, po wschodniej stronie rzeki, a teraz faeton posuwał się na południe wzdłuż szerokiej alei, mijając wspaniałe budowle. Emeline dostrzegła posągi i fontanny, powierzchnię każdej budowli ozdabiały olśniewające glazurowane cegły z wymodelowanymi lwami i rozetami.

Bloom wskazywał mijane obiekty, jak przewodnik na wystawie światowej.

— Ten kompleks na prawo to Pałac Nabuchodonozora, największego władcy Babilonu. Eufrat przecina miasto na dwoje, biegnąc z północy na południe. Wschodnia monumentalna część to najwyraźniej relikt z czasów Nabuchodonozora, kilka wieków przed Aleksandrem. Faktycznie to już nie jest Babilon Aleksandra, ale nasz,

jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Jednak zachodni brzeg, który niegdyś stanowił dzielnicę mieszkalną, był w ruinach, pochodził z plastra czasu ze znacznie późniejszego okresu, być może z naszej epoki. Aleksander odbudowuje go już od trzech dziesięcioleci…

Drogi były zatłoczone, ludzie spieszyli tu i tam, poruszając się głównie pieszo, ale niektórzy jechali wozami lub konno. Niektórzy z nich mieli na sobie fioletowe szaty, równie okazałe jak strój Blooma albo jeszcze świetniejsze, ale inni byli odziani w bardziej praktyczne tuniki, a na nogach mieli sandały. Jakiś wytworny osobnik z wymalowaną twarzą szedł ulicą z władczą nonszalancją. Prowadził zwierzę przypominające wychudłego szympansa na sznurze przywiązanym do szyi. W pewnym momencie zwierzę wyprostowało się, stając na tylnych nogach, bardzo podobnych do nóg człowieka. Nosiło kryzę z jakiegoś lśniącego materiału, dla ukrycia opasującej mu szyję obroży. Nikt z mijanych przez Emeline nie miał na sobie ubioru ludzi z Zachodu. Wszyscy byli niscy, krępi, muskularni i śniadzi, zupełnie inni niż mieszkańcy dziewiętnastowiecznego Chicago.

W powietrzu wisi jakieś napięcie, pomyślała natychmiast. Urodziła się w Chicago, przywykła do miast i odczytywania ich nastrojów. Im ktoś był wyższy rangą, tym bardziej wydawał się poruszony. Coś się tu działo. Jeżeli Bloom i Grove zdawali sobie z tego sprawę, nie dali tego po sobie poznać.

Droga wiodła przez szereg rozległych otoczonych murami placów i w końcu doprowadziła ich do przypominającej piramidę budowli, którą Emeline dostrzegła, będąc poza granicami miasta. W istocie był to ziggurat, wieża zaopatrzona w schody wiodące na siedem tarasów, wyrastających z podstawy o boku około stu jardów.

Bloom powiedział:

— Babilończycy nazywali tę budowlę *Etemenanki,* co oznacza „dom stanowiący fundament Nieba i Ziemi”…

Ten ziggurat był, o dziwo, słynną Wieżą Babel.

Na południe od niej znajdował się kolejny olbrzymi monument, ale ten był zupełnie nowy, jak można było wnosić z jego połysku. Był to ogromny kwadratowy blok o boku liczącym zapewne dwieście jardów i wysokości co najmniej siedemdziesięciu. Jego podstawa była ozdobiona girlandą przedstawiającą pozłacane dzioby łodzi, które wyróżniały się na tle kamienia i wydawało się, że wynurzają się z mgły, natomiast na ścianach rzędy jaskrawych fryzów przedstawiały skomplikowaną historię miłości i wojny. Na szczycie budowli znajdowały się ogromne obute stopy będące podstawą posągu, który pewnego dnia będzie jeszcze potężniejszy od samej podstawy.

— Słyszałem o tym — powiedział Grove. — To Pomnik Syna. Nie ma nic wspólnego z Babilonem. To cały Aleksander…

Syn, o którym mowa, był drugim synem Aleksandra. W wyniku

Nieciągłości jego pierwszy syn, spłodzony z wziętą do niewoli żoną pokonanego perskiego wodza, nie znalazł się na Mirze. Drugi syn był kolejnym Aleksandrem zrodzonym z jego żony imieniem Roksana, księżniczki także wziętej do niewoli.

Bloom powiedział:

— Chłopiec urodził się w pierwszym roku istnienia Mira. Świętowaliśmy ten fakt, ponieważ król nie miał następcy. Ale w wieku dwudziestu pięciu lat ów następca, już dorosły mężczyzna, niecierpliwił się, podobnie jak jego ambitna matka, bo Aleksander wciąż nie chciał umierać. — Wojna między ojcem z synem szalała na obszarze całego imperium, pochłaniając jego ograniczone zasoby. Gniew syna nie dorównywał doświadczeniu ojca albo jego niewzruszonej wierze we własną boskość. Wynik był łatwy do przewidzenia. — Ostateczna klęska jest obchodzona każdego roku — powiedział Bloom. — Faktycznie jutro jest siódma rocznica.

— Oto, jak ja to widzę, pani White — powiedział Grove. — Ta wojna uczyniła Aleksandra, już przedtem dziwaka, jeszcze bardziej pokręconym. Powiadają, że Aleksander maczał palce w zamordowaniu własnego ojca. Na pewno jest odpowiedzialny za śmierć swego syna i następcy. I jego żona Roksana zdaje sobie z tego sprawę. Teraz Aleksander jest przekonany bardziej niż kiedykolwiek, że jest bogiem i że będzie panował wiecznie.

— Ale tak nie będzie — mruknął Bloom. — I rozpęta się wielka zawierucha, kiedy w końcu upadnie.

Posuwając się na południe od Pomnika Syna, dotarli na koniec do świątyni, którą Bloom nazywał *Esagila* - Świątyni Marduka, boga Babilonii. Kiedy się tam znaleźli, opuścili faeton. Patrząc w górę, Emeline ujrzała kopułę wieńczącą dach świątyni, a na niej cylinder, który wystawał niczym działo. Było to obserwatorium, a „działem" był całkiem nowoczesny teleskop.

Podbiegł do nich śniady młodzieniec. Nosił burą szatę przypominającą strój mnicha i miał splecione dłonie.

— Wielki Boże — powiedział Grove, poczerwieniawszy na twarzy. — Ty musisz być Abdikadir Omar. Jesteś tak podobny do ojca…

— Tak mówią, proszę pana. Pan kapitan Grove. — Rozejrzał się po obecnych. — Ale gdzie jest Josh White? Panie Bloom, prosiłem o przyjazd Josha White'a.

— Jestem jego żoną — powiedziała Emeline stanowczo. — Obawiam się, że mój mąż nie żyje.

— Nie żyje? — Chłopiec był zdenerwowany i wydawało się, że prawie tego nie pojmuje. — No cóż, och, musicie tam pójść! — Ruszył w stronę świątyni. — Proszę, chodźcie ze mną do komnaty Marduka.

— Po co? — spytała Emeline. — W liście pisałeś o dzwoniącym

telefonie.

— Nie o to chodzi — powiedział wzburzony z wyrazem wielkiego przejęcia. — To był dopiero początek. Dzisiaj pojawiło się coś więcej, musicie to zobaczyć…

Kapitan Grove zapytał:

— Co zobaczyć, człowieku?

— Ona jest tutaj. Oko, ono powróciło, wygięło się, *ona*! — Po czym Abdikadir ruszył biegiem do świątyni.

Oszołomieni podróżnicy pośpieszyli za nim.

28. Skafander Pięć

To nie przypominało przebudzenia. To było nagłe pojawienie się, brzęk czyneli. Oczy miała szeroko otwarte, wypełniało je oślepiające światło. Wciągnęła powietrze głęboko do płuc i wydała stłumiony okrzyk, kiedy dotarła do niej świadomość własnego ja.

Leżała na plecach. Oddychała z trudem, czuła w piersi ból. Kiedy próbowała się poruszyć, miała wrażenie, jakby ręce i nogi były z ołowiu. Zakute w zbroję. Była uwięziona.

Oczy miała otwarte, ale nie widziała nic.

Oddech stawał się szybszy. Pełen paniki. Słyszała go, rozlegał się głośno w zamkniętej przestrzeni. Była w czymś zamknięta.

Zmusiła się do uspokojenia. Próbowała coś powiedzieć, ale stwierdziła, że usta ma spieczone i suche, a głos przypominał skrzek.

— Myra?

— Obawiam się, że Myra nie może cię usłyszeć, Biseso. — Głos był cichy, męski, ale bardzo spokojny, jak szept.

Powróciła pamięć.

— Skafander Pięć? — Jama na Marsie. Oko wywracające się na drugą stronę. Pulsowało jej w uszach. — Czy Myrze nic się nie stało?

— Nie wiem. Nie mogę się z nią skontaktować. Z nikim nie mogę się skontaktować.

— Dlaczego?

— Nie wiem — powiedział skafander żałośnie. — Moje główne zasilanie padło. Pracuję w trybie awaryjnym, na zapasowych bateriach. Ich oczekiwany czas życia wynosi…

— Nieważne.

— Oczywiście wysyłam sygnał wzywania pomocy.

Teraz coś usłyszała, jakby drapanie w skorupę skafandra. Coś tam było. Albo też ktoś. Była bezbronna, ślepa, zamknięta w bezwładnym skafandrze, podczas gdy coś się działo tam, na zewnątrz. W jej umyśle zaczęła się rodzić panika.

— Czy mogę wstać? To znaczy czy zdołam.

— Obawiam się, że nie. Zawiodłem cię, Biseso, nieprawdaż?

— Czy mogę coś zobaczyć? Czy możesz uczynić mój wizjer przezroczystym?

— To się da zrobić.

Światło wpadło do środka, oślepiając ją.

Patrząc w górę, ujrzała Oko, wielką srebrzystą kulę, którą spowijała tajemnica. Ujrzała też na jego powierzchni własne odbicie w marsjańskim skafandrze, niby bezradnie przewróconego na grzbiet zielonego żuka.

Ale czy to było to samo Oko? Czy wciąż była na Marsie?

Uniosła głowę w hełmie, próbując zobaczyć coś oprócz Oka. Jej głowa była ciężka, jak piłka wypełniona chlupoczącym płynem. Przypominało to przeciążenia w helikopterze. Siła ciążenia była duża, a więc to nie Mars.

Za Okiem dostrzegła ceglaną ścianę. Ściana była usiana elementami elektronicznymi, rozmieszczonymi byle jak i połączonymi przewodami. Znała tę ścianę i ten sprzęt. Sama go montowała, wygrzebawszy z rozbitego Małego Ptaka, gdy urządzała w tej komnacie laboratorium do badania Oka.

Była to Świątynia Marduka. Była znów w Babilonie. Na Mirze.

— Jestem tu znowu — wyszeptała.

Nagle pojawiła się nad nią jakaś twarz. Wzdrygnęła się, uwięziona w swej skorupie. Był to mężczyzna, młody, śniady, przystojny, o jasnych oczach. Wiedziała, kim jest. Ale to nie mógł być on.

— Abdi? — Ostatnim razem, kiedy widziała Abdikadira, członka załogi Małego Ptaka, był wycieńczony wojną z Mongołami, a jego twarz i ciało były pełne blizn będących śladami tego konfliktu. Ten gładkolicy mężczyzna był zbyty młody, zbyt „nienaruszony".

Teraz w polu widzenia pojawiła się inna twarz oświetlona migotliwym światłem lampy. Jeszcze jedna znajoma twarz, z ogromnymi wąsami, ale tym razem *starsza,* niż pamiętała, poszarzała, pokryta zmarszczkami.

— Kapitan Grove — powiedziała. — Cała paczka na miejscu.

Grove coś powiedział, ale go nie usłyszała. Poczuła silniejszy ból w piersi.

— Skafandrze, nie mogę oddychać. Otwórz się i wypuść mnie.

— To nie jest wskazane, Biseso. Nie znajdujemy się w środowisku kontrolowanym. A ci ludzie to nie jest załoga Stacji Wellsa — powiedział skafander sztywno. — Jeżeli w ogóle istnieją.

— Otwórz się — powiedziała tak surowo, jak potrafiła. — Uchylam wszelkie stałe zalecenia, jakie ci wydano. Twoim zadaniem jest ochrona mojej osoby. Więc wypuść mnie, zanim się uduszę.

Skafander powiedział:

— Obawiam się, że inne protokoły mają większy priorytet niż twoje polecenie, Biseso.

— Jakie inne protokoły?

— Ochrona planetarna.

Skafander był przeznaczony do ochrony Marsa przed Bisesą w takim samym stopniu jak Bisesy przed Marsem. Więc gdyby umarła, skafander by się szczelnie zamknął, aby uniemożliwić zanieczyszczenie kruchej ekologii Marsa przez szczątki jej ciała. W chwili śmierci Skafander Pięć miał się stać jej trumną.

— Tak, ale… och, to nie jest… my nie jesteśmy na Marsie! Czy

tego nie widzisz? Nie ma czego chronić! — Wytężyła wszystkie siły, ale jej kończyny były unieruchomione. Płuca wciągały stęchłe powietrze. — Skafandrze Pięć, na litość boską…

Coś trzasnęło w hełm, aż podskoczyła jej głowa. Wizjer po prostu wyleciał i powietrze owionęło jej twarz. Pachniało spalonym olejem i ozonem, ale było bogate w tlen i z wdzięcznością wciągnęła je w płuca.

Grove pochylał się nad nią. Trzymał w dłoni młotek i dłuto.

— Przepraszam za to — powiedział. — Nie było wyjścia. Ale obawiam się, że uszkodziłem twój strój czy też zbroję. — Chociaż się postarzał, miał ten sam urywany sposób mówienia, jaki pamiętała ze swego ostatniego pobytu na Mirze, ponad trzydzieści lat temu.

Poczuła się niezmiernie szczęśliwa, że go widzi.

— Nie ma sprawy — powiedziała. — Skafandrze, wszystko w porządku, miałeś swoje pięć minut. Zostałeś uszkodzony, więc ochrona planetarna nie funkcjonuje, gdziekolwiek się znajdujemy. Wypuścisz mnie teraz?

Skafander nie odpowiedział. Wahał się przez kilka sekund i milczał, jakby się dąsał. Następnie mechanizmy zamykające otworzyły się z trzaskiem, uwalniając jej tułów, nogi i ręce. Leżała w skafandrze, w obcisłym kombinezonie termicznym i owiewało ją chłodne powietrze.

— Czuję się jak homar w pękniętej skorupie.

— Pozwól, że ci pomogę. — To był chłopiec, który wyglądał jak Abdikadir. Razem z kapitanem Grove pochylili się, podłożyli ręce pod ciało Bisesy i wydobyli ją ze skafandra.

29. Aleksiej

Minęła godzina, odkąd Bisesa zniknęła w głębi Oka.

Myra, osamotniona i zdezorientowana, odszukała Aleksieja w jego kabinie. Leżał na łóżku zwinięty w kłębek, twarzą do pokrytej plastikiem lodowej ściany.

— Powiedz mi o Atenie.

Nie odwracając się odpowiedział:

— No cóż, Atena cię wybrała. Chyba uważa, że warto cię ocalić.

Myra zasznurowała wargi.

— To ona jest prawdziwą przywódczynią tego waszego spisku, tak? Tej podziemnej grupy skautów, którzy próbują rozpracować marsjańskie Oko.

Wzruszył ramionami, nadal nie zmieniając pozycji.

— My, Kosmici, jesteśmy podzieleni. Marsjanie w ogóle nie uważają się za Kosmitów. Atena różni się od nas wszystkich i jest o wiele mądrzejsza. Jest kimś, kto może nas zjednoczyć.

— Żebym to dobrze zrozumiała — powiedziała. — Atena to sztuczna inteligencja tarczy.

— Jej kopia. Oryginalna Atena uległa zniszczeniu w ostatnich stadiach burzy słonecznej. Kopię przed nadejściem burzy wysłano do gwiazd. I gdzieś w głębi kosmosu tę kopię odebrano, pobudzono do działania i odesłano z powrotem.

Taką właśnie historię usłyszała od innych.

— Zdajesz sobie sprawę, ile nieprawdopodobnych rzeczy musiałoby być prawdą, żeby to się zdarzyło.

— Nikt poza personelem Cyklopa nie zna szczegółów.

— Cyklop. To wielki zestaw teleskopowy do poszukiwania planet.

— Zgadza się. Oczywiście echo mogło zostać odebrane gdzieś w układzie słonecznym, ale o ile wiadomo, została uaktywniona właśnie w stacji Cyklopa. Jest zamknięta w zabezpieczonej pamięci danych Cyklopa. To jej decyzja. Z tego co mówi Hanse Critchfield, udało jej się załadować czynnik pośredniczący do twego tatuażu identyfikacyjnego. Nikt nie wie jak. Uległ samozniszczeniu po przekazaniu ci tej wiadomości. Myślę, że ona obserwuje cię swymi elektronicznymi oczyma, Myro.

To nie była pocieszająca myśl.

— Moja matka zniknęła w Oku. Co dalej?

— Musimy czekać.

— Na co?

— Myślę, że na to, co wyniknie z misji twojej matki na Mirze. I na Atenę.

— Jak długo?

— Nie wiem, Myro. Mamy czas. Jest jeszcze ponad osiemnaście miesięcy do chwili, gdy bomba Q dotrze do Ziemi.

— Słuchaj, zrobiliśmy wszystko, co możliwe. Doprowadziliśmy twoją matkę do Oka i *bum,* to stanowiło zapalnik rozmaitych dziwnych zjawisk w układzie słonecznym. Bez obrazy. Teraz mamy przerwę w podróży. Więc nie przejmuj się. Przeszłaś wiele — oboje przeszliśmy. Sama podróż dała nam się porządnie we znaki. A jeśli chodzi o to, co się stało tam, w Jamie, nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak się musiałaś poczuć.

Myra nieporadnie usiadła na jedynym krześle w pokoju i zaczęła wyłamywać palce.

— To nie jest tylko przerwa w podróży. Dla mnie to stacja końcowa. Potrzebowałeś mnie, żeby ściągnąć moją matkę tu na Marsa. Dobrze, zrobiłam to. Ale teraz mam wrażenie, jakbym wpadła na ścianę.

Przekręcił się i popatrzył na nią.

— Przykro mi, że odbierasz to w ten sposób. Myślę, że jesteś dla siebie zbyt surowa. Jesteś dobrym człowiekiem. Widzę to. Kochasz matkę i wspierasz ją, nawet gdy to sprawia ci ból. Zresztą — powiedział — ja nie jestem od dawania ci rad. Ja *szpieguję* własnego ojca. Czy to nie jest objaw zaburzeń czynnościowych?

Odwrócił się z powrotem do ściany. Posiedziała przy nim jeszcze przez chwilę. Kiedy zaczął chrapać, wyślizgnęła się z pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

30. Chiliarcha

Grove i Abdi zabrali Bisesę do mniejszej komnaty, pomieszczenia zastawionego kanapami i stołami. Emeline zwróciła uwagę, że ta świątynia jest pełna rozmaitych biur; dowiedziała się, że stanowi centrum administracyjne rozmaitych kultów i departamentów rządowych, jak również miejsce praktyk religijnych.

Grove posadził Bisesę na krześle i owinął ją kocem. Krzyknął, żeby przyniesiono herbaty i w końcu sługa podał Bisesie czarkę jakiegoś gorącego mlecznego napoju, który przyjęła z wdzięcznością.

Przy drzwiach ustawiono dwóch potężnie zbudowanych macedońskich strażników. Trzymali długie, groźnie wyglądające piki zwane *sarisami*. Wyglądało na to, że powrót Bisesy wywołał ferment, chociaż Emeline nie wiedziała, czy strażnicy bronili ludzi przed Bisesą, czy na odwrót.

Emeline siedziała i spokojnie przyglądała się Bisesie Dutt.

Wyglądała na starszą od niej, ale niezbyt wiele, miała może z pięćdziesiąt lat. Była dokładnie taka, jak opisywał ją Josh, nawet umieścił jej podobiznę w kilku swoich gazetach. Miała ładną, może nawet piękną twarz, mocno zarysowany nos i kwadratową szczękę. Spojrzenie miała otwarte, a krótko przycięte włosy już siwiały. Chociaż robiła wrażenie wycieńczonej i zdezorientowanej, Emeline wyczuwała wokół niej aurę siły i determinacji.

Dochodząc do siebie, Bisesa ostrożnie rozejrzała się wokół.

— No tak — powiedziała. — Jesteśmy na miejscu.

— *Ty* jesteś na miejscu — poprawił ją Grove. — Wróciłaś do domu, prawda? To znaczy do Anglii. Twojej Anglii.

— Tak, kapitanie. Zabrano mnie z powrotem do chwili pojawienia się Nieciągłości i wylądowałam w swojej przyszłości. Z dokładnością do jednego dnia. Chociaż na Mirze spędziłam pięć lat.

Grove pokręcił głową.

— Powinienem przywyknąć do dziwnego sposobu, w jaki tu płynie czas. Ale nie sądzę, aby to kiedykolwiek nastąpiło.

— Jestem z powrotem. Wiem gdzie. Ale *kiedy?*

Emeline powiedziała:

— Proszę pani, tutaj powszechnie wiadomo, że opuściła pani Mir w piątym roku nowego kalendarza wprowadzonego przez babilońskich astronomów. Teraz mamy rok trzydziesty drugi…

— A więc minęło dwadzieścia siedem lat. — Bisesa popatrzyła na nią z zaciekawieniem. — Pani jest Amerykanką.

— Jestem z Chicago.

— Oczywiście. *Sojuz* dostrzegł was, z dala od północnoamerykańskiej płyty lodowej.

Emeline powiedziała:

— Jestem z roku 1894. — Przyzwyczaiła się do powtarzania tego dziwnego szczegółu.

— Dziewięć lat po plastrze czasu kapitana Grove'a — to był rok 1885.

— Tak.

Bisesa zwróciła się do Abdikadira, który niewiele mówił od chwili jej uratowania.

— A ty jesteś tak bardzo podobny do ojca.

Szeroko otworzywszy oczy, Abdi, spięty i pełen ciekawości, zapewne pragnął zrobić wrażenie.

— Jestem astronomem. Pracuję tutaj, w Świątyni, na dachu jest obserwatorium…

Uśmiechnęła się do niego.

— Ojciec musi być z ciebie dumny.

— Nie ma go tutaj — szybko powiedział Abdi. I opowiedział jej, jak Abdikadir Omar wybrał się na poszukiwania na południe Afryki. Jeżeli Mir zamieszkiwały hominidy z całej długiej historii ewolucji rodzaju ludzkiego, Abdikadir pragnął znaleźć ich najwcześniejszych przedstawicieli, pierwsze odgałęzienie od pozostałych linii ewolucyjnych małp człekokształtnych. — Ale nie powrócił. To było kilka lat temu.

Bisesa pokiwała głową, usłyszawszy tę wiadomość.

— A Casey? Co z nim?

Casey Othic, trzeci członek załogi Małego Ptaka, także był nieobecny. Zmarł w wyniku powikłań po starym urazie, jakiego doznał w dniu Nieciągłości.

— Ale — powiedział kapitan Grove — pozostawił po sobie doniosłą spuściznę. Szkołę Othica. Inżynierów, dla których Casey stał się prawdziwym bogiem! Zobaczysz to, Biseso.

Bisesa słuchała uważnie.

— A trzej członkowie załogi *Sojuza* ostatecznie zginęli. Więc nie ma tutaj nikogo z tamtych czasów, to znaczy z moich czasów. Dziwne wrażenie. A Josh?

Kapitan Grove zakaszlał, niezręcznie usiłując ukryć zakłopotanie.

— No cóż, przeżył twoje zniknięcie, Biseso.

— Przebył wraz ze mną połowę drogi — tajemniczo powiedziała Bisesa. — Ale odesłano go z powrotem.

— Kiedy znikłaś, nic nie mogło go zatrzymać w Babilonie.

— Grove spojrzał z zakłopotaniem na Emeline. — Udał się na poszukiwane swoich współziomków.

— Do Chicago.

— Tak. Minęło kilka lat, zanim ludzie Aleksandra, z pomocą Caseya, zbudowali pierwszy żaglowiec zdolny przepłynąć Atlantyk.

Josh popłynął na tym statku.

— Byłam jego żoną — powiedziała Emeline.

— Ach — powiedziała Bisesa.

I Emeline opowiedziała jej trochę o życiu Josha, jak umarł i że pozostawił po sobie dwóch synów. Bisesa słuchała uważnie.

— Nie wiem, czy chciałaby pani to usłyszeć — powiedziała.

— Po powrocie poszukiwałam informacji o Joshu. Spytałam Arystotelesa, to znaczy sprawdziłam w archiwach. I stwierdziłam, że Josh ma swoje miejsce w historii.

„Kopia" Josha na Ziemi przeżyła rok 1885. Tamten Josh zakochał się i w wieku trzydziestu pięciu lat poślubił pewną katoliczkę z Bostonu, która urodziła mu dwóch synów, dokładnie tak jak Emeline urodziła mu synów na Mirze. Ale Josh zmarł, mając pięćdziesiąt kilka lat, zakończył życie w przesiąkniętym krwią błocie, w Passchendale, jako korespondent wojenny podczas wielkiej wojny światowej, o której Emeline nigdy nie słyszała.

Emeline słuchała tego niechętnie. Słuchanie tej opowieści o alternatywnej wersji Josha jakoś umniejszało jej własnego męża.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas na temat przerwanej historii, pogarszającego się klimatu na Mirze, nowej Troi i globalnym imperium Aleksandra. Grove spytał Bisesę, czy odnalazła swoją córkę. Bisesa potwierdziła i powiedziała, że teraz ona sama jest babką. Ale można było odnieść wrażenie, że jest w smutnym nastroju. Wydawało się, że niewiele z tego wszystkiego sprawia jej radość.

Emeline miała niewiele do powiedzenia. Próbowała się zorientować w nastroju otaczających ją ludzi, kiedy rozmawiali, dostosowując się do tej nowej sytuacji. Abdi i Ben, urodzeni po wystąpieniu Nieciągłości, byli ciekawi, wytrzeszczali oczy ze zdumienia. Ale Grove i sama Emeline, a także zapewne Bisesa, byli naprawdę przestraszeni. Ci młodzi ludzie nie rozumieli tak jak starsi, którzy przetrwali Nieciągłość, że nic na świecie nie jest trwałe, jeśli można rozerwać i na powrót skleić wedle życzenia tkankę czasu. Ktoś, kto przeżył takie zdarzenie, nigdy potem nie dojdzie do siebie.

Od drzwi dobiegł jakiś hałas.

Abdikadir, przywykły do życia na dworze Aleksandra, zerwał się na równe nogi.

Do pokoju żwawym krokiem wszedł jakiś mężczyzna, któremu towarzyszyli dwaj słudzy. Abdikadir padł przed nim na twarz z rozpostartymi rękami i pochyloną głową.

Odziany w powłóczystą szatę z jakiejś drogiej ufarbowanej na fioletowo tkaniny przybysz był najniższy ze wszystkich obecnych, ale miał władczy sposób bycia. Był łysy, jeśli nie liczyć mgiełki srebrzystych włosów. Emeline pomyślała, że ma około siedemdziesiątki, ale jego pomarszczona skóra lśniła od olejków

natłuszczających.

Oczy Bisesy rozszerzyły się ze zdumienia.

— Sekretarz Eumenes.

Mężczyzna uśmiechnął się chłodnym, wystudiowanym uśmiechem.

— Teraz od ponad dwudziestu lat mam tytuł chiliarchy. — Jego angielszczyzna była płynna, lecz sprawiała wrażenie koturnowej i była zabarwiona brytyjskim akcentem.

Bisesa powiedziała:

— Chiliarcha. To był kiedyś tytuł Hefajstiona. Doszedłeś wyżej niż ktokolwiek, z wyjątkiem króla, Eumenesie z Kardii.

— Nienajgorzej jak na obcokrajowca.

— Sądzę, że powinnam była ciebie oczekiwać — powiedziała Bisesa. — Właśnie ciebie.

— Tak jak ja zawsze oczekiwałem ciebie.

Wciąż leżąc na podłodze, Abdikadir wyjąkał:

— Chiliarcho, wezwałem cię, wysłałem biegaczy w chwili, gdy to się wydarzyło, Oko, powrót Bisesy Dutt, dokładnie tak jak kazałeś, przepraszam, jeśli nastąpiło jakieś opóźnienie i…

— Och, uspokój się, chłopcze. I wstań. Przybyłem tak szybko, jak mogłem. Wierzcie lub nie, ale w tym naszym ogólnoświatowym imperium są sprawy jeszcze bardziej niecierpiące zwłoki niż tajemnicze kule i niemniej tajemnicze powroty. No tak. Co cię tu sprowadza, Biseso Dutt?

Było to bezpośrednie pytanie, którego dotąd nie zadał jej nikt z obecnych.

Bisesa powiedziała:

— Nowe zagrożenie ze strony Pierworodnych.

W paru słowach opowiedziała o burzy słonecznej i o tym, jak ludzkość następnego stulecia mozoliła się, aby ją przetrwać. Powiedziała o nowej broni zwanej bombą Q, która pędzi przez kosmos ku Ziemi — jej Ziemi.

— Ja sama podróżowałam między planetami, próbując odpowiedzieć na to wyzwanie. A potem… zostałam sprowadzona tutaj.

— Dlaczego? Przez kogo?

— Nie wiem. Może to ten sam czynnik, który wtedy przerzucił mnie do domu. Pierworodni albo nie Pierworodni. Może ktoś, kto się im przeciwstawia.

— Król wie o twoim powrocie.

Grove zapytał:

— Skąd o tym wiesz?

Eumenes uśmiechnął się.

— Aleksander wie wszystko, co ja wiem, i to na ogół przede mną.

Takie jest przynajmniej najbezpieczniejsze przypuszczenie. Porozmawiam z tobą, Biseso Dutt, później, w pałacu. Być może Król także zechce uczestniczyć w naszej rozmowie.

— No to jesteśmy umówieni.

Eumenes skrzywił się.

— Zapomniałem o twojej zuchwałości. Interesujące jest znowu cię gościć, Biseso Dutt. — Obrócił się na pięcie i wyszedł przy akompaniamencie ukłonów Abdikadira.

Bisesa spojrzała na Emeline i Grove'a.

— Więc teraz wiecie, dlaczego tu jestem. Bomba w układzie słonecznym, Oko na Marsie. A dlaczego *wy* jesteście tutaj?

— Ponieważ — powiedział Abdikadir — wezwałem ich, kiedy zadzwonił twój telefon.

Bisesa wpatrywała się w niego.

— Mój telefon?

Pośpieszyli z powrotem do komnaty, w której znajdowało się Oko.

Abdikadir wyjął telefon z sanktuarium i uroczyście wręczył go Bisesie.

Telefon spoczywał w jej dłoni, porysowany, znajomy. Nie mogła w to uwierzyć, oczy zaszły jej łzami. Próbowała to Abdikadirowi wyjaśnić.

— To zwykły telefon. Dostałam go, kiedy miałam dwanaście lat. Każde dziecko na Ziemi dostaje w tym wieku telefon. W ramach programu komunikacji i edukacji sponsorowanego przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Przybył tu ze mną przez Nieciągłość i bardzo mi pomógł — to był mój prawdziwy towarzysz. Ale potem bateria wyczerpała się.

Abdikadir słuchał z twarzą pozbawioną wyrazu.

— Dzwonił. Dryń, dryń.

— Reagował na próbę nawiązania połączenia, to wszystko. Kiedy bateria wyczerpała się, nie było sposobu, żeby ją ponownie naładować. Faktycznie nadal nie mogę tego zrobić. Czekaj…

Obróciła się w stronę skafandra, który wciąż leżał rozpostarty na podłodze. Nikt nie odważył się go dotknąć.

— Skafander Pięć?

Głos dobiegający z głośników hełmu był bardzo cichy.

— Zawsze usiłowałem spełniać twoje potrzeby podczas działań poza statkiem kosmicznym.

— Możesz dać mi jeden z twoich zasilaczy?

Wydawało się, że się zastanawia. Po chwili przegródka umieszczona w pasku skafandra otworzyła się, odsłaniając niewielkich rozmiarów plastikową płytkę jasnozielonego koloru. Bisesa wyciągnęła zasilacz z gniazda.

— Czy jeszcze coś mogę dziś dla ciebie zrobić, Biseso?

— Nie. Dziękuję.

— Będę potrzebował naprawy, zanim znów będę mógł ci służyć.

— Dopilnuję tego. — Bała się, że to może być kłamstwo. — Teraz odpocznij.

Skafander wydał westchnienie i zamilkł. Bisesa wzięła zasilacz, odsłoniła złącza telefonu i wcisnęła go w gniazdo zasilacza.

— Jak to mówił Aleksiej? Dzięki Bogu istnieją uniwersalne protokoły połączeń.

Telefon włączył się i powiedział niepewnie:

— Bisesa?

— Tak, to ja.

— Nie śpieszyłaś się.

31. Nowe rozkazy

Z biura Belli w Waszyngtonie nadeszły do *Liberatora* nowe rozkazy.

— Mamy śledzić bombę Q — powiedziała Edna, przeglądając otrzymane rozkazy.

— Jak daleko? — spytał John Metternes.

— Jeżeli będzie trzeba, przez całą drogę do Ziemi.

— Chryste, to może zająć dwadzieścia miesięcy!

— Libby, możemy to zrobić?

Sztuczna inteligencja odpowiedziała:

— Będziemy towarzyszyć bombie. Materiał napędowy i masa reakcyjna nie powinny stanowić problemu. Jeśli wydajność recyklingu będzie w normie, funkcje życiowe załogi zostaną zachowane.

— Ładnie powiedziane — kwaśno powiedział John.

— Jesteś inżynierem — warknęła Edna. — Myślisz, że ma rację?

— Tak sądzę. Ale jaki to ma sens? Nasza broń jest bezużyteczna.

— Lepiej robić coś niż nic. Coś może się wydarzyć. John, Libby, zacznijcie przygotowywać plan działania. Przejrzę jego projekt i jeśli zyskamy pewność, że jest wykonalny z punktu widzenia posiadanych przez nas zasobów, prześlemy go na Ziemię.

— Szykuje się niezła jazda — mruknął Metternes.

Edna spojrzała na ekran. Zobaczyła bombę, która sunęła w głąb układu słonecznego, ale widać ją było tylko dzięki gwiazdom, które odbijały się w jej powierzchni. Edna próbowała wymyślić, co ma powiedzieć Thei, jak jej wytłumaczyć, że nieprędko wróci do domu.

32. Aleksander

Bisesa dostała własny pokój w pałacu Nabuchodonozora, który jak było do przewidzenia, zajął Aleksander. Pracownicy Eumenesa dostarczyli jej ubiór w wymyślnym perskim stylu przejętym przez macedoński dwór.

Emeline podarowała jej trochę przyborów toaletowych: grzebień, kremy do twarzy i rąk, małą buteleczkę perfum, a nawet archaicznie wyglądające podpaski. Pochodziły z zestawu podróżnego dziewiętnastowiecznej damy.

— Chyba nie zabrałaś ze sobą zbyt wiele — powiedziała.

Ten gest jednej kobiety z dala od domu wobec innej sprawił, że Bisesa miała ochotę się rozpłakać.

Trochę się przespała. Ciążył jej nagły powrót ziemskiej siły ciążenia, trzykrotnie większej od marsjańskiej. Jej zegar biologiczny był rozregulowany; jak poprzednio ta nowa nieciągłość, jej własna podróż w czasie, wywołała zmęczenie jak po długiej podróży samolotem.

A potem rzeczywiście się rozpłakała nad sobą i nad utratą Myry. Ale te ostatnie niezwykłe tygodnie, kiedy podróżowały razem w przestrzeni kosmicznej, prawdopodobnie trwały tak samo długo jak czas spędzony z Myrą od dnia burzy słonecznej. Stanowiło to pewną pociechę — tak sobie mówiła — mimo że prawie ze sobą nie rozmawiały, prawie nie poznały się nawzajem.

Marzyła o tym, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Charlie. Nawet nie widziała fotografii swojej wnuczki.

Spróbowała zasnąć znowu.

* * *

Obudziła ją nieśmiała służąca czy może niewolnica. Był wczesny wieczór. Pora audiencji u Eumenesa, być może z udziałem Aleksandra.

Wykąpała się i ubrała; nosiła już przedtem babilońskie szaty, ale wciąż czuła się głupio w tym przebraniu.

Okazała komnata, do której ją wprowadzono, była pełna nieprzyzwoitego wręcz przepychu, obwieszona gobelinami i pięknymi dywanami i pełna wyszukanych mebli. Nawet cynowy kubek, w którym służący podał jej wino, był wysadzany drogimi kamieniami. Wszędzie widać było strażników, stali w drzwiach i chodzili po korytarzu, uzbrojeni w długie *sarisy* i krótkie miecze. Nie mieli na

sobie pełnej zbroi, tylko hełmy z wołowej skóry, lniane pancerze i skórzane buty. Wyglądali jak żołnierze piechoty, których Bisesa pamiętała z okresu, jaki spędziła tu poprzednio.

Pośród okrywającego żołnierzy żelaza oraz srebrnych i złotych dekoracji przechadzali się obojętnie pogrążeni w rozmowie dworzanie. Mieli na sobie egzotyczne stroje, głównie fioletowe i białe. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni mieli twarze pokryte tak grubą warstwą farby, że trudno było określić, w jakim są wieku. Zauważyli Bisesę, która wprawdzie wzbudziła ich ciekawość, ale byli znacznie bardziej zainteresowani sobą oraz własnymi intrygami.

Wśród tego tłumu byli także neandertalczycy. Bisesa rozpoznała ich, przypomniawszy sobie, jak mignęli jej w oddali na lodowym pustkowiu podczas poprzedniego pobytu na Mirze. Teraz byli na dworze. Głównie bardzo młodzi, chodzili z pochylonymi wielkimi głowami i bezmyślnym spojrzeniem, trzymając w swych potężnych dłoniach delikatne tace. Mieli na sobie fioletowe szaty, równie piękne jak dworzanie, jak gdyby dla żartu.

Bisesa stanęła przed niezwykłym gobelinem. Pokrywał całą ścianę i przedstawiał mapę świata, ale odwróconą, z południem u góry. Wielki obszar południowej Europy, północna Afryka i środkowa Azja, sięgające aż do Indii, były pomalowane na czerwono i otoczone złotą wstęgą.

— Yeh-lu Ch'u-ts'ai — powiedział kapitan Grove.

Towarzyszył Emeline i był ubrany w brytyjski mundur, ona zaś miała na sobie praktyczną białą bluzkę, długą spódnicę i czarne pantofle. Oboje wyglądali jak prawdziwi ludzie z dziewiętnastego wieku pośród tych dworzan w krzykliwych strojach.

— Zazdroszczę ci tego stroju — powiedziała Bisesa do Emeline, czując się skrępowana swym babilońskim ubiorem.

— Wożę ze sobą żelazko — półgębkiem powiedziała Emeline.

Grove spytał Bisesę:

— Dobrze to wymówiłem?

— Nie mam pojęcia — powiedziała Bisesa. — Yeh-lu…?

Grove popijał wino, odgarniając swe bujne wąsy.

— Może nigdy go nie spotkałaś. Przed wojną Aleksandra z Mongołami był najważniejszym doradcą Czyngis-chana. Będąc chińskim jeńcem wojennym, wylądował całkiem dobrze. Po wojnie — jak pamiętasz, Czyngis-chan został zamordowany — jego gwiazda przybladła. Ale przybył tutaj, do Babilonu, aby pracować razem z uczonymi Aleksandra. Wynikiem tej pracy są mapy takie jak ta. — Gestem wskazał wielki gobelin. — Trochę przesadnie kosztowna, ale jak się wydaje, całkiem dokładna. Ogromnie pomógł Aleksandrowi w planowaniu zwycięskich podbojów, a potem w określaniu rozmiarów jego zdobyczy. Kampanie Aleksandra były niezwykłe, Biseso — jako

zdumiewające osiągnięcie logistyki i motywacji. Zbudował całą flotę w wielkim porcie tu, w Babilonie, a potem Eufrat musiał uczynić żeglownym na całej jego długości. Wraz ze swą flotą opłynął Afrykę, robiąc wypady na brzeg dla zdobycia pożywienia. W międzyczasie jego wojska posuwały się na wschód i na zachód, kładąc tory kolejowe i budując drogi, i wszędzie zakładając miasta. Zabrało mu to pięć lat, po czym przez kolejne dziesięć lat toczył kampanię, dopóki ostatecznie nie zawojował wszystkiego, od Hiszpanii po Indie. Oczywiście w trakcie tych wypraw siły jego ludzi uległy wyczerpaniu…

Emeline dotknęła ramienia Bisesy.

— Gdzie jest twój telefon? Bisesa westchnęła.

— Nalegał, by go zabrać z powrotem do świątyni, żeby Abdi mógł załadować do niego tyle informacji astronomicznych, ile będzie w stanie. Jest ciekawy.

Emeline zmarszczyła brwi.

— Przyznaję, że mam trudności ze zrozumieniem tego, co mówisz. Najdziwniejsza ze wszystkiego jest twoja wyraźna sympatia, jaką czujesz do tego telefonu. Przecież to jest tylko urządzenie. Rzecz!

Kapitan Grove się uśmiechnął.

— Och, to nie jest takie niezwykłe. Wielu moich ludzi kocha swoją broń.

— A w moich czasach — powiedziała Bisesa — istnieje wiele urządzeń obdarzonych swoistą wrażliwością jak ten telefon. Mających świadomość jak ty lub ja. Trudno nie odczuwać do nich sympatii.

Odpychając dworzan, zbliżył się do nich Eumenes, budząca lęk postać, choć ubrana tak samo krzykliwie, jak cała reszta.

— Rozmawiacie o astronomii. Mam nadzieję, że astronomia, jaką tutaj uprawiamy, jest dobrej jakości i może być dla was przydatna — powiedział. — Babilońscy kapłani obserwowali niebo na długo przed naszym pojawieniem się tutaj. A teleskopy opracowane przez inżynierów ze Szkoły Othica zostały przez nas wykonane możliwie najstaranniej. Ale kto wie, co można odczytać na niebie, co jest uczynione równie zmyślnie jak ziemia, po której stąpamy.

Emeline powiedziała:

— Mamy swoich astronomów w Chicago. A także teleskopy, które przetrwały Znieruchomienie, to znaczy Nieciągłość. Wiem, że prowadzą obserwacje planet. I mówią, że wszystko uległo zmianie w stosunku do tego, co było przedtem. Światła na Marsie. Miasta! Niewiele wiem na ten temat. Tylko to, co przeczytałam w gazetach.

Bisesa i Grove wpatrywali się w nią osłupiali. Bisesa powiedziała:

— Miasta na Marsie?

A kapitan Grove dodał:

— Macie gazety? Chiliarcha zastanowił się.

— Są też inni… — szukał odpowiedniego słowa -…*naukowcy*. Czy

są inni naukowcy w Chicago?

— Och, najprzeróżniejsi — powiedziała Emeline radośnie. — Fizycy, chemicy, lekarze, filozofowie. Uniwersytet nadal jako tako funkcjonuje i teraz zakładają nowy campus w Nowym Chicago, na południe od lodu, więc będą mogli działać po likwidacji starego miasta.

Eumenes zwrócił się do Bisesy.

— Wydaje mi się, że musisz się udać do tego Chicago, które jest siedliskiem wiedzy i edukacji, oddalonej w czasie od epoki Aleksandra o ponad dwadzieścia stuleci. Być może właśnie tam będziesz miała największą szansę znalezienia odpowiedzi na wielkie pytanie, które cię tutaj przywiodło.

Grove ostrzegł:

— Dotarcie tam zabierze piekielnie dużo czasu. Całe miesiące…

— Niemniej jednak jest to najwyraźniej konieczne. Zorganizuję ci transport.

Emeline uniosła brwi.

— Wygląda na to, że będziemy miały mnóstwo czasu, żeby się wzajemnie poznać, Biseso.

Bisesa była oszołomiona nagłością decyzji Eumenesa.

— Zawsze rozumiałeś — powiedziała — więcej niż którykolwiek z ludzi Aleksandra, zawsze byłeś świadom, że kluczem do całej sytuacji są Pierworodni, Oczy. Wszystko inne, imperia i wojny, to tylko odmiana.

Chrząknął.

— Gdyby mi brakowało przenikliwości, nie przetrwałbym długo na dworze Aleksandra, Biseso. Zobaczysz bardzo niewielu z tych, których pamiętasz z tamtych czasów, trzydzieści lat temu. W wyniku czystek wszystkich zlikwidowano.

— Wszystkich oprócz ciebie.

— Zwłaszcza że sam dopilnowałem, że to ja przeprowadzę te czystki…

Rozległ się dźwięk trąbek i głośne okrzyki.

Do komnaty wmaszerował oddział żołnierzy z wysoko uniesionymi *sarisami.* Za nimi pojawiła się groteskowa postać w przezroczystej todze, chuda jak tyka, lekko drżąca, z jaskrawo wymalowaną twarzą i ustami wykrzywionymi uśmiechem. Bisesa przypomniała sobie: był to Bagoas, perski eunuch i ulubieniec Aleksandra.

— Nie jest już tak piękny jak niegdyś — twardo powiedział Eumenes. — A mimo to żyje, podobnie jak ja. — Uniósł kubek z winem gestem udawanego pozdrowienia.

Teraz pojawił się sam Król. Otaczała go grupa mocno zbudowanych młodzieńców w drogich fioletowych szatach.

Kołysząc się, jakby był pijany, potknął się i byłby upadł, gdyby się nie oparł o krępego, małego pazia, którzy szedł obok. Miał na sobie jaskrawofioletowe szaty, a na głowie baranie rogi osadzone na diademie ze złota. Jego twarz nosiła ślady urody, którą pamiętała Bisesa: pełne usta i silnie zarysowany nos, wyrastający z wypukłego czoła, pukle włosów opadały do tyłu. Jego skórę, rumianą jak zawsze, pokrywały plamy i blizny, policzki obwisły, a potężne ciało obrosło tłuszczem. Bisesa była zaszokowana zmianami, jakie w nim zaszły.

Składając mu hołd, dworzanie padli na ziemię. Żołnierze i niektórzy urzędnicy wyżsi rangą nie poruszyli się, żywo gestykulując. Mały paź, który go podtrzymał, był neandertalskim chłopcem, jego prymitywna twarz lśniła od kremu, gęste włosy były zwinięte w loki. Kiedy król ją mijał, Bisesa poczuła zapach moczu.

— Oto władca świata — szepnęła Emeline, kiedy ją mijał, co w uszach Bisesy zabrzmiało lodowato.

— Ale on nim jest — powiedział Grove.

— Nie miał wyboru, musiał znowu podbić świat — mruknął Eumenes. — Aleksander wierzy, że jest bogiem — synem Zeusa pod postacią Ammona i dlatego nosi szaty Ammona oraz te rogi. Ale urodził się jako człowiek i boskość osiągnął dopiero dzięki swoim podbojom. Po pojawieniu się Nieciągłości wszystko to utracił i czymże wtedy był? To było nie do przyjęcia. Więc zaczął wszystko od nowa, musiał to uczynić.

Bisesa powiedziała:

— Ale teraz nie jest tak jak przedtem. Mówisz, że są tutaj pociągi parowe. Może to nowy początek cywilizacji. Zjednoczone imperium, pod panowaniem Aleksandra i jego następców, wspierane nowoczesną techniką.

Grove uśmiechnął się smutno.

— Pamiętasz, że biedny Ruddy Kipling zwykł był mówić to samo?

— Nie sądzę, aby Aleksander podzielał twoje „nowoczesne" marzenia — powiedział Eumenes. — Dlaczego miałby tak myśleć? Nas jest więcej niż was, znacznie więcej, może nasze przekonania wyprą wasze i to one ukształtują nową rzeczywistość.

— Zgodnie z moimi książkami historycznymi — powiedziała Emeline półgębkiem — w starym świecie Aleksander zmarł w wieku trzydziestu kilku lat. To nie po chrześcijańsku tak mówić, ale może byłoby lepiej, gdyby umarł *tutaj* zamiast dalej żyć.

— Z pewnością tak myślał jego syn — powiedział Eumenes sucho. — I właśnie dlatego… uwaga! — Odciągnął Bisesę do tyłu.

Obok przebiegł oddział żołnierzy z opuszczonymi *sarisami.* W środku komnaty nastąpiło jakieś zamieszanie. Rozległy się krzyki.

A Aleksander leżał na ziemi.

Leżąc Aleksander krzyczał swym zachrypłym głosem. Dworzanie,

a nawet strażnicy odsuwali się od niego, jakby obawiając się, że obarczą ich winą za to, co się stało. Na jego brzuchu widniała jaskrawa czerwona plama. Bisesa myślała, że to wino.

Ale wtedy ujrzała stojącego nad nim małego neandertalskiego pazia, z twarzą bez wyrazu i nożem w potężnej dłoni.

— Tego się obawiałem — warknął Eumenes. — To rocznica wojny z synem, a ty i twoje Oko spowodowaliście ogólne zamieszanie, Biseso Dutt. Kapitanie Grove, proszę ich stąd wyprowadzić i wywieźć z miasta, tak szybko, jak się da. W przeciwnym razie ryzykujemy, że zostaną zmieceni przez czystki, jakie teraz muszą nastąpić.

— Rozumiem — spokojnie powiedział Grove. — Chodźcie, moje panie.

Kiedy Grove je wyprowadzał, Bisesa obejrzała się przez ramię. Zobaczyła, jak neandertalski chłopiec znowu unosi nóż i zbliża się do Aleksandra. Poruszał się ciężko, jakby spełniając uciążliwy obowiązek. Aleksander ryknął z wściekłości i strachu, ale żaden ze strażników nawet się nie poruszył. W końcu to Eumenes, stary Eumenes, przedarł się przez tłum i zwalił chłopca z nóg.

Za miastem zaczęło się palić. Dym kłębił się nad budynkami, pod które podłożono ogień, gdy rozeszły się wieści o próbie zamachu.

33. Ucieczka

W bladym świetle poranka Bisesa i pozostali opuścili miasto eskortowani przez osobisty oddział Eumenesa, który miał im towarzyszyć przez całą drogę aż do Gibraltaru. Wystraszonego Abdikadira wyznaczono do udania się do Ameryki wraz z Bisesą.

I tak zaledwie dwanaście godzin po tym, jak wypluło ją Oko, Bisesa znów była w drodze. Nie mogła ze sobą zabrać nawet skafandra. Jedynymi przedmiotami z dwudziestego pierwszego wieku był telefon oraz wyjęty ze skafandra zasilacz.

Niespodziewanie dodała jej otuchy Emeline.

— Poczekaj, aż dotrzemy do Chicago — powiedziała uspokajająco. — Zabiorę cię na Michigan Avenue na zakupy.

Na zakupy!

* * *

Nawet pierwszy etap podróży był zdumiewający.

Bisesa znalazła się w otwartym wozie, który ciągnęła czwórka muskularnych neandertalczyków, gołych jak ich Pan Bóg stworzył, podczas gdy macedońscy jeźdźcy kłusowali obok. Owi Kamienni Ludzie byli własnością człowieka nazwiskiem Ilicius Bloom, który nazywał siebie konsulem Chicago w Babilonie. Był typem krętacza i Bisesa od samego początku nie mała do niego zaufania.

Dojechali do stacji końcowej kolei w miejscu zwanym Gnojowiskiem, dziwnym, stłoczonym miasteczku pełnym domów, drabin i gryzącego dymu. Sama stacja stanowiła zlepek wąskich torów, ogromnych szop i ponurych lokomotyw.

Ich wagon był po prostu prymitywnym krytym wozem z drewnianymi ławkami i Emeline zrobiła złośliwą uwagę na temat kontrastu z wagonami pulmanowskimi. Ale lokomotywa była niezwykła. Wyglądała jak ogromne zwierzę, olbrzymia czarna cysterna, która rozsiadła się na wąskich torach i wyrzucała z siebie kłęby czarnego dymu. Ben Batson powiedział, że lokomotywy są opalane olejem, który pociągi transportują w wielkich zbiornikach; olej z Persji był łatwiej dostępny dla Aleksandra niż węgiel i Casey Othic odpowiednio dostosował swoje projekty.

W tym nieprawdopodobnym pociągu Bisesa miała jechać do wybrzeża Atlantyku. Najpierw mieli się skierować przez Arabię do wielkiej stacji rozrządowej w Jerozolimie, następnie na południe i

zachód, przecinając deltę Nilu, tam gdzie król ponownie zbudował Aleksandrię. Potem pojadą dalej wzdłuż wybrzeży północnej Afryki, przez Egipt, Libię, Tunezję i Maroko, do portu małej floty oceanicznej koło Słupów Herkulesa.

Ilicius Bloom powiedział, że będzie im towarzyszył jedynie do Gnojowiska. Był zdenerwowany.

— Przez te wszystkie lata nigdy nie było takiej nocy w Babilonie — powiedział. — Przynajmniej od czasu wojny z synem. Przeklęci Grecy. Ale ja mam tu pracę do wykonania, mam swoje kontakty.

— I dziecko — powiedziała Emeline surowo.

— To nie należy do moich obowiązków — powiedział. — To sprawa matki, nie moja. A kiedy będziecie w domu, nie pozwólcie im zapomnieć, że jestem tutaj. Dobrze? Nie zapomnijcie o mnie!

Grove także się z nimi rozstał, złapał pociąg do Nowej Troi. Ale Benowi Batsonowi kazał ich eskortować do Gibraltaru.

Kiedy pociąg odjechał, Bisesie wydało się, że słyszy śpiew dobiegający od strony lokomotywy.

— Ci technicy są ze Szkoły Othica — powiedział Abdikadir. — Casey Othic dobrze ich wyszkolił. Nauczył ich, że aby wykonać pracę możliwie jak najlepiej, trzeba oddawać cześć bogom, tak jak rolnik oddaje dziesięcinę swoich zbiorów. Więc kiedy pracują, oddają cześć, a kiedy oddają cześć, pracują.

— Więc maszynista jest mnichem — powiedziała Bisesa. — Och, Casey, coś ty narobił?

Ben Batson wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Faktycznie to sposób, aby skupili się na wykonywanej pracy. Pracę trzeba wykonywać dokładnie, mówił pan Othic, aby hołd został przyjęty przez bogów. Ale kłopot polega na tym, że wszystko robią na pamięć, nie lubią zmian, które uważają za heretyckie.

— Więc nie wprowadzają żadnych innowacji — powiedziała Bisesa. — I kiedy lokomotywy Caseya się zepsują…

Emeline powiedziała:

— To jest dokładnie tak jak na dworze Aleksandra. Mimo kontaktu z nowoczesnością ci starożytni Grecy niepostrzeżenie powracają do zabobonów.

Abdi powiedział:

— Mój ojciec zawsze mówił, że nie można zaszczepić nauki i techniki w społeczeństwie z epoki żelaza. I to się sprawdza.

Bisesa przyjrzała mu się.

— Będziesz mi musiał opowiedzieć o swoim ojcu.

Emeline powiedziała sucho:

— No cóż, z pewnością będziemy mieli na to mnóstwo czasu.

* * *

Z Babilonu nie wyruszył za nimi żaden pościg, w mieście panowało zamieszanie. Ale o godzinę drogi od stolicy, gdzieś w środku pustyni, zaledwie kilka kilometrów od torów kolejowych, zobaczyli, jak toczy się zacięta bitwa.

Bisesa przeżyła wojnę Aleksandra z Mongołami i rozpoznała charakterystyczne macedońskie formacje. Widać było falangi piechoty z wzniesionymi w górę *sarisami,* grupy świetnie wyszkolonych żołnierzy, którzy poruszali się w sposób tak zgrany i elastyczny, że wydawali się płynąć nad ziemią, nie łamiąc szyku. Słynne oddziały konnicy, ustawione w klin, pędziły z wzniesionymi lancami i tarczami. Ale tym razem Macedończycy walczyli z Macedończykami.

— A więc mamy prawdziwy bunt — mruknął Ben Batson. — Oczywiście ktoś stale próbuje sprzątnąć Aleksandra od czasów jeszcze sprzed Nieciągłości. Ale nigdy nie widziałem, żeby to zaszło tak daleko. I popatrzcie, widzicie tę flegmatyczną grupę? To neandertalczycy. Macedończycy wykorzystywali ich od czasów kampanii prowadzonych w Europie. Ich nadzorcy mówią, że nie będą walczyć, dopóki nie zostaną do tego zmuszeni. Jednak potrafią przerazić nieprzyjaciela.

Na szczęście bitwa toczyła się z dala od linii kolejowej i lokomotywa z hałasem jechała przez pola w coraz jaśniejszym świetle dnia, powoli pozostawiając bitwę za sobą. Ale nie ujechali daleko, gdy pojawiło się nowe zagrożenie.

— Wielkie nieba! — powiedziała Emeline, pokazując palcem. — Małpoludy. Biseso, popatrz!

Patrząc przed siebie, na tle porannego nieba Bisesa ujrzała na niewysokiej wydmie zgarbione postacie. Abdi powiedział:

— Czasami atakują pociągi, żeby zdobyć pożywienie. I stają się coraz bardziej zuchwałe. Posuwają się wzdłuż torów w stronę miasta.

Małpoludy powoli schodziły z wydmy. Szły przygarbione na swych nogach przypominających ludzkie, z potężnymi tułowiami goryli. Ich ruchy były pełne determinacji i czaiła się w nich wyraźna groźba.

Bisesa obserwowała je niespokojnie z powoli jadącego rzężącego pociągu. I wtedy pomyślała, że rozpoznaje małpoluda, który szedł na czele grupy. Było to zwierzę o twarzy, którą trudno było wymazać z pamięci, twarzy jednego z dwóch małpoludów, matki i dziecka, schwytanych przez żołnierzy Grove'a w pierwszych dniach po pojawieniu się Nieciągłości. Czy to było to samo dziecko? Jak ją ludzie nazywali — Chwytaczką? No tak, jeśli to była ona, teraz była starsza, pokryta bliznami i *odmieniona.* Bisesa pamiętała, jak uwięzione

małpoludy, pozostawione sam na sam z Okiem, stały się obiektem eksperymentu Pierworodnych. Może właśnie miała przed sobą wynik tego eksperymentu.

Teraz Chwytaczka uniosła ręce wysoko w górę, odsłaniając to, co dotąd zakrywało jej włochate ciało. Trzymała grubą gałąź, na którą była nadziana pokryta krwią głowa człowieka. W jego szeroko rozwartych ustach tkwił patyk, a połamane zęby lśniły bielą w promieniach wschodzącego słońca.

Bisesa poczuła nagłe ukłucie lęku.

— Chyba prosiłam o uwolnienie tego małpoluda, kiedy znalazłam się w Oku. To był błąd.

Kiedy pociąg się do nich zbliżył, małpoludy zaatakowały. Przywitał je grad strzał, ale ruchome cele trudno było dosięgnąć i niewiele małpoludów padło. Jednak wybrały nieodpowiedni moment. Kiedy rozległ się gwizd lokomotywy, włochate ciała rzuciły się na drewniane wagony, ale napotkały las pięści i pałek, nie znajdując punktu oparcia. Małpoludy odpadały jeden po drugim, podskakując i rycząc z rozczarowania.

Abdi powiedział:

— No cóż, tak jest codziennie…

* * *

Kiedy pociąg zostawił gromadę małpoludów za sobą, telefon Bisesy cicho zapiszczał. Wyjęła go z kieszeni, a pozostali obserwowali ją z zaciekawieniem.

— Dzień dobry, Biseso.

— Więc znowu ze mną rozmawiasz.

— Mam dwie wiadomości, dobrą i złą.

Zastanawiała się przez chwilę.

— Najpierw ta zła.

— Analizowałem dane astronomiczne zebrane w Babilonie przez Abdikadira i jego poprzedników. Nawiasem mówiąc, byłbym wdzięczny, gdybym mógł sam poobserwować niebo.

— I?

— Ten wszechświat umiera.

Spojrzała na pokrytą pyłem równinę, wschodzące Słońce i małpoludy podskakujące koło torów.

— A dobra wiadomość?

— Odebrałem telefon. Z Marsa, ze Stacji Wellsa. To do ciebie — dodał lakonicznie.

34. Ellie

Wrzesień 2069 roku

Na biegunie północnym Marsa, podczas niekończącej się zimowej nocy, czas płynął powoli. Myra czytała, gotowała, sprzątała, przekopywała się przez bibliotekę wirtualnych danych i ściągała filmy z Ziemi.

Oraz penetrowała Stację Wellsa.

Faktycznie znajdowało się tam siedem modułów. Każdy z nich stanowił przestronne pomieszczenie rozdzielone ażurową podłogą, otaczające centralny cylinder. Wszystkie moduły zostały przetransportowane przy użyciu rakiet i spadochronów, złożone, a następnie przeciągnięte na właściwe miejsce za pomocą łazików i nadmuchane. Wszystkie urządzenia były zasilane przez wielki reaktor jądrowy, chłodzony marsjańskim dwutlenkiem węgla i zatopiony w lodzie w odległości jednego kilometra, a ciepło odpadowe powoli powiększało jaskinię, w której się znajdował.

Wędrowała przez kolejne „puszki" aż do części kuchennej i mieszkalnej, którą wszyscy nazywali po prostu „domem". W Puszce nr Cztery, stanowiącej centralną część stacji, znajdował się ogród wypełniony pojemnikami z zielonymi roślinami, które rosły w świetle lamp fluoroscencyjnych. Puszka nr Siedem mieściła główny system podtrzymujący życie. W tym miejscu Hanse pokazał jej z dumą bioreaktor, wielką półprzezroczystą rurę zawierającą zielonkawy, szlamowaty płyn, w którym niebiesko-zielone algi, *spirulaplantensis,* pracowicie wytwarzały tlen. Pokazano jej także urządzenie do odzyskiwania wody; brudny marsjański lód topiono, po czym otrzymaną wodę przepuszczano przez szereg filtrów, aby usunąć pył, który stanowił do czterdziestu procent jej objętości.

Jedynka i Trójka stanowiły pomieszczenia sypialne, które mogły pomieścić do dziesięciu osób. Oba te moduły były opuszczone, ale pozostały tam niektóre elementy wyposażenia. Wszystko było nadmuchiwane, łóżka, krzesła, a przegrody wypełniała marsjańska woda, zapewniając tłumienie dźwięków. Na ścianach znajdowały się panele oświetleniowe, które można było po prostu odlepić i złożyć. Myra zabrała kilka z nich, by rozświetlić swoją lodową jaskinię.

Pod panelami znajdowały się elementy dekoracyjne modułów: Dwójkę ozdabiał krajobraz miejski, Piątkę góry, Szóstkę morze, Jedynkę sosnowy las, a Trójkę preria. Trochę eksperymentując, przekonała się, że owe wirtualne krajobrazy można ożywić. Ale

najwyraźniej o tych wymyślnych możliwościach szybko zapomniano, gdy załoga przeniosła się do Dwójki, gdzie mieszkali razem.

Kiedy o tym rozmawiali, Jurij wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Rozmaite ziemskie rządy i organizacje wydały na to mnóstwo pieniędzy — powiedział — po burzy słonecznej, gdy fundusze płynęły w przestrzeń kosmiczną szeroką strugą. Myślę, że wynikło to z jakiegoś poczucia winy. Zdawano sobie sprawę, że jest to środowisko ekstremalne. Próbowano więc uczynić je możliwie podobnym do Ziemi. Można być „turystą wewnętrznym". Tak właśnie powiedziano mi podczas szkolenia. Ha!

— I to nie zadziałało?

— Słuchaj, musisz mieć parę zdjęć swojej rodziny i trochę działających uspokajająco niebiesko-zielonych powierzchni, przypomnij mi, żebym ci kiedyś pokazał Marsa przez filtr powodujący przesunięcie długości fali. Są tutaj barwy, głębokie odcienie czerwieni, dla jakich w ogóle nie mamy nazw. Ale wszystkie te obrazy miejsc, w których nigdy nie byłem, wypełnione miastami, których tu prawdopodobnie nigdy nie było — no nie. Możecie to sobie zatrzymać.

Pomyślała, że wszystko to układa się w pewien wzór, obejmujący stacje Lowella i Wellsa: kosztowne, nieprzemyślane urządzenia, teraz na poły porzucone przez kolejne pokolenia Kosmitów, które musiały ich używać.

Jednakże Myra podejrzewała, że w fakcie, iż cała załoga zajmowała pozbawione przegród wnętrze Dwójki, kryło się coś głębszego. Kilka krótkich pytań do sztucznej inteligencji zawiadującej stacją wywołało obrazy okrągłych domów, konstrukcji z epoki żelaza, które kiedyś były powszechne na obszarze Europy i Wielkiej Brytanii: wielkie budowle, stożki z drewna, zbudowane wokół centralnego słupa, z gołą, kolistą podłogą, pozbawione wewnętrznych ścian. Tu, na biegunie Marsa, mieszkańcy Stacji Wellsa całkiem nieświadomie porzucili miejskie uprzedzenia i powrócili do znacznie starszego sposobu bytowania. Doszła do wniosku, że jest to całkiem sympatyczne.

Oczywiście ta składająca się z siedmiu modułów konstrukcja służyła jednemu wyraźnemu celowi, który wiązał się z psychologią stanu odosobnienia. Zawsze istniały co najmniej dwie drogi przedostania się z jednego punktu stacji do drugiego. Więc gdyby Ellie miała na przykład ochotę udusić Jurija, istniały sposoby, aby uniknąć spotkania go, dopóki nie zapanuje nad swymi uczuciami. Ludzie zamknięci razem w ten sposób, pozostając w ciemności przez okrągły ziemski rok, nie mogąc nawet wyjść na zewnątrz, zawsze w końcu zwracali się przeciw sobie. Wszystko, co można było uczynić, to zaplanować otoczenie w taki sposób, aby rozładowywało napięcie.

Stopniowo Myra znalazła sobie zajęcie.

Zawsze było coś do roboty w ogrodzie, w Czwórce: trzeba było doglądać roślin, ryżu, szpinaku, ziemniaków i grochu oraz czyścić urządzenia zasilające kultury wodne. Grendel Speth chętnie przyjęła pomoc niedoświadczonej Myry. Było tam nawet stanowisko hodowli bambusów. Członkowie poprzedniej załogi stacji znaleźli sposób wykorzystania szybko rosnącej rośliny, używając jej do wyrobu rozmaitych przedmiotów; w rogu pomieszczenia wisiały wyrzeźbione z bambusa dzwoneczki wietrzne. Ogród zaspokajał jedynie kilka procent zapotrzebowania stacji i gdyby spojrzeć na to logicznie, lepiej byłoby wykorzystać to miejsce do magazynowania zapasów suszonego jedzenia dostarczanego z Portu Lowella. Ale Myra przekonała się, że opiekowanie się tymi dobrze znanymi przedstawicielami ziemskiej flory daje mnóstwo satysfakcji, co rzecz jasna było prawdziwym celem istnienia ogrodu.

Ale bez względu na to, jak bardzo była zajęta, zawsze ciągnęło ją z powrotem do Jamy.

Ostatecznie stanowiła ona centrum tutejszej tajemnicy i była miejscem, gdzie znikła jej matka. Kłopot polegał na tym, że aby się tam dostać, potrzebowała specjalistycznej pomocy, a członkowie załogi stacji byli zajęci własnymi sprawami.

Minęły tygodnie, zanim podstępnie nakłoniła Hanse'a Critchfielda, żeby jej dopomógł i jeszcze raz zabrał na czapę lodową i do wnętrza Jamy.

* * *

Czując się nieswojo, Ellie i Myra chodziły po Jamie. Myra pomyślała, że wyglądają jak dwie wielkie zielone poczwarki, poruszając się w tych lodowych komorach w ostrym świetle reflektorów.

Ellie von Devender ledwie tolerowała jej obecność. Zajęta, skoncentrowana, pełna poczucia własnej wartości i znaczenia wykonywanej przez siebie pracy, Ellie nie była typem człowieka, który by się nadawał do opieki nad dziećmi. Jednakże była gotowa rozmawiać o swojej pracy, a Myra potrafiła zadawać inteligentne pytania.

Ellie rozmieściła w pobliżu Oka zestaw czujników, niektóre w komorze, gdzie znajdowało się samo Oko, a inne w zagłębieniach, które wytopiła w marsjańskim lodzie.

— To detektory wysokoenergetycznych cząstek. Czujniki

promieniowania. Zbiornik do detekcji neutrin. — Była nim wydrążona w lodzie komora wypełniona ciekłym dwutlenkiem węgla.

Ellie dysponowała także sposobami aktywnego badania Oka. Ustawiła szereg laserów i małych wyrzutni cząstek wycelowanych w Oko, niczym karabiny plutonu egzekucyjnego. Emitowane przez nie cząstki w pewnym sensie stanowiły odbicie promieniowania wysyłanego przez Oko, i manipulując impulsami wejściowymi wysyłanymi do wnętrza Oka, Ellie zdołała przesłać sygnały do telefonu komórkowego Bisesy, pozostawionemu w innym świecie.

Jednak urządzenie do detekcji neutrin było dosyć prymitywne, a zestaw do wykrywania cząstek całkiem standardowy. Najwięcej uwagi Ellie poświęcała detektorowi fal grawitacyjnych.

Zaprojektowała go sama, mając na uwadze szczególne warunki, jakie panowały na marsjańskiej czapie lodowej. Pożyczyła od Hanse'a krety, małe inteligentne urządzenia drążące, przeznaczone do badania wnętrza skorupy lodowej. Wykorzystując je, utworzyła sieć długich, prostoliniowych tuneli, którymi biegły wiązki światła laserów o wysokiej energii. Zgodnie z teorią wszelkie zmiany osobliwego pola grawitacyjnego Oka albo wnętrza klatki, w której było uwięzione, musiały wywołać emisję fal grawitacyjnych. Spowodowałoby to lekkie drgania warstw lodu, a owe drobne zakłócenia zostałyby wykryte dzięki subtelnym przesunięciom poziomów energetycznych światła laserów.

— To skomplikowany układ — powiedziała Ellie z dumą. — Fale grawitacyjne są jak wiadomo bardzo słabe. Mars jest stabilny z geologicznego punktu widzenia, ale występują tutaj dziwne wstrząsy. A sam lód okołobiegunowy powoli płynie. Jednak można to wszystko uwzględnić. Na powierzchni planety i na orbicie umieściłam dodatkowe zestawy. Najbardziej imponujące znajdują się na kilku stacjach ulokowanych na księżycach Marsa, Phobosie i Deimosie; kiedy są w jednej linii, dysponujemy naprawdę długą linią odniesienia…

— I przy pomocy tych wszystkich urządzeń badasz Oko.

— Nie tylko Oko. Także jego marsjańską klatkę.

Ellie powiedziała, że Oko i obejmująca je klatka zakrzywionej przestrzeni stanowią jakby dwa elementy połączonego układu, niczym yin i yang. I że układ ten ma charakter dynamiczny, jego elementy stale na siebie oddziaływają. Ta bezgłośna, ciągnąca się od wielu eonów walka jest źródłem cząstek i fal grawitacyjnych, które Ellie była w stanie wykrywać i analizować.

— Marsjańska technologia w pewnym sensie jest dla mnie bardziej interesująca — wyznała Myrze. — Bo mam wrażenie, że poziom jej rozwoju jest bliski naszemu, istnieje więc duża szansa, że będziemy w stanie ją pojąć.

— Rozumiem. A kiedy to się stanie? I co wtedy?

Wzruszyła ramionami, a jej ruch niezdarnie zwielokrotniły serwomotory skafandra.

— Gdybyśmy potrafili manipulować czasoprzestrzenią, nasze możliwości nie miałyby granic. Architektura wolna od ograniczeń siły ciężkości. Sztuczne pola grawitacyjne. Antygrawitacja. Pozbawione sprzężenia zwrotnego człony napędzające. Wiązki naprowadzające. Moglibyśmy nawet tworzyć własne miniaturowe wszechświaty takie jak Mir.

Myra chrząknęła.

— Powinnaś to opatentować.

Ellie chłodno spojrzała na nią przez wizjer skafandra.

— Myślę, że dopilnowanie, aby taka technologia dostała się we właściwe ręce, jest ważniejsze niż zarabianie na tym pieniędzy. A ty jak sądzisz?

Ellie miała niedopuszczający dyskusji sposób mówienia, który Myrze niezbyt odpowiadał.

— Jasne. Tylko żartowałam. — Przypomniano jej, że jest tu właściwie nieproszonym gościem. Zabrała się do odejścia.

Ale Ellie zawołała ją z powrotem.

— Jest jeszcze coś — powiedziała z pewnym wahaniem.

— Słucham.

— Nie jestem pewna… — Ellie przerwała. — Ujmę to tak. Nie sądzę, by każdy element pola grawitacyjnego, które jestem w stanie wykryć, był związany z technologią. Poziom szczegółowości jest tak zawiły — można powiedzieć, barokowy — że musi mieć jakieś znaczenie wybiegające poza samo znaczenie funkcjonalne.

Myra żyła z Eugene'em Manglesem dostatecznie długo, aby wyczuć charakterystyczną dla naukowca ostrożność, i rozszyfrowała jej wypowiedź z łatwością.

— Jeżeli nie jest funkcjonalne, to jakie? Symboliczne?

— Tak. Być może.

Wyobraźnia Myry nagle została pobudzona.

— Myślisz, że tam są jakieś symbole? W polu grawitacyjnym? Jakie symbole? Pismo, obrazy? Zapisane w strukturze czasoprzestrzeni? To nie do wiary.

Ellie zignorowała tę ostatnią uwagę. Myra zdała sobie sprawę, że nie powinna mówić na ten temat niczego, co nie byłoby wiarygodne i nie dało się udowodnić.

— Myślę, że pismo stanowi lepszą analogię. Odnajduję tu symbole różnego rodzaju, które się powtarzają. Glify. Występują grupami. I te grupy także się powtarzają.

— Grupy glifów. Słowa?

— Albo może zdania. To znaczy jeśli każdy glif reprezentuje

jakieś pojęcie, jeśli stanowi raczej ideogram niż literę. — Ellie wydawała się tracić pewność siebie, najwyraźniej bardzo nie chciała zrobić z siebie głupca. Kiedy znów się odezwała, jej głos niemal przypominał ryk, prawie nad nim nie panowała, jej ogłada towarzyska gdzieś znikła. — Zdajesz sobie sprawę, jakie to wszystko nieprawdopodobne. Istnieją liczne modele istot inteligentnych, które w ogóle nie dysponują sposobem porozumiewania się wykorzystującym symbole. Gdybyśmy były telepatkami, nie potrzebowałybyśmy ani liter, ani słów, żeby ze sobą rozmawiać. Więc nie ma *a priori* żadnego powodu, by spodziewać się, że marsjańscy budowniczowie tej jaskini pozostawili w niej jakąś wiadomość.

— A mimo to, jeżeli masz rację, uczynili to. — Myra gniewnie spojrzała na uwięzione Oko. — Może powinniśmy się byli tego spodziewać. W końcu świadczy o tym wyraźnie sama obecność Oka. *Patrzcie, co zrobiliśmy. Nie daliśmy się. Odcięliśmy ramię tego potwora…* Nie sądzę, że…

— Nie, w ogóle tego nie rozszyfrowałam. Cokolwiek by to było, jest bardzo złożone; to nie liniowy układ symboli, jak litery w wierszu, lecz macierz w przestrzeni trójwymiarowej, a może nawet w przestrzeni o większej liczbie wymiarów. Jeżeli te glify są rzeczywiste, z pewnością ich znaczenie jest zawarte zarówno w ich położeniu, jak i w samej postaci.

— Musi istnieć jakiś punkt wyjścia — powiedziała Myra. — Jakiś elementarz.

Ellie kiwnęła głową.

— Próbuję wydobyć jakieś powszechnie występujące łańcuchy symboli.

Myra przyjrzała się jej uważnie. Oczy Ellie były ukryte za wizjerem jej skafandra i przesłonięte okularami, twarz miała bez wyrazu. Myra zdała sobie sprawę, że nie wie prawie nic o tej kobiecie, która być może właśnie dokonywała wiekopomnego odkrycia. W ciągu długich miesięcy spędzonych na stacji, Myra prawie z nią nie rozmawiała.

Podała jej i sobie kawę, która znajdowała się w torebkach tkwiących w uchwycie przytwierdzonym do bocznych ścianek hełmu i zapytała:

— Skąd pochodzisz, Ellie? Z Niderlandów?

— Faktycznie z Holandii. Z Delft. Jestem obywatelką Eurazji. Tak jak i ty, prawda?

— Wybacz, ale nie wiem, ile masz lat.

— Miałam dwa lata, kiedy zaatakowała burza słoneczna — warknęła Ellie. A więc teraz miała dwadzieścia dziewięć lat. — Nie pamiętam jej. Pamiętam za to obozy dla uchodźców, gdzie razem z rodzicami spędziłam następne trzy lata życia. Rodzice próbowali mnie

odwieść od zamiaru pójścia za moim powołaniem, czyli poświęcenia się karierze naukowej. Mówili, że po burzy jest wiele do odbudowania. Powinnam tym właśnie się zająć, zostać architektem albo inżynierem, a nie fizykiem. Mówili, że to mój obowiązek.

— I jak widać, postawiłaś na swoim.

— Ale utraciłam rodziców. Myślę, że pragnęli, żebym cierpiała tak jak oni, bo burza słoneczna zniszczyła ich dom, wszystko, co zdołali zbudować, zniweczyła wszystkie ich plany. Czasami myślę, że pragnęli, by im się nie udało, by burza rozwaliła wszystko, bo wtedy nie wychowaliby niewdzięcznych dzieci, które niczego nie rozumiały.

Ten potok słów zaskoczył Myrę.

— Kiedy się otwierasz, to całkowicie, prawda, Ellie? I właśnie dlatego jesteś tutaj i zajmujesz się tym Okiem? Z powodu tego, co burza słoneczna uczyniła twojej rodzinie?

— Nie. Jestem tutaj, ponieważ fizyka jest rzeczą fascynującą.

— Jasne. Ellie, nikomu innemu nie mówiłaś o tych symbolach w jaskini, prawda? Żadnemu z członków załogi. Więc dlaczego mnie?

Ellie nieoczekiwanie uśmiechnęła się.

— Komuś musiałam powiedzieć. Po prostu po to, żeby się przekonać, czy to jest zupełnie bez sensu. Mimo że nie jesteś kompetentna do oceniania mojej pracy czy jej wyników.

— Oczywiście — oschle powiedziała Myra. — Cieszę się, że mi to powiedziałaś, Ellie. — Wewnątrz jej hełmu rozległ się cichy sygnał alarmowy i skafander poinformował ją, że powinna dołączyć do Hanse'a, żeby wrócić na powierzchnię. — Daj mi znać, kiedy dowiesz się czegoś więcej.

— Dobrze. — I Ellie powróciła do pracy, do jaskini pełnej instrumentów i niewidzialnych ścierających się ze sobą artefaktów grawitacyjnych.

35. Koń Posejdona

Bisesa, Emeline White i młody Abdikadir Omar mieli przebyć Ocean Atlantycki na pokładzie statku noszącego nazwę *Koń Posejdona.* W oczach Bisesy statek był zdumiewającą mieszaniną aleksandryjskiej tryremy i dziewiętnastowiecznego szkunera, coś jak *Cutty Sark* wyposażony w wiosła. Dowodził nim mówiący po angielsku Grek, który zaczął traktować pasażerów z najwyższym szacunkiem, kiedy Abdikadir wręczył mu list żelazny podpisany przez Eumenesa.

Oczekując na statek, musieli spędzić wiele tygodni w prymitywnym porcie na Gibraltarze. W tym świecie podróże transatlantyckie jeszcze nie były powszechne. Poczuli ulgę, kiedy w końcu wyruszyli w drogę.

* * *

Statek chyżo pruł szare wody Atlantyku. Załoga uwijała się ochoczo, czemu towarzyszył dźwięk rozmów będących mieszaniną dziewiętnastowiecznej angielszczyzny i archaicznej greki.

Bisesa spędzała jak najwięcej czasu na pokładzie. Kiedyś latała helikopterem i morze nie dokuczało jej zbytnio. Podobnie było z Emeline, ale biedny szczur lądowy Abdikadir przez większość czasu trzymał się za brzuch i wymiotował.

Kiedy wyruszyli z Gibraltaru, Emeline nabrała większej pewności siebie. Statek był własnością babilońskiego konsorcjum, ale wykorzystywana na jego pokładzie technologia była co najmniej w połowie pochodzenia amerykańskiego i Emeline wydawała się zadowolona, że pozbyła się brudu tego dziwnego Starego Świata.

— Poznaliśmy się na statku — powiedziała Bisesie. — My, mieszkańcy Chicago, docieramy do morza rzekami, pokonując całą deltę Mississippi, podczas gdy Grecy płyną przez ocean w wielkich łodziach wiosłowych, opływając wschodnie wybrzeże i zatokę. Pokazaliśmy im, jak budować maszty, które oprą się morskim szkwałom, oraz jak lepiej wykorzystywać takielunek, a my z kolei korzystamy z ich wielkich łodzi wiosłowych, które kursują po Mississippi. Josh nazywał to przenikaniem się kultur.

— Nie ma statków parowych — zauważyła Bisesa.

— Jeszcze nie. Mamy kilka parowców na jeziorze Michigan, które przetrwały Znieruchomienie wraz z nami. Ale nie jesteśmy gotowi, by zmierzyć się z oceanem. Możemy potrzebować pary, jeżeli lód będzie

nadal napierał na południe. — I pokazała na północ.

Zgodnie z obserwacjami gwiazd, które przeprowadził telefon — zrzędząc przy tym na brak satelitów GPS — znajdowali się gdzieś na południe od Bermudów, zapewne na południe od trzydziestego równoleżnika. Ale mimo że byli tak daleko na południu, palec Emeline nieomylnie wskazał charakterystyczną białą poświatę.

Podczas podróży, na neutralnym terytorium morza, Bisesa próbowała lepiej poznać swych towarzyszy.

Abdi był młody, bystry, jeszcze nieukształtowany i wszystkiego ciekaw. Stanowił jedyny w swoim rodzaju przykład chłopca, którego nauczono myśleć zarówno na wzór swego nowoczesnego ojca, jak i Greków, którzy swą wiedzę posiedli od Arystotelesa. Ale miał w sobie na tyle dużo z ojca, że Bisesa czuła się przy nim bezpiecznie, tak jak zawsze się czuła w obecności pierwszego Abdiego.

Emeline stanowiła bardziej złożony przypadek. Duch Josha stale unosił się między nimi, o czym obie rzadko mówiły. I chociaż coś zdawało się pchać Emeline do owej podróży przez ocean, aby zbadać sprawę telefonów w Babilonie, co z pewnością uczyniłby także jej mąż, wyznała Bisesie, że w całej tej sytuacji czuła się nieswojo.

— Miałam zaledwie dziewięć lat, kiedy świat znieruchomiał wokół Chicago. Większą część mego życia pochłaniał „wielki program przetrwania” — jak to określa burmistrz Rice. Stale jesteśmy zajęci. Więc można zapomnieć o wielkiej tajemnicy, dlaczego się wszyscy tutaj znaleźliśmy, pojmujesz? Podobnie jak człowiek woli nie rozmyślać o własnej nieuchronnej śmierci. Ale teraz ty jesteś tutaj…

— Jestem aniołem śmierci — ponuro powiedziała Bisesa.

— Nie sądzę, chociaż nie przyniosłaś nam dobrych wieści. Ale mogę ci powiedzieć, że będę rada, kiedy dotrzemy do Chicago i będę mogła powrócić do normalnego życia!

* * *

Telefon prosił Bisesę, by nocą wynosiła go na pokład, żeby mógł widzieć niebo. Zrobiła w tym celu mały drewniany stojak, przywiązując go tak, aby się nie przewrócił wskutek kołysania statku.

Mir stanowił wciąż niespokojny świat, którego klimat był równie burzliwy jak jego geologia. Jakość obrazu, jaki uzyskiwali astronomowie, była na ogół marna. Ale na środku oceanu niebo było pozbawione chmur i pyłu wulkanicznego w stopniu, jakiego Bisesa nie widziała nigdy dotąd. Cierpliwie towarzyszyła telefonowi w obserwacjach nieba, które uzupełniały obserwacje przezeń

przeprowadzone, kiedy Mir został utworzony, oraz obserwacje babilońskich astronomów. Otrzymane obrazy przesyłał do starych radioodbiorników z Małego Ptaka znajdujących się w Babilonie, a stamtąd — taką mieli nadzieję — obrazy te za pośrednictwem Oka docierały do prawdziwego wszechświata.

Zachęcona przez telefon Bisesa próbowała odszukać mgliste pasmo Drogi Mlecznej, zastanawiając się, czy nie jest bledsze i rzadsze, niż pamiętała.

Zgromadziwszy obserwacje przeprowadzone przez Abdiego i przez sam telefon, ten ostatni wspomagany przez trust mózgów na Marsie zdołał stwierdzić, że wszechświat, w którym znajdował się Mir, szybko się rozszerza. Na przykład galaktyka Andromedy, najbliższa wielka galaktyka, szybko oddalała się od Drogi Mlecznej. Kosmologowie porównywali to do ekspansji ziemskiego wszechświata napędzanej przez obecność pewnego rodzaju ciemnej energii, pola antygrawitacyjnego zwanego kwintesencją. Owa kwintesencja rozdymała także wszechświat Bisesy. Ale tutaj działo się to znacznie wcześniej.

Na tej podstawie oparto przewidywanie o stosunkowo bliskim końcu tego świata, choć liczby były wciąż obarczone znaczną niepewnością. Telefon był zdania, że owo rozszerzanie się może obejmować strukturę samej galaktyki i dlatego światło dalekich gwiazd wykazuje przesunięcie ku czerwieni. Koniec świata mógłby być już widoczny, gdyby było wiadomo, gdzie patrzeć.

Telefon zwrócił uwagę Bisesy na planety: wieczorem na Marsa, a rankiem na gwiazdę poranną Wenus.

— Ostatnim razem w ogóle ich nie było widać — szepnął. — To znaczy kiedy obserwowałem niebo, próbując określić wiek Mira.

— Pamiętam.

— Widoczność zawsze była zbyt słaba. Nigdy nie zauważyłem, jak bardzo są różne…

I Mars i Wenus, bliźniacze światy Ziemi, wyglądały jak odpryski błękitu.

36. Hubble

Styczeń 2070 roku

Unoszący się nad Ziemią teleskop stanowił gruby podwójny cylinder o długości trzynastu metrów, którego dwa wielkie płaskie panele baterii słonecznych były zwrócone w stronę Słońca.

Cieńszy cylinder, poprawnie zwany przednim płaszczem, był otwarty na drugim końcu i zaopatrzony w pokrywę. U podstawy przedniego płaszcza — wewnątrz krótkiego, pękatego cylindra zwanego tarczą ogonową — znajdowało się zwierciadło o średnicy powyżej dwóch metrów. Było wykonane ze szkła tytanowego o małym współczynniku rozszerzalności cieplnej, dokładnie wyszlifowane i pokryte powłoką z fluorku aluminiowo-magnezowego. Światło odbite od wspomnianego zwierciadła głównego było ogniskowane przez mniejsze zwierciadło wtórne, a następnie kierowane przez otwór w zwierciadle głównym do zestawu instrumentów badawczych. Instrumenty te obejmowały kamery, urządzenia do analizy spektralnej oraz urządzenia do kalibracji natężenia i polaryzacji światła.

Zewnętrzna część kadłuba była zaopatrzona w poręcze. Teleskop był tak pomyślany, aby się mieścił w przedziale ładunkowym wahadłowca i dzięki swej modułowej budowie, która zapewniała łatwość dostępu, mógł być poddawany regularnej konserwacji.

Ponieważ teleskop stanowił konstrukcję zawieszoną w przestrzeni kosmicznej, jego budowie towarzyszyły opóźnienia i przekroczenie budżetu związane ze stale pogarszającą się sytuacją ekonomiczną NASA. Umieszczenie teleskopu na orbicie opóźniło się o wiele lat z powodu katastrofy *Challengera*. Kiedy go ostatecznie uruchomiono, pierwsze obrazy, jakie przesłał na Ziemię, były zniekształcone przez aberrację sferyczną będącą wynikiem niezwykle drobnej wady zwierciadła, która umknęła uwadze inżynierów podczas przeprowadzania testów. Minęło jeszcze kilka lat, zanim kolejny wahadłowiec wyniósł na orbitę soczewkę korekcyjną, by skompensować efekt aberracji sferycznej.

Stanowiło to ukoronowanie dawnego marzenia pierwszych wizjonerów, aby umieścić teleskop w kosmosie, ponad atmosferą ziemską. Teleskop był w stanie rozróżnić szczegóły o rozmiarach dwustu kilometrów w chmurach pokrywających powierzchnię Jowisza.

Mówiono, że od czasu lądowania na Księżycu teleskop jest najbardziej spektakularną misją NASA. Dziesiątki lat po jego

wystrzeleniu uzyskane przezeń obrazy wciąż ozdabiały ścienne ekrany i były tematem tatuaży.

Ale misje wahadłowców poświęcone konserwacji tego urządzenia zawsze były ogromnie kosztowne, a po katastrofie *Columbii* stały się wręcz nierealne. I teleskop stopniowo starzał się. Astronauci wymieniali zużyte żyroskopy, uszkodzone płytki ogniw słonecznych i zniszczoną izolację, ale powierzchnie optyczne ulegały zużyciu w wyniku działania światła słonecznego, uderzeń mikrometeorytów i szczątków statków kosmicznych oraz korozji spowodowanej działaniem rozrzedzonych, lecz wysoce reaktywnych gazów w górnych warstwach atmosfery ziemskiej.

W końcu teleskop stał się zbędny wobec pojawienia się młodszego, tańszego i skuteczniejszego rywala. Zmieniono jego położenie tak, aby zmniejszyć do minimum opór aerodynamiczny atmosfery; zawieszony na orbicie czekał, dopóki w przyszłości nie pojawią się bardziej sprzyjające warunki. Wszystkie jego systemy przestawiono w stan spoczynku. Zasłonięto otwór szczelinowy w przednim płaszczu, cyklopowe oko teleskopu zostało zamknięte.

Minęły dziesięciolecia.

Teleskop miał szczęście: przetrwał burzę słoneczną.

A po burzy nastała nowa era, pojawiły się nowe potrzeby i oczy na niebie były na wagę złota.

W końcu, pięć lat po burzy słonecznej, z Ziemi wyruszył statek kosmiczny, aby jeszcze raz odwiedzić teleskop; nie był to już wahadłowiec, lecz jego technologiczny potomek. Samolot kosmiczny był zaopatrzony w manipulator i zestaw staroświeckich części zamiennych. Astronauci wymienili zniszczone elementy, zmodernizowali systemy teleskopu i powrócili na Ziemię.

Teleskop jeszcze raz otworzył swe oko.

Znowu minęły lata. I wtedy teleskop coś zobaczył.

Wielu ludzi uznało, że najstarszy z ziemskich teleskopów kosmicznych powinien być pierwszym, który wypatrzy zbliżającą się bombę Q.

* * *

W swym gabinecie na Mount Weather Bella Fingal przyglądała się obrazom przesłanym przez teleskop Hubble'a, wpatrując się w maleńkie zniekształcenie przesuwające się przez obszar wypełniony gwiazdami. Mniej niż rok dzieliło Ziemię od chwili, gdy bomba dosięgnie jej powierzchni. Przerażenie ścisnęło jej żołądek.

Wezwała Paxtona.

— Przyjdź tutaj, Bob. Nie możemy tylko tak siedzieć i czekać. Potrzebuję jakichś nowych propozycji.

37. Nowy Nowy Orlean

Ostatniego dnia podróży *Koń Posejdona* powoli przepłynął przez deltę rzeki. Nawet Abdikadir wyszedł na pokład, żeby popatrzeć. Znajdowali się u ujścia Mississippi, ale poziom morza w tym świecie nadchodzącej epoki lodowcowej był o tyle niższy, że delta wrzynała się głęboko w Zatokę. W tej wersji świata na pewno nie było Nowego Orleanu. Zalękniona załoga patrzyła na aligatory rozmiarów małej ciężarówki, które leniwie poruszały się na porośniętych gęstą trzciną brzegach.

Statek zawinął ostrożnie do niewielkiego portu. Bisesa dostrzegła nabrzeża i magazyny; na molo stał drewniany dźwig. Za portowymi zabudowaniami rozsiadło się miasteczko pełne stłoczonych drewnianych chałup.

— Witamy w *nowym* Nowym Orleanie — sucho powiedziała Emeline. — Nie ma tu tego wiele. Ale robimy, co w naszej mocy.

Abdikadir szeptał coś, co brzmiało w gardłowej grece jak modlitwa.

— Biseso. Zastanawiałem się, jakich maszyn używali ci Amerykanie przy bagrowaniu portów. Popatrz tam.

Poprzez unoszącą się nad wodą mgłę Bisesa dojrzała coś, co wyglądało jak powoli kroczące słonie. Powiązane grubymi linami w czwórki ciągnęły jakąś ogromną lokomotywę. Ale sylwetki zwierząt były jakieś dziwne, miały małe wypukłe czaszki, a na grzbietach garby. Ludzie, którzy je poganiali, używając ościeni i batów, wyglądali przy nich jak karły, a potężne zwierzęta były z pewnością znacznie wyższe niż słonie afrykańskie z czasów Bisesy. Nagle jeden z nich uniósł łeb i zatrąbił; powietrze wypełnił wysoki dźwięk i Bisesa ujrzała wyjątkowo długie, spiralnie zakrzywione kły.

— To nie są słonie, prawda?

— Witamy w Ameryce — oschle powiedziała Emeline. — Nazywamy je mamutami Jeffersona. Niektórzy mówią o nich „cesarskie” albo „kolumbijskie”, ale my w Chicago jesteśmy patriotami i stąd Jefferson.

Abdikadir był zaintrygowany.

— Łatwo je oswoić?

— Nie tak, jak piszą w gazetach — powiedziała Emeline. — Sprowadziliśmy kilku treserów słoni z Indii, tutejsi mieszkańcy to prości ludzie, którzy ze wszystkim się godzą. Indianie narzekali, że tysiące lat, które poświęcili na ujarzmienie własnej odmiany słoni, poszły na marne. Chodźcie. Musimy złapać pociąg…

Pasażerowie wysiedli, niosąc swe skąpe bagaże. Robotnicy portowi nie okazywali wielkiego zainteresowania nowo przybyłymi,

mimo ich macedońskich strojów.

Było lato i znajdowali się gdzieś na południe od starego Nowego Orleanu. Ale wiatr wiejący z północy był zimny.

Nie było tam żadnej stacji kolejowej, tylko po prostu miejsce, gdzie wśród sterty podkładów i zardzewiałych szyn kończyły się niedbale ułożone tory. Ale za syczącą, staromodną lokomotywą i przyczepą pełną drewnianych polan ciągnął się rząd wagonów.

Emeline od razu zaczęła pertraktować z maszynistą i banknotami dolarowymi zapłaciła za przejazd. Udało jej się też w małym miejskim barze kupić bochenek chleba, nieco suszonej wołowiny i dzbanek kawy. Banknoty, którymi płaciła, były zupełnie nowe, najwyraźniej Chicago miało własną mennicę.

Znalazłszy się w dobrze sobie znanym otoczeniu, Emeline tryskała radością i zdecydowaniem. Bisesa musiała przyznać, że nawet w tym porośniętym krzakami miejscu czuło się powiew nowoczesności, którego brakowało w aleksandryjskiej Europie, która wydawała się tonąć w przeszłości.

W pociągu mieli dla siebie cały przedział; pozostałe wagony były wypełnione rozmaitymi towarami, tarcicą, futrami i soloną rybą. Okna nie były oszklone, ale miały rolety ze skóry, które zapobiegały przeciągom, a wewnątrz leżały sterty koców z grubej, śmierdzącej, pomarańczowo-brązowej wełny. Emeline zapewniła ich, że to wystarczy, aby było im ciepło, dopóki nie dotrą do Nowego Chicago.

— Potem będą wam potrzebne cieplejsze ubrania — powiedziała. — Kupimy coś niecoś w mieście.

Kilka godzin po ich przybyciu — było około południa — lokomotywa wyrzuciła z siebie kłąb białego dymu i pociąg ciężko potoczył się naprzód. Słychać było głośne gdakanie, gdy kury umykały na boki z torów. Kilkoro wychudzonych dzieci wybiegło z prymitywnych domów, żeby im pomachać, a Abdi i Bisesa odpowiedzieli im tym samym. Wiatr zmienił kierunek i dym z komina lokomotywy wleciał do kabiny. Poczuli znajomy zapach palonego drewna.

Emeline powiedziała, że będą jechali doliną Mississippi przez całą drogę do Nowego Chicago, które leżało w pobliżu miejsca, gdzie w dawnym świecie znajdowało się Memphis. Podróż licząca kilkaset mil miała potrwać około dwudziestu czterech godzin, w pociągu będą mogli się przespać.

Bisesa z zaciekawieniem wyglądała przez okno. Na rzece panował ruch. Zobaczyła aleksandryjską tryremę, która wyglądała jak wiosłowy parowiec, który osiadł na mieliźnie i kilka kanu, które mogłyby być rodzimego pochodzenia, tylko że żadni rodowici mieszkańcy Ameryki nie znaleźli się na Mirze.

Emeline powiedziała:

— Z miejskiego muzeum i wystawy targowej wydobyli parę kanu wojennych. Po czym rozebrali je, żeby zobaczyć, jak są zbudowane. Z Cyrku Dzikiego Zachodu zabrali łuki, strzały, tipi i Bóg wie co jeszcze. Ładne te kanu, prawda? Raz dla hecy wsiadłam do takiego razem z Joshem. Ale woda jest diabelnie zimna, nawet tutaj, na południu. To woda z topniejącego lodu. Nie chcielibyście w nią wpaść, co?

— Wielbłądy — powiedział Abdikadir, wskazując drogę.

Bisesa ujrzała pociąg towarowy, który powoli jechał na południe, w stronę portu. Widziała mężczyzn i kobiety siedzących na dziwnych koniach, które miały skłonność do wierzgania i gryzienia swych jeźdźców. A nad nimi wszystkimi górowały wielbłądy, silnie objuczone, wyglądające władczo.

— Kolejny import?

— Och, nie — powiedziała Emeline. — Wielbłądy już tutaj były. Te konie także, faktycznie jest ich wiele ras, ale nie wszystkie nadają się do wykorzystania. Mówiłam wam, że mamy tu całą menażerię. Mamuty i mastodonty, wielbłądy i tygrysy szablastozębne, miejmy nadzieję, że ich nie napotkamy.

— Wszystkie te zwierzęta — zamruczał telefon Bisesy spoczywający w jej kieszeni — wymarły w czasie, gdy pojawili się pierwsi osadnicy. Oni jedli nawet miejscowe konie. Szkolny błąd.

— Cicho! Pamiętaj, że jesteśmy tu gośćmi.

— W pewnym sensie mieszkańcy Chicago również…

Zdała sobie sprawę, że Emeline jest nieco urażona. Najwyraźniej uznała, że mówienie do jakiegoś pudełka w obecności istot ludzkich z krwi i kości jest objawem złego wychowania.

Jednakże Abdikadir, który wychował się pod okiem ojca, bardzo się zainteresował.

— Nadal jest w stanie odbierać sygnały z Ziemi?

Bisesa wypróbowała przerywaną łączność telefoniczną za pośrednictwem Oka w ciągu całej podróży przez Atlantyk.

— Na to wygląda.

— Ale szybkość przesyłania danych jest mała — szepnął telefon. — I jest sporo przekłamań…

Bisesę uderzyła pewna myśl.

— Telefonie, zastanawiam się, jaki okres czasu dzieli mieszkańców Chicago od wprowadzenia radia.

Zamiast odpowiedzi telefon wyświetlił tekst. Zaledwie jedno pokolenie przed chicagowskim plastrem czasu James Clerk Maxwell, szkocki fizyk, tak bardzo podziwiany przez Aleksieja Carela, przewidział, że energia elektromagnetyczna może rozchodzić się w przestrzeni. Sam plaster czasu obejmował kilka lat między pierwszym pokazem Heinricha Hertza, dowodzącym prawdziwości tego wniosku, przy wykorzystaniu oddalonych od siebie o kilka stóp nadajników i

odbiorników, a transmisją radiową Guglielma Marconiego przez Atlantyk.

— Powinniśmy to pchnąć do przodu, Abdi. Pomyśl, jak przydatna byłaby w tej chwili łączność radiowa dla Babilonu. Może kiedy dotrzemy do Chicago, spróbujemy razem uruchomić warsztat radiowy.

Abdi robił wrażenie podekscytowanego.

— Bardzo bym chciał…

Emeline warknęła:

— Może powinniście powściągnąć wasze plany pomocy dla biednych mieszkańców Chicago, dopóki nie zobaczycie, jak wiele sami zdołaliśmy zdziałać.

Bisesa powiedziała szybko:

— Przepraszam, Emeline. To było bezmyślne.

Sztywność Emeline ustąpiła.

— W porządku. Tylko nie chwal się swoimi wymyślnymi gadżetami przed burmistrzem Rice'em i Komitetem Kryzysowym, bo naprawdę poczują się obrażeni. Zresztą — dodała ponuro — nie sprawi to najmniejszej różnicy, jeżeli ta twoja zabawka ma rację w sprawie końca świata. Czy może określić, ile czasu nam jeszcze zostało?

— Dane są niepewne — szepnął telefon. — Pisemne relacje z obserwacji gołym okiem, instrumenty wygrzebane z rozbitego helikoptera wojskowego…

Bisesa powiedziała:

— Wiem. Po prostu podaj nam najlepsze oszacowanie, jakie masz.

— Pięć stuleci. Może nieco mniej.

Zaczęli się nad tym zastanawiać. W końcu Emeline roześmiała się, ale był to śmiech wymuszony.

— Naprawdę przynosisz nam tylko złe wieści, Biseso.

Ale Abdikadir wydawał się niewzruszony.

— Pięć stuleci to długi okres czasu. Znajdziemy wyjście z sytuacji na długo przedtem.

* * *

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią noc spędzili w pociągu.

Mroźne nocne powietrze, zapach dymu z palonego drewna i miarowe stukanie pociągu jadącego po nierówno ułożonych torach ukołysały Bisesę do snu. Ale co jakiś czas budziły ją silniejsze wstrząsy.

Raz usłyszała w oddali głosy zwierząt, jakby wycie wilków, ale

niższe, bardziej gardłowe. Przypomniała sobie, że to nie jest zrekonstruowany park rozrywki. To się działo naprawdę i Ameryka ery plejstocenu nie była światem, który człowiek już zdołał ujarzmić. Ale te wydawane przez zwierzęta odgłosy były dziwnie fascynujące. Przez dwa miliony lat ludzie rozwijali się w krainie pełnej takich zwierząt. Może poczuli brak wielkich zwierząt, kiedy znikły, nawet o tym nie wiedząc. Może więc ten pomysł z parkiem Jeffersona w jej własnym świecie nie był taki zły.

Jednak słuchanie krzyków tych zwierząt dobiegających z ciemności budziło lęk. Widziała, jak Emeline wpatruje się w mrok szeroko otwartymi oczami. Za to Abdikadir cicho pochrapywał otulony niefrasobliwą obojętnością swej młodości.

38. Odkrycie

Marzec 2070 roku

Jurij i Grendel zaprosili Myrę na wycieczkę.

— Rutynowa inspekcja kontrolna i zbieranie próbek — powiedział Jurij. — Ale może chciałabyś skorzystać z okazji, żeby wyjść na zewnątrz.

Na zewnątrz. Po miesiącach zamknięcia w lodowym pudle, w krainie tak płaskiej i mrocznej, że nawet gdy Słońce było na niebie, otoczenie przypominało pojemnik do badania deprywacji sensorycznej, słowo to podziałało na Myrę jak magiczne zaklęcie.

Ale kiedy dołączyła do Jurija i Grendel, wgramoliwszy się do wnętrza łazika przez miękką rurę łączącą kopułę mieszkalną z kabiną ciśnieniową łazika, poniewczasie zdała sobie sprawę, że tylko zamieniła jedno zamknięcie na inne.

Wydawało się, że Grendel Speth zdaje sobie sprawę, co czuje Myra.

— Przyzwyczaisz się. Przynajmniej podczas tej wyprawy będziesz miała za oknem inny krajobraz.

Jurij i Grendel usiedli z przodu, a Myra za nimi. Jurij zawołał:

— Czy wszyscy się przypięli? — Wcisnął guzik i oparł się. Pokrywa włazu zamknęła się z trzaskiem, rygle zaskoczyły, tunel łączący ich z kopułą odłączył się z mlaśnięciem i łazik skoczył do przodu.

Było północne lato. Wiosna przyszła około świąt Bożego Narodzenia, znacząc swe nadejście gwałtowną sublimacją suchego lodu, który zamieniał się w parę, jak tylko padły nań promienie słoneczne, i przez jakiś czas widoczność była jeszcze gorsza niż w czasie zimy. Ale teraz, choć cienka warstwa lodu wciąż pokrywała ziemię, największa wiosenna odwilż minęła, zima ustąpiła, a Słońce toczyło się nisko po czystym pomarańczowo-brązowym niebie.

W rzeczywistości Myra po raz pierwszy brała udział w wyprawie łazikiem należącym do bazy. Był znacznie mniejszy od owego kolosa, którym przyjechała z Portu Lowella, jego ciasne wnętrze mieściło miniaturowe laboratorium, kuchenkę i toaletę zaopatrzoną w umywalkę, gdzie mogła się umyć gąbką. Łazik miał przyczepę, która jednak nie zawierała przenośnego reaktora jądrowego, jak *Discovery* z Portu Libella, lecz turbinę opalaną metanem.

— Produkujemy metan z marsjańskiego dwutlenku węgla — powiedział Jurij. — Wykorzystanie miejscowych surowców. Ale to

powolny proces i musimy długo czekać, aż zbiornik będzie pełny. Dlatego możemy sobie pozwolić zaledwie na klika takich wypadów rocznie.

— Potrzebujecie energii jądrowej — powiedziała Myra.

Jurij chrząknął.

— Lowell dostał najlepszy sprzęt. Nam zostały tylko jakieś śmiecie. Ale to wystarcza do naszych celów. — I jakby przepraszając, walnął w deskę rozdzielczą pojazdu.

— Ta wycieczka nie będzie zbyt ciekawa — powiedziała Grendel.

— Ale dla mnie to coś nowego — odparła Myra.

— W każdym razie wyświadczasz nam przysługę — powiedział Jurij. — Zgodnie z przepisami w każdej wyprawie dłuższej niż jeden dzień powinny uczestniczyć trzy osoby. Jednak możemy robić, co nam się podoba, i mamy to w nosie. Czasami nawet pokonujemy tę trasę samotnie, ja albo Grendel. Ale sztuczna inteligencja jest bardzo uczulona na przestrzeganie przepisów, wiesz?

— Brakuje nam rąk do pracy — powiedziała Grendel. — Teoretycznie w stacji powinno przebywać dziesięć osób. A na Marsie jest po prostu zbyt wiele do zrobienia.

— I jak sądzę, Ellie jest praktycznie unieruchomiona, pracując w Jamie.

Grendel skrzywiła się.

— No tak. Ale ona i tak nie jest jedną z nas. Nie jest Marsjanką.

— A Hanse?

— Hanse to zapracowany facet — powiedział Jurij. — Kiedy nie jest zajęty kierowaniem stacją albo wierceniem dziur w lodzie, prowadzi swoje eksperymenty nad wykorzystaniem miejscowych surowców. Można powiedzieć, że tu na Marsie żyje z pracy na roli. Można by pomyśleć, że północny biegun Marsa to osobliwe miejsce, żeby się czymś takim zajmować. Ale posłuchaj, Myro, tutaj jest woda, tkwi tuż pod powierzchnią w postaci lodu. A w pobliżu nie ma jej nigdzie więcej, jeśli nie liczyć tych resztek na biegunach Księżyca.

— I Hanse — powiedziała Grendel — ma wielkie plany.

Jurij powiedział:

— Myro, jest wiele podobieństw między życiem tu na czapie lodowej Marsa i na księżycach Jowisza czy Saturna, które w zasadzie stanowią jedynie wielkie kule lodu otaczającego skaliste jądro. Dlatego Hanse wypróbowuje technologie, które mogą nam umożliwić przetrwanie tam, w tych nieprzyjaznych światach.

— Ambitny program.

— Jasne — powiedział Jurij. — No cóż, jego matka pochodziła z południowej Afryki. Wiesz, jacy są dzisiaj ci Afrykanie. Z politycznego i ekonomicznego punktu widzenia wyszli z burzy słonecznej obronną ręką. Myślę, że Hanse jest oddany pracy na Marsie. Ale to *afrykański*

Marsjanin i przyświecają mu głębsze cele…

* * *

Po kilku godzinach jazdy dotarli do krawędzi spiralnego kanionu.

Ściana zerodowanego lodu była niska i kanion nie był szczególnie głęboki. Myra myślała, że łazik z łatwością ześlizgnie się na jego dno. Pożłobiona koleinami droga, którą jechali, rzeczywiście schodziła serpentynami w dół. Ale widziała, że dalej kanion się rozszerzał i robił coraz głębszy, zakręcając łukiem i ginąc w oddali, niczym ogromna naturalna autostrada.

Jednak nie zjechali do kanionu od razu. Jurij postukał w deskę rozdzielczą i łazik potoczył się ciężko wzdłuż krawędzi do miejsca, gdzie wyłonił się przed nimi z mroku dziwny owadzi kształt. Była to pełna rozmaitych instrumentów platforma o średnicy około pięćdziesięciu centymetrów, stojąca na trzech patykowatych nogach. Łazik był zaopatrzony w manipulator, który teraz się rozłożył, sięgając w stronę trójnogu.

— To naziemne instrumentarium — powiedział Jurij. — Rodzaj stacji meteorologicznej wyposażonej w sejsmometr, zwierciadła laserowe oraz inne przyrządy. Na czapie polarnej umieściliśmy całą sieć takich urządzeń. — Powiedział to z uczuciem niejakiej dumy.

Dla podtrzymania rozmowy zapytała:

— Po co te nogi?

— Ażeby utrzymać tę konstrukcję ponad powierzchnią suchego lodu, którego warstwa pod koniec zimy może mieć głębokość kilku metrów. Istnieją też efekty powierzchniowe, na przestrzeni pierwszych kilku metrów nad powierzchnią ziemi występują znaczne wahania temperatury i ciśnienia. Stąd te czujniki zamontowane na nogach.

— Są takie cienkie. Jakby całe to urządzenie miało się przewrócić przy pierwszym podmuchu wiatru.

— No cóż, Mars to osobliwa planeta. Obliczyłem obciążenie wiatrem. To cudo tak łatwo się nie przewróci.

— Zaprojektowałeś je?

— Tak — powiedziała Grendel — i jest z niego cholernie dumny. I oczywiście wszelkie podobieństwo tych miniaturowych stacji meteorologicznych do marsjańskich machin wojennych, znanych z niektórych książek i filmów, jest czysto przypadkowe.

— To moje dzieci. — Jurij odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Teraz łazik wyrzucił na zewnątrz inne, bardziej egzotyczne

urządzenia: kulistą klatkę o średnicy około metra, która potoczyła się po śniegu, oraz „inteligentny pył”, czarny, przypominający sadzę proszek, który został porwany przez wiatr. Każda drobinka tego pyłu stanowiła czujnik o rozmiarach jednego milimetra, składający się z maleńkich instrumentów zasilanych energią promieniowania płynącą z nieba bądź wstrząsami wywołanymi przez wiatr.

— Nie mamy kontroli nad kierunkiem, w którym się poruszają — powiedział Jurij. — Po prostu są niesione wiatrem i znaczna część tego pyłu zostanie zasypana śniegiem. Ale idea polega na tym, żeby czapę lodową tak nafaszerować czujnikami, żeby zyskała — by tak rzec — samoświadomość. Uzyskany w ten sposób strumień danych jest ogromny.

Kiedy opuścili to naziemne instrumentarium, łazik zaczął zjeżdżać w głąb kanionu. Lodowa ściana była uwarstwiona jak skała osadowa; co kilka metrów widać było grube, ciemne smugi, rozdzielone znacznie cieńszymi warstwami — jak strony książki, tak cienkie, że Myra ledwie była w stanie je rozróżnić. Łazik posuwał się w dół powoli i ostrożnie, jego ruch został najwyraźniej uprzednio zaprogramowany. Od czasu do czasu Jurij, a rzadziej Grendel stukali w deskę rozdzielczą i łazik zatrzymywał się, po czym wysuwał manipulator, którym badał powierzchnię ściany. Zeskrobywał próbki lodowych warstw albo przyciskał do lodu pojemnik z instrumentami, albo wreszcie umieszczał w nim mały zestaw przyrządów.

Grendel powiedziała do Myry:

— To jest bardzo podobne do wiercenia. Pobieramy próbki warstw. Szukamy śladów życia lub jego pozostałości z minionych epok. Jurij próbuje określić globalną stratygrafię, sporządzić mapę wszystkich warstw w czapie lodowej, porównując rezultaty odwiertów z wynikami wypraw do kanionu. Nie jest to, jak sądzę, zbyt pasjonujące. Jeśli zobaczymy coś naprawdę interesującego, wychodzimy na zewnątrz i dokładniej się temu przyglądamy. Ale zakładanie skafandrów jest męczące i robimy to tylko w szczególnych wypadkach.

Jurij znowu się roześmiał. Łazik potoczył się dalej.

— Rozmawiałam z Ellie — niepewnie powiedziała Myra. — Tam, w Jamie. Opowiedziała mi coś niecoś na temat swoich przeżyć podczas burzy słonecznej.

Grendel obróciła się, uniósłszy brwi.

— Spotkał cię wielki zaszczyt. Mnie zabrało to trzy miesiące. A jestem jej psychologiem.

— To brzmi, jakby przeżyła ciężkie chwile.

— Ja sama miałam wtedy dziesięć lat — powiedziała Grendel. — Dorastałam w Ohio. Pochodzę z rodziny rolniczej, mieszkaliśmy z dala od którejkolwiek z kopuł. Tata zbudował nam schron, jak przed burzą.

Straciliśmy wszystko, a potem mieszkaliśmy w obozach dla uchodźców. Ojciec zmarł parę lat później. Dopadł go rak skóry. W tych obozach pracowałam jako pielęgniarka. Myślę, że dlatego zasmakowałam w medycynie. Nie chciałam już nigdy czuć się tak bezradna wobec cierpiącego człowieka. A po burzy słonecznej, po opuszczeniu obozów, uczestniczyłam w programach odbudowy systemu ekologicznego na Środkowym Zachodzie. W ten sposób wciągnęła mnie biologia.

Jurij powiedział wesoło:

— Jeśli o mnie chodzi, urodziłem się po burzy słonecznej. Na Księżycu, z matki Rosjanki i ojca Irlandczyka. Jednak jakiś czas spędziłem na Ziemi. Jako nastolatek pracowałem w programie ekologicznym w strefie arktycznej na terenie Kanady.

— I w ten sposób zasmakowałeś w lodzie.

— Tak sądzę.

— A teraz jesteście tutaj — powiedziała Myra. — Teraz jesteście Kosmitami.

— Marsjanami — powiedzieli Grendel i Jurij chórem.

Jurij powiedział:

— Kosmici siedzą na swych skałach na niebie. A Mars to Mars. I niekoniecznie mamy takie same ambicje jak oni.

— Ale zajmujecie się Okiem w Jamie.

Jurij powiedział:

— Tak, oczywiście. Ale wolałbym zajmować się tym. — Machnął ręką w stronę lodowych rzeźb widocznych za przednią szybą. — Marsem. To mi wystarcza.

— Zazdroszczę ci — impulsywnie powiedziała Myra. — Celu w życiu. Postanowienia zbudowania tu czegoś trwałego.

Grendel odwróciła się zaciekawiona.

— Zazdrość to niedobre uczucie, Myro. Masz przecież własne życie.

— Tak. Ale mam wrażenie, jakbym żyła życiem kogoś innego.

Grendel chrząknęła.

— To zrozumiałe, biorąc pod uwagę, kim jest twoja matka. Jeśli masz ochotę, możemy później o tym porozmawiać.

Jurij powiedział:

— Albo o mojej matce, która nauczyła mnie, jak pić wódkę. To niezły sposób, żeby doprowadzić świat do porządku.

Odezwał się cichy sygnał alarmowy i na desce rozdzielczej zapaliło się zielone światło. Jurij postukał w nią. Na ekranie pojawiła się twarz Aleksieja Carela.

— Lepiej już wracajcie. Przepraszam, że przerywam wam zabawę.

— Mów — powiedział Jurij.

— Mam dwie wiadomości. Po pierwsze, Myro, zostaliśmy

wezwani do stacji Cyklopa.

— Do stacji poszukiwania planet? Po co?

— Żeby spotkać się z Ateną.

Jurij i Grendel wymienili spojrzenia. Jurij powiedział:

— A druga wiadomość?

Aleksiej wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Ellie von Devender coś wyszperała w Jamie. Całkiem pospolity zestaw glifów. Myro, ona powiedziała, że ty to zrozumiesz. Kiedy wrócicie, wyjaśni to wszystkim pozostałym.

— Pokaż — powiedziała Myra.

Twarz Aleksieja znikła i ekran wypełniły cztery proste symbole: trójkąt, czworokąt, pięciokąt i sześciokąt.

39. Nowe Chicago

Do Nowego Chicago dotarli około południa.

Była tam prawdziwa stacja kolejowa z peronem i małym budynkiem, gdzie można było poczekać na przyjazd pociągu i kupić bilety. Ale tory się tu kończyły; do starego Chicago będą się musieli dostać w jakiś inny sposób.

Emeline poprowadziła ich ze stacji do miasta. Powiedziała, że zorganizowanie dalszej podróży może im zabrać kilka dni. Miała nadzieję, że w jednym z dwóch małych hoteli miejskich znajdzie się dla nich miejsce. Jeśli to się nie uda, będą musieli chodzić od drzwi do drzwi.

Nowe Chicago znajdowało się w miejscu dawnego Memphis, ale po owym mieście nie został żaden ślad. Kiedy Bisesa patrzyła na drewniane domy, jaskrawo wymalowane znaki, barierki do uwiązywania koni i drogi gruntowe, przypomniały się jej hollywoodzkie obrazy miast z Dzikiego Zachodu. Na ulicach panował rozgardiasz, dorośli gonili za swoimi sprawami, a dzieci wałęsały się przed szkołą. Niektórzy dorośli poruszali się na rowerach — rowerach, które nazywali „kółkami", stanowiącymi całkiem świeży wynalazek w chwili pojawienia się Nieciągłości. Ale wielu mieszkańców było okutanych w futra, jak polarni łowcy fok, a przed knajpami obok koni stały uwiązane wielbłądy.

Zdołali wynająć kilka pokojów w małym hotelu Michigan, choć Emeline i Bisesa musiały zamieszkać w jednym. W holu wisiała oprawiona w ramki pierwsza strona gazety. Było to ostatnie wydanie *Chicago Tribune,* noszące datę 21 lipca 1894 roku, a wielki nagłówek oznajmiał: ŚWIAT ODCIĘTY OD CHICAGO.

Zostawili swoje torby w hotelu. Emeline kupiła im po kanapce z pieczenia wołową. Po południu poszli na spacer, obejrzeć nowe miasto.

* * *

Nowe Chicago przecinała droga gruntowa, przy której stały drewniane domy, tylko jeden z większych kościołów był wykonany z kamienia. Był naprawdę duży. Bisesa doszła do wniosku, że miasto musi liczyć kilka tysięcy mieszkańców.

Na wieży ratusza zainstalowano okazały zegar, który jak powiedziała Emeline, wskazywał „standardowy czas kolejowy

Chicago", którego trzymali się mieszkańcy miasta, pomimo wielkich zakłóceń spowodowanych przez Nieciągłość, chociaż biorąc pod uwagę położenie Słońca na niebie, późnił się o około trzy godziny. Widać było także inne oznaki miejscowej kultury. Zawiadomienie na kawałku postrzępionego papieru, przypiętego do drzwi ratusza, oznajmiało:

ŚWIAT BEZ PAPIEŻA?
JAKA DROGA CZEKA CHRZEŚCIJAN?
ŚRODA, GODZINA ÓSMA
ZAKAZ WNOSZENIA ALKOHOLU I BRONI

Na małym domu widniał napis: POMNIK EDISONA. Bisesa schyliła się i na plakacie przeczytała, co następuje:

LOS CHICAGO
OWEJ NOCY
GDY CAŁY ŚWIAT ZNIERUCHOMIAŁ
LIPIEC 1894
Zrealizowano dla Kinetoskopu Edisona-Dixona
Zgłoszono do Urzędu Patentowego USA
PRAWDZIWY CUD
DZIESIĘĆ CENTÓW

Bisesa zerknęła na Emeline.

— Edison?

— Tak się złożyło, że był w mieście tamtej nocy. Rok czy dwa przedtem doradzał nam w sprawie targów światowych. Teraz jest już starym i ubogim człowiekiem, ale nadal żyje, a przynajmniej żył, kiedy wyruszałam do Babilonu.

Poszli dalej, przemierzając pokryte pyłem ulice.

Dotarli do małego parku, nad którym górował ogromny posąg spoczywający na betonowej podstawie. Przypominający trochę Statuę Wolności posąg musiał mieć co najmniej sto stóp wysokości. Miał pozłacaną powierzchnię, jednak złoto było pokryte plamami i porysowane.

— To Wielka Mary — powiedziała Emeline, a w jej głosie słychać było jakby cień dumy. — Albo Statua Republiki. Największa atrakcja targów światowych, to znaczy Wystawy Światowej z 1893 roku, którą zorganizowaliśmy na rok przed Znieruchomieniem. Kiedy to miejsce wybraliśmy jako lokalizację Nowego Chicago, Mary była jednym z

pierwszych elementów, jakie tu przetransportowaliśmy, chociaż nie dysponowaliśmy prawie żadnymi możliwościami.

— Jest wspaniała — powiedział Abdikadir i zabrzmiało to naprawdę szczerze. — Nawet Aleksander byłby pod wrażeniem.

— No cóż, to dopiero początek — powiedziała Emeline, nie ukrywając zadowolenia. — Trzeba określić cel działania. Tutaj jesteśmy i tutaj pozostaniemy.

Nie mieli żadnego wyboru, musieli opuścić Stare Chicago.

Mieszkańcom Chicago zabrało wiele miesięcy zrozumienie tego, czego Bisesa dowiedziała się na podstawie fotografii, które *Sojuz* wykonał z orbity okołoziemskiej. Ten kryzys nie był jedynie jakąś lokalną katastrofą klimatyczną, jak początkowo myślano, wydarzyło się coś znacznie bardziej niezwykłego. Chicago było wysepką ludzkiego ciepła na zamarzniętym, pozbawionym życia kontynencie, okruchem dziewiętnastego wieku pośród wiecznych lodów. A jeśli chodzi o czapę lodową, Chicago stanowiło jak gdyby ranę, która musiała się zagoić.

Emeline powiedziała, że pierwsi emigranci z właściwego Chicago udali się na południe pięć lat po Znieruchomieniu. Nowe Chicago było owocem trzydziestu lat ciężkiej pracy Amerykanów, którzy przez wiele lat musieli liczyć tylko na siebie w całkowicie odmienionym świecie.

Ale nawet w sercu tego nowego miasta z północy wiał nieustannie zimny wiatr.

Dotarli do ziemi uprawnej na skraju miasta. Jak okiem sięgnąć, na zielono-brązowej prerii widać było rozproszone owce i bydło oraz małe, nędzne zabudowania gospodarskie.

Emeline zaprowadziła ich do czegoś w rodzaju fabryki na wolnym powietrzu, którą nazywała Składnicą Bydła. Miejsce to cuchnęło krwią, łajnem i gnijącym mięsem, a dziwny kwaśny zapach pochodził od spalonej sierści.

— Główna część tego, co tutaj się znajduje, pochodzi ze starego Chicago. Przed Znieruchomieniem zarzynaliśmy czternaście milionów zwierząt dziennie i pracowało tutaj dwadzieścia pięć tysięcy osób. Oczywiście teraz jesteśmy w stanie przerobić tylko drobny ułamek. Faktycznie mamy szczęście, że zakłady zawsze pracowały pełną parą, bo gdybyśmy nie byli w stanie rozmnażać zwierząt trzymanych w zagrodach, w ciągu roku czy dwóch umarlibyśmy z głodu. Teraz wysyłają stąd mięso, by wyżywić stare miasto. Nie musimy się martwić zamrażaniem, robi to za nas sama natura…

Kiedy Emeline mówiła, Bisesa popatrzyła na horyzont. Ujrzała w oddali coś, co wyglądało jak stado słoni, mamutów lub mastodontów, które dumnie kroczyły przed siebie. Dziwnie było pomyśleć, że gdyby je minęła, mogłaby dojść do brzegu oceanu, nie napotykając po drodze

żadnych śladów rodzaju ludzkiego, poza odciśniętymi w śniegu śladami stóp.

* * *

Tej nocy Bisesa, wyczerpana podróżą, wcześnie udała się na spoczynek we wspólnym pokoju hotelowym. Ale miała kłopoty z zaśnięciem.

— Przede mną kolejny dzień i znów nie wiem, co mnie, u diabła, czeka — szepnęła do telefonu. — Jestem na to wszystko za stara.

Telefon szepnął:

— Wiesz, gdzie jesteśmy? To znaczy co to za miejsce. Wiesz, czym by się stało, gdyby nie Nieciągłość?

— No powiedz.

— To Graceland. Rezydencja.

— Żartujesz.

— Ale teraz Memphis w ogóle nie będzie istnieć.

— Cholera. Więc utknęłam w świecie bez Myry, bez dietetycznej coli i tamponów, i mam ruszyć na wyprawę przez czapę lodową do zrujnowanego dziewiętnastowiecznego miasta.

A teraz ty mi mówisz, że król nigdy się nie narodzi. — Z jakiegoś powodu znowu się rozpłakała.

Telefon cicho grał jej utwory Elvisa Presleya, dopóki nie zasnęła.

40. Światło słoneczne

Maj 2070 roku

W odpowiedzi na tajemnicze wezwanie Ateny Myra powróciła do Portu Lowella, po czym zabrano ją na orbitę okołomarsjańską, gdzie ponownie znalazła się na pokładzie statku świetlnego *James Clerk Maxwell*.

I w bladym świetle słonecznym wyruszyła w mającą trwać długie tygodnie podróż na orbitę okołoziemską — ale nie na samą Ziemię.

— Na L5 — powiedział jej Aleksiej Carel. — Stabilny grawitacyjnie punkt sześćdziesiąt stopni z tyłu za Ziemią.

— Jestem z zawodu astronautką — powiedziała Myra cierpko. — Więc się w tym orientuję.

— Przepraszam. Po prostu próbuję cię przygotować.

Rozwścieczyło ją, że nie powiedział nic więcej, otaczając się kokonem tajemnicy.

W rzeczywistości na pokładzie *Maxwella* było ich troje. Myra była zaskoczona, że Jurij O'Rourke zdecydował się oderwać od swej marsjańskiej misji.

— Nie uważam się za szefa Stacji Wellsa — powiedział powoli. — To znaczy taki jest rzeczywiście mój oficjalny tytuł w kontrakcie, który podpisaliśmy ze sponsorami, uniwersytetami i fundacjami na Ziemi i Marsie. Ale pozostali by mnie zabili, gdybym zaczął działać w ten sposób. Jednak wszystko to oczywiście ma wpływ na stację. I mam wrażenie, że wrócisz, żeby dalej nam sprawiać kłopoty.

— Nie mam zamiaru się wycofać, dopóki nie odzyskam matki.

— W porządku. Więc instynkt podpowiada mi, że powinienem ci towarzyszyć.

— No cóż, cieszę się, że tu jesteś.

— OK — powiedział szorstko. — Ale już ci mówiłem, że próbki lodu interesują mnie znacznie bardziej niż cokolwiek, co osiągnęli ci cholerni Pierworodni.

W rzeczywistości Jurij był na *Maxwellu* w rozterce. Zamknięty w pomieszczeniach mieszkalnych statku świetlnego zajmował dużo miejsca; wielkie jak niedźwiedź chłopisko z gęstymi, związanymi z tyłu włosami, bujną brodą i opasłym brzuchem. Marudził, odcięty od swego ukochanego Marsa. Słał upierdliwe żądania do Wellsa, aby się upewnić, czy jego załoga trzyma się planu, prowadząc systematyczny monitoring, pobierając próbki i utrzymując porządek. Próbował kontynuować własną pracę, miał swoje elastyczne ekrany i małe

przenośne laboratorium, a nawet zestaw próbek głębokich odwiertów marsjańskiego lodu. Ale w miarę upływu czasu jego frustracja rosła. Nie był złym towarzyszem podróży, ale zamknął się w sobie.

Jeśli chodzi o Aleksieja, był pełen rezerwy jak zawsze, od chwili gdy Myra go poznała. Miał własny program działania, w którym wyprawa do L5 stanowiła najmniej istotną pozycję. Myślał jasno, wytrwale dążył do celu i był zadowolony, chociaż trochę się nudził, kiedy nikt nie grał z nim w pokera.

Myrze pozwolono, aby próbowała nawiązać kontakt z Charlie, a nawet z Eugene'em, pod warunkiem że nie zdradzi żadnych poufnych informacji. Ale jej dziecka i byłego męża nigdzie nie udało się znaleźć, nawet przy użyciu narzędzi poszukiwawczych sztucznej inteligencji, które obejmowały swym zakresem cały układ słoneczny. Być może ukrywali się przed nią. Nie przestawała szukać, coraz bardziej przygnębiona brakiem rezultatu.

Stanowili milczącą i nietowarzyską grupę.

Ale kiedy Myra przywykła do warunków podróży, stwierdziła, że jest rada, iż powróciła do świata pełnego światła.

Przyzwyczaiła się do życia na biegunie Marsa, z jego niekończącą się nocą i pokrywą stale obecnych chmur. Ale teraz upajała się olśniewającym światłem słonecznym, które zalewało statek. Należała do pokolenia, które przeżyło burzę słoneczną, i podejrzewała, że od tej pory będzie się strzec przed światłem Słońca. Jednak teraz, o dziwo, miała wrażenie, jakby Słońce witało ją na nowo. Nic dziwnego, że połowa Kosmitów należała do czcicieli Słońca.

Tak więc próbowała nawiązać kontakt z Charlie, gimnastykowała się, czytała książki i oglądała wirtualne dramaty, podczas gdy jej ciało kąpało się w świetle słonecznym, które popychało ją ku Ziemi.

Zanim opóźnienia czasowe stały się zbyt duże, Myra często rozmawiała z Ellie na Marsie.

— Ellie, jesteś fizykiem. Pomóż mi coś zrozumieć. Czym jest Mir? Jak może istnieć inny wszechświat? *Gdzie jest moja matka?*

— Pragniesz odpowiedzi krótkiej czy długiej?

— Obu.

— Oto krótka odpowiedź: nie wiem. Nikt nie wie. A długa odpowiedź jest taka: nasza fizyka nie jest jeszcze wystarczająco zaawansowana, aby dostarczyć nam czegoś więcej niż tylko mglistych obrazów czy analogii dotyczących głębszego zrozumienia natury, jakie posiedli Pierworodni. Co wiesz na temat kwantowej grawitacji?

— Mniej, niż możesz sobie wyobrazić. Użyj jakiejś analogii.

— Dobrze. Słuchaj. Przypuśćmy, że wrzuciliśmy twoją matkę do dużej czarnej dziury. Co się z nią stanie?

Myra zastanowiła się.

— Przepadnie na zawsze.

— OK. Ale wiążą się z tym dwa problemy. Po pierwsze, mówisz, że twoja matka, a co ważniejsze, wszelkie informacje określające jej istnienie przestały istnieć… — *Co ważniejsze,* to była cała Ellie. — Ale to narusza podstawową zasadę mechaniki kwantowej, która mówi, że informacje *zawsze* zostają zachowane. W przeciwnym razie wszelkie pozory ciągłości między przeszłością, a przyszłością byłyby utracone. Mówiąc dokładniej, równanie falowe Schrödingera przestałoby obowiązywać.

— Och. Więc jakie jest rozwiązanie?

— Czarne dziury wyparowują. Efekty kwantowe w sąsiedztwie horyzontu zdarzeń powodują, że czarna dziura emituje deszcz cząstek, które stopniowo uszczuplają jej masę i energię. W ten sposób informacje, które kiedyś określały Bisesę, wyciekają na zewnątrz. Wszechświat został uratowany. Chyba rozumiesz, że jest to opis bardzo swobodny. Kiedy będziesz miała sposobność, zapytaj Talesa o zasadę holograficzną.

— Powiedziałaś, że są dwa problemy.

— Tak. Więc informacje dotyczące Bisesy zostały odzyskane. Ale co się dzieje z nią samą, to znaczy z *jej* punktu widzenia? Horyzont zdarzeń to nie jakiś mur w przestrzeni. Więc z jej punktu widzenia informacje, które ją określają, nie zostają zatrzymane przez horyzont zdarzeń, żeby później wydostać się za zewnątrz, lecz wnikają wraz z nią do wnętrza czarnej dziury.

— OK — powoli powiedziała Myra. — Więc mamy dwie kopie informacji o mojej matce, jedną wewnątrz czarnej dziury, a drugą wypływającą na zewnątrz.

— Nie. To niemożliwe. Kolejna podstawowa zasada: twierdzenie o klonowaniu. Informacji kwantowych nie można kopiować.

Myra zaczęła tracić wątek.

— Więc jakie jest wyjście?

— Nielokalność. W życiu codziennym lokalność to pewnik. Ja jestem tutaj, ty tam, i nie możemy być równocześnie w dwóch miejscach. Ale rozwiązanie zagadki związanej z czarną dziurą jest następujące: bit informacji *może* się znajdować równocześnie w dwóch miejscach. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale wiele cech kwantowego wszechświata ma taki właśnie charakter, w wypadku kwantowej grawitacji jest jeszcze gorzej. A dwa miejsca, w których istnieją informacje rozdzielone „horyzontem” takim jak horyzont zdarzeń, mogą być oddalone od siebie nawet o lata świetlne. Wszechświat jest pełen takich horyzontów, nie potrzeba czarnej dziury, aby je utworzyć.

— I myślisz, że Mir…

— Sądzimy, że Pierworodni potrafią manipulować horyzontami i nielokalnością informacji, by „tworzyć” wszechświaty niemowlęce i

„przenosić” twoją matkę i inne obiekty między nimi. Ale jak to robią, nie mamy pojęcia. Nie wiemy także, do czego jeszcze są zdolni. Tak naprawdę nie potrafimy nawet określić granic ich możliwości. — Ellie przerwała. — Czy to wystarczy za odpowiedź na twoje pytanie?

— Nie jestem pewna. Myślę, że muszę to przemyśleć.

— Samo myślenie o tym zrewolucjonizowało fizykę.

— No cóż, to już jest jakaś pociecha.

41. Arki

— Znaleźliśmy je, mamo. Dokładnie tam, gdzie przewidzieli twoi astronomowie.

— Nie nadłożyliśmy zbyt wiele drogi. Prawdę mówiąc, ucieszyliśmy się z możliwości przeprowadzenia tego testu głównego napędu *Liberatora,* i innego widoku za Oknami. Tutaj nic się nie dzieje. Przestrzeń kosmiczna jest *pusta*…

Była to flota statków kosmicznych, cienkich jak ołówek i powoli obracających się, które lśniły w świetle dalekiego Słońca. Pędząc przez pustkowia rozciągające się poza pasem asteroid, poruszały się zbyt szybko, aby mogła je ściągnąć z powrotem siła ciążenia Słońca; były przeznaczone do podróży międzygwiezdnych.

— To ludzie — powiedział John Metternes.

— O tak.

John przyjrzał się obrazom.

— Mają na kadłubach wymalowane czerwone gwiazdy. Chińczycy?

— Prawdopodobnie. I prawdopodobnie opuszczają układ słoneczny na zawsze.

Edna powiększyła obraz. Statki, oglądane z bliska miały rozmaite kształty.

Ściągnęła od Libby analizę i przypuszczenia dotyczące ich podróży.

— Nie wydaje się, żeby dysponowały napędem opartym na antymaterii podobnym do naszego — przeczytała. — Nawet gdyby tak było, czas podróży i tak wyniósłby całe lata. Na pokładzie każdego z tych statków jest zapewne tylko kilku — jeśli w ogóle — przytomnych członków załogi. Reszta może być w stanie śmierci pozornej, statki mogą zawierać hibernacula. Albo mogą tam się znajdować w postaci zamrożonych zygot czy też komórek jajowych i nasienia… — Przejrzała coraz bardziej barokowe przypuszczenia. — Jedna z egzotycznych możliwości jest taka, że na pokładzie tych ark w ogóle nie ma *ludzkich ciał.* Może transportują jedynie łańcuchy DNA. Albo może informacyjny odpowiednik ma postać jakiejś pamięci odpornej na promieniowanie. Bez jakiejkolwiek chemii.

— Wówczas koloniści zostaną wyprodukowani na drugim końcu. Idę o zakład, że ze względu na solidne przygotowanie tej misji wykorzystują rozmaite strategie — powiedział John, który był inżynierem. — W końcu ich próba zdobycia Marsa skończyła się niepowodzeniem. Dlatego dali sobie spokój z układem słonecznym.

— Może to i rozsądne posunięcie, jeśli Pierworodni zamierzają nadal nas atakować. Według Libby skoro ich znaleźliśmy, musieliśmy

mieć kontakt z chińskimi władzami. Ich statek flagowy nazywa się *Zheng He,* na cześć ich wielkiego piętnastowiecznego odkrywcy…

— Myślisz, że im się uda?

— To możliwe. Z pewnością nie będziemy próbowali ich zatrzymać. Nie jestem pewna, czy byśmy zdołali, te arki bez wątpienia są potężnie uzbrojone. Mam nadzieję, że im się uda. Im więcej ludzi ulegnie rozproszeniu, tym większa szansa przetrwania naszego gatunku.

John powiedział:

— Ale jest też możliwe, że Pierworodni podążą za nimi do Alfy Centauri czy gdziekolwiek indziej i załatwią się z nimi po kolei.

— To prawda. Tak czy owak dla naszej misji nie ma to żadnego znaczenia.

* * *

— To kolejna komplikacja, mamo. Jeśli świat przetrwa atak przy użyciu bomby Q, to nastąpi spotkanie za parę stuleci naszych statków z napędem A ze społecznością, jaką Chińczykom uda się stworzyć w układzie podwójnych słońc Alfy Centauri.

— Może Thea będzie musiała się tym zająć. Pozdrów ją ode mnie. OK, muszę wracać do pracy, powracamy na trasę równoległą do toru bomby Q. Wyłączam się.

42. Cyklop

Kiedy zbliżyli się do stacji Cyklopa, Myra dostrzegła więcej zwierciadeł unoszących się w przestrzeni. Były to statki świetlne krążące wokół obserwatorium. Po wielu dniach zawieszenia w trójwymiarowej ciemności tak liczne towarzystwo mogło przyprawić o zawrót głowy.

Maxwell przecisnął się przez otaczające żagle i zbliżył do wielkiej konstrukcji w samym sercu stacji. Aleksiej powiedział, że nazywa się Galatea. Stanowiła koło unoszące się w przestrzeni.

Maxwell podążył wzdłuż osi koła, zmierzając prosto do piasty. Galatea miała kształt patykowaty, jak koło roweru z migoczącymi ledwie widocznymi szprychami. W różnych odległościach od środka widać było koncentryczne pasy pomalowane na rozmaite kolory, srebrne, pomarańczowe, niebieskie, i Galatea wyglądała trochę jak dawna tarcza strzelnicza. Stacja obracała się wokół osi i co jakiś czas padało na nią światło słoneczne równie jaskrawe jak na Ziemi, a długie cienie przesuwały się po jej krawędzi i szprychach, niby wskazówki zegara.

Aleksiej powiedział:

— Wygląda luksusowo, prawda? Po burzy słonecznej wydano mnóstwo pieniędzy na obserwatoria do poszukiwania planet. Tutaj można zobaczyć, z jakim skutkiem.

— To mi przypomina wesołe miasteczko — powiedziała Myra. — I wygląda trochę staromodnie.

Aleksiej wzruszył ramionami.

— To wizja sprzed stu lat, jak powinna wyglądać stacja przyszłości. Ale ja nie jestem miłośnikiem historii.

— Hm. Przypuszczam, że obraca się, by wytworzyć sztuczną siłę ciążenia.

— Tak. Trzeba przycumować do nieruchomej piasty, a potem windami jedzie się na odpowiedni pokład.

— A te kolory? Srebrny, czerwony, niebieski?

Uśmiechnął się.

— Nie potrafisz odgadnąć?

Zastanowiła się.

— Im bardziej oddalasz się od piasty, tym siła ciążenia staje się silniejsza. Dlatego pokład, na którym panuje taka siła ciążenia jak na Księżycu — jedna szósta ziemskiej siły ciążenia — pomalowano na kolor srebrny.

— Załapałaś. Pokład, na którym panuje taka siła ciążenia jak na Marsie, jest pomarańczowy, a jak na Ziemi — niebieski. Galatea służy personelowi Cyklopa, ale to zawsze było laboratorium o niewielkiej

sile ciążenia. Pod najbardziej oddalonym pokładem podwieszono gondole, widzisz? Biologowie eksperymentują także z siłami ciążenia większymi od ziemskiej. — Wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Mają tam takie grubokościste szczury doświadczalne. Może któregoś dnia się tam wybierzemy, jeśli mamy zamiar przemierzać układ słoneczny statkami z napędem opartym na antymaterii.

Kiedy koło znalazło się bliżej, Myra straciła z oczu zewnętrzną krawędź i jej pole widzenia wypełniły elementy wewnętrznych pokładów, obracająca się piasta z jasno oświetlonymi okienkami, szprychami i rozpórkami oraz nieustannie przesuwające się cienie.

Z otwartego portalu w samym środku piasty wysunęła się gondola. Obracała się wokół własnej osi, mając taki sam moment pędu jak Galatea, ale po kilku impulsach silników gazowych znieruchomiała i ostrożnie zbliżyła się do *Maxwella*.

— Nie będziemy podchodzić bliżej — powiedział Aleksiej. — Żagle statku świetlnego i wielkie wirujące koło nie powinny się znajdować zbyt blisko siebie. Zresztą aby się dostać do piasty, zawsze korzysta się z własnych wahadłowców Galatei. Są wyposażone w wyspecjalizowane układy sztucznej inteligencji, które doskonale dają sobie z tym radę…

Cumowanie odbyło się sprawnie i szybko, trwało zaledwie kilka minut. Z cichym trzaskiem otworzyły się włazy.

Z wahadłowca wypadła młoda kobieta i rzuciła się prosto w ramiona Aleksieja. Myra i Jurij wymienili ironiczne spojrzenia.

Kiedy para rozdzieliła się, dziewczyna obróciła się do Myry.

— Jesteś córką Bisesy. Widziałam w aktach twoje zdjęcie. Cieszę się, że cię widzę we własnej osobie. Nazywam się Lyla Neal. Witaj w stacji Cyklopa.

Myra złapała się rozpórki i uścisnęła jej dłoń.

Lyla miała około dwudziestu pięciu lat, była czarnoskóra, miała bujne, gęste włosy i lśniące białe zęby. W przeciwieństwie do Jurija i Aleksieja, podobnie jak Myra miała na prawym policzku tatuaż identyfikacyjny.

Myra powiedziała:

— Najwyraźniej dobrze znasz Aleksieja.

— Poznałam go przez jego ojca. Jestem studentką profesora Carela. Pozornie jestem tutaj, ażeby prowadzić badania naukowe. Kosmologiczne. Odległe galaktyki, światło pierwotne, coś w tym rodzaju.

Myra zerknęła na Aleksieja.

— Więc w taki sposób Kosmici szpiegują twego ojca.

— Tak, Lyla to moja wtyczka. Sprytne, nie? — Głos miał beznamiętny, może pod jego nonszalancją kryło się poczucie winy.

Wgramolili się do wahadłowca razem ze swoim bagażem.

Znalazłszy się na pokładzie Galatei, szybko przeszli przez piastę i wsiedli do windy. Lyla powiedziała:

— Złap się poręczy. I ustaw stopy w taki sposób — wskazała kierunek na zewnątrz od osi obrotu.

Winda ruszyła w dół z nieprzyjemnym szarpnięciem.

Minęli szybko kompleks pomieszczeń piasty i nagle zawiśli w przestrzeni, wewnątrz kabiny stanowiącej przezroczysty pęcherz zwisający na linie. Kiedy zjeżdżali w dół, przyspieszenie odśrodkowe stopniowo przybierało na sile, aż ich stopy mocno stanęły na podłodze i niemiłe wrażenie wywołane działaniem siły Coriolisa ustąpiło. Mijając sieć szprych, opadali w stronę wielkich zakrzywionych pokładów widniejących poniżej. W oczach Myry wszystko wydawało się nieruchome, ale Słońce powoli się obracało, a rzucane przez szprychy cienie bez przerwy przecinały pole widzenia. Ale na końcu tej przejażdżki w ogóle nie było widać ziemi ani podłogi, tylko gwiazdy.

Lyla powiedziała:

— Popatrzcie, zanim ruszymy dalej. Winda, stop. Kabina zwolniła i zatrzymała się.

Lyla powiedziała:

— Powinniście rzucić okiem na ten widok. Widać stąd całą stację. Znacznie trudniej ją obejrzeć, patrząc z poszczególnych pokładów. Winda, pokaż nam Polifema.

Myra wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła powoli wirujące gwiazdy na ognistym kole wszechświata. A w oknie pojawił się otwór obserwacyjny, skierowany w skrajną część pola gwiazd, i zaczął powoli wędrować w górę, przeciwdziałając obrotowi. Myra ujrzała niewyraźną szarą tarczę, której powierzchnię pokrywała tęcza barw. Poza nią unosiła się mniejsza stacja, gdzie znajdował się zestaw przyrządów.

— *To* — powiedziała Lyla — jest teleskop. Pojedyncza, duża, wirująca soczewka Fresnela. Ma prawie sto metrów średnicy.

Myra spytała:

— Czy tarcza podczas burzy słonecznej nie była również soczewką Fresnela?

— Tak…

A więc to był jeszcze jeden technologiczny potomek ogromnej tarczy, która kiedyś osłaniała Ziemię.

Lyla powiedziała:

— Nadali temu instrumentowi imię Polifema, Cyklopa, po najsławniejszym z jednookich mitycznych gigantów. Galatea to imię Nereidy, którą wedle niektórych wersji mitu darzył miłością. Polifem jest najstarszym, ale nadal najbardziej imponującym instrumentem, jaki tu się znajduje.

Jurij, zafascynowany instrumentami w ogóle, zasypał Lylę i Aleksieja gradem pytań.

Wielkie zwierciadła były na pierwszy rzut oka łatwiejsze do wykonania niż wielkie soczewki, ale okazało się, że soczewka lepiej się nadaje do budowy naprawdę dużych teleskopów, ze względu na lepszą tolerancję optyczną; przebywające długą drogę promienie świetlne skupiane przez zwierciadło przejawiały tendencję do potęgowania zniekształceń, nie zaś ich osłabiania, tak jak soczewka. Soczewka Fresnela stanowiła rozwiązanie kompromisowe, składała się z wielu mniejszych soczewek osadzonych w delikatnej konstrukcji wirującej dla zapewnienia stabilności. Lyla powiedziała, że małe soczewki na krawędzi tej konstrukcji są cienkie jak papier. Podczas wykonywania soczewek Fresnela występowały problemy techniczne, z których głównym była aberracja chromatyczna; były to urządzenia o małej szerokości pasma. Ale istniał układ elementów korygujących — urządzeń Schupmanna, jak powiedziała Lyla — zainstalowanych przed główną soczewką, które usuwały tę wadę.

— Sama soczewka jest urządzeniem inteligentnym — powiedziała. — Jest w stanie wprowadzać poprawki na zniekształcenia temperaturowe, zawirowania grawitacyjne… Przy pomocy tego wielkiego urządzenia można badać planety i pobliskie gwiazdy, wykonywać badania spektroskopowe i tak dalej. Teraz pracują nad układem interferometrów. Jeszcze więcej zwierciadeł zawieszonych w przestrzeni kosmicznej. Winda, pokaż nam…

Na ścianie pojawiły się dalsze otwory obserwacyjne.

— Nazywają się Arges, Brontes i Steropes. Też Cyklopy. Pracując razem, stanowią zestaw teleskopowy ogromnych rozmiarów.

— Nie jest przypadkiem, że przybyła właśnie tutaj. Mam na myśli Atenę. Jej transmisja powrotna została odebrana przez Polifema. To był bardzo słaby sygnał. Winda, ruszaj dalej.

Winda zaczęła szybko opadać, mijając pierwszy pokład. Myra dostrzegła zakrzywioną do góry ozdobioną srebrzyście podłogę i ludzi, którzy poruszali się powolnymi susami.

— Pokład księżycowy? — zapytała.

— Tak — odparła Lyla. — Galatea składa się z kilku warstw. Zatrzymamy się na pokładzie marsjańskim, gdzie spotkasz się z Ateną.

Kiedy Myra rozważała tę informację, Jurij skinął głową.

— Dobrze by było, gdybyśmy mogli się znaleźć w warunkach ziemskiej siły ciężkości, do których jesteśmy przyzwyczajeni.

— Jasne — powiedziała Lyla. — Przebywa tam niewielu ludzi. W istocie jedynie nasi ambasadorowie z Ziemi.

— Ambasadorowie? — zapytała Myra.

— Tak naprawdę to gliny. Astropol. — Zrobiła minę. — Zachęcamy ich, aby przebywali właśnie tam, w warunkach rodzimego

pola grawitacyjnego. To sprawia, że nie przeszkadzają nam w pracy.

— Nie wiedzą, że tutaj jesteśmy, prawda?

— Nie ma powodu, by im o tym mówić — powiedział Aleksiej.

Myra zaryzykowała:

— I nie wiedzą o Atenie.

— Nie, nie wiedzą — powiedziała Lyla. — Przynajmniej tak sądzę. To naprawdę tylko gliny, powinni byli nam przysłać kilku astronomów.

— Nic z tego nie rozumiem — wyznała Myra. — Gdzie była Atena. Jak powróciła. I nie rozumiem, dlaczego *ja* tutaj jestem.

— Niebawem otrzymasz odpowiedzi na wszystkie swoje pytania, Myro — rozległ się w powietrzu jakiś głos.

To drugi raz, kiedy Atena przemówiła bezpośrednio do Myry. Inni spojrzeli na nią z zaciekawieniem, a nawet z odrobiną zazdrości.

43. Chicago

Emeline, Bisesa i Abdi przebyli ostatnie kilka kilometrów do Chicago w krytym wagonie przypominającym westerny. Ciągnęły go umięśnione włochate kucyki, miejscowa odmiana, która okazała się szczególnie odpowiednia do pracy w niskiej temperaturze. Droga biegła wzdłuż torów kolejowych sprzed Znieruchomienia, ale Emeline wyjaśniła, że pociągi nie mogą kursować tak daleko na północ, ze względu na oblodzone szyny i zamarznięte zwrotnice.

Bisesa była teraz ubrana jak Eskimoska, założywszy na cienkie babilońskie odzienie kilka warstw wełny i futer, pod którymi, gdzieś w głębi, ukryty był jej telefon. Emeline powiedziała jej, że rudobrunatna wełna pochodzi od mamutów. Bisesa nie była pewna, czy ma w to wierzyć, bo z pewnością łatwiej byłoby ostrzyc owcę niż mamuta. Jednak brzmiało to przekonująco.

Pomimo futer zimno szczypało ją w odsłonięte policzki, jak dotyk kościstych palców. Oczy jej łzawiły i czuła, jak zamarzają jej łzy. Stopy marzły, mimo grubych futrzanych butów i obawiając się odmrożeń, dłonie w rękawiczkach wsunęła pod pachy.

— Tutaj jest jak na Marsie — powiedziała do towarzyszy.

Abdi skrzywił się dygocząc.

— Żałujesz, że tu jesteś?

— Żałuję, że już nie mam swojego skafandra kosmicznego.

Telefon przyciśnięty do jej ciepłego brzucha coś wymruczał, ale nie usłyszała go.

* * *

Chicago było czarnym miastem zagubionym wśród białego krajobrazu.

Nieużywane tory kolejowe prowadziły do Union Station. Ze stacji było niedaleko do mieszkania Emeline. Na ulicach płonęły ogromne ogniska, ułożone pod nieczynnymi lampami gazowymi i mozolnie uzupełniane przez grupy ludzi, których głowy osłonięte hełmami otaczały kłęby pary. Z ognisk unosiły się w powietrze smugi dymu, który wisiał nad miastem jak czarna kurtyna, a fasady budynków pokrywała sadza. Wszyscy ludzie byli okutani w futra i wyglądali jak kule, kiedy gnali od jednej wyspy ciepła do drugiej.

Na drogach panował niewielki ruch, widać było wozy ciągnięte przez konie, a kilku ludzi jechało nawet na rowerach. Bisesa

uświadomiła sobie, że w tej wersji Chicago z lat dwudziestych nie ma miejsca na samochody. Koński nawóz widać było wszędzie wokół, zamarznięty na popękanym asfalcie.

Był to niezwykły, zastygły trup miasta. Ale to miasto jakoś funkcjonowało. Widać było kościół z otwartymi drzwiami i oświetlonym świecami wnętrzem i kilka sklepów z wywieszkami „otwarte", a jakieś dziecko nawet sprzedawało gazety, cienkie, pojedyncze arkusiki papieru z dumnym napisem *Chicago Tribune*.

Idąc Bisesa dojrzała na wschodzie jezioro Michigan. Jak okiem sięgnąć, było pokryte skrzącą się biało, idealnie płaską taflą lodu. Tylko na samym brzegu lód był popękany i widać było pasma czarnej wody, a w pobliżu ujścia rzeki ludzie mozolili się, aby utrzymać rury doprowadzające wodę pitną wolne od lodu; musieli to robić od pierwszych dni po Znieruchomieniu.

Po jeziorze poruszali się ludzie. Łowili ryby w przeręblach wyrąbanych w lodzie, płonęły ogniska, a dym cienkimi smugami wznosił się ku niebu. Można było odnieść wrażenie, że ci ludzie nie mają w ogóle nic wspólnego z wrakiem wielkiego miasta.

Emeline powiedziała urywanym głosem:

— Miasto nie jest już takie jak niegdyś. Musieliśmy opuścić wiele dzielnic podmiejskich. Miasto skurczyło się do obszaru wokół Pętli — jakieś pół mili do mili w każdą stronę. Liczba mieszkańców znacznie spadła w wyniku głodu i chorób, a teraz coraz więcej ludzi przenosi się do Nowego Chicago. Ale nadal wykorzystujemy przedmieścia jako, można powiedzieć, kopalnie. Wysyłamy tam grupy ludzi, żeby odzyskać, co się da, odzież, meble i inne artykuły oraz drewno do podtrzymywania ognisk. Oczywiście od czasu Znieruchomienia nie było żadnych dostaw węgla ani ropy.

Okazało się, że zadaniem Emeline było dostarczanie tarcicy. Pracowała w małym dziale przy biurze burmistrza, odpowiedzialnym za wyszukiwanie nowych źródeł drewna i organizację jego transportu, dzięki czemu drewno docierało do zamieszkanych części miasta.

— Takie miasto nie może przetrwać w podobnych warunkach — powiedział Abdi. — Może jedynie istnieć, dopóki samo się nie unicestwi, podobnie jak głodujące ciało w końcu pochłania własne organy.

— Robimy, co się da — ostro powiedziała Emeline.

Telefon wymruczał:

— Ruddy raz odwiedził Chicago — na Ziemi, po dniu Nieciągłości. Nazwał je „prawdziwym miastem". Ale powiedział, że nigdy go już nie chce oglądać.

— Siedź cicho — powiedziała Bisesa.

* * *

Mieszkanie Emeline okazało się przerobionym biurem na drugim piętrze drapacza chmur o nazwie Montauk. Budynek wydał się Bisesie nędzny, ale przypuszczała, że i tak jest cudem w świecie z lat dziewięćdziesiątych.

Pokoje były jak gniazda, ściany, podłogi i sufity wyłożono kocami i futrami. Prowizoryczne żelazne kominy odprowadzały dym na zewnątrz, ale mimo to wszystkie powierzchnie były pokryte sadzą. Jednak w salonie stały krzesła z oparciem, małe stoliki i delikatne meble, wyraźnie zniszczone, lecz pieczołowicie odnowione.

Emeline podała herbatę. Była z indyjskich liści, pochodzących z liczących trzydzieści lat zapasów. Bisesa pomyślała, że w ten sposób mieszkańcy Chicago zachowują swoją tożsamość.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy pojawił się jeden z dwóch synów Emeline. Miał około dwudziestu lat i był młodszy od brata o rok; na imię miał Joshua, po ojcu. Przyniósł sieć pełną ryb, ciężko dysząc, czerwony na twarzy, wracał z jeziora Michigan. Kiedy zrzucił z siebie futra, okazało się, że jest wysokim młodzieńcem, wyższym od ojca. Bisesa pomyślała, że ma w sobie coś z otwartości Josha, jego ciekawości świata i zapału. Chociaż był bardzo szczupły, wyglądał na zdrowego. Na prawym policzku widać było odbarwienie, które mogło stanowić ślad po odmrożeniu, a twarz lśniła od oleju, którym okazał się wyciąg z foczego tłuszczu.

Emeline wyniosła ryby, żeby je oprawić. Wróciła z filiżanką herbaty dla syna. Grzecznie wziął filiżankę i jednym haustem połknął gorącą herbatę.

— Ojciec opowiadał mi o pani, pani Dutt — niepewnie powiedział Joshua. — O tym, co się działo w Indiach.

— Pochodziliśmy z różnych światów.

— Ojciec mówił, że pani jest z przyszłości.

— No tak. W każdym razie z jego przyszłości. Ojciec Abdikadira także przybył tam ze mną. Byliśmy z roku 2037, mniej więcej sto pięćdziesiąt lat po plastrze czasu twego ojca.

Patrzył przed siebie szklanym wzrokiem.

— Przypuszczam, że wszystko to jest dla ciebie dosyć zamierzchłe.

Wzruszył ramionami.

— To nie ma żadnego znaczenia. Cała historia teraz się nie powtórzy, prawda? Nie będziemy musieli walczyć w waszych wojnach światowych i tak dalej. Znaleźliśmy się w takim świecie i jesteśmy na niego skazani. Ale mnie to odpowiada.

Emeline zagryzła wargi.

— Joshua kocha życie, Biseso.

Okazało się, że Joshua pracuje jako inżynier na kolei koło Nowego Chicago. Ale jego namiętnością było łowienie ryb w przerębli i ilekroć miał trochę wolnego czasu, wracał do starego miasta, odziewał się w futra i zmierzał prosto na zamarznięte jezioro.

— Nawet pisze na ten temat wiersze — powiedziała Emeline. — To znaczy o łowieniu ryb.

Młodzieniec zaczerwienił się.

— Mamo…

— Odziedziczył to po ojcu. Dar słowa. Ale oczywiście ciągle nam brakuje papieru.

Bisesa zapytała:

— A jego brat — twój starszy syn, Emeline? Gdzie on jest?

Twarz jej stężała.

— Harry odszedł kilka lat temu. — Było to dla niej wyraźnie przygnębiające, nigdy nie wspominała o tym przedtem. — Powiedział, że się odezwie, ale oczywiście tego nie zrobił, oni nigdy tego nie robią.

Joshua powiedział:

— No cóż, może myśli, że go aresztują, jeżeli wróci.

— Rok temu burmistrz Rice ogłosił amnestię. Gdyby tylko się z nami skontaktował, gdyby tylko wrócił choćby na jeden dzień, mogłabym mu powiedzieć, że nie ma się czego obawiać.

Rozmawiali o tym jeszcze przez chwilę i Bisesa zaczynała rozumieć. Niektórzy młodzi ludzie z Chicago, urodzeni na Mirze i oczarowani niezwykłym krajobrazem, w jakim przyszło im żyć, postanowili porzucić heroiczną walkę swych rodziców o uratowanie Chicago czy jeszcze śmielszą próbę zbudowania nowego miasta na południe od pokrywy lodowej. Po prostu odeszli, przepadli wśród śnieżnych bieli albo zieleni traw południa.

— Mówią, że żyją jak Eskimosi — powiedział Joshua. — Albo jak czerwonoskórzy.

— Niektórzy z nich nawet zabrali publikacje encyklopedyczne z bibliotek i eksponaty z muzeum, więc mogli się nauczyć, jak żyć — gorzko powiedziała Emeline. — Bez wątpienia wielu z tych młodych głupców już nie żyje.

Było jasne, że jest to drażliwy temat; może Joshua marzył, aby pójść śladem starszego brata.

Emeline ucięła dalszą rozmowę, wstając i mówiąc, że idzie do kuchni, żeby przygotować lunch. Mieli dostać złowioną przez Joshuę rybę z kukurydzą i zielonymi jarzynami importowanymi z Nowego Chicago. Joshua pożegnał się, poszedł się umyć i przebrać.

Kiedy wyszli, Abdi przyjrzał się Bisesie.

— Tutaj czuje się napięcie.

— Tak. To różnica pokoleń.

— Ale rodzice mają swój cel, prawda? — powiedział Abdi. — Alternatywą dla cywilizacji jest tutaj epoka kamienia. Ci odszczepieńcy, nawet jeżeli przeżyją, w ciągu dwóch pokoleń staną się analfabetami. A potem własną historię będą przekazywać tylko ustnie. Zapomną, że ich rasa pochodzi z Ziemi, a jeśli w ogóle będą pamiętali o Nieciągłości, stanie się dla nich wydarzeniem mitycznym, jak biblijny potop. A kiedy rozszerzanie się wszechświata zagrozi tkance ich własnego świata…

— Nawet nie zrozumieją, co im niesie zagładę. — Ale, pomyślała ze smutkiem, może tak jest lepiej. Przynajmniej ci odszczepieńcy i ich dzieci będą mogli przeżyć kilka pokoleń w zgodzie ze światem, zamiast prowadzić z nim niekończącą się walkę. — Nie miałeś podobnych konfliktów we własnym domu?

Abdi zastanowił się przez chwilę.

— Aleksander buduje światowe imperium. Możesz myśleć, że to jest mądre albo szalone, ale musisz przyznać, że to jest coś *nowego*. Trudno się temu oprzeć. Nie sądzę, abyśmy mieli zbyt wielu odszczepieńców. Nie żeby Aleksander pozwolił na coś takiego — dodał.

Ku zaskoczeniu Bisesy, nagle, gdzieś w głębi mieszkania, zadzwonił telefon. Był to staromodny, przerywany dzwonek, stłumiony przez wykładzinę ścian. Ale dzwonił. Telefony i gazety. Mieszkańcy Chicago naprawdę sprawili, że ich miasto funkcjonowało. Usłyszała, jak Emeline podnosi słuchawkę i cicho mówi.

Emeline wróciła do salonu.

— Mam dobrą wiadomość. Burmistrz Rice chce cię poznać. Oczekuje cię, pisałam mu o tobie z Nowego Chicago. I będzie mu towarzyszył pewien astronom — powiedziała uroczyście.

— To dobrze — niepewnie powiedziała Bisesa.

— Spotka się z nami dzisiaj wieczorem. Mamy więc czas na zakupy.

— Zakupy? Żartujesz?

Emeline wypadła z pokoju.

— Lunch będzie za pół godziny. Nalej sobie jeszcze herbaty.

44. Atena

Pokład marsjański przypominał korytarz wznoszący się w obie strony, więc kiedy się tamtędy szło, miało się dziwne wrażenie, że jest się stale w najniższym punkcie i nigdy się go nie opuści. Siła ciążenia stanowiła jedynie jedną trzecią ziemskiej, do czego Myra przywykła podczas pobytu na Marsie. Wszystko wokół było w kolorze ochry, plastikowe powierzchnie ścian i wykładziny leżące na podłodze. Stały tam nawet donice z czymś, co wyglądało jak czerwony marsjański pył, z którego wyrastały intensywnie zielone ziemskie rośliny, głównie kaktusy, co sprawiało dosyć dziwne wrażenie.

Trudno jej było uwierzyć, że znajduje się w przestrzeni kosmicznej, że jeśli będzie szła dalej, zrobi pętlę i znajdzie się w tym samym miejscu.

Aleksiej obserwował jej reakcję.

— To typowa ziemska architektura — powiedział. — Jak kopuły na Marsie z deszczem i ogrodami zoologicznymi. Nie rozumieją, że nie potrzebujesz tego wszystkiego, że to zwyczajnie przeszkadza…

Z pewnością wszystko to wydało się Myrze zbyt ugrzecznione, jak terminal lotniczy.

Lyla zaprowadziła całą trójkę do pokoju tuż obok głównego korytarza. Nie było tam nic niezwykłego, stał stół konferencyjny z elastycznymi ekranami, ekspres do kawy i dzbanki z wodą.

I tam przemówiła do nich Atena.

— Przypuszczam, że zastanawiacie się, dlaczego was tu dziś zaprosiłam.

Nikt się nie roześmiał. Jurij zostawił torby w rogu pokoju, wszyscy nalali sobie kawy.

Myra usiadła i wyzywająco spojrzała w przestrzeń.

— Moja matka zawsze mówiła, że masz opinię komediantki.

— Ach — powiedziała Atena. — Arystoteles nazywał mnie kapryśną. Nigdy nie miałam okazji rozmawiać z Bisesą Dutt. — Jej głos był spokojny, opanowany. — Ale rozmawiałam z wieloma spośród tych, którzy ją znali. To niezwykła kobieta.

Myra powiedziała:

— Zawsze mówiła, że jest zwykłą kobietą, której stale przydarzają się niezwykłe rzeczy.

— Ale inni ludzie mogliby stracić głowę w obliczu tak zdumiewających przeżyć. A Bisesa nadal wypełnia swe obowiązki tak, jak je widzi.

— Mówisz o niej w czasie teraźniejszym. Nie wiem, czy żyje, czy też nie. Nie wiem, gdzie jest.

— Ale podejrzewasz, prawda, Myro?

— Nie rozumiem, jak z tobą rozmawiam. Dlaczego jesteś *tutaj?*.

— Patrz — powiedziała Atena łagodnie.

Światła w pokoju lekko przygasły i przed ich oczyma pojawił się holograficzny obraz.

Szpetny, pokryty szczeciną, wyglądał jak jakiś stwór z głębi morza. W rzeczywistości był mieszkańcem przestrzeni kosmicznej. To była Niszczarka.

Dzień przed burzą słoneczną Atena obudziła się i stwierdziła, że znajduje się dziesięć milionów kilometrów od Ziemi. Arystoteles i Tales, dwa wielkie elektroniczne umysły ludzkości, byli wraz z nią. Zostali załadowani do pamięci bomby.

Trójka przywarła do siebie w abstrakcyjny, elektroniczny sposób. I wtedy…

* * *

Kiedy obrazy z Procyona zniknęły, wszyscy poczuli potrzebę chwili wytchnienia.

Poszli na marsjański pokład. Myra sączyła colę. Podczas gdy Jurij obserwował prowizoryczne wahadła, badając zmieniającą się wielkość sztucznej siły ciążenia, Aleksiej i Lyla siedli na podłodze. W tej pozycji ciało było cięższe, niż kiedy człowiek stał. Jeśli się rzuciło piłkę, obrót powodował odchylenie jej toru. A jeśli się biegło w kierunku przeciwnym do kierunku obrotu, ciało stawało się lżejsze. Śmiejąc się, gonili się po korytarzu, poruszając się wielkimi susami.

Patrząc, jak się bawią, Myra zdała sobie sprawę, jak bardzo młodzi są w rzeczywistości ci Kosmici.

Nikt nie miał ochoty wracać i znów spotkać się z Ateną. I rozmawiać o tym, co odkryła na planecie odległej o jedenaście lat świetlnych.

— Więc ci pływacy doprowadzili do wymarcia ich własnego gatunku — powiedział Aleksiej. — Co za historia.

Jurij powiedział:

— To lepsze niż pozwolić Pierworodnym odnieść zwycięstwo.

— Znalezienie sposobu przesłania mnie z powrotem zajęło nam dwa lata — powiedziała Atena łagodnie. — Nie chcieliśmy ujawniać naszej obecności w niebezpiecznym wszechświecie. Zmontowaliśmy optyczny laser, zapewniał mocną, dobrze skorelowaną wiązkę. I kiedy nadszedł czas, strumień moich zakodowanych danych wysłaliśmy na Ziemię. Przewidywaliśmy, że zostanie odebrany przez Cyklopa, który przed burzą słoneczną był na etapie planowania.

— To było ryzykowne — powiedziała Myra. — W końcu gdyby Cyklopa nie zbudowano…

— Nie mieliśmy wyboru — musieliśmy podjąć ryzyko.

Jurij spytał:

— A dlaczego z waszej trójki właśnie ty?

Atena zastanowiła się.

— Można powiedzieć, że ciągnęliśmy losy. — A tamci…

— Sygnał pochłonął całą moc, jaką dysponowaliśmy, jaką mógł zapewnić nam Świadek. Chociaż Świadek żył, nie pozostało nic, aby podtrzymać istnienie tamtych. Poświęcili się dla mnie.

Myra zastanawiała się, jak Atena, sztuczna inteligencja o tak skomplikowanej biografii, się z tym czuła. Jako „najmłodsza" z tej trójki, musiała mieć wrażenie, jak gdyby jej rodzice poświęcili się, żeby ją uratować.

— Nie uczynili tego tylko dla ciebie — powiedziała łagodnie. — Uczynili to dla nas wszystkich.

— Tak — powiedziała Atena. — Teraz rozumiecie, dlaczego musiano mnie wysłać z powrotem.

Myra spojrzała na Aleksieja.

— I to właśnie trzymałeś przede mną w tajemnicy przez tyle tygodni.

Aleksiej wyglądał nieswojo.

— Ja o to prosiłam — powiedziała Atena bez zająknienia.

Jurij wpatrywał się w swoje dłonie, które rozłożył na stole. Sprawiał wrażenie równie zaszokowanego jak Myra.

Zapytała:

— O czym myślisz, Jurij?

— Myślę, że dzisiaj pokonaliśmy pewną barierę pojęciową. Od czasu burzy słonecznej, myśląc o Pierworodnych, zawsze koncentrowaliśmy się na naszym, ludzkim punkcie widzenia. Jak gdybyśmy milcząco zakładali, że stanowią zagrożenie wymierzone jedynie w nas — nasze własne nemezis. Teraz dowiadujemy się, że postępowali równie brutalnie wobec innych. — Podniósł ręce i rozpostarł je szeroko w powietrzu. — Nagle musimy zacząć traktować Pierworodnych jako obecnych w czasie i przestrzeni. Cholera, muszę się jeszcze napić kawy. — Wstał i powlókł się do ekspresu.

Aleksiej wydął policzki.

— Więc teraz wiesz już wszystko, Myro. Co teraz?

Myra powiedziała:

— Tymi informacjami powinniśmy się podzielić z Ziemią. Rada Kosmiczna…

Aleksiej zrobił minę.

— Dlaczego? Żeby mogli zrzucić więcej bomb atomowych, a nas aresztować? Myro, mają zbyt zawężoną perspektywę.

Myra popatrzyła na niego.

— Czy podczas burzy słonecznej nie działaliśmy wspólnie? A teraz, tutaj, wracamy do starych zwyczajów: oni kłamią wam, a wy im. Czy tak właśnie mamy wszyscy działać, w ciemno?

— Bądź sprawiedliwa, Myro — mruknął Jurij. — Kosmici robią, ile w ich mocy. I prawdopodobnie mają rację co do tego, jak zareaguje Ziemia.

— Więc jak uważasz, co powinniśmy zrobić?

Jurij powiedział:

— Idźmy za przykładem Marsjan. Uwięzili Oko — odpowiedzieli atakiem na atak. — Zaśmiał się gorzko. — I w rezultacie w tej chwili jedyny element technologii Pierworodnych, jakim dysponujemy, znajduje się na Marsie, pod *moją* czapą lodową.

— Tak — powiedziała Atena. — Wygląda na to, że ogniskiem tego kryzysu jest biegun Marsa. Chcę, żebyś tam wróciła, Myro.

Myra zastanowiła się.

— A kiedy tam dotrzemy?

— Wtedy będziemy musieli czekać, tak jak przedtem — powiedziała Atena. — Następny krok nie należy do nas.

— A do kogo?

— Do Bisesy Dutt — mruknęła Atena.

Rozległ się sygnał alarmowy i ściany pokoju zaczęły błyskać na czerwono.

Lyla dotknęła swego znaczka identyfikacyjnego i zaczęła słuchać.

— To gliny z Astropolu, są na ziemskim pokładzie — powiedziała. — Musiał być jakiś przeciek. Idą po ciebie, Myra. — Wstała.

Myra ruszyła za nią. Była oszołomiona.

— Szukają mnie? Dlaczego?

— Ponieważ myślą, że doprowadzisz ich do matki. Wynośmy się stąd. Nie mamy zbyt wiele czasu.

Szybko opuścili pokój. Aleksiej wymruczał jakieś instrukcje dla *Maxwella.*

45. Burmistrz

Zakupy w Chicago okazały się dokładnie tym, czym miały być. Niezwykły był fakt, że można było spacerować po Michigan Avenue i innych głównych ulicach, oglądając wystawy takich sklepów jak Marshall Field's, gdzie zgromadzono liczne towary, a na manekinach wisiały garnitury, suknie i płaszcze. Można było kupić futra, buty i inne rzeczy niezbędne w zimnym klimacie, ale Emeline była zainteresowana tylko „krzykiem mody"; jak się okazało, rozumiała przez to resztki zapasów z lat dziewięćdziesiątych, kiedyś sprowadzonych z nieistniejącego już Nowego Jorku czy Bostonu, które były pieczołowicie przechowywane, choć gęsto połatane. Bisesa pomyślała, że Emeline byłaby oszołomiona nowoczesną modą z lat dwudziestych następnego stulecia.

Zrobiły zakupy. Ale ulica przed domem towarowym była częściowo zatarasowana przez martwego konia, zamarzniętego w miejscu, gdzie padł. W oknach płonęły dymiące świece, sporządzone z foczego bądź końskiego tłuszczu. I chociaż tu i ówdzie widać było młodych ludzi, głównie byli zatrudnieni w sklepach. Z tego co Bisesa zdołała dostrzec, wszyscy kupujący byli starzy, w wieku Emeline albo jeszcze starsi; byli to ludzie, którzy przeżyli Nieciągłość i teraz przetrząsali te sfatygowane, zniszczone relikty utraconej przeszłości.

* * *

Biuro burmistrza Rice'a znajdowało się we wnętrzu ratusza.

Przed biurkiem ustawiono krzesła z twardym oparciem. Bisesa, Emeline i Abdi usiedli rzędem i czekali.

Pokój nie był ocieplany, tak jak mieszkanie Emeline. Ściany były pokryte tapetą z wypukłym wzorem i portretami dawnych dygnitarzy. Na kominku płonął ogień, a poza tym włączono centralne ogrzewanie i ciężkie żelazne kaloryfery promieniowały ciepłem, bez wątpienia były zasilane z jakiegoś potężnego pieca ulokowanego w piwnicy. Na ścianie wisiał prymitywny telefon tubowy z trąbką akustyczną, którą trzeba było przykładać do ucha. Na kominku tykał zegar, od trzydziestu dwóch lat wskazujący standardowy czas kolejowy Chicago, czyli czwartą po południu, pomimo rozbieżności z rachubą czasu w świecie zewnętrznym.

Bisesa była dziwnie rada, że zdecydowała się włożyć fioletowy babiloński strój, podobnie jak Abdi, mimo że Emeline proponowała

bardziej oficjalny „kostium”. Czuła, że powinna zachować tutaj swoją tożsamość.

Powiedziała szeptem do pozostałych:

— Więc to jest Chicago z lat dwudziestych. Chyba zaraz zobaczę Ala Capone.

Jej telefon wymruczał:

— W roku 1894 Al Capone był w Nowym Jorku. Nie może być teraz tutaj…

— Och, zamknij się. — Powiedziała do Emeline: — Powiedz mi coś o burmistrzu Jacobie Risie.

— Ma tylko około trzydziestu lat, urodził się po Znieruchomieniu.

— A syn burmistrza?

Emeline pokręciła głową.

— Niezupełnie…

Nieciągłość była dla mieszkańców Chicago prawdziwym szokiem. Nagle w lipcu zaczął padać śnieg. Podnieceni dokerzy donieśli o pojawieniu się gór lodowych na jeziorze Michigan. Z biur znajdujących się na górnych piętrach Rookery i Montauk biznesmeni ujrzeli na północnym horyzoncie linię bieli. Burmistrza nie było wtedy w mieście. Jego zastępca rozpaczliwie próbował połączyć się z Nowym Jorkiem i Waszyngtonem, ale nadaremnie; nawet jeśli prezydent Cleveland wciąż żył, gdzieś tam, za barierą lodu, nie był w stanie zapewnić żadnej pomocy mieszkańcom Chicago.

W ciągu tych pierwszych dni sytuacja pogarszała się bardzo szybko. Kiedy nasiliły się zamieszki wywołane brakiem żywności, kiedy starsi ludzie zaczęli zamarzać, kiedy przedmieścia zaczęły płonąć, zastępca burmistrza podjął najlepszą z możliwych decyzji. Zdając sobie sprawę ze swoich ograniczonych możliwości, powołał Komitet Kryzysowy składający się z czołowych mieszkańców miasta. Należeli do niego komendant policji i dowódca Gwardii Narodowej, najwięksi biznesmeni i właściciele ziemscy, oraz liderzy wszystkich najważniejszych związków zawodowych. Była wśród nich także Jane Addams, „Święta Jane”, znana reformatorka, która prowadziła schronisko dla kobiet pod nazwą Hull House, a także Thomas Alva Edison, wielki wynalazca, który miał wtedy czterdzieści siedem lat i zaskoczony przez Znieruchomienie usychał z tęsknoty za swym utraconym laboratorium w New Jersey.

Był tam także pułkownik Edmund Rice, weteran spod Gettysburga, który zaledwie rok wcześniej zorganizował specjalną jednostkę policji dla potrzeb światowych targów. Zastępca burmistrza z ochotą oddał fotel przewodniczącego Komitetu pułkownikowi Rice’owi.

Wprowadziwszy stan wyjątkowy, Komitet podjął zdecydowane kroki celem zdławienia fali przestępstw i uporządkował pośpiesznie

wprowadzone przez zastępcę burmistrza przepisy dotyczące racjonowania żywności i godziny policyjnej. Rice utworzył nowe ośrodki medyczne, w których zorganizowano punkty pierwszej pomocy, powstały także nowe cmentarze. A ponieważ miasto zaczęło spalać własne zasoby, by się ogrzać, i śmierć zbierała coraz obfitsze żniwo, zaczęto robić plany na przyszłość.

Emeline powiedziała:

— Ostatecznie funkcje Komitetu Kryzysowego znalazły się w gestii burmistrza, ale Rice nigdy nie został wybrany na to stanowisko.

— Ale teraz jego syn jest burmistrzem — mruknął Abdi. — Syn przywódcy, który objął to stanowisko, choć nie został wybrany. To mi pachnie rządami dynastycznymi.

— Nie stać nas na papier potrzebny do przeprowadzenia wyborów — cicho powiedziała Emeline.

Do pokoju wpadł burmistrz Rice, a za nim grupka zalęknionych ludzi, zapewne urzędników; jakiś starszy człowiek trzymał teczkę.

— Pani Dutt? I pan, ach, Omar. Miło mi państwa poznać. A panią ujrzeć ponownie, pani White…

Jacob Rice był pulchnym młodym człowiekiem ubranym w elegancki garnitur, na którym nie było śladów łatania. Czarne włosy miał zaczesane do tyłu, chyba wypomadowane, a w wyrazistej twarzy błyszczały chłodne, niebieskie oczy. Poczęstował ich brandy w misternie rżniętych kieliszkach.

— Proszę posłuchać, pani Dutt — zaczął z werwą. — Dobrze, że przyszła pani się ze mną spotkać. Staram się rozmawiać z każdym, kto przybywa do naszego miasta, chociaż są to głównie Grecy, którzy nadają się tylko do lekcji historii, oraz kilku Brytyjczyków z naszej epoki, zgadza się?

— Plaster czasu, w którym znalazła się Granica Północno-Zachodnia, pochodził z 1885 roku — powiedziała Bisesa. — Tam przypadkiem utknęłam. Ale faktycznie pochodzę z…

— Roku Pańskiego 2037. — Postukał w list, leżący przed nim na biurku. — Pani White była tak dobra, że sporo mi o pani opowiedziała. Ale będę z panią szczery, pani Dutt, jestem zainteresowany jedynie pani biografią, bez względu na to, z jakiego czasu pani pochodzi, jeżeli dotyczy to mnie i mojego miasta. Jestem pewien, że pani to rozumie.

— W porządku.

— Przybywa pani tutaj z wiadomością, że świat zmierza ku końcowi. Czy tak?

Starszy człowiek stojący wśród zastraszonej reszty podniósł palec.

— Niezupełnie, panie burmistrzu. Ta pani utrzymuje, że *wszechświat* zmierza ku końcowi. Ale z tego oczywiście wynika, że obejmie to także nasz świat. — Lekko zachichotał, jakby powiedział

coś zabawnego.

Rice popatrzył na niego.

— No to chyba najbardziej monstrualny przypadek szukania dziury w całym. Pani Dutt, to jest Gifford Oker — profesor astronomii naszego nowego Uniwersytetu Miasta Chicago. A przynajmniej był nowy, gdy zapanował mróz. Zaprosiłem go, bo wydaje się, że macie do omówienia jakieś problemy astronomiczne, a tylko on jako tako zna się na astronomii.

Oker miał około pięćdziesiątki, był siwy, a jego twarz niemal całkowicie zasłaniały grube okulary i nierówno przystrzyżone wąsy. Ściskał w dłoniach zniszczoną skórzaną teczkę. Jego garnitur był sfatygowany, miał postrzępione mankiety i klapy, a łokcie i kolana obszyte skórą.

— Mogę panią zapewnić, że moich kwalifikacji nikt nie może kwestionować. W czasie Znieruchomienia byłem studentem George'a Ellery'ego Hale'a, znanego astronoma, może pani o nim słyszała? Zamierzaliśmy założyć nowe obserwatorium w Zatoce Williamsa, które miało być wyposażone w zestaw nowoczesnych instrumentów, w tym czterdziestocalowy refraktor, byłby to największy tego rodzaju teleskop na świecie. Ale niestety miało się stać inaczej. Udało nam się kontynuować program obserwacji przy użyciu teleskopów, które ocalały w tym „plastrze czasu", jak to pani określa, pani Dutt, z konieczności mniejszych i słabszych. Przeprowadziliśmy także pewne badania spektroskopowe, których wyniki są, no, zaskakujące.

Abdi pochylił się do przodu.

— Panie profesorze, ja sam uprawiam astronomię w Babilonie. Uzyskaliśmy wyniki, które częściowo potwierdzają przewidywania Bisesy. Musimy się wymienić informacjami.

— Oczywiście.

Rice zerknął na list Emeline. Powoli przeczytał:

— „Ucieczka odległych gwiazd". O tym właśnie mówicie.

— Tak jest — powiedział Abdi. — Mówiąc po prostu, wygląda to tak, jak gdyby gwiazdy oddalały się od Słońca we wszystkich kierunkach.

Rice skinął głową.

— OK. Rozumiem. I co z tego?

Oker westchnął. Zdjął okulary, ukazując głęboko osadzone zmęczone oczy, i krawatem przetarł szkła.

— Widzi pan, panie burmistrzu, problem jest następujący. Dlaczego Słońce miałoby stanowić centrum takiej ekspansji? To narusza podstawowe zasady jednorodności i izotropowości przestrzeni. Mimo że przetrwaliśmy Znieruchomienie, najbardziej niezwykłe zdarzenie w udokumentowanej historii, zasady te oczywiście nadal muszą obowiązywać.

Bisesa przyglądała się temu profesorowi astronomii, zastanawiając się, jak wiele jest w stanie zrozumieć. Najwyraźniej miał wystarczająco bystry umysł i udało mu się zrobić karierę naukową w najbardziej niezwykłych warunkach.

— Więc jak pan to interpretuje?

Założył z powrotem okulary i popatrzył na nią.

— Tak, że *nie jesteśmy* wyróżnionymi obserwatorami. Że gdybyśmy żyli w świecie Alfy Centauri, obserwowalibyśmy dokładnie to samo, to znaczy widzielibyśmy, że dalekie mgławice stale się od nas oddalają. Może to tylko oznaczać, że rozszerza się sam eter, czyli niewidzialne medium, w którym poruszają się wszystkie gwiazdy. Wszechświat się rozszerza jak ciasto rosnące w piekarniku, a gwiazdy, niczym rodzynki tkwiące w tym cieście, oddalają się od siebie. Ale każdej takiej rodzynce wydawałoby się, że ona sama jest nieruchoma, stanowiąc centrum tej ekspansji…

Znajomość teorii względności, jaką posiadała Bisesa, ograniczała się do jednego kursu na uczelni przed wieloma laty oraz rozmaitych książek *science fiction,* a temu przecież nie można ufać. Ale ten plaster czasu pochodził z okresu, gdy Einstein miał tylko piętnaście lat. Oker nie mógł nic wiedzieć o teorii względności. A teoria ta opierała się na odkryciu, że w rzeczywistości żaden eter nie istnieje.

Ale pomyślała, że Oker jest bliski zrozumienia całej sytuacji.

Powiedziała:

— Panie burmistrzu, on ma rację. Wszechświat się rozszerza. Jego nieustanna ekspansja powoduje, że gwiazdy i galaktyki oddalają się od siebie. Ale ta ekspansja dotyczy także mniejszej skali.

Abdi powiedział:

— Ona rozerwie świat, zostaniemy rozrzuceni we wszystkich kierunkach. Potem rozpadną się nasze ciała. A jeszcze później rozpadną się same atomy, z których składają się nasze ciała. — Uśmiechnął się. — W taki sposób świat dobiegnie końca. Ekspansja, którą obecnie można wykryć tylko przy pomocy teleskopów, w końcu rozerwie wszystko na kawałki.

Rice patrzył na niego.

— Taki mały, pozbawiony uczuć, typek, co? — Popatrzył ponownie na list Emeline. — No dobrze, obudziła pani moje zainteresowanie. Pani Dutt, mówi pani, że rozmawiała pani o tym z ludźmi u siebie. Tak? Więc *kiedy* ta wielka bańka ma pęknąć? Ile czasu nam jeszcze zostało?

— Około pięciuset lat — powiedziała Bisesa. — Obliczenia są niełatwe, trudno mieć pewność.

Rice patrzył na nią.

— Pięć pieprzonych stuleci, bardzo przepraszam. A my nie mamy zapasów żywności nawet na pięć tygodni. No cóż, myślę, że na razie

potraktuję to jako „sprawę do załatwienia”. Potarł oczy, pełen energii, lecz wyraźnie zestresowany. — Pięć stuleci. Jezu Chryste! Dobrze, co teraz?

Teraz przyszła kolej na układ słoneczny. Gifford Oker szepnął:

— Czytałem pani list, pani Dutt. Odbyła pani podróż statkiem kosmicznym na Marsa. Jakże cudowne musi być pani stulecie! — Otrząsnął się. — Wie pani, kiedy byłem małym chłopcem, spotkałem Juliusza Verne’a. Wielki człowiek. On by wiedział, jak się dostać na Marsa!

— Możemy się trzymać tematu? — warknął Rice. — Juliusz Verne, Jezu Chryste! Po prostu pokaż pani swoje rysunki, profesorze, widzę, że nie możesz się tego doczekać.

— Tak. Oto wyniki naszych badań układu słonecznego, pani Dutt. — Oker otworzył teczkę i rozłożył swoje materiały na biurku burmistrza. Były tam zdjęcia planet, kilka zamazanych czarno-białych fotografii, ale głównie kolorowe obrazy pracowicie naszkicowane ołówkiem. I coś, co wyglądało jak spektrogram, jak rozmazane kody kreskowe.

Bisesa pochyliła się do przodu. Prawie niedosłyszalnie mruknęła:

— Widzisz?

Jej telefon szepnął w odpowiedzi:

— Całkiem dobrze, Biseso.

Oker pchnął w jej stronę zestaw obrazów.

— To jest Wenus — powiedział.

W świecie Bisesy Wenus była kulą pokrytą oponą chmur. Sondy kosmiczne wykryły na niej atmosferę grubą jak ocean i ląd tak gorący, że topił się na nim ołów. Ale *ta* Wenus była inna. Na pierwszy rzut oka przypominała obraz Ziemi widzianej z przestrzeni kosmicznej: pasma chmur, szaroniebieski ocean, małe czapy lodowe na biegunach.

Oker powiedział:

— Całą planetę pokrywa ocean. Ocean i lód. Nie wykryliśmy ani śladu lądu. Ocean zawiera wodę. — Po omacku odszukał spektrogram. — Powietrze zawiera azot, trochę tlenu — ale mniej niż na Ziemi — i sporo dwutlenku węgla, który musi przenikać do wody. Oceany Wenus muszą musować jak coca cola! — Był to oklepany żart profesora. Ale teraz pochylił się do przodu. — I tam jest życie, na Wenus jest życie.

— Skąd pan to wie?

Wskazał zielone plamy widoczne na niektórych rysunkach.

— Nie widać żadnych szczegółów, ale w tych bezkresnych morzach muszą żyć zwierzęta, może ryby, ogromne wieloryby, które żywią się planktonem. Spodziewamy się, że występują tam jakieś ziemskie odpowiedniki, na skutek konwergencji — powiedział śmiało.

Oker przedstawił dalsze wyniki. Na nagiej tarczy Księżyca można

było dostrzec nietrwałą atmosferę, a w głębi kraterów i bruzd migotała woda; miejscowi astronomowie uważali, że i tam dostrzegają ślady życia.

Było też kilka niezwykłych obrazów Merkurego. Zamazane szkice przedstawiały kształty przypominające utkaną ze światła sieć ciśniętą w sam środek ciemnej strony planety, na samej granicy widoczności. Oker powiedział, że kiedyś nastąpiło częściowe zaćmienie Słońca i niektórzy jego studenci donieśli, że widzieli podobne „pajęczyny plazmy" czy „plazmoidy" w atmosferze Słońca. Może to także była jakaś forma życia, znacznie dziwniejsza, istniejąca w niezwykle gorących gazach, które uchodziły ze Słońca w kierunku tarczy jego najbliższego dziecka.

Pod pretekstem ataku kaszlu Bisesa cofnęła się i szepnęła do telefonu:

— Myślisz, że to możliwe?

— Życie w plazmie nie jest niemożliwe — szepnął telefon. — W atmosferze słonecznej istnieją struktury powiązane ze sobą strumieniem magnetycznym.

Bisesa powiedziała ponuro:

— Tak. W czasie burzy wszyscy staliśmy się ekspertami w sprawach Słońca. Jak myślisz, co się tutaj dzieje?

— Mir stanowi próbkę życia na Ziemi, pobraną w czasie, gdy pojawiła się inteligencja, ludzie. Planetologowie uważają, że kiedy Wenus była bardzo młoda, była gorąca i wilgotna. Więc może Wenus była podobnie „próbkowana". Sprawia to wrażenie zoptymalizowanej wersji układu słonecznego, każdego ze światów i być może plastry czasu w tych światach zostały wybrane w taki sposób, aby maksymalnie zwiększyć szanse istnienia życia. Zastanawiam się, co się dzieje w tym wszechświecie na Europie czy Tytanie, poza zasięgiem tutejszych teleskopów…

Teraz profesor Oker, wykazując instynkt showmana, przeszedł do punktu kulminacyjnego swojej prezentacji: Marsa.

Ale to nie był Mars, z obrazem którego Bisesa dorastała, a potem odwiedziła. Ten niebiesko-szary Mars nawet bardziej przypominał Ziemię niż pokryta wodą Wenus, ponieważ było na nim mnóstwo suchego lądu, liczne kontynenty i oceany, czapy lodowe na biegunach, a wszędzie snuły się strzępiaste chmury. Wydawał się jakiś swojski. Ten zielony pas to zapewne Valles Marineris; błękitna rysa na półkuli południowej mogła być ogromną niecką Helias. Większa część półkuli północnej wydawała się sucha.

Telefon szepnął:

— Coś jest nie tak, Biseso. Gdyby Mars, *nasz* Mars, był zalany wodą, cała półkula północna znalazłaby się pod powierzchnią morza.

— Vastitas Borealis.

— Tak. Coś dramatycznego musi się przytrafić *temu* Marsowi w przyszłości, coś, co zmieni kształt całej planety.

Rice słuchał Okera z rosnącym zniecierpliwieniem i w końcu mu przerwał.

— Daj spokój, Giffordzie. Przejdź do czegoś weselszego. Powiedz jej to, co powiedziałeś mnie, opowiedz jej o Marsjanach.

Oker wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Widać prostoliniowe ślady przecinające równiny Marsa. Te linie muszą być długie na setki mil.

— Kanały — natychmiast powiedział Abdi.

— A czymże innym mogłyby być? I kilku z nas uważa, że na lądzie zdołali dostrzec jakieś konstrukcje. Być może niesamowicie długie mury. Ale to jest kontrowersyjne, jest na granicy widzialności. Jednak co do *tego* — powiedział Oker — nie ma żadnych kontrowersji. Wyciągnął wykonaną w świetle spolaryzowanym fotografię, na której widać było jasne światła, jak gwiazdy, rozsiane na powierzchni Marsa. — Miasta — wyszeptał profesor Oker.

Emeline pochyliła się do przodu, dotykając zdjęcia.

— Mówiłam jej o tym — powiedziała.

Rice usiadł wygodnie.

— Więc to jest to, co mamy, pani Dutt — powiedział. — Pytanie brzmi, czy cokolwiek z tego może być dla pani użyteczne.

— Nie wiem — odparła szczerze. — Muszę porozmawiać z moimi przyjaciółmi.

— Chciałbym — powiedział Abdi do Okera — zacząć pracować z panem, profesorze. Mamy wiele do zrobienia.

— Tak — powiedział Oker uśmiechając się.

— Dobrze — powiedział Rice. — Ale kiedy do czegoś dojdziecie, macie mi powiedzieć, jasne? — Był to wyraźny rozkaz.

— No. Jak na jeden dzień dość tych historii z dreszczykiem. Pomówmy o czym innym. — Kiedy profesor chował swoje obrazy, Rice odchylił się w krześle, położył nogi na biurku — nosił kowbojskie buty z ostrogami — i wydmuchnął kłąb dymu. — Macie jeszcze ochotę na drinka albo na papierosa? Nie? Po pierwsze — powiedział do Abdiego — bardzo bym chciał się dowiedzieć, co się dzieje po drugiej stronie Atlantyku. Aleksander Wielki i jego „światowe imperium” — tacy faceci budzą moją sympatię.

Abdi zerknął na Bisesę i Emeline i wzruszył ramionami.

— Od czego mam zacząć?

— Opowiedz mi o jego wojskach. I jego marynarce. Czy ma już parowce? Ile jeszcze czasu upłynie, zanim jego flota pokona Atlantyk…

Uwagę Rice’a absorbował Abdi, więc Bisesa, korzystając z okazji, znów szepnęła do telefonu:

— Co o tym myślisz?

— Muszę przesłać te wszystkie dane na Marsa. To zabierze sporo czasu.

— Ale?

— Ale mam wrażenie, że właśnie dlatego zostałaś sprowadzona na Marsa.

46. Linia A

Czerwiec 2070 roku

— Od chwili gdy minęliśmy linię A, nie jesteśmy już sam na sam z bombą Q, mamo. Teraz eskortuje ją regularna flotylla, jak podczas święta marynarki. Wszyscy kopacze i mieszkańcy kopuł wylegli, aby patrzeć, jak mknie to monstrum. To dla nas dosyć dziwne. Po trwającej czternaście miesięcy samotnej podróży teraz mamy całe to towarzystwo. Ale oni nie wiedzą o naszej obecności. *Liberator* jest niewidzialny dla radaru, a jest tu jeszcze kilka innych statków, które pilnują, żeby ci gapie trzymali się z daleka, i koordynują ostatni atak na bombę Q…

— Bello — cicho powiedział Tales.

— Przerwij odbiór. — Głowa Edny i maleńki holograficzny obraz unoszący się nad biurkiem Belli znieruchomiały. — Czy to nie może poczekać, Talesie?

— Jest tutaj Cassie Duflot.

— O cholera. — Żona zmarłego bohatera kosmosu, strasznie upierdliwa osoba.

— Prosiłaś, żebym cię zawiadomił, jak tylko się zjawi.

— Tak.

Transmisja komunikatu Edny trwała nadal. Bella była zarówno matką, jak i politykiem, miała więc swoje prawa.

— Poproś, żeby poczekała.

— Oczywiście.

— I Talesie, kiedy będzie czekać, nie pozwól jej mailować, nagrywać, węszyć. Daj jej kawy i zajmij ją czymś.

— Rozumiem, Bello. Nawiasem mówiąc…

— Tak?

— Jest trochę więcej niż godzina do głównego uderzenia. Do Wielkiego Bum. Czy raczej do chwili, gdy otrzymamy raport.

Nie trzeba było jej o tym przypominać. Wielkie Bum, ostatnia nadzieja ludzkości, jeśli chodzi o unicestwienie bomby Q, i być może kres życia jej córki.

— OK. Dziękuję, Talesie, pamiętam. Wznów odbiór. Nieruchomy obraz Edny ponownie ożył.

Głos Edny, podróżując przez dwadzieścia cztery minuty przez układ słoneczny, brzmiał wyraźnie w gabinecie Belli na Mount Weather. A Tales płynnie odtwarzał obrazy odpowiadające jej słowom, które odbierały rozmaite statki i urządzenia monitorujące.

Nad biurkiem Belli unosiła się bomba Q, upiorna kropelka rozmytego światła gwiazd. W tym momencie przecinała pas asteroid — linię A floty — i Bella widziała dalekie skały, powiększone i rozjaśnione. W tym obrazie było coś budzącego grozę; minęło prawie sześć lat od chwili, gdy obiekt ten dostrzeżono po raz pierwszy, kiedy mijał księżyce Saturna, a teraz znajdował się wśród asteroid. Bomba Q była *tutaj,* w obszarze kontrolowanym przez człowieka. I zaledwie za sześć miesięcy — w okresie Bożego Narodzenia tego roku — miała dotrzeć do Ziemi.

Ale przejście bomby przez pas asteroid stanowiło jeszcze jedną szansę ataku.

Do tej poty Edna mówiła o próbach ataku. Tales pokazywał obrazy bomb jądrowych wybuchających przed nienaruszoną powierzchnią bomby i statki, załogowe i bezzałogowe, które używały rozmaitych rodzajów broni, wiązek cząstek i laserów, a nawet strumienia skał wyrzuconych z powierzchni asteroidy, z zainstalowaną wyrzutnią rakietową, rodzajem elektromagnetycznej katapulty.

— To jak strzelanie grochem do słonia — podsumowała Edna. — Choć nie całkiem. Za każdym razem, gdy ją trafiamy, traci pewną ilość masy i energii proporcjonalną do masy naszych pocisków. To jak ukąszenie pchły, ale efekt nie jest równy zeru. Lyla Neal opracowała pewien model, profesor Carel cię z nim zapozna. W istocie mamy nadzieję, że jednym z wyników Wielkiego Bum, zakładając, że całkowicie nie zepchniemy jej z kursu, będzie potwierdzenie modelu Lyli, co do rzędu wielkości danych, których dotychczas używaliśmy. Tak czy owak wkrótce się przekonamy.

— Jeśli chodzi o sam pocisk, wyrzutnia jest w porządku. Wszystkie systemy w normie, a odchylenie pocisku jest zgodne z przewidywaniami… — Swym spokojnym głosem Edna podsumowała stan broni.

Kiedy skończyła, uśmiechnęła się. Mimo swej czapki z daszkiem wyglądała niezwykle młodo.

— Ja sama czuję się doskonale. Po ponad rocznym pobycie na pokładzie tego statku potrzebuję trochę świeżego powietrza. A zamiast słownikowej definicji „świra wywołanego przebywaniem w zamkniętej przestrzeni” można napisać „John Metternes”. Ale przynajmniej jeszcze się nie pozabijaliśmy. A jeśli traktować tę wyprawę jako przedłużony test *Liberatora,* statek sprawuje się znakomicie. Myślę, że zastosowano tu naprawdę nowoczesną technologię, mamo. Nie żeby było to jakąś pociechą, jeśli nie uda nam się odchylić toru bomby Q, wtedy wszyscy znajdziemy się w poważnych kłopotach. Pozostali członkowie załogi także świetnie sobie radzą. Myślę, że to prawdziwy test gotowości bojowej całej floty. Kilku weteranów starej floty morskiej mówi, że czują się nie na miejscu na statkach, gdzie nawet

zupełni nowicjusze ukończyli Podyplomową Szkołę Marynarki Wojennej w Monterey. W tej chwili, w oczekiwaniu na rozpoczęcie dramatu, odbywa się coś w rodzaju otwartego nabożeństwa. Ci, którzy biorą w tym udział, modlą się do Madonny z Loreto, patronki lotników. Jeśli chodzi o Kosmitów, w zasadzie z nami współpracują. Ale jesteśmy gotowi do podjęcia wszelkich akcji, jakie okażą się konieczne, mamo. Sześćdziesiąt minut do rozpoczęcia przedstawienia. Połączę się z tobą potem, mamo. Kocham cię. Odbiór.

Belli starczyło czasu tylko na krótką odpowiedź, ponieważ miała ona dotrzeć do Edny zaledwie kilka minut przed uderzeniem.

— Też cię kocham — powiedziała. — I wiem, że jak zawsze spełnisz swój obowiązek. — Doskonale zdawała sobie sprawę, że mogą to być ostatnie słowa, z jakimi zwraca się do Edny, i że w nadchodzącej godzinie może stracić jedyną córkę, tak jak biedna Cassie Duflot, która czekała na zewnątrz, straciła męża. Ale nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby dodać. — Talesie, koniec transmisji.

Obraz holograficzny zniknął, pozostawiając puste miejsce na biurku, gdzie tylko chronometr odmierzał czas do Wielkiego Bum i jeszcze ważniejszej chwili, gdy informacje o jego wyniku dotrą do Ziemi.

Bella zebrała się w sobie.

— Wprowadź Cassie.

Z jakiegoś powodu Bella spodziewała się, że Cassie Duflot pojawi się w czerni, jak wtedy, gdy widziała ją poprzednio, podczas przekazywania przyznanego jej mężowi medalu Tooke'a, mimo upływu czasu wciąż w żałobnych szatach. Ale Cassie miała na sobie jasnoliliowy kostium, ładny i praktyczny. I jak uświadomiła sobie Bella, Cassie nie była pogrążona w smutku jak podczas tamtej wizyty. Łatwo można było jej nie docenić.

— Miło z pani strony, że zechciała mnie pani przyjąć — powiedziała Cassie oficjalnym tonem, ściskając dłoń Belli.

— Nie jestem pewna, czy miałam jakikolwiek wybór — powiedziała Bella. — Od czasu naszego ostatniego spotkania wzbudza pani sensację.

Cassie uśmiechnęła się chłodnym uśmiechem przypominającym grymas polityka.

— Nie miałam zamiaru wzbudzać sensacji czy też sprawiać komukolwiek jakiegoś kłopotu. Jestem po prostu wdową po kosmonaucie, która zaczęła zadawać pytania, jak i dlaczego zginął jej mąż.

— I nie otrzymała pani zadowalających odpowiedzi, prawda? Kawy?

Bella podeszła do ekspresu. Wykorzystała tę przerwę, aby ocenić

przeciwniczkę, tak bowiem przywykła myśleć o Cassie Duflot.

Cassie była młodą kobietą, młodą matką i wdową; zapewniało jej to natychmiast życzliwe nastawienie opinii publicznej. Ale Cassie pracowała także w dziale *public relations* Thule Inc., jednej z największych agencji ochrony środowiska, specjalizującej się w odbudowie zniszczonej przez burzę słoneczną kanadyjskiej Arktyki. Ponadto jej teściowa, Philippa, obracała się przed burzą we wpływowych kręgach Londynu i zachowała tam niewątpliwie sieć kontaktów. Cassie wiedziała, jak wykorzystywać media.

Cassie Duflot wyglądała na kobietę silną. Nie była neurotyczką, nie żywiła do ludzi urazy. Bella od razu zrozumiała, że Cassie nie szuka zemsty za śmierć swego męża czy zniszczenie jej własnego życia. Szukała czegoś głębszego, co przyniesie jej satysfakcję. Może prawdy. A to czyniło ją jeszcze bardziej godną podziwu.

Bella podała Cassie kawę i usiadła.

— Pytania bez odpowiedzi — podsunęła.

— Tak. Pani przewodnicząca Fingal, otóż…

— Proszę mi mówić, Bella.

Cassie powiedziała, że niewiele wie o pracy swego męża w ostatnich latach jego życia. Był inżynierem pracującym w przestrzeni kosmicznej. Cassie wiedziała, że uczestniczy w jakimś tajnym programie i gdzie się mniej więcej znajduje.

— I to wszystko — powiedziała. — Kiedy James żył, to było wszystko, co chciałam wiedzieć. Akceptowałam konieczność stosowania środków bezpieczeństwa. Byliśmy w stanie wojny, a podczas wojny trzeba trzymać język za zębami. Ale po jego śmierci, pogrzebie i wszystkich ceremoniałach — byłaś tak miła, że złożyłaś nam wtedy wizytę…

Bella skinęła głową.

— Zaczęłaś zadawać pytania.

— Nie pragnęłam wiele — powiedziała Cassie. Obracała obrączkę na palcu skrępowana. — Nie chciałam nikogo narazić na szwank, zwłaszcza przyjaciół Jamesa. Po prostu chciałam wiedzieć, jak umarł, tak aby pewnego dnia, gdy dzieci o niego zapytają, no wiesz.

— Sama jestem matką. A faktycznie babką. Tak, wiem. Wyglądało na to, że wojsko bardzo niewłaściwie podeszło do pytań, które były uzasadnione i zupełnie niewinne.

— Unikali odpowiedzi. Kolejni oficerowie łącznikowi i doradcy przestali odpowiadać na moje telefony. Odsunęli się nawet przyjaciele Jamesa. — Jak można się było spodziewać, uporczywe uniemożliwianie dostępu do informacji rozsierdziło Cassie. Naradziwszy się z matką, sama zaczęła drążyć.

I zadawać pytania Talesowi.

— Myślę, że ponieważ istnieje Tales, szepcząc do ucha

odpowiedzi każdemu na tej planecie, kto zadaje mu jakieś pytanie, ludzie wierzą, że nasze społeczeństwo jest wolne i otwarte. W rzeczywistości Tales jest takim samym narzędziem rządu jak każde inne urządzenie. Czyż nie tak?

Bella powiedziała:

— Mów dalej.

— Ale odkryłam, że istnieją sposoby uzyskania informacji, zarówno wnioskując z braku odpowiedzi sztucznej inteligencji, jak również na podstawie takich odpowiedzi. — Stała się kimś w rodzaju eksperta samouka w dziedzinie analizy zachowań sztucznej inteligencji, zmuszonej do kłamstw. Wyjęła z torby elastyczny ekran i rozłożyła go na biurku. Przedstawiał schemat sieci oznaczonej złotymi smugami, której fragmenty były otoczone grubymi czerwonymi liniami. — Nie można tak zwyczajnie wydobyć czegoś z pamięci sztucznej inteligencji, nie pozostawiając w niej widocznego ubytku. Wszystko jest ze sobą powiązane…

Bella przerwała jej.

— Wystarczy. Słuchaj, Cassie. Inni stawiali podobne pytania już przedtem. Ale ty, będąc tym, czym jesteś, stałaś się bardziej znana niż większość z nich.

— A gdzie są ci inni? Gdzieś pod kluczem?

W rzeczywistości część z nich znajdowała się w ośrodku zatrzymań, na terenie Morza Moskwa, po drugiej stronie Księżyca. Był to najbardziej mroczny sekret Belli.

Powiedziała:

— Nie wszyscy.

Cassie zabrała swój ekran i pochyliła się do przodu z wyrazem skupienia na twarzy.

— Nie zastraszysz mnie — powiedziała cicho.

— Jestem pewna, że nie. Ale Cassie, *wyprostuj się*. W tym gabinecie zainstalowano szereg urządzeń, które mają za zadanie reagować na każdą groźbę wobec mnie. Nie zawsze są na tyle bystre, by właściwie rozszyfrować mowę ciała.

Cassie zastosowała się do jej prośby, ale nie spuszczała oczu z Belli.

— Rozmieszczanie broni w przestrzeni kosmicznej — powiedziała. — Tym właśnie zajmował się mój mąż, prawda?

I opowiedziała o rozmaitych wskazówkach, śladach, fragmentarycznych tropach, które gromadzili wyznawcy teorii spiskowych i obserwatorzy nieba, w różnym stopniu ogarnięci paranoją. Widzieli smugę kondensacyjną statku poruszającego się z nieprawdopodobną prędkością. Oczywiście to był *Liberator*. Widzieli też inny statek, powolny, potężny, który poruszał się w pasie asteroid, pozostawiając za sobą podobną smugę. Była to najwyraźniej jednostka

przygotowująca się do Wielkiego Bum. Statki te miały osłonę, ale wykonane przez ludzi czapki niewidki nie są jak dotąd doskonałe.

Bella zapytała:

— Więc jak myślisz, co to wszystko oznacza?

— Że coś się zbliża — powiedziała Cassie. — Może kolejna burza słoneczna. I rządy przygotowują się do ucieczki wraz ze swymi rodzinami, wykorzystując następną generację superszybkich statków kosmicznych. To nie jest zdanie ogółu, ale takie jest powszechnie podejrzenie.

Bella była zaszokowana.

— Ludzie naprawdę tak nisko cenią swoje rządy, że wyobrażają sobie, iż bylibyśmy do tego zdolni?

— Nie wiedzą. Na tym polega problem. Bello. Żyjemy w cieniu burzy słonecznej. Może to racjonalne być paranoikiem. — Cassie zwinęła swój ekran. — Bello, pokonałam tę drogę nie ze względu na mego męża czy mnie samą, lecz ze względu na moje dzieci. Myślę, że coś ukrywasz, coś potwornego, co może dotyczyć ich przyszłości. A one mają prawo wiedzieć, co to jest. Ty zaś nie masz prawa trzymać tego przed nimi w tajemnicy.

Bella musiała się zdecydować, co ma zrobić z tą kobietą. No cóż, Cassie nie była przestępczynią. W istocie była osobą, którą Bella powinna chronić.

— Słuchaj, Cassie — powiedziała. — Zgromadziłaś kilka fragmentów układanki. Ale układasz z nich błędny obraz. Nie chcę, by spotkała cię jakaś krzywda, ale z drugiej strony nie chcę, żebyś ty sama wyrządziła komuś jakąś krzywdę. A rozpowszechniając taką teorię, możesz wyrządzić szkodę. Więc zamierzam dopuścić cię do tajemnicy. A kiedy się dowiesz tego, co ja wiem, sama będziesz mogła zdecydować, jak najlepiej wykorzystać te informacje. Umowa stoi?

Cassie zastanowiła się.

— Tak, Bello, to uczciwe postawienie sprawy. — I popatrzyła na Bellę podekscytowana. I wystraszona.

Bella spojrzała na zegar na ścianie. Jeszcze trzydzieści minut do otrzymania wiadomości, jaki jest wynik Wielkiego Bum. Dramat musi się rozgrywać w tej właśnie chwili, gdzieś tam wśród asteroid, w odległości dwudziestu ośmiu minut świetlnych.

Starała się o tym nie myśleć.

— Zacznijmy od *Liberatora* - powiedziała. — Dziedzictwa twego męża. Talesie, grafika, proszę.

Rozmawiały o *Liberatorze.* I o bombie Q, którą od miesięcy śledził.

Po czym Bella przedstawiła Cassie ostatnią opcję Boba Paxtona.

— To po prostu kolejna asteroida poruszająca się w tym pasie — powiedziała Bella. — W naszych katalogach ma swój numer i ten, kto umieścił na niej tę sondę pomiarową- metalową drobinę na pokrytej

pyłem węglowym powierzchni asteroidy — prawdopodobnie nadał jej nazwę. Nazywamy ją po prostu kulą armatnią. A tutaj jest statek, którego smugę kondensacyjną widzieli ci wyznawcy teorii spiskowych.

— Nie chciałabym, żebyś ich tak nazywała — mruknęła Cassie. Pochyliła się do przodu, żeby lepiej widzieć. — Wygląda jak jeszcze jedna asteroida — powiedziała. — Skała otoczona srebrzystą siecią.

Tym właśnie przede wszystkim była: małą asteroidą, znacznie mniejszą niż owa kula armatnia. Skała była otoczona ciasną siecią nanorurek, a do jej powierzchni przytwierdzono silnik napędzany antymaterią.

— Zastosowaliśmy jeden z prototypowych silników wykonany na Trojanach. Dość niezawodny.

Cassie zaczynała rozumieć.

— Używacie tego do kierowania większą asteroida, tą kulą armatnią.

— Tak, za pomocą siły grawitacji. Okazuje się, że zmiana toru asteroidy to zaskakująco trudne zadanie…

Problem zmiany toru asteroid był badany co najmniej od stu lat, odkąd zdano sobie sprawę, że trajektorie niektórych asteroid przecinają tor Ziemi i w możliwej do przewidzenia przyszłości mogą się zderzyć z planetą.

Niebezpieczna skała była na ogół zbyt duża, aby można ją było zniszczyć. Oczywistym sposobem było zepchnięcie jej na bok, być może przy użyciu energii jądrowej. Albo po zainstalowaniu na niej odpowiedniego napędu, który zepchnie ją z toru. Albo wreszcie po zaopatrzeniu jej w żagiel słoneczny czy nawet posrebrzeniu jej powierzchni, tak aby popychało ją ciśnienie światła. Takie sposoby zapewniały jedynie niewielkie przyspieszenie, ale gdyby zastosować je odpowiednio wcześnie, mogłoby to wystarczyć, by uniemożliwić niepożądane zderzenie.

Kiedy pas asteroid został stopniowo skolonizowany, wypróbowano wszystkie wymienione metody i wszystkie w różnym stopniu zawiodły. Kłopot polegał na tym, że wiele spośród dużych asteroid nie było ciałami stałymi, lecz rojem mniejszych głazów, tylko luźno związanych siłą ciężkości, a na dodatek głazy te na ogół były obdarzone ruchem obrotowym. Próba zepchnięcia ich z toru powodowała, że rozpadały się na mnóstwo mniejszych fragmentów, które były równie niebezpieczne, ale niemożliwe do opanowania.

W ten sposób powstał pomysł „ciągnika grawitacyjnego”. Trzeba było umieścić małą asteroidę koło dużej. Po delikatnym popchnięciu tej małej, jej pole grawitacyjne ciągnęło większego towarzysza.

— Rozumiesz zasadę — powiedziała Bella. — Trzeba popychać tę małą asteroidę na tyle lekko, by nie opuściła pola grawitacyjnego dużej, tak aby pozostawała grawitacyjnie związana z towarzyszem. W

ten sposób można odciągnąć dużą asteroidę, bez względu na to, jak bardzo jest rozczłonkowana. Jedyną trudność stanowi takie ukierunkowanie strumienia gazów wylotowych, by nie uderzały w powierzchnię celu.

Lekko zniecierpliwiona Cassie kiwnęła głową.

— Chwytam. Odchylacie tor tej asteroidy, tej kuli armatniej…

— *Tak aby zderzyła się z bombą Q.* Bomba i asteroida poruszają się po całkowicie różnych trajektoriach, zderzenie będzie więc gwałtowne i wyzwoli się duża ilość energii.

— Kiedy to się stanie?

— W istocie — Tales powiedział cicho — to już się stało, prawie pół godziny temu. Za dwie minuty otrzymasz raport, Bello.

Obraz obu asteroid zniknął, zastąpił go nieruchomy obraz bomby Q, tej niesamowitej kuli widocznej jedynie dzięki odbitemu od niej światłu gwiazd unoszący się nad biurkiem Belli. A obok niej widać było cienki jak zapałka statek kosmiczny.

Cassie zrozumiała wszystko. Minęło kilka sekund, zanim doszła do siebie. Z szeroko rozszerzonymi oczami powiedziała:

— To się dzieje *teraz.* To zderzenie. I twoja córka jest tam, w tym statku bojowym, i obserwuje to wszystko. Sprowadziłaś mnie tutaj w takiej chwili?

Bella powiedziała ściśniętym głosem:

— Musiałam czymś się zająć. A poza tym myślę, że chciałam zobaczyć twoją reakcję.

— Trzydzieści sekund, Bello.

— Dziękuję, Talesie. Widzisz, Cassie…

— Nie. Nie mów nic więcej. — Pod wpływem impulsu Cassie pochyliła się nad stołem i chwyciła dłoń Belli. Bella kurczowo ją złapała.

Na obrazie bomba i jej eskorta tkwiły nieruchomo, niczym jakiś ornament.

Z lewej strony coś nadleciało nad obraz unoszący się nad biurkiem. Niewyraźna plama, szaro-biała smuga, poruszająca się zbyt szybko, aby można było dostrzec jakiekolwiek szczegóły. Zderzeniu towarzyszył błysk, który wypełnił całe pomieszczenie światłem.

Potem obrazy zamigotały i znikły.

Na biurku Belli pojawiły się gadające głowy, przekazując raporty dotyczące wszystkich aspektów zderzenia. Rozdzwoniły się telefony z Ziemi i kolonii Kosmitów. Ludzie pytali, co się dzieje w pasie asteroid. Eksplozja była tak jasna, że można ją było zobaczyć gołym okiem na nocnym niebie Ziemi, jak również w znacznej części układu słonecznego.

Bella palcem wskazała dwie głowy: Edny, a potem Boba Paxtona.

— …Powtarzam, mamo, że nic mi nie jest, statkowi nic się nie

stało, trzymaliśmy się z daleka, aby uniknąć ulewy szczątków. Co za widok, te wszystkie rozżarzone do białości głazy lecące po liniach prostych! Mamy dużo danych. Wygląda na to, że przewidywania Lyli dotyczące prawdopodobnej utraty masy i energii bomby Q potwierdziły się. Ale…

Bella przeniosła się na Boba Paxtona, jego twarz wyrosła przed nią, rumiana i gniewna.

— Pani przewodnicząca, nawet nie dotknęliśmy tego cholerstwa. Och, pozbawiliśmy ją odrobiny masy i energii, bo nawet bomba Q nie może połknąć asteroidy i nie beknąć, ale to nie wystarczy, żeby miało to jakiekolwiek znaczenie, kiedy bomba dotrze do Ziemi. A dotrze. Jej tor w ogóle nie uległ odchyleniu, ani o włos. Ona przeczy wszystkiemu, co wiemy na temat bezwładności i pędu. OK, zbliża się. Teraz mamy dane i będziemy mogli przeprowadzić ekstrapolację, żeby określić, co się stanie z Ziemią, kiedy bomba Q w nią uderzy, opierając się na tym, jak ciskane w nią głazy uszczuplały jej zasoby. Bomba nie jest nieskończenie wielka. Ale jest *wielka.* Dostatecznie wielka, aby zniszczyć Marsa, jak sądzę. Wprawdzie nie rozwali Ziemi, ale wywoła taki wstrząs, że planeta z trudem go wytrzyma. Po jej uderzeniu pozostanie krater o rozmiarach promienia Ziemi. — Przeczytał: — „Będzie to najbardziej niszczycielskie zdarzenie od owego zderzenia, które doprowadziło do powstania Księżyca”… — Pobiegł spojrzeniem w dół, wpatrując się w liczby poza zasięgiem kamery. — To chyba wszystko. Zrobiliśmy, co się dało.

Bella kazała Talesowi ściszyć jego głos.

— Tak to wygląda, Cassie. Teraz wiesz już wszystko. I *widziałaś* wszystko.

Cassie zastanowiła się.

— Cieszę się, że twojej córce nic się nie stało.

— Dziękuję. Ale atak nie powiódł się. — Rozłożyła ręce. — Jak myślisz, co powinnam teraz uczynić?

Cassie znów się zastanowiła.

— Wszyscy widzieli to zderzenie, na Ziemi i poza nią. Wiedzą, że *coś* się wydarzyło. Pytanie, co im powiesz.

— Prawdę? Że świat się skończy w dniu Bożego Narodzenia? — Roześmiała się, sama nie bardzo wiedząc dlaczego. — Bob Paxton powiedziałby, że będzie panika.

— Ludzie już przedtem stawali w obliczu trudnych sytuacji — powiedziała Cassie. — I na ogół przetrwali.

— Zbiorowa histeria to powszechnie znane zjawisko, Cassie. Doniesienia o niej pojawiają się już w średniowieczu. Występuje na przykład w wyniku utraty zaufania do rządu. Ważną częścią mojego działania jest, aby do niej nie dopuścić. Powiedziałaś, że rządy, dla których pracuję, utraciły zaufanie.

— OK. Znasz swoje obowiązki. Ale ludzie będą musieli poczynić przygotowania. Rodzina i tak dalej. Jeżeli się dowiedzą.

Oczywiście to była prawda. Patrząc na twarz Cassie, kamienną i pełną determinacji, twarz kobiety, której dzieci także znalazły się w niebezpieczeństwie, Bella pomyślała, że w nadchodzących dniach i tygodniach może wykorzystać tę kobietę u swego boku. Jako głos rozsądku, pośród przepełnionych gniewem ludzi.

A ktoś właśnie jej wymyślał. Spojrzała w dół i zobaczyła rozwścieczoną twarz Boba Paxtona, który darł się, żeby zwrócić jej uwagę. Niechętnie zwiększyła głośność.

— Mamy jeszcze jedną opcję, pani przewodnicząca. Może powinniśmy ją wykorzystać, zanim zaczniemy rozdawać pigułki na samobójstwo.

— Bisesa Dutt.

— Kluczyliśmy wokół tych popaprańców na Marsie. Teraz musimy ściągnąć stamtąd tę kobietę i umieścić ją w bezpiecznym miejscu. Najwyraźniej od tego zależy przyszłość Ziemi. Bo niech mi pani wierzy, nie mamy już nic innego. — Przerwał, ciężko dysząc.

Cassie mruknęła:

— Nie jestem pewna, o czym on mówi. Ale jeśli jest jeszcze jakaś opcja… — Wzięła głęboki oddech. — Nie mogę uwierzyć, że to mówię. Myślę, że to nie jest coś takiego jak burza słoneczna, kiedy wszyscy musieliśmy wiedzieć, co się zbliża, żeby zbudować tarczę. Tym razem nic nie możemy zrobić. Można ludziom oszczędzić zmartwień, dopóki ta ostatnia opcja istnieje. A potem, kiedy naprawdę nie będzie już żadnej nadziei…

— Więc im skłamiemy.

— Powiemy, że był to test nowej broni i że nie powiódł się. Zresztą jest to bliskie prawdy.

Bella wskazała obraz Edny.

— Talesie, chcę wysłać wiadomość do *Liberatora.* Supertajną.

— Tak, Bello.

— Słuchaj Cassie, czy jesteś wolna w ciągu najbliższych kilku godzin? Chciałabym jeszcze z tobą porozmawiać.

Cassie była zaskoczona. Ale powiedziała:

— Oczywiście.

— Kanał jest otwarty. Możesz mówić, Bello.

— Edna, to ja. Posłuchaj, kochanie, mam dla ciebie nowe zadanie. Chcę, żebyś się udała na Marsa…

Mówiąc zerknęła na kalendarz. Zostało jeszcze tylko kilka miesięcy. Od tej chwili, jak przeczuwała, cokolwiek się wydarzy, napięcie będzie rosło i wypadki będą biegły coraz szybciej. Miała jedynie nadzieję, że będzie w stanie zachować trzeźwy osąd sytuacji.

CZĘŚĆ CZWARTA
Decyzje

47. Opcje

Lipiec 2070 roku

Jurij wbiegł do środka i rozłożył elastyczny ekran na stole.

— W końcu udało mi się ściągnąć to z Mira…

Ekran zaczęły wypełniać obrazy, zamglone fotografie i niebiesko-zielone ołówkowe szkice.

Puszka nr Dwa w Stacji Wellsa, czyli „dom", była wyposażona w jeden duży, nadmuchiwany stół, używany podczas posiłków i konferencji, który służył także jako powierzchnia robocza. Stół miał budowę modułową, można go było rozdzielić na dwie lub trzy części. Myra doszła do wniosku, że to jeszcze jeden przejaw psychologii odosobnienia. Członkowie załogi nie musieli spożywać posiłków wspólnie, jeśli nie mieli na to ochoty.

Teraz części stołu zestawiono razem. Przez wiele dni był wykorzystywany jako miejsce niekończącej się konferencji. Jurij próbował coś wywnioskować z obrazów alternatywnego Marsa, które telefon Bisesy nieznośnie powoli przesyłał przez wąskopasmowe łącze Oka. Ellie ślęczała nad analizą klatki grawitacyjnej Oka. Jedynie Hanse Critchfield nie zajmował się żadnym aspektem zagrożenia związanego z bombą Q, twierdząc, że jest bardziej przydatny, pracując przy swoich ukochanych maszynach.

A Myra, Aleksiej i Grendel Speth, mając stosunkowo niewiele do zaofiarowania, siedzieli ponuro przy porysowanym stole, popijając chłodną niskociśnieniową kawę.

Myra pomyślała, że w tym marsjańskim okrąglaku widać ślady zaniedbania, w porównaniu z drogim, rzec można wystawnym, jasno oświetlonym otoczeniem Cyklopa. Mimo to, jak nie przestawała ich zapewniać Atena, znajdowali się w centrum reakcji na zagrożenie o kosmicznych rozmiarach. Detonacja w pasie asteroid była widoczna we wszystkich zasiedlonych przez człowieka światach. Większość mieszkańców Ziemi, wciąż nie mogąc się otrząsnąć z szoku po burzy słonecznej, zgromadziła się w podobnych do bunkrów domach i czekała.

Ale czas się kończył. A na Marsie czuło się rosnącą panikę. Statek wojenny *Liberator* był teraz tylko o kilka dni drogi i wszyscy wiedzieli, dlaczego się zbliża.

— Dobrze — powiedział Jurij. — Oto, co mamy. Jak rozumiem, zgadzamy się co do tego, że wszechświat Mira składa się z szeregu plastrów czasu. Prezentacja form życia w układzie słonecznym w jego

apogeum w każdym ze światów.

— Wszystkie dzieci Słońca w najlepszej formie — powiedziała Grendel. — Ale to nie może tak trwać. Chodzi mi o to, że zarówno Wenus, jak i Mars musiały osiągnąć szczyt lokalnej różnorodności biologicznej we wczesnych okresach istnienia układu słonecznego, kiedy Słońce było znacznie zimniejsze. Z tego co wiemy, Słońce Mira jest Słońcem z trzynastego wieku. *Tamto* Słońce jest zbyt gorące dla tych światów. Nie przetrwają długo.

— Ale — warknął Jurij — rzecz w tym, że są to światy układu słonecznego, jakimi były w odległej przeszłości. Chodzi o to, jak ewoluowały z przeszłości do teraźniejszości, co takiego się wydarzyło, co uczyniło je takimi, jakie są teraz. Popatrzcie na Wenus. Wydaje nam się, że rozumiemy ten przypadek — powiedział. — Tak? Olbrzymia cieplarnia, parujące oceany, woda rozkładana przez światło słoneczne i utracona na zawsze… Kiedyś Wenus była wilgotna, błękitna i pogodna. Znajdując się zbyt blisko Słońca, uległa przegrzaniu, a oceany wyparowały. Po ucieczce wody w przestrzeń kosmiczną na Wenus utworzyła się nowa, gęsta atmosfera z dwutlenku węgla, uwolnionego z wyschniętego dna morskiego, a efekt cieplarniany potęgował się, aż ziemia, rozgrzana do czerwoności, zaczęła świecić. Prawdziwy horror, ale rozumiemy to. Nasze modele sprawdzają się dla Wenus — powiedział Jurij. — Tak? Ale przejdźmy teraz do Marsa. Mars był niegdyś podobny do Ziemi, ale jako zbyt mały i zbyt odległy od Słońca, wysechł i ostygł. Tyle rozumiemy. Ale spójrzcie na to.

Pokazał profile starego Marsa, na którym się znajdowali i młodego Marsa z wszechświata Mira. Półkula północna starego Marsa była wyraźnie obniżona w stosunku do regularnego łuku jego młodszego wcielenia.

— Coś się tu wydarzyło — powiedział Jurij z rosnącym gniewem. — Coś niezwykle gwałtownego.

Myra zrozumiała. To musiało być jak młot wbijający się w czaszkę, potężne uderzenie skierowane tutaj, w biegun północny. Było na tyle silne, że utworzyło Vastitas Borealis, jakby krater obejmujący całą półkulę północną.

Wszyscy natychmiast zrozumieli implikacje tego, co zobaczyli.

— Bomba Q — powiedział Aleksiej. — Odpowiednio dobrana do masy Marsa. I skierowana tutaj, prosto w biegun północny. Taki byłby rezultat. Ale *dlaczego?* Dlaczego uderzenie skierowano w Marsa, a nie w Wenus?

— Ponieważ Wenus była niegroźna — warknął Jurij. — Wenus to był wodny świat. Nawet gdyby powstały tam istoty obdarzone inteligencją, byłaby to jedynie jakaś kultura istniejąca na dnie morza, wykorzystująca metale z otworów termicznych w skorupie ziemskiej.

Istoty takie po prostu nie mogłyby utworzyć żadnych struktur, które byłyby widoczne z oddali. Dróg czy miast.

— Ale Marsjanie tak — powiedziała Myra.

I w nagrodę nastąpiło potężne, niszczące uderzenie.

Grendel była coraz bardziej podekscytowana.

— Myślę, że widać tutaj elementy pewnej strategii. Celem Pierworodnych wydaje się być zahamowanie rozwoju zaawansowanych technologicznie cywilizacji. Jednak działają *oszczędnie*. Jeśli jakiś układ gwiezdny stanowi dla nich powód zaniepokojenia, najpierw zsyłają nań burzę słoneczną. Działa jak prymitywna lampa lutownicza, ale jest to tani sposób wyjałowienia całego układu. Założę się, że jeśli zaczniemy kopać dostatecznie głęboko, znajdziemy ślady co najmniej jednej burzy słonecznej z odległej przeszłości. Ale jeśli burza słoneczna nie przyniesie wyniku, jeśli światy nadal stanowią problem, wykonują uderzenie o charakterze chirurgicznym. Tak jak to uczynili w wypadku Marsa. I tak jak teraz mają to uczynić z Ziemią.

— Musicie przyznać, że są staranni — powiedział Jurij.

Aleksiej powiedział:

— Wiemy od Ateny i tego Świadka, że nie jesteśmy jedyni. Operacje Pierworodnych obejmują znaczne obszary czasu i przestrzeni. „Przed nim ogień pożerający, a za nim płomień palący, ziemia ta jest przed nim jak ogród Eden, lecz po nim będzie pustym stepem i przed nim nikt nie ujdzie”. Księga Joela.

Myra uniosła brwi.

— Nie bądźmy hipokrytami. Może fauna Australii i Ameryki czuła to samo w stosunku do nas.

— Oni są jak bogowie — powiedział Aleksiej, wciąż w apokaliptycznym nastroju. — Może powinniśmy im oddawać cześć.

— Lepiej nie — sucho powiedział Jurij. — Marsjanie tego nie robili.

— To prawda — odezwała się Ellie. Wpadła do pokoju z elastycznym ekranem. — Marsjanie ruszyli do walki. Może i my możemy. — Pośród panującego w pokoju pełnego lęku przygnębienia Ellie szczerzyła zęby w uśmiechu.

— Pamiętacie to?

Rozłożyła swój ekran tak, aby wszyscy mogli zobaczyć znajomy łańcuch symboli: trójkąta, czworokąta, pięciokąta i sześciokąta.

— Moje programy analizujące spekulowały, co to może znaczyć. I doszły do zgodnego przekonania — także co do czasu — i myślę, że to się trzyma kupy.

— Mów — warknął Jurij.

— Popatrzcie na te figury. Co widzicie?

Aleksiej powiedział:

— Trójkąt, czworokąt, pięciokąt, sześciokąt. I co z tego?

— Ile boków?

Jurij powiedział:

— Trzy, cztery, pięć, sześć.

— A gdybyś kontynuował ten ciąg? Co dalej?

— Siedem boków. Siedmiokąt. Osiem. Ośmiokąt. — Był w rozterce i spojrzał na Myrę. — Dziewięciokąt?

— Brzmi prawdopodobnie — powiedziała Myra.

— A potem? — nie ustępowała Ellie.

Aleksiej powiedział:

— Dziesięć boków, jedenaście, dwanaście…

— A jeśli będziesz wciąż szedł dalej? Gdzie kończy się ten ciąg?

— W nieskończoności — powiedziała Myra. — Wielokąt o nieskończonej liczbie boków.

— Czyli?

— Koło…

Jurij spytał:

— Co ty właściwie tam masz, Ellie?

— Marsjanom nie udało się zapobiec uderzeniu bomby Q, czy też tego, co Pierworodni użyli przeciw nim. Ale myślę, że *to* jest symboliczny zapis tego, co osiągnęli. Zaczynając od tego, co mogli zbudować — rozumiecie, trójkąt, kwadrat, proste figury geometryczne — jakoś udało im się dokonać ekstrapolacji. Wykorzystując swoje skończone środki, schwytali nieskończoność. I uwięzili Oko, które musiało się znajdować bezpośrednio nad punktem zerowym, aby być świadkiem zniszczenia planety. — Zerknęła na Aleksieja. — Rzucili wyzwanie bogom, Aleksiej. Grendel chrząknęła.

— Jakie to pocieszające — powiedziała kwaśno. — Ale mimo to Marsjanie zostali zmieceni z powierzchni ziemi. Jaka szkoda, że nie ma ich tutaj, abyśmy mogli poprosić ich o pomoc.

— Ależ oni istnieją — powiedziała Ellie.

Wszyscy wlepili w nią wzrok.

Myśli Myry galopowały.

— Ona ma rację. A gdyby istniał sposób wysłania wiadomości nie do naszego Marsa, *ale do Marsa z wszechświata Mira!* Och, tam nie ma statków kosmicznych.

— Ani radia — wtrącił Aleksiej.

Myra nie poddawała się.

— Ale mimo to…

Jurij warknął:

— Co ty, u diabła, mówisz?

Ellie powiedziała szybko:

— Na początek moglibyśmy po prostu wysłać te symbole. Żeby pokazać, że rozumiemy. Moglibyśmy w ten sposób sprowokować

Marsjan z wszechświata Mira do działania. Chodzi mi o to, że przynajmniej niektórzy z nich mogą pochodzić z plastra czasu, w którym zdawali sobie sprawę z istnienia Pierworodnych.

Grendel pokręciła głową.

— Mówisz poważnie? Zgodnie z twoim planem mamy wysłać wiadomość do równoległego wszechświata, w nadziei że jest tam wyrwana z czasu marsjańska cywilizacja, coś jak *space opera* w układzie słonecznym. Czy dobrze cię zrozumiałam?

— Myślę, że teraz nie czas na zdrowy rozsądek, Grendel — powiedziała Myra. — Żadne konwencjonalne środki, jakich użyła flota, nie przyniosły rezultatu. Potrzebujemy więc środków niekonwencjonalnych. Zaprojektowanie tarczy przeciw burzy słonecznej wymagało mnóstwa niestandardowych pomysłów, a jej zbudowanie niesłychanego wysiłku nas wszystkich. Może znowu musimy uczynić to samo.

Posypał się grad pytań i rozpętała się dyskusja. Czy niepewna łączność wykorzystująca marsjańskie Oko do nawiązania kontaktu z telefonem Bisesy jest na tyle niezawodna, aby doprowadzić rzecz do skutku? A poza tym w jaki sposób dziewiętnastowieczni Amerykanie ze skutego lodem Chicago mają się komunikować z Marsjanami? Za pomocą telepatii? Wiele pytań, niewiele odpowiedzi.

— OK — powoli powiedział Jurij. — Najważniejsze pytanie brzmi: co się stanie, jeśli Marsjanie rzeczywiście zareagują? Co mogą zrobić?

— Odeprzeć atak bomby Q za pomocą swych trójnogich machin wojennych i palących promieni — powiedziała Grendel szyderczo.

— Mówię poważnie. Musimy się nad tym zastanowić — powiedział Jurij. — Opracujmy możliwe scenariusze. Ellie, może ty mogłabyś się tym zająć. Gry wojenne w odpowiedzi na atak bomby Q.

Ellie kiwnęła głową.

Aleksiej powiedział:

— Nawet jeśli Bisesa znajdzie sposób, by to zrobić, może powinniśmy mieć prawo weta, próbując dojść, jak mogą zareagować Marsjanie. I powinniśmy to przekazać Atenie. Decyzja nie powinna należeć jedynie do nas.

— OK — powiedział Jurij. — W międzyczasie możemy się do tego zabrać. Dobra? Chyba że ktoś ma lepszy pomysł. — Jego złość zastąpiło coś w rodzaju euforii. — Hej. Skąd te ponure twarze? Słuchajcie, jesteśmy tu jak banda pogrążonych w śnie zimowym niedźwiedzi polarnych. Ale jeśli to się powiedzie, będziemy sławni. Namalują obrazy przedstawiające tę scenę. Jak podpisanie Deklaracji Niepodległości.

Zawtórował mu Aleksiej:

— Jeśli to prawda, chyba muszę się ogolić.

— Dość tych bredni — powiedziała Grendel. — Bierzmy się do roboty.

Rozeszli się do swych zajęć.

48. Sygnał na Marsa

Bisesa, Abdi i Emeline ponownie zostali wezwani do biura burmistrza w ratuszu.

Rice czekał na nich. Nogi miał oparte na biurku i palił papierosa. Profesor Gifford Oker, uniwersytecki astronom, był tam także.

Rice gestem wskazał, by usiedli.

— Prosiliście mnie o pomoc — warknął. Uniósł w górę list Bisesy z nagryzmolonymi marsjańskimi symbolami, trójkątem, czworokątem, pięciokątem i sześciokątem. — Mówicie, że musimy wysłać tę oto wiadomość Marsjanom.

Bisesa powiedziała:

— Wiem, że to brzmi jak wariactwo, ale…

— Och, miewam do czynienia ze znacznie bardziej wariackimi pomysłami. Naturalnie zwróciłem się do Gifforda o radę. Dostałem jakiś stek bzdur o „falach elektromagnetycznych Hertza" i „automobilach kosmicznych" Verne'a. Ludzie, statki kosmiczne! A my nawet nie jesteśmy w stanie zbudować linii kolejowej stąd do wybrzeża.

Oker żałośnie odwrócił wzrok, ale nic nie powiedział; najwyraźniej sprowadzono go tutaj wyłącznie po to, by go upokorzyć.

— Więc — podjął Rice — przekazałem tę prośbę pewnemu człowiekowi w Chicago, który może mieć pojęcie, jak to zrobić. Do diabła, on ma teraz siedemdziesiąt dziewięć lat, a po Znieruchomieniu oddał się do dyspozycji Komitetu Kryzysowego i Bóg wie, co jeszcze. To nie jest nawet jego miasto! Ale powiedział, że pomoże. Obiecał, że zadzwoni do mnie o trzeciej. — Zerknął na zegarek kieszonkowy. — Jest już prawie trzecia.

Musieli czekać w milczeniu całą minutę. Wtedy zadzwonił ścienny telefon.

Rice przywołał Bisesę skinieniem i oboje podeszli do telefonu. Rice podniósł słuchawkę i trzymał ją tak, aby Bisesa mogła zrozumieć, co mówią. Docierały do niej jedynie strzępy monologu płynącego z telefonu, wypowiadanego z koturnowym, bostońskim akcentem. Ale sens był jasny.

— …sygnałów jest niemożliwe. Pojedynczy *znak,* tak duży, aby go było widać przez bezmiar przestrzeni… Biała powierzchnia czapy lodowej to nasze tło… Wykopać rowy długie na sto mil, wydrapać te figury w lodzie, tak duże jak się da… Wypełnić je tarcicą i olejem, jeśli go macie. Podpalić… Blask ognia w nocy, dym w ciągu dnia… Cholerni Marsjanie musieliby być ślepi, żeby ich nie dostrzec…

Rice skinął głową w stronę Bisesy.

— Rozumie pani, w czym rzecz?

— Zakładając, że zapewni pan siłę roboczą, by to zrealizować…

— Do licha, kilka mamutów zaprzężonych do pługa zrobi to w miesiąc.

— Mamuty pracujące nad przygotowaniem na północnoamerykańskiej czapie lodowej sygnału, który ma być wysłany na Marsa. — Bisesa pokręciła głową. — W każdej innej sytuacji wydawałoby się to zupełnie niesłychane. Jeszcze jedno, panie burmistrzu. Proszę nie zapalać ognia, dopóki nie potwierdzę, że nadszedł czas. Pomówię z moimi ludźmi, muszę się upewnić… To, co tutaj robimy, ma bardzo drastyczny charakter.

Powoli skinął głową.

— W porządku. Coś jeszcze?

— Nie. Sygnały wydrapane w lodzie. Oczywiście tak trzeba to zrobić. Powinnam była sama to wymyślić.

— Ale pani tego nie zrobiła — powiedział Rice, szczerząc zęby w uśmiechu. — To on to wykombinował. Dlatego właśnie jest tym, kim jest. Racja? Dziękuję — powiedział do telefonu.

— Jeszcze raz uratował pan sytuację, sir. Jest pan fantastyczny. Bardzo panu dziękuję, panie Edison. — I odwiesił słuchawkę.

— Czarodziej z Menlo Park! Co za facet!

49. Orbita synchroniczna

Sierpień 2070 roku

Liberator wszedł na orbitę synchroniczną wokół Marsa. Libby tak kierowała statkiem, że przez okno pod stopami Edna zobaczyła planetę.

Edna była na orbicie synchronicznej nad Ziemią — zwanej orbitą geostacjonarną — już przedtem. Obecne doświadczenie było podobne. Oglądany z orbity synchronicznej Mars miał mniej więcej takie same rozmiary, jak Ziemia oglądana z orbity geostacjonarnej; planeta wielkości piłki baseballowej unosiła się nisko pod jej stopami. Ale światło słoneczne było tutaj słabe i Mars był ciemniejszy od Ziemi. Wyglądał jak pomarszczony owoc koloru ochry. W tym momencie był w pierwszej kwadrze i Edna dostrzegła jaskrawy odblask kopuł Portu Lowella, prawie na linii terminatora, dokładnie pod *Liberatorem.*

— Nie mogę uwierzyć, że tu jesteśmy — powiedziała.

John Metternes mruknął:

— A ja nie mogę uwierzyć, *dlaczego* tu jesteśmy.

Ale tam byli. Nikt w żadnym ze światów zamieszkanych przez człowieka nie mógł nie wiedzieć o obecności *Liberatora,* który pędził przez układ słoneczny w otaczającym go deszczu egzotycznych cząstek antymaterii, teraz pozbawiony osłony. Edna zastanawiała się, jak wielu mieszkańców Marsa spogląda teraz w niebo i wpatruje się w jasną gwiazdę w zenicie. W istocie miano nadzieję, że sama obecność *Liberatora* zmusi Marsjan do poddania się żądaniom Ziemi.

Rozległo się dzwonienie, oznajmiając nadchodzący sygnał.

John spojrzał na monitory.

— Zapora włączona.

Byłoby prawdziwą ironią, gdyby po przebyciu układu słonecznego statek został unieruchomiony przez wirusa z komunikatu powitalnego.

Edna powiedziała ostrożnie:

— Przepuść.

Przed oczyma Edny pojawił się holograficzny obraz głowy młodej kobiety, uśmiechniętej, ujmującej, o trochę nieobecnym spojrzeniu. Wyglądała dziwnie znajomo.

— *Liberator,* tu Lowell. Dzień dobry.

— Lowell, tu *Liberator* — odparła Edna. — Dzień dobry, obserwujemy wasz świt. Piękny widok. Numer rejestracyjny naszego statku SS-1-147…

— Wiemy, kim jesteście. W końcu widzieliśmy wasz przylot.

— Znam twoją twarz — odezwał się John Metternes. — Umfraville. To znaczy, Paula. Córka bohaterki.

— Żyję tutaj w spokoju, nie wadząc nikomu — powiedziała dziewczyna niewzruszona.

Edna kiwnęła głową.

— Wszyscy mamy nadzieję, że dziś także będzie spokojnie, Paulo.

— My także. Ale to raczej zależy od ciebie, prawda?

— Tak? — Edna pochyliła się do przodu, starając się wyglądać bardziej władczo niżeli się czuła. — Paulo, ty i ci, w których imieniu mówisz, wiedzą, dlaczego przybyliśmy.

— Bisesy Dutt nie ma w Porcie Lowella.

— Nie stanie się jej żadna krzywda. Po prostu mamy zamiar zabrać ją z powrotem na Ziemię, gdzie będzie mogła złożyć sprawozdanie. Najlepiej będzie, jeżeli będziemy działać wspólnie. Także dla Bisesy.

— Bisesy Dutt nie ma w Porcie Lowella.

Edna powiedziała z ociąganiem:

— Upoważniono mnie do użycia siły. Faktycznie otrzymałam rozkaz, aby rozwiązać ten problem. Pomyśl, co to oznacza, Paulo. Będzie to pierwszy akt wojenny między legalnymi władzami na Ziemi a społecznością Kosmitów. To nie byłby dobry precedens, prawda?

John dodał:

— I panno Umfraville, proszę zdać sobie sprawę, że Port Lowella to nie forteca.

— Musicie postąpić zgodnie z waszym sumieniem. Wyłączam się.

Metternes przeciągnął dłonią po przetłuszczonych włosach.

— Moglibyśmy poczekać na potwierdzenie z Ziemi.

Edna potrząsnęła głową.

— Nasze rozkazy są jasne. Próbujesz zwlekać, John.

— Winisz mnie za to? Lowell jest bezbronny. Mam wrażenie, że wyjdziemy na czarne charaktery…

Rozległ się sygnał alarmowy i panele na mostku zapłonęły czerwienią. Ogarnęło ich uczucie, jakby płynęli. Statek poruszał się.

— Jasna cholera — powiedziała Edna. — Co to było? Oboje uruchomili szereg procedur diagnostycznych. Libby odezwała się pierwsza.

— Uruchomiliśmy osłonę. Unikamy dalszego ostrzału.

Edna warknęła:

— Co się stało?

— Właśnie straciliśmy zespół antenowy i część ogniw słonecznych. Jednak wszystkie układy statku mają potrójną redundancję i łączność z Ziemią jest zachowana…

— Wiązka laserowa — powiedział John, sprawdzając dane i zastanawiając się. — Boże Wszechmogący. Zostaliśmy trafieni wiązką

laserową.

— Z jakiego źródła? Zostaliśmy zaatakowani?

— Wystrzelono z planety — powiedział John. — Nie z innego statku. — Wyszczerzył zęby w uśmiechu. — To był laser z windy kosmicznej.

— Mars nie posiada żadnej windy kosmicznej.

— Jeszcze nie, ale już zainstalowali lasery. Bezczelne sukinsyny.

Libby powiedziała:

— To był na pewno strzał ostrzegawczy. Mogli nas unieszkodliwić. Jak powiedziałam, teraz otacza nas osłona i kontynuuję manewry wymijające.

— W porządku, Libby, dziękuję. — Edna spojrzała na Johna.

— Sytuacja jest jasna. Zgadzasz się, że powinniśmy zareagować?

— Nie potrzebowała jego zgody. Była oficerem dowodzącym. Ale czuła, że nie będzie mogła zacząć działać bez jego zgody.

W końcu skinął głową.

— Przygotuj torpedę. Uderzenie atomowe o małej mocy. — Wyciągnęła plan Portu Lowella. Postukała palcem w zieloną kopułę. — Zlikwidujemy farmę. W ten sposób spowodujemy możliwie najmniej zniszczeń.

— To znaczy zabijemy jak najmniej ludzi? — John roześmiał się głucho. — Słuchaj, Edno, to nie jest wyłącznie farma. Realizują tam rozmaite programy eksperymentalne. Hybrydy marsjańskich i ziemskich organizmów. Jeżeli to wysadzimy…

— Ładuj, John — powiedziała stanowczo, odpychając od siebie własne wątpliwości.

Odpalenie torpedy było zdarzeniem gwałtownym. Statek zakołysał się jak dzwon.

* * *

Na Mount Weather obrazy ataku *Liberatora* wywołały szok.

— Nie mogę uwierzyć, że to się wydarzyło na mojej zmianie — powiedziała Bella.

Bob Paxton mruknął:

— Witam w moim świecie, szanowna pani przewodnicząca.

Cassie Duflot siedziała obok Belli.

— To dlatego mój mąż zginął. A więc w razie potrzeby dysponujemy takimi możliwościami.

— Ale miałam nadzieję, że taka potrzeba nigdy się nie pojawi. — Bella opanowała dreszcz. — Jestem tutaj, ponieważ ludzie uważają

mnie za bohaterkę okresu burzy słonecznej. A teraz bombarduję moich własnych braci.

Paxton przyglądał się zmontowanym obrazom wyświetlanym na ściennym ekranie.

— To wszystko idzie w świat. No cóż, musiała się pani tego spodziewać. Jeśli zrzucamy bombę atomową na Marsa, nawet ślepi muszą to zauważyć. Jak dotąd nie ma doniesień o ofiarach. Zresztą to oni zaatakowali pierwsi.

— Nie mogę uwierzyć, że możesz o tym mówić tak chłodno, Bob — powiedziała Bella z lekkim uczuciem gniewu. — Byłeś pierwszym człowiekiem, który postawił stopę na Marsie. A teraz, w następnym pokoleniu, dochodzi do wojny dokładnie w miejscu twojego lądowania. To tak, jakby Neila Armstronga poproszono, aby dowodził inwazją na Morzu Spokoju. Jak się z tym czujesz?

Wzruszył ramionami. Miał na sobie rozpiętą wojskową marynarkę, poluzowany krawat, a w swej potężnej dłoni trzymał plastikową puszkę z wodą sodową.

— Czuję, że to nie myśmy to zaczęli. Czuję, że ci durnie na Marsie powinni byli zrobić to, co ich legalni przedstawiciele rządowi kazali im zrobić, i przekazać im tę stukniętą Dutt. I czuję, że, tak jak pani mówi, nie ma sensu marnować miliardów dolców i dziesiątków ludzkich istnień budując takie urządzenie jak *Liberator,* jeśli nie zamierza się go użyć. Poza tym to pani córka zrzuciła tę bombę.

To musiała być Edna. Bella prawdopodobnie mogłaby znaleźć jakiś sposób, aby oszczędzić córce tego obowiązku; na *Liberatorze* byli pracownicy organizacji humanitarnej. Ale musiała mieć kogoś, komu mogła zaufać, kogoś, na kim mogła polegać, że nie zrzuci bomby, gdyby Bella kazała jej się wycofać.

— Więc jaka będzie reakcja?

Paxton postukał w ekran, po którym przemknęły obrazy pustych sklepów spożywczych, wyludnionych dróg, miast cichych jak cmentarze.

— Nic się nie zmieniło. Obawy rosły z każdym tygodniem od czasu, gdy akcja „kula armatnia” spaliła na panewce. Wszyscy się kulili czekając. Jak dotąd liczby dotyczące ataku atomowego na Marsie są nadal aktualne.

Cassie zapytała:

— Jakie liczby?

Bella odparła:

— On ma na myśli sondaże.

Paxton powiedział:

— Stosunek ocen negatywnych do pozytywnych, lobby wojenne kontra zwolennicy pokoju, normalny wynik. Ale między nimi jest liczna grupa „nie wiem”. — Odwrócił się. — Ludzie czekają na rozwój

wypadków, Bello.

Gwałtowna reakcja może jeszcze nastąpić, pomyślała Bella. Jeśli to straszne, ryzykowne posunięcie się nie powiedzie, jej autorytet legnie w gruzach i ktoś inny będzie musiał przeprowadzić Ziemię przez te ostatnie dni przed przybyciem bomby Q. To przyniosłoby jej, pomyślała bezradnie, ogromną ulgę. Ale jeszcze nie mogła pozbyć się tego ciężaru, jeszcze nie teraz.

Bob Paxton powiedział:

— Mamy wiadomość z Marsa. Nie od tej małej Umfraville, która była ich rzecznikiem. Ktoś inny rozmawia z *Liberatorem*. Prawdopodobnie bez upoważnienia. — Wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Ktoś pękł.

— Więc gdzie jest Dutt?

— Na biegunie północnym Marsa.

— Każ *Liberatorowi* zmienić kurs.

— O cholera. — Przez jego ekran przemknęły obrazy, tym razem z Ziemi. — Odpowiadają atakiem na atak. Pieprzeni Kosmici. Atakują nasze windy kosmiczne! — Paxton popatrzył na nią. — Więc to jest wojna, pani przewodnicząca. Czy to uspokoiło twoje sumienie?

* * *

Transmitowany na żywo obraz Marsa unosił się nad stołem w Stacji Wellsa. Miejsce na równiku, gdzie *Liberator* zadał atomowy cios, płonęło gwałtownie, a w rzadkim marsjańskim powietrzu wznosił się wysoko grzyb atomowy. Umarło dziś bardzo wiele marzeń, pomyślała Myra.

A bezpośrednio nad biegunem Marsa zawisła pojedyncza iskra, powoli zmierzając do celu. Wszyscy na to patrzyli, oprócz Ellie, która siedziała z dala od innych, wciąż zajęta analizą gier wojennych i możliwych reakcji Marsjan na jakikolwiek sygnał.

— Spójrzcie na to cholerstwo — powiedział Aleksiej, zastanawiając się. — Chyba nie da się pozostawać na orbicie synchronicznej nad biegunem!

Grendel powiedziała:

— No cóż, to się da zrobić mając napęd oparty na antymaterii i praktycznie nieograniczony zapas delta V…

Myra zrozumiała, że ci Kosmici są bardziej zirytowani widocznym niepodporządkowaniem się *Liberatora* prawom mechaniki nieba, które rządziły ich życiem, niż samym aktem wojennym.

Jurij spojrzał na ekran.

— Jeszcze pięć minut i będzie na miejscu.

Aleksiej powiedział:

— Tymczasem oni atakują wszystkie windy na Ziemi. Drabinę Jakubową, Bandarę, Modimo, Jianmu, Marahuakę, Yggdrasil… Przecinają wszystko. Skoordynowany atak. Któżby uwierzył, że grupa kudłatych Kosmitów potrafi się zebrać, żeby to osiągnąć?

Jurij ponuro patrzył na ekran.

— Ale to nie przyniesie nam niczego dobrego, prawda? Wnioski tych od gier wojennych nie wyglądają dobrze. Nasza pozycja jest marna, mamy przetrzymać marsjańską pogodę, a nie wojnę. A tutaj, na biegunie, nawet nie mamy czym się bronić… *Liberator* nawet nie musi używać przeciwko nam broni jądrowej. Dysponując taką mocą, może przelecieć przez atmosferę i zniszczyć nas, może nas zmieść z powierzchni ziemi samymi gazami wylotowymi. Mówi się, że *Liberator* mógłby uśmiercić wszystkich ludzi na Marsie w ciągu dwudziestu czterech godzin czy nawet szybciej.

— A więc prawie tak skutecznie jak Pierworodni — powiedziała Grendel ponuro. — To cię napełnia dumą, tak?

Myra powiedziała:

— Słuchajcie, moja matka przygotowała ten sygnał wymyślony przez Thomasa Edisona. I jeśli mamy zamiar dać sygnał do zapalenia, musimy to zrobić, zanim zaczną na nas spadać bomby *Liberatora.*

Jurij powiedział:

— Ellie, na miłość boską, potrzebujemy informacji, jak ci Marsjanie mogą zareagować.

Ellie pracowała od wielu tygodni, próbując przewidzieć reakcję bomby Q na sygnał Bisesy. Była zawsze poirytowana, gdy jej przeszkadzano, a jej obecny wyraz twarzy był Myrze dobrze znany z czasów jej związku z Eugene'em.

— Analiza jest niepełna…

— Nie mamy już czasu — warknął Jurij. — Dawaj, co masz.

Przez jedną długą sekundę wpatrywała się w niego wyzywająco. Potem cisnęła swój elastyczny ekran na stół. Widać było na nim rozgałęziające się drzewa logiczne.

— Zgadujemy, próbujemy odgadnąć motywację kultury całkowicie nam obcej. Ale biorąc pod uwagę opór, jaki stawili Pierworodnym w przeszłości…

— Ellie. Po prostu nam powiedz.

— Oto konkluzja. Prawie nie ma znaczenia, co uczynią Marsjanie. Bo jeśli wystąpią w jakikolwiek sposób przeciwko Oczom istniejącym w ich plastrach czasu — jak pamiętacie, postawiliśmy hipotezę, że wszystkie Oczy są ze sobą połączone, stanowiąc zapewne trójwymiarowe projekcje pojedynczego, wielowymiarowego obiektu — mogą nawet być *jednym i tym samym* Okiem. I byłoby dla nich

sprawą banalną pokonać czeluść między naszym wszechświatem a wszechświatem Mira…

— Tak, tak — warknął Jurij.

— A to spowodowałoby reakcję Oka znajdującego się w Jamie. *Naszego* Oka. Co niemal na pewno — spójrzcie, tutaj drzewa logiczne się łączą — wywołałoby reakcję bomby Q. Z pewnością zdałaby sobie sprawę z akcji podjętej przeciwko innemu elementowi technologii Pierworodnych w układzie słonecznym, a wtedy…

— Wtedy co? Mów dalej, kobieto. Jak zareaguje bomba Q?

— Zawróci z drogi ku Ziemi — powiedziała Ellie — i ruszy w stronę zaatakowanego Oka.

— Tu. Na Marsie.

Grendel gwałtownie zwróciła na nią wzrok.

— Więc Ziemia będzie uratowana.

— O tak.

Myra pomyślała, że jest to dla Ellie banalny wniosek, wysnuty na podstawie jej badań. Ale wynikał z tego jeszcze inny wniosek.

Zapytała:

— Więc co powiemy mojej matce? Żeby co zrobiła?

Grendel powiedziała:

— Myślę, że…

— Czekaj.

W powietrzu rozległ się nowy głos. Myra spojrzała w górę.

— Atena?

— Lokalny awatar, przesłany do stacji. Atena znajduje się w Cyklopie. Ellie, jeśli chodzi o działania Marsjan, doszłam do tego samego wniosku co ty. Teraz jeśli chodzi o prawdopodobny skutek w odniesieniu do broni Pierworodnych. To nie jest decyzja, którą będziesz musiała podjąć sama ani ja, ani też jakakolwiek osoba. Przygotowałam oświadczenie. Jest tak pomyślane, aby uwzględniając opóźnienie wynikające ze skończonej prędkości światła, dotarło jednocześnie do Ziemi, Marsa, Księżyca i pasa asteroid. Już zostało wysłane. Teraz musicie się skontaktować ze statkiem wojennym.

Jurij patrzył nieruchomo.

— Z *Liberatorem?* Po co?

— Upłynie piętnaście minut, zanim to oświadczenie zostanie wszędzie odebrane. Wątpię, czy macie aż tyle czasu.

— Więc zagramy na zwłokę — powiedział Aleksiej i uśmiechnął się do Jurija. — No, chłopie, możesz to zrobić. Powiedz, że dasz im to, czego chcą. Powiedz, że Bisesa jest w kiblu. Powiedz im cokolwiek!

Jurij spiorunował go wzrokiem. Potem postukał w ekran.

— Hanse. Połącz mnie z tym statkiem. *Liberator,* tu Wells. *Liberator,* tu Wells…

Dla Myry nadchodzące piętnaście minut miały się okazać

najdłuższymi piętnastoma minutami w jej życiu.

— Tu Atena. Mówię do wszystkich ludzi na Ziemi, na Księżycu, na Marsie i gdzie indziej. Poczekam, aż wasze systemy będą gotowe do tłumaczenia z języka angielskiego.

Przerwała dokładnie na pięć sekund.

— Pamiętacie mnie — powiedziała. — Jestem, albo byłam, umysłem tarczy. Podczas burzy słonecznej działaliśmy wspólnie. Od chwili powrotu do układu słonecznego ukrywałam się. Widzę, że znalazłam się w świecie licznych podziałów, gdzie istnieje wiele sekretów między rządzącymi i rządzonymi, między rozmaitymi frakcjami naszych społeczeństw. Teraz czas sekretów się skończył. Teraz musimy znów zacząć działać razem, musimy bowiem podjąć poważną decyzję. Decyzję, którą musimy podjąć wspólnie. Przygotujcie się do odbioru…

* * *

Bob Paxton wpatrywał się z niepokojem w dane przepływające przez monitory.

— Chryste. Ta elektroniczna sierota opowiada o tym wszystkim. *Liberator,* bomba Q i cały ten cholerny cyrk.

Z uczuciem ulgi Bella pomyślała, że to naprawdę dobrze i że niech się dzieje, co chce.

— Nie wierzymy, że uda nam się odchylić tor lotu bomby Q — poważnie powiedziała Atena. — Próbowaliśmy, ale bez powodzenia. Myślimy jednak, że odwołując się do najdalszej przeszłości naszego układu słonecznego, zdołamy ocalić przyszłość naszego świata. Nic nie jest pewne. Może uda nam się uratować Ziemię. Ale coś trzeba będzie poświęcić. To nie jest decyzja kogokolwiek z nas, bez względu na to, jak ten ktoś byłby potężny, jaką by pełnił rolę. Żadne pokolenie w całej historii Ziemi nie stawało przed koniecznością dokonania takiego wyboru. Ale też żadne pokolenie dzięki posiadanej technologii nie było tak zjednoczone. Wniosek jest oczywisty: to poświęcenie musi być naszym wspólnym udziałem. Musimy poświęcić Marsa.

Grendel rozejrzała się wokół, patrząc szeroko otwartymi oczami.

— Może to właśnie jest to, co pozwoli nam rozwinąć się jako gatunek, nie sądzicie? Stając w obliczu takich decyzji.

Jurij chodził po pokoju zły, spięty, poirytowany.

— Mój Boże, byłem już nieźle wkurzony, kiedy się dowiedziałem, że Pierworodni w wyniku burzy słonecznej rozpieprzyli czapy lodowe. A teraz to. Mars!

Atena mówiła nadal.

— Każdy człowiek w układzie słonecznym, który zechce, może wziąć udział w dyskusji, jaka za chwilę się rozpocznie. Mówcie, jak chcecie. Wysyłajcie maile. Jeśli chcecie, mówcie w przestrzeń. Ktoś was usłyszy, a wielkie systemy sztucznej inteligencji dokonają zestawienia waszych opinii i przekażą je do wspólnego banku informacji. Prędkość światła spowolni naszą dyskusję, to nieuniknione. Ale dopóki nie osiągniemy konsensusu, nie zostanie podjęte żadne działanie…

* * *

Myra zobaczyła, że wszyscy są wyczerpani. Wszyscy z wyjątkiem Jurija, którego wypełniał gniew i uraza. Ellie skrzyżowała ręce na piersiach.

— Och, daj spokój, Jurij. Co takiego się stanie, jeśli Mars zostanie zmasakrowany? Czyż decyzja nie jest oczywista? — Myra próbowała ją złapać za rękę, żeby się przymknęła, ale Ellie nie miała zamiaru przestać. — Świat liczący kilka miliardów ludzi, prawdziwy dom rodzaju ludzkiego wobec *tego.* Martwego świata. Muzeum pełnego pyłu. Jaki to wybór?

Jurij nie przestawał na nią patrzeć.

— Na Boga, jesteś bez serca. To była planeta *ludzi* od czasu, gdy pierwsi myśliwi ujrzeli ją wędrującą po niebie. A teraz mamy ją zniszczyć — dokończyć robotę za Pierworodnych? Dopóki będzie istniała ludzkość, będziemy uważani za przestępców.

* * *

Bob Paxton nacisnął kilka guzików.

— Próbujemy to zagłuszyć, ale jest zbyt wiele kanałów przekazu.

— To te twoje sieci — powiedziała Cassie Duflot. — Spojrzała na Bellę. — Jak się czujesz?

Bella zastanowiła się.

— Czuję ulgę. Żadnych więcej sekretów, żadnych kłamstw. Cokolwiek się z nami stanie, teraz przynajmniej wszystko wyszło na jaw.

Atena powiedziała:

— Przewidujemy, że dwanaście godzin wystarczy, ale jeśli będzie trzeba, może to potrwać dłużej. Wtedy odezwę się znowu.

Kiedy zamilkła, Paxton spojrzał spode łba.

— W końcu się zamknęła. Bud Tooke zawsze mówił, że Atena miała świra, nawet wtedy, gdy kierowała tarczą. No cóż, trzeba zabrać się do roboty. — Pokazał Belli świeże zdjęcia uszkodzonych wind kosmicznych. — Przecięli liny wszystkich, co do jednej.

Bella czuła piasek w oczach, kiedy próbowała się skupić na tym, co mówi.

— Ofiary? Uszkodzenia?

— Oczywiście wszystkie windy są uszkodzone. Ich górne odcinki zwyczajnie poszybowały w przestrzeń, załogi będzie można zabrać później. Kilka dolnych kilometrów lin w większości spłonęło w atmosferze. — Na ekranach widać było niezwykłe obrazy spadających lin, niby pasków srebrzystego papieru, niekiedy długich na sto kilometrów. — To będzie kosztowało miliardy — warknął Paxton.

— OK — powiedziała Bella. — Ale winda nie może uczynić większych szkód, jeżeli spadnie na ziemię, prawda? Pod tym względem nie przypomina konstrukcji naziemnej, na przykład budynku. Główna część jej masy, przeciwwaga, po prostu odpłynie w przestrzeń. Więc przewidywania dotyczące liczby ofiar…

— Jak dobrze pójdzie, zero — powiedział Paxton z ociąganiem. — W każdym razie minimalne.

Wtrąciła się Cassie:

— Z Marsa także nie ma żadnych doniesień o ofiarach. Bella wydęła policzki.

— Wygląda na to, że uszło nam to na sucho.

Paxton popatrzył na nią gniewnie.

— Porównujesz ze sobą te ataki? Pani przewodnicząca, reprezentuje pani legalnie wybrane rządy tej planety. Akcja *Liberatora* stanowiła akt wojenny. Ale to jest terroryzm. Musimy zareagować. Głosuję za tym, abyśmy wydali *Liberatorowi* rozkaz, by zmieść z powierzchni Marsa tę pieprzoną czapę lodową.

— Nie — ostro powiedziała Bella. — Naprawdę, Bob, co dałaby taka eskalacja?

— Byłaby odpowiedzią na ataki na windy kosmiczne. I położyłaby kres naruszaniu tajemnicy państwowej.

Bella przetarła zmęczone oczy.

— Bardzo wątpię, czy Atena tam jest. Poza tym wszystko się zmienia, Bob. Myślę, że trochę czasu upłynie, zanim do tego przywykniesz, niemniej jednak to prawda. Wyślij do *Liberatora* sygnał. Powiedz im, że mają się wstrzymać z wszelkimi działaniami, aż do otrzymania dalszych rozkazów.

— Pani przewodnicząca, z całym szacunkiem, zamierza pani

godzić się z tą działalnością wywrotową?

— W ciągu ostatnich kilku minut nauczyliśmy się więcej, niż uganiając się po układzie słonecznym, przez ostatnie miesiące. Może powinniśmy od samego początku być bardziej otwarci.

Cassie przytaknęła.

— Tak. Może to jest oznaka dojrzewania naszej kultury, że przestajemy mieć sekrety, że mówimy prawdę, że wspólnie omawiamy różne sprawy?

— Jezus Maria — powiedział Paxton. — Nie mogę uwierzyć, że słucham tych sentymentalnych bredni. Pani przewodnicząca, Bello, ludzie wpadną w panikę. Będą zamieszki, napady. Przekonacie się. Dlatego trzymamy pewne rzeczy w sekrecie, pani Duflot. Ponieważ ludzie nie potrafią znieść prawdy.

Cassie spojrzała na ścienny ekran.

— To chyba nie jest prawda, panie admirale. Mamy pierwsze reakcje…

* * *

Sami nad biegunem Marsa, Edna i John, siedzieli zafascynowani, gdy na ich konsolach pojawiały się pochodzące z całego świata fragmenty dyskusji.

John powiedział:

— Popatrz. Ludzie nie głosują tak po prostu na bombę Q, oni wspólnie dyskutują nad możliwymi rozwiązaniami. Demokracja globalna w najlepszym wydaniu. Chociaż obawiam się, że tym razem nie ma do dyspozycji żadnych innych rozwiązań. Edna powiedziała:

— Niektórzy Kosmici mówią, że bomba Q powinna zniszczyć Ziemię. Ziemia to przeszłość rodzaju ludzkiego, jego przyszłością jest przestrzeń kosmiczna. Więc pozbądźmy się zużytego świata.

John chrząknął.

— I razem z nim paru miliardów ludzi? Nie wspominając o prawie wszystkich skarbach kultury. Myślę, że to jest pogląd mniejszości, nawet wśród Kosmitów. A tu mamy kolejną opinię na temat zdolności rodzaju ludzkiego do przeżycia, jeżeli Ziemia zostanie utracona. To wciąż bardzo mała społeczność. Mała, rozproszona, bardzo bezbronna… Może wciąż potrzebujemy opieki Mamy.

— Hej, spójrz na to. — Dyskusja szła tropem zapoczątkowanym przez członków czegoś, co nazywało się Komitetem Patriotów. — Słyszałam o nich — powiedziała Edna. — Doradzają mojej matce. — Czytała: — „Pierworodni panują nad przeszłością i przyszłością, nad

czasem i przestrzenią. Są tak zaawansowani, że w porównaniu z nimi”… — Przewinęła tekst dalej. — Tak, tak. „Istnienie Pierworodnych to jądro, wokół którego musi się rozwijać cała przyszła historia ludzkości. Dlatego powinniśmy zaakceptować ich mądrość”.

John skrzywił się.

— To znaczy jeśli Pierworodni postanowią zniszczyć Ziemię, powinniśmy po prostu podporządkować się ich woli?

— O to chodzi. Bo oni wiedzą najlepiej.

— Nie mogę powiedzieć, że to trafia mi do przekonania. Co tam jeszcze masz?

* * *

W ciszy wypełniającej Stację Wellsa, Atena odezwała się znowu.

— Już czas.

Jurij gwałtownie rozejrzał się wokół.

— Jesteś tutaj?

— Tak, to mój nowy awatar.

— Jeszcze nie minęło dwanaście godzin.

— Więcej czasu już nie potrzeba. Osiągnięto konsensus, nie jednogłośnie, ale przytłaczającą większością głosów. Bardzo mi przykro — powiedziała Atena spokojnie. — Za chwilę popełnimy wielką i straszną zbrodnię. Ale odpowiedzialność za to spocznie na nas wszystkich, na ludziach i ich sprzymierzeńcach.

— Musi tak być, Jurij — powiedziała Myra. — Wiesz to…

— Ja się stąd nie ruszę, a wy róbcie, co chcecie — powiedział Jurij i ciężkim krokiem wyszedł z pokoju.

Aleksiej powiedział:

— Spójrzcie na ten wątek dyskusji. Stanowimy mniejszą potęgę. Sytuacja jest asymetryczna. Musimy więc przygotować się do walki asymetrycznie, jako że mniejsze potęgi zawsze stają naprzeciw większych, ucząc się na historii walczących imperiów od czasów Aleksandra Wielkiego. Atakując ich, musimy być gotowi do poświęceń. Musimy być gotowi na śmierć…

— Przyszłość jako gatunek terrorystów-samobójców — powiedziała Grendel. — Ale jeżeli ci Marsjanie w tej innej rzeczywistości nie zareagują, wciąż możemy nie mieć żadnej przyszłości.

Myra przebiegła wzrokiem podsumowanie wątków dyskusji w eterze i na ekranach rozłożonych na stole. Ich treść była skomplikowana, ale przesłanie proste: *Zróbcie to. Po prostu to zróbcie.*

Ellie wstała.

— Myro. Proszę, pomóż mi. Chyba już czas, aby porozmawiać z twoją matką.

Myra ruszyła za Ellie w stronę Jamy.

50. Interludium. Ostatni Marsjanin

Była sama na Marsie. Była jedyną przedstawicielką swojej rasy, która przeżyła brutalny podział planety na plastry czasu.

Zbudowała sobie schronienie na biegunie północnym Marsa, iglicę z lodu. Była piękna, choć to nie miało znaczenia, bo poza nią nie było nikogo, kto mógłby ją oglądać. To nawet nie był *jej* Mars. Choć wszystkie miasta i kanały przetrwały, większa część tego pokawałkowanego świata była zimna i jałowa.

Kiedy zobaczyła ów układ symboli płonących na powierzchni Mira, trzeciej planety od Słońca, doznała przyjemnego wstrząsu, zrozumiawszy, że w tym nowym systemie znajduje się oprócz niej jakiś inny *umysł.* Ale chociaż wiedziała, że to, co żyje na Mirze, musi być jej kuzynem, była to marna pociecha. Teraz czekała w swej iglicy i zastanawiała się, co robić.

* * *

Wielkie eksperymenty powstania i rozwoju życia na planetach układu słonecznego biegły równolegle, ale przyniosły odmienne wyniki.

Kiedy na Marsie pojawiła się inteligencja, Marsjanie zaczęli oddziaływać na otoczenie, podobnie jak ludzie. Palili ogniska i budowali miasta.

Ale Marsjanie nie byli podobni do ludzi.

Nawet jej indywidualność była wątpliwa. Jej ciało stanowiło zespół komórek nieustalonego kształtu, oscylując między stadiami nieruchomym a ruchomym, niekiedy rozpraszając się, a potem łącząc. Przypominała bardziej śluzowatą pleśń, a nie człowieka. Zawsze miała zmysły połączone z ogromną siecią społeczności jednokomórkowych istot, w które obfitował Mars. I w rzeczywistości nie była płci żeńskiej. W jej rasie nie było płci, jak u człowieka. Ale była matką, a więc bardziej „nią” niż „nim”.

Nigdy nie było więcej niż kilkaset tysięcy przedstawicieli jej rasy, rozproszonych na morzach i równinach Marsa. Nigdy nie mieli imion; było ich tak niewielu, że imiona były niepotrzebne. Zdawała sobie sprawę z istnienia każdego z nich, jak głosy niosące się echem w ogromnej katedrze.

I zdawała sobie sprawę, że teraz przepadli, wszyscy. Jej samotność była tak głęboka, że żadna istota ludzka nie była w stanie

jej sobie wyobrazić.

Zbliżająca się broń Pierworodnych, bomba Q, także znikła.

Bezpośrednio przed pojawieniem się Nieciągłości pracowała na marsjańskim biegunie, pilnując pułapki ze zniekształconej czasoprzestrzeni, w której wraz ze współpracownikami udało jej się uwięzić Oko Pierworodnych. Dla zmysłów ukierunkowanych na „widzenie" zniekształconej przestrzeni broń była doskonale widoczna w zenicie, gdy zmierzała prosto w stronę bieguna.

I wtedy pojawiły się plastry czasu. Oko pozostało w pułapce. A broń Pierworodnych znikła.

Ten nowy Mars, mozaika plastrów czasu, był zupełną ruiną: atmosfera stanowiła jedynie cienką warstwę dwutlenku węgla, dna dawnych oceanów pokrywał lód, a burze pyłowe szalały nad wyschniętym krajobrazem, wyjałowionym przez promieniowanie ultrafioletowe Słońca. Gdzieniegdzie wciąż stały opuszczone miasta jej rasy i niekiedy nawet paliły się w nich światła. Ale jej pobratymców nie było. A kiedy zaczęła kopać w suchej, trującej ziemi, znalazła jedynie metanogeny i inne proste bakterie, nieliczne ślady bogatego życia, które kiedyś zaludniało ten świat. Resztki, które były jej własnymi, ostatnimi potomkami.

Była sama. Zabawka Pierworodnych. Kłębiła się w niej nienawiść.

* * *

Marsjanie uważali, że udało im się do pewnego stopnia zrozumieć Pierworodnych.

Pierworodni musieli być bardzo starzy.

Mogli nawet być istotami ocalałymi z owych Dni Pierwszych, okresu, który miał początek pięćset milionów lat po Wielkim Wybuchu, kiedy wszechświat stał się przezroczysty i niepewnie zaświeciły pierwsze gwiazdy. Dlatego Pierworodni doprowadzili do niestabilności wewnątrz gwiazd. W ich czasach wszystkie gwiazdy były nietrwałe.

Byli starzy i konserwatywni. Aby osiągnąć swe cele, wywoływali wybuchy gwiazd albo czynili je zmiennymi, albo wreszcie całkowicie je unicestwiali. Wysyłali swe bomby kosmologiczne, by wyjaławiać inne światy, a nie niszczyć. Wydaje się, że próbowali likwidować cywilizacje pochłaniające energię tak małym kosztem, jak to możliwe.

Ażeby zrozumieć, dlaczego to robili, Marsjanie spróbowali spojrzeć na siebie oczami Pierworodnych.

Wszechświat jest wypełniony energią, ale znaczna jej część

znajduje się w równowadze. W tym stanie przepływ energii jest niemożliwy i dlatego nie można jej wykorzystać do wykonania pracy, tak jak nieruchomych wód stawu nie można użyć do poruszania koła wodnego. Podstawą życia jest odpływ energii ze stanu równowagi — małego ułamka energii użytecznej, egzergii.

I wszędzie, wszędzie egzergia była marnowana.

W wyniku rozwoju życia ewolucja wszędzie prowadziła do coraz bardziej złożonych form, których istnienie zależało od coraz szybszego zużywania dostępnej energii. A potem powstała inteligencja. Cywilizacje były niby eksperymenty, w których egzergię starano się wykorzystywać jak najszybciej.

Z punktu widzenia Pierworodnych — tak spekulowali Marsjanie — wytwory małych cywilizacji, takich jak ich własna, nie miały znaczenia. Liczył się tylko przepływ egzergii i tempo jej zużywania.

Z pewnością cywilizację tak starą jak cywilizacja Pierworodnych, tak niezwykle zaawansowaną, interesował los kosmosu jako całości oraz wykorzystanie jego skończonych przecież zasobów. Im dłużej pragnęła trwać dana cywilizacja, tym ostrożniej powinna gospodarować tymi zasobami.

Gdybyśmy chcieli dotrwać do bardzo odległej przyszłości — do Dni Ostatnich, kiedy fala kwintesencji przyniesie ostateczny kres ery materii — ograniczenia musiałyby być surowe. Obliczenia Marsjan wskazywały, że wszechświat może wykarmić tylko jeden świat równie ludny i głodny energii jak ich własny, jeden świat w każdej ze stu miliardów pustych galaktyk we wszechświecie, jeśli pragną dotrwać do Dni Ostatnich.

Pierworodni musieli zrozumieć, że jeśli życie ma na długą metę przetrwać — jeśli chociaż odrobina świadomości ma się odrodzić w najdalszej przyszłości — musi obowiązywać dyscyplina na kosmiczną skalę. Nie może być niepotrzebnych zakłóceń, żadnego marnowania energii, żadnych zaburzeń strumienia czasu.

Życie — dla Pierworodnych nie było nic cenniejszego. Ale to powinien być właściwy rodzaj życia. Uporządkowanego, spokojnego, zdyscyplinowanego. Niestety takie życie było rzadkością.

Z pewnością żałowali tego, co uczynili. Obserwowali spustoszenia, jakich dokonali, ale pobrali próbki — złożone z plastrów czasu — światów, które zniszczyli i umieścili je w kieszonkowych wszechświatach. Ale Marsjanie wiedzieli, że w takim miniaturowym wszechświecie dodatnią wartość masy i energii równoważy ujemna wartość grawitacji. I kiedy zniknie, a wkrótce musi zniknąć, wartości te zniosą się i cały kosmos zapadnie się do zera.

Pierworodni byli oszczędni nawet w wyrażaniu swego żalu.

Marsjanie spierali się miedzy sobą, *dlaczego* Pierworodni tak bardzo pragnęli dotrwać do Dni Ostatnich.

Może wynikało to z ich pochodzenia. Może kiedy w tych Dniach Pierwszych pojawiła się u nich świadomość, napotkali *kogoś innego*. Tak odległego od ich własnego kosmosu, jak oni sami byli odlegli od miniaturowych wszechświatów, w których trzymali ulepione z plastrów czasu światy. Kogoś, kto powróci w Dniach Ostatnich, aby rozważyć, co warto uratować.

Pierworodni prawdopodobnie wierzyli, że prowadząc tę kauteryzację wszechświata, są dobroczynni.

* * *

Ostatni Marsjanin — Marsjanka — rozmyślał nad sygnałem z Mira.

Mieszkańcy Mira nie mieli zamiaru zadać Pierworodnym ciężkiego ciosu. Marsjanie także nie chcieli, aby ich cywilizacja zginęła z powodu neurozy, która narodziła się, kiedy kosmos był młody. Dlatego stawili opór. Tak jak istoty z Mira i ich ojczystego świata w macierzystym wszechświecie teraz próbowali stawić opór.

Wybór był oczywisty.

Przygotowania zajęły jej siedem marsjańskich dni.

Pracując zastanawiała się nad własną przyszłością. Wiedziała, że ten kieszonkowy kosmos ginie. Nie miała ochoty ginąć wraz z nim. I wiedziała, że jej jedyna możliwa droga ucieczki wiedzie przez inny artefakt Pierworodnych, wyraźnie widoczny dzięki jej szczególnym zmysłom, artefakt znajdujący się na trzeciej planecie układu.

Wszystko to z myślą o przyszłości.

Niestety implozja czasoprzestrzennej klatki zniszczy jej lodową iglicę. W pewnym oddaleniu rozpoczęła więc budowę nowej. Praca sprawiała jej przyjemność.

Nowa iglica była dopiero w połowie gotowa, gdy w wyniku wprowadzonych przez nią modyfikacji klatka grawitacyjna zmiażdżyła Oko Pierworodnych.

51. Decyzja

Było tylko jedno Oko, choć miało liczne projekcje w czasoprzestrzeni. Spełniało też liczne funkcje.

Jedną z nich było przesyłanie informacji.

Kiedy marsjańska pułapka zamknęła się, Oko wysłało sygnał wzywania pomocy. Krzyk, wysłany do wszystkich siostrzanych projekcji.

Bomba Q była jedynym artefaktem Pierworodnych w układzie słonecznym, jeśli nie liczyć Oka uwięzionego w Jamie na Marsie. I bomba Q odebrała ten krzyk, sygnał, w który nie mogła uwierzyć ani go zrozumieć.

Zaniepokojona spojrzała przed siebie.

Przed nią unosiła się połyskująca planeta, Ziemia, ze wszystkimi zamieszkującymi ją ludami. Na tym zatłoczonym globie na niezliczonych ekranach błyskały sygnały alarmowe, wielkie teleskopy przeszukiwały niebo, a niepewną ludzkość przepełniał lęk, że oto jej historia zmierza do nieuchronnego końca.

Bomba Q mogła się stać panem tego świata. Ale krzyk, który usłyszała, wywołał konflikt. Konflikt, który należało rozwiązać, podejmując decyzję.

Bombę wypełniały chłodne rozmyślania nad jej wciąż niewypróbowanymi możliwościami.

I zawróciła.

CZĘŚĆ PIĄTA
Ostatnie kontakty

52. Pochód

Bisesa i Emeline opuściły mieszkanie po raz ostatni. Były obładowane plecakami i walizkami. Niebo było zasnute chmurami, ale przynajmniej nie padał śnieg.

Emeline starannie zamknęła mieszkanie i schowała klucze do kieszeni swego grubego futra. Oczywiście już nigdy nie odbędzie tej drogi i niebawem nadejdzie lód, który zmiażdży dom. Ale Emeline mimo to zamknęła mieszkanie na klucz. Bisesa nie powiedziała nic, zrobiłaby dokładnie to samo.

Bisesa upewniła się jeszcze raz, że zabrała ze sobą jedyną rzecz, jaka miała dla niej prawdziwe znaczenie: telefon, który wsunęła do wewnętrznej kieszeni wraz z baterią.

Ruszyły przez Michigan Avenue.

* * *

Michigan Avenue, kanion z betonu i cegieł, biegnący między poczerniałymi drapaczami chmur i zamkniętymi sklepami, zawsze stanowił miejsce, w którym hulał wiatr i Bisesa i Emeline odwróciły się, żeby chronić oczy.

Ale pochód już się gromadził, tysiące ludzi stało wokół w zamarzniętym błocie, stopniowo tworząc zdyscyplinowaną kolumnę. Bisesa nie wiedziała, że w Chicago wciąż pozostało tylu ludzi. Były tam pojazdy wszelkiego rodzaju, od zwykłych furmanek do eleganckich faetonów, zaprzężonych w owe masywne konie przystosowane do arktycznego klimatu. Nawet miejskie tramwaje pełne pasażerów stały gotowe, by po raz ostatni ruszyć w drogę.

Jednak większość ludzi była pieszo, z tobołkami na plecach albo na taczkach i z dziećmi czy też wnukami, które trzymały ich za ręce. Wielu mieszkańców Chicago było opatulonych w polarne futra, ale dzisiaj niektórzy z nich, wbrew logice, ubrali się odświętnie, włożywszy surduty i powłóczyste suknie, cylindry i eleganckie futra. Na światło dzienne wyszły nawet liczne miejscowe prostytutki. Z pomalowanymi ustami, pokrytymi różem policzkami i wyzywającymi dekoltami śmiały się i flirtowały, niby barwne ptaki. Wokół słychać było gwar pełnych podniecenia rozmów.

Pochód miały otwierać lśniące czarne powozy, które ustawiły się przed hotelem Lexington. Mieli nimi jechać miejscy dygnitarze, głównie krewni i poplecznicy burmistrza Rice'a. Krążyła pogłoska,

jakoby Thomas Edison, opatulony kocami, podróżował w powozie własnej konstrukcji, ogrzewanym i oświetlonym przenośnym generatorem elektrycznym.

Powóz Rice'a, wykonany z wypolerowanego drewna i przystrojony czarną wstążką, znajdował się na czele pochodu i Bisesa była zdumiona, ujrzawszy ciągnącego powóz kudłatego mamuta. Zwierzę było niespokojne. Uniosło głowę z tym dziwnym wybrzuszeniem na ciemieniu, a jego długie, zakrzywione kły zajaśniały w powietrzu. Kiedy zdenerwowani treserzy zaczęli je okładać kijami i batami, zatrąbiło, a ostry dźwięk odbił się echem od okien drapaczy chmur. Bisesa musiała niechętnie przyznać, że był to ze strony Rice'a efektowny chwyt, jeśli mamut nie rozwali pojazdu, który miał ciągnąć.

W sumie było to widowisko, jakim zresztą miało być. Bisesa podziwiała Rice'a i jego doradców za przygotowanie go w taki sposób i wybranie tej właśnie daty. Wedle kalendarza opracowanego przez uniwersyteckich astronomów na Mirze był czwarty lipca.

Ale ten pochód w Dniu Niepodległości oznaczał w rzeczywistości ostateczne porzucenie Starego Chicago. To nie byli rozbawieni ludzie, lecz uchodźcy, którzy stanęli w obliczu wielkiej próby, długiego marszu przez przedmieścia aż do granic miasta, a potem na południe, wciąż na południe, do nowego domu, poza strefą lodu. Nawet teraz byli tacy, którzy odmówili przyłączenia się do pochodu, chuliganie i hedoniści, pijacy i nieroby, oraz kilku upartych typów, którzy po prostu nie chcieli opuścić swych domów. Niewielu wierzyło, że przeżyją najbliższą zimę.

Ludzie będą żyli nadal. Ale dzisiejszy dzień stanowił koniec cywilizowanego Chicago. A poza radosnym ludzkim gwarem Bisesa słyszała pomruk cierpliwie czekającego lodu.

* * *

Emeline poprowadziła Bisesę do miejsca wśród szanowanych obywateli, którzy zgromadzili się za jadącymi na czele pojazdami. Dobosze czekali, drżąc z zimna i ściskając w dłoniach pałeczki.

Szybko odnalazły Harry'ego i Joshuę, synów Emeline. Harry, jej starszy syn, odszczepieniec, wrócił, aby pomóc matce opuścić miasto. Bisesa ucieszyła się na ich widok. Obaj młodzieńcy byli wysocy, szczupli i dobrze umięśnieni; mieli na sobie znoszone focze futra, twarze posmarowali tłuszczem dla ochrony przed zimnem i wyglądali na dobrze przystosowanych do warunków nowego świata. Bisesa

pomyślała, że mając u boku tych chłopaków, jej szanse przetrwania tej wędrówki są znacznie większe.

Przepychając się przez tłum, zbliżył się do nich Gifford Oker. Miał na sobie ogromne czarne futro i cylinder, który naciągnął głęboko na oczy. Niósł tylko lekki plecak, z którego wystawały tekturowe rury.

— Pani Dutt, pani White. Jestem rad, że panie znalazłem.

Emeline powiedziała żartobliwie:

— Nie jest pan zbyt obładowany, profesorze. Co to za dokumenty?

— Mapy nieba — oznajmił poważnie. — Prawdziwy skarb naszej cywilizacji. Także parę książek, och, to potworne, że nie mogliśmy opróżnić bibliotek! Kiedy książkę pochłania lód, część naszej przeszłości ginie na zawsze. Ale jeśli chodzi o moje rzeczy osobiste, garnki i rondle, mam własną grupę tragarzy, którzy mi pomagają. Nazywają się słuchaczami studiów magisterskich.

Kolejny dziwaczny żart profesora. Bisesa grzecznie się roześmiała.

— Pani Dutt, przypuszczam, że pani wie, iż Jacob Rice szuka pani. Będzie czekał, aż pochód ruszy. Ale pragnie, żeby pani podeszła do jego powozu. Jest już przy nim Abdikadir.

— Tak? Miałam nadzieję, że Abdikadir będzie z panem. — Abdi pracował nad zagadnieniami astronomicznymi z Okerem i jego studentami.

Ale Oker potrząsnął głową.

— Jeśli burmistrz o coś prosi, otrzymuje to.

— Przypuszczam, że może byłoby warto pobyć przez chwilę w cieple. Czego on chce?

Oker uniósł brew.

— Myślę, że pani wie. Chce wyciągnąć z pani to, co pani wie o Aleksandrze i jego imperium. *Sarissy* i maszyny parowe, muszę przyznać, że sam jestem zaintrygowany!

Uśmiechnęła się.

— Wciąż marzy o panowaniu nad światem?

— Proszę na to spojrzeć z jego punktu widzenia — powiedział Oker. — To jest zakończenie jednego wielkiego projektu, migracja ze starego do nowego Chicago, zadanie, które pochłaniało jego energię od lat. Jacob Rice jest wciąż młody i pełen energii i przypuszczam, że powinniśmy się z tego cieszyć, bo inaczej z pewnością byśmy tak daleko nie zaszli. A teraz szuka nowych wyzwań.

— Ten świat jest całkiem duży — powiedziała Bisesa. — Wystarczy miejsca dla wszystkich.

— Ale nie jest nieskończony — powiedział Oker. — I w końcu już nawiązaliśmy pierwsze kontakty z tymi za oceanem. Rice to nie Aleksander, o tym jestem przekonany, ale ani on, ani też Wielki Król nie zamierza się podporządkować drugiemu. I wie pani, być może jest

o co walczyć. Rice zaakceptował to, co pani i Abdikadir powiedzieliście na temat przyszłości. Wymaga od swych naukowców, zwłaszcza ode mnie, aby badać sposoby zapobieżenia końcowi wszechświata. Albo może nawet ucieczki przed nim.

— No, no! Ma wielkie plany.

— I widzi pani, podejrzewa, że panowanie nad tym światem może stanowić konieczny krok do jego uratowania.

Bisesa pomyślała, że Rice rzeczywiście może mieć rację. Gdyby jedyna droga powrotu na Ziemię wiodła przez Oko w Babilonie, wojna o zawładnięcie tym miastem może w końcu okazać się nieunikniona.

Oker westchnął.

— Jednak kłopot polega na tym, że kiedy człowiek raz się znajdzie w rękach człowieka takiego jak Rice, trudno się z nich wydostać. Powinienem był o tym wiedzieć — powiedział z żalem. — A pani musi zdecydować, pani Dutt, czego *pani* pragnie.

Wiedziała to doskonale.

— Osiągnęłam to, po co tutaj przybyłam. Teraz muszę wrócić do Babilonu. Tam przybyłam do tego świata i to jest jedyne ogniwo łączące mnie z córką. I myślę, że powinnam także zabrać ze sobą Abdikadira. Dwór Aleksandra potrzebuje takich inteligentnych ludzi.

Oker zastanowił się.

— Dała nam pani tak wiele, pani Dutt, zwłaszcza świadomość naszego miejsca w tym osobliwym wachlarzu wszechświatów. Wojny Jacoba Rice'a to nie pani wojny, jego cele to nie pani cele. W pewnym momencie pomożemy pani uwolnić się od niego. — Spojrzał na Emeline i jej synów, którzy skinęli głową na znak zgody.

— Dziękuję — szczerze powiedziała Bisesa. — Ale co będzie z panem, profesorze?

— No cóż, już położono kamień węgielny pod budowę nowego obserwatorium w Nowym Chicago. Tę budowę trzeba doprowadzić do końca. A poza tym… — Spojrzał na gęstą masę chmur nad głową. — Czasami czuję się uprzywilejowany z powodu samego faktu, że jestem tutaj, w świecie, który nazywa pani Mirem. Zostałem wyrzucony w zupełnie nowy wszechświat, w którym unoszą się inne światy, a przede mną nie badał ich żaden astronom! Ale widoczność jest zawsze marna. Bardzo bym pragnął wydostać się ponad chmury — pożeglować na Księżyc i do innych światów jakimś powietrznym faetonem. Nie staje mi wyobraźni, żeby pojąć, jak można tego dokonać, ale jeśli Aleksander Wielki potrafił uruchomić kolej parową, Nowe Chicago może sięgnąć do gwiazd. Jak pani myśli? — Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Bisesa uśmiechnęła się.

— Myślę, że to jest wspaniały pomysł.

Emeline przywarła do ramienia Harry'ego.

— Może pan zatrzymać sobie gwiazdy. Ja pragnę tylko kawałka ziemi wolnego od lodu i tylko na pewien czas. A jeśli chodzi o przyszłość — mówi pan, pięćset lat? Tak długo nie pożyję, ani ja, ani moi chłopcy. Więc czasu mi wystarczy.

— Jest pani bardzo mądrą kobietą — powiedział Oker.

Rozległ się głośny dźwięk myśliwskiego rogu.

Podniósł się radosny okrzyk oczekiwania. Mężczyźni, kobiety i dzieci poprawili plecaki. Konie zarżały i zaczęły wierzgać, zadzwoniła uprząż i trochę bezkształtny tłum wypełniający błotnistą ulicę zaczął formować regularny pochód.

Bisesę zaskoczyło, kiedy zapłonęły światła. Elektryczne reflektory zawieszone na drapaczach chmur oświetliły mury, które jak teraz można się było przekonać, były obwieszone chorągiewkami i flagami Stanów Zjednoczonych. Okrzyki zabrzmiały głośniej.

— Wszystko to wygrzebano z targów światowych — powiedziała uśmiechnięta, choć trochę zapłakana Emeline. — Mam zastrzeżenia co do Jacoba Rice'a, ale nie można zaprzeczyć, że ma swój styl! Co za sposób, żeby się pożegnać ze starszą panią.

Dobosze uderzyli w bębny.

Protestując trąbieniem, mamuty Rice'a szarpnęły i powóz burmistrza ruszył do przodu. Tłum był tak gęsty, że minęło kilka minut, zanim pochód ruszył na dobre. Bisesa, Emeline i inni stali, dopóki wokół nie zrobiło się trochę miejsca. W końcu cały wielki tłum, szurając nogami, zaczął się posuwać naprzód, kierując się na południe przez Michigan Avenue i dalej, w stronę Parku Jacksona. Uzbrojeni policjanci z żółtymi opaskami szli po obu stronach gęstej kolumny, aby odpędzać dzikie zwierzęta. Zabrzęczały po raz ostatni żółte tramwaje, chociaż nie mogły zbyt daleko zawieźć swych pasażerów.

Mieszkańcy Chicago zaczęli śpiewać w rytmie poddawanym przez bębny, w takt swych kroków. Na początku słychać było pieśni patriotyczne: „My Country 'Tis of Thee", „America" i „The Star-Spangled Banner". Ale po chwili rozległa się piosenka, którą Bisesa słyszała tu wiele razy, przebój Tin Pan Alley z lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Była to piękna elegia o starcu, który utracił swą miłość. Żałosne głosy wznosiły się ku niebu, odbijały echem od murów opuszczonych domów, śpiewając o nadziei, która się rozwiała „po balu".

Bisesa usłyszała brzęk tłuczonego szkła i pijacki śmiech, a potem głuchy huk. Odwróciwszy się, zobaczyła płomienie, które buchały z zaciemnionych górnych okien hotelu Lexington.

53. Aurora

7 grudnia 2070 roku

Mając u boku Billa Carela i Boba Paxtona, Bella Fingal wyjrzała przez małe wypukłe okienko wahadłowca, kiedy zbliżali się do jednego z najsławniejszych statków kosmicznych w całej historii ludzkości.

Po pełnych napięcia ostatnich miesiącach Bella czuła się kompletnie wyczerpana. Ale teraz było już prawie po wszystkim. Zostało jeszcze tylko kilka dni do chwili największego zbliżenia bomby Q do Ziemi, „dnia Q", jak ochrzcili go sprawozdawcy. Astronomowie i wojsko zapewniali ją codziennie, że bomba wciąż porusza się po zakrzywionym torze, jaki obrała po tym, jak Oko na Marsie nagle obudziło się do życia. Bomba Q miała przejść bardzo blisko, przecinając obszar między Ziemią i Księżycem, ale nie uderzy w planetę.

Bella musiała zaplanować wszystko tak, jakby to była prawda. Na przykład dzisiaj musiała wziąć udział w tej konferencji na *Aurorze,* wypełniając jeden ze swych ostatnich obowiązków, a mianowicie otwierając nową debatę na temat przyszłości rodzaju ludzkiego. Ale podejrzewała, że tak jak pozostała część ludzkiej rasy naprawdę w to nie uwierzy, dopóki bomba Q rzeczywiście ich nie minie, nie czyniąc żadnej szkody. I podobnie jak większość ludzi zamierzała spędzić dzień Q razem z rodziną.

Potem będzie mogła w końcu zrzucić brzemię swego urzędu i oddać się w ręce trybunału zbrodni wojennych w Hadze i wtedy decyzje będzie musiał podejmować już ktoś inny. Była z tego zadowolona. Nawet po tym, jak została zwolniona ze stanowiska przed ostatnim aktem tego ponurego dramatu, opuszczeniem Marsa.

Wahadłowiec zakręcił. Nudziła się, niemal zapomniała, gdzie się znajduje. Wyjrzała przez okno, skupiając wzrok na niezwykłym, choć dobrze znanym widoku.

Lśniąc w ostrym świetle słonecznym, *Aurora 2* wyglądała niezgrabnie i krucho. Przypominała pałkę tamburmajora, stanowiąc cienką, długą na dwieście metrów rurę, łączącą zespoły napędowe i pomieszczenia mieszkalne. Statek był poważnie zniszczony, farba schodziła płatami, ogniwa słoneczne poczerniały i pozwijały się, a część kadłuba, gdzie mieściły się pomieszczenia załogi, była spalona i powyginana, odsłaniając rozpórki i przegrody. *Aurora* wyraźnie została poddana działaniu straszliwego żaru. Ale wypełniła swoje

zadanie.

Aurora była drugim statkiem załogowym, jaki wysłano na Marsa. Planowano, że zabierze Boba Paxtona i jego załogę, która miała powrócić do domu w glorii bohaterów kosmosu. Ale burza słoneczna pokrzyżowała te plany i *Aurorę 2,* jeden z największych statków kosmicznych owych czasów, trzeba było wykorzystać do innego celu niż badanie kosmosu, dlatego sprowadzono ją na Ziemię. L1, punkt stacjonarny położony między Słońcem i Ziemią, stanowił logiczne miejsce usytuowania tarczy, która miała osłaniać Ziemię przed burzą słoneczną. I właśnie tutaj umieszczono *Aurorę,* która miała służyć za dom dla budowniczych tarczy.

Teraz tarczy nie było. Burza pozostawiła po sobie monumentalny wrak, który został rozmontowany, a jego części wykorzystano do budowy nowych stacji w przestrzeni kosmicznej i na Księżycu. Ale sama *Aurora* została tutaj, w punkcie L1, jako trwały pomnik tych zdumiewających dni, a kikut samej tarczy unosił się wokół statku, zaś jej lśniąca powierzchnia wyrastała spiralnie z kadłuba, niczym pajęcza sieć.

Bella spojrzała na współpasażerów. Bill Carel, słabowity i lekko drżący, z twarzą zmienioną gniewem z powodu zdrady swego syna, prawie nie zauważał zbliżającego się statku.

Wyraz twarzy Boba Paxtona trudniej było odczytać.

Sama Bella służyła na tarczy podczas burzy słonecznej i od tego czasu była tu wielokrotnie, z okazji uroczystości upamiętniających kogoś, oddawania czegoś do użytku, otwarcia muzeum czy rozmaitych rocznic. Ale z Bobem Paxtonem było inaczej. Jak tylko powrócił po burzy na Ziemię, uporał się jak najszybciej z całą serią uroczystości nadawania odznaczeń i tym podobnych. Potem wrócił do wojska i ostatecznie poświęcił życie problemowi, jak sobie poradzić z przyszłym zagrożeniem ze strony Pierworodnych. Paxton nigdy nie był w punkcie L1 i prawdopodobnie nawet nie widział *Aurory 2* od czasu, gdy przebywał na Marsie i zobaczył, jak przemyka po niebie, porzucając jego i jego załogę. Teraz twarz starego wojownika niebios była pokryta zmarszczkami, zamknięta i Bella nie potrafiła odgadnąć, o czym myśli.

Wahadłowiec zakręcił, czemu towarzyszył daleki brzęk silników sterujących i usiadł na zakrzywionym kadłubie pomieszczeń mieszkalnych *Aurory*. Teraz Słońce znajdowało się bezpośrednio pod Bellą, rzucając pionowe cienie, a przez małe okienko nad głową widziała Ziemię, błękitną latarnię unoszącą się dokładnie naprzeciw Słońca. Oczywiście Ziemia była w pełni; oglądana z punktu L1 zawsze była w pełni. Żałowała, że nie widzi jej lepiej.

Po zakończeniu dokowania wahadłowiec wyłączył wszystkie systemy.

— Witamy na *Aurorze 2* i w Muzeum Tarczy.

Na dźwięk tego łagodnego żeńskiego głosu Bellę przeszył dreszcz. Ta jej wizyta była inna niż wszystkie poprzednie.

— Cześć, Ateno. Witaj w domu.

— Bella. Cieszę się, że znów z tobą rozmawiam. Zapraszam na pokład.

W podłodze otworzył się właz. Bella zwolniła pasy bezpieczeństwa i uniosła się w powietrze.

Aleksiej Carel i Lyla Neal czekali na nich na mostku.

Było to jedyne eleganckie miejsce na statku, miejsce, gdzie Bud Tooke kiedyś planował, jak ocalić Ziemię. Teraz było to muzeum i staroświeckie elastyczne ekrany, słuchawki oraz inne pozostałości z czasów kryzysu były pieczołowicie przechowywane pod warstwą przezroczystego plastiku. Kiedy Bella się tutaj znajdowała, zawsze czuła się stara.

Bill Carel zjawił się na mostku jako ostatni. Poruszając się niezdarnie w warunkach mikrograwitacji, wyraźnie słaby, wyglądał dziwnie komicznie w swym pomarańczowym kombinezonie. Ale kiedy stanął naprzeciw syna, twarz wykrzywił mu gniew.

— Ty cholerny mały durniu. I ty, Lylo. Zdradziliście mnie.

Aleksiej i Lyla przywarli do siebie, lekko się unosząc w powietrzu, spięci, wyzywający. Aleksiej był chudy, miał tylko dwadzieścia siedem lat, a Lyla wyglądała na jeszcze młodszą. Ale w końcu, pomyślała Bella, wszyscy prawdziwi Kosmici byli po prostu dziećmi.

Aleksiej powiedział:

— My widzimy to inaczej, Tato. Zrobiliśmy to, co musieliśmy zrobić. To, co uważaliśmy za najlepsze.

— *Szpiegowaliście* mnie — warknął Carel. — Skradliście moją pracę. Byłaś błyskotliwą studentką, Lylo. Błyskotliwą. I tak nisko upadłaś.

Lyla była spokojniejsza od swego kochanka.

— Zostaliśmy do tego zmuszeni w wyniku pańskich działań, proszę pana. Trzymał pan wszystko w tajemnicy. Nie mówił pan ludziom tego, co powinni wiedzieć. Kłamał pan! Jeżeli my jesteśmy winni, to i pan także.

— To jest — wtrąciła się Bella — pierwsza rozsądna rzecz, jaką ktokolwiek powiedział.

— Zgadzam się z tym — powiedziała Atena sucho. — Może powinniście wszyscy usiąść. W tylnej części mostka przygotowano małą część dydaktyczną…

Był to plastikowy stół, którego powierzchnię pokrywały podstawowe informacje dotyczące burzy słonecznej, a wokół stołu ustawiono małe siedzenia. Patrząc spode łba, cała piątka usiadła patrząc na migoczące na stole barwy.

— W każdym razie cieszę się, że jestem tutaj — powiedziała Atena.

Bella uniosła wzrok.

— Czy to był żart?

— Pamiętasz mnie, Bello. Zawsze byłam żartownisią.

— Uważałaś się za żartownisię. Więc cieszysz się, że sprowadziliśmy cię tutaj z Cyklopa. — Jeżeli o inteligencji rozproszonej, takiej jak Atena, można było powiedzieć, że gdzieś „jest", ona sama czy raczej jej najpełniejsza definicja znajdowała się obecnie w zabezpieczonej pamięci w jednej z opuszczonych maszynowni *Aurory*.

Atena powiedziała:

— W Cyklopie powitano mnie serdecznie. Byłam tam chroniona. Ale narodziłam się, aby kierować tarczą, która powstała tutaj. Oczywiście ja, to znaczy ta moja kopia, nie pamięta samej burzy słonecznej. Moja obecność w tym miejscu w rzeczywistości ma dla mnie charakter edukacyjny. Mam uzyskać dostęp do banków danych, aby się dowiedzieć, co się wydarzyło tamtego dnia, jak gdybym była zwykłym gościem. To upokarzające.

— A mogę pokornie zapytać — kwaśno spytał Bob Paxton — dlaczego, kurwa, nas tutaj ściągnęłaś? — Odezwał się po raz pierwszy od chwili wejścia na pokład statku.

Bella położyła dłoń na stole, tym delikatnym gestem nakazując uwagę.

— Ponieważ dla Ziemian i Kosmitów jest to grunt neutralny. Jakoś udało nam się przetrwać kryzys wywołany bombą Q, chociaż miotaliśmy się jak diabli. Teraz musimy zacząć sobie radzić w inny sposób.

Aleksiej powiedział:

— Słyszałem, że po świętach Bożego Narodzenia ustępujesz ze stanowiska.

— To nie wszystko — warknął Paxton. — Pani przewodnicząca prawdopodobnie będzie musiała stanąć przed trybunałem zbrodni wojennych. Tak jak i ja.

Lyla zmarszczyła brwi.

— A co z atakami na windy? Kto zostanie za to obarczony odpowiedzialnością?

— Chętnie stanę przed sądem — powiedziała Atena stanowczo — jeśli to ochroni tych, na których działania miałam wpływ.

Aleksiej roześmiał się.

— Sztucznej inteligencji nie można postawić przed sądem.

— Oczywiście można — powiedziała Bella. — Atena ma swoje prawa. Jest osobą prawną. Ale prawom towarzyszą obowiązki. Można ją sądzić, tak samo jak mnie. Chociaż wątpię, czy ktokolwiek określił,

jaki mógłby być wyrok, gdyby została uznana za winną…

Atena powiedziała:

— Te procesy odbędą się publicznie przed sądami reprezentującymi społeczności zarówno Ziemian jak i Kosmitów. Bez względu na wynik, mam nadzieję, że będą częścią procesu pojednania. Leczenia.

Bella powiedziała:

— Wszyscy zrobiliśmy to, co uważaliśmy, że musimy zrobić. Ale to już należy do przeszłości. Bomba Q odmieniła wszystko. Teraz jest zupełnie inaczej.

Lyla przyjrzała się jej z zaciekawieniem.

— Jak to inaczej?

— Po pierwsze, polityka…

Wymuszona przez Atenę debata nad decyzją dotyczącą odchylenia toru bomby Q wywołała głęboki wstrząs systemu politycznego. Być może była punktem kulminacyjnym napięć, które w coraz bardziej zintegrowanym społeczeństwie narastały przez dziesięciolecia. A potem okazało się, że nie da się przerwać tej debaty.

— Od czasu głosowania wszystko jest płynne. Pojawiły się nowe frakcje, nowe grupy zainteresowań i grupy protestacyjne oraz nowe grupy nacisku. Ostatnie bariery między starymi narodami na Ziemi zostały obalone. Ludzie nie przywiązują wagi do dawnych kategorii, łącząc się dla wspólnej sprawy, obojętnie w jakim świecie przyjdzie im żyć. Rodzi się zintegrowana demokracja, masowa, samoregulująca się mądrość, czy nam się to podoba, czy nie. Może to dobrze, że nasza pierwsza wielka operacja wykorzystująca głos zbiorowości dotyczyła problemu, wokół którego możemy się zjednoczyć, może w ten sposób Pierworodni ostatecznie oddali nam przysługę. Bo tego głosu nie uciszono.

Aleksiej stanął naprzeciw ojca.

— Słuchaj, Tato. W przestrzeni kosmicznej także muszą nastąpić zmiany. Mam na myśli stosunki między Kosmitami i Ziemią.

— To znaczy między nami, tak? — powiedział Bill Carel.

— To także. Idea, że Ziemia może narzucać swoją wolę w kosmosie, to fantazja, bez względu na to, ile statków na antymaterię zdołacie zbudować.

W grudniu 2070 roku nie było deklaracji niepodległości; wśród Kosmitów nie było narodów i obecnie wszyscy Kosmici byli kolonistami, formalnie podporządkowanymi któremuś z ziemskich narodów. Oczywiście Kosmici rywalizowali między sobą. Ale kiedy patrzyli na Ziemię, która była dla nich jedynie błękitnym światełkiem na niebie, jeśli w ogóle mogli ją dostrzec, było im coraz trudniej myśleć o sobie jako o Amerykanach, Albańczykach, Anglikach czy Belgach…

— „Kosmita” to w istocie niedorzeczna etykietka. Faktycznie powinno nią być „Nieziemski”. Wszyscy jesteśmy różni i mamy różne zdania.

— Tutaj masz rację — warknął Bob Paxton. — Jest więcej zdań niż pieprzonych Kosmitów.

— Chodzi mi o to, że już nie możecie nas kontrolować. Nawet sami siebie nie możemy kontrolować, i wcale tego nie pragniemy. Wstąpiliśmy na nową drogę, Tato, choć sami nie wiemy, dokąd prowadzi.

— Albo czym się staniecie — powiedział Carel. — Ale muszę wam na to pozwolić i niech się dzieje, co chce, tak?

Aleksiej uśmiechnął się.

— Obawiam się, że tak.

W tej rozmowie między Ziemianami i Kosmitami tkwił pewien podtekst. Jeśli macierzysty świat rozluźni uścisk, utraci swe dzieci na zawsze.

Bob Paxton chrząknął.

— Chryste, zaraz się rozpłaczę.

— W porządku, Bob — powiedziała Bella. — Słuchaj, to jest poważna sprawa. Jednym z moich ostatnich dekretów było zainicjowanie kongresu poświęconego nowej konstytucji dla nas wszystkich — obejmującej Ziemię i cały układ słoneczny — która byłaby oparta na ogólnie uznanych prawach człowieka. Myślę, że nie pragniemy rządu światowego. To czego potrzebujemy, to nowe mechanizmy, nowe struktury polityczne uwzględniające aktualną płynność. Żadnych ośrodków władzy — powiedziała. — Żadnych tajemnic. Potrzebujemy mechanizmów, które nas zjednoczą oraz zapewnią sprawiedliwość i równość, jeśli chodzi o korzystanie z zasobów i możliwości, a także agencji szybkiego reagowania w razie kryzysu.

— Gdy Pierworodni znów nas zaatakują — powiedział Paxton.

— Tak. Ale musimy wymyślić sposoby, jak się uporać z zagrożeniami, nie ograniczając naszej wolności. — Rozejrzała się wokół. — Nie wiadomo, w jaki sposób cywilizacja obejmująca kilka światów może kierować sama sobą, nie istnieją żadne precedensy. Może Pierworodni to wiedzą. Jeśli tak, to tego nie ujawniają. Chciałabym myśleć, że jest to następny etap naszego rozwoju.

— Rozwoju? To brzmi jak utopia — powiedział Bill Carel.

Bob Paxton chrząknął.

— Tak. I pamiętajmy, że bez względu na to, ile głów wyrośnie z waszych zmutowanych ciał, Kosmici, wszystkich nas nadal będzie łączyć jedno.

— Pierworodni — powiedziała Lyla.

— Cholerna racja — potwierdził Paxton.

— Tak — powiedziała Bella. — Więc przedstaw nam nowe propozycje, Bob. Następną fazę Fortecy Sol.

Spojrzał na nią zaniepokojony.

— Jest pani tego pewna, pani przewodnicząca?

— Otwartość, Bob. To nasza obecna dewiza. — Uśmiechnęła się do pozostałych. — Bob i jego Komitet Patriotów pracowali nad najważniejszymi sprawami. Mimo że po ostatnich wydarzeniach ich status prawny został poddany rewizji.

Aleksiej uśmiechnął się.

— Czy starzy wojownicy niebios nie potrafią zejść na ziemię, admirale?

Paxton wyglądał, jakby miał go za chwilę zamordować. Bella położyła mu dłoń na ramieniu, czekając, aż się uspokoi.

— Doskonale. Sprawa numer jeden. Musimy działać natychmiast. Między burzą słoneczną a atakiem bomby Q mieliśmy całe pokolenie na przygotowania. Nie wiedząc, co właściwie się zbliża. Ale patrząc z perspektywy czasu, nie uczyniliśmy wystarczająco wiele i nie możemy powtórzyć tego błędu. Tak się szczęśliwie złożyło, że dzięki bombie Q udało nam się zmobilizować opinię publiczną i wesprzeć nasze działania.

— Sprawa numer dwa. Ziemia. Wielu z nas doznało wstrząsu, gdy wy, cholerni Kosmici, zniszczyliście windy kosmiczne. Zawsze wiedzieliśmy, jak bardzo bezbronni jesteście w tych waszych kopułach i motylich statkach kosmicznych. Jednak nie wiedzieliśmy, jak bardzo bezbronna jest Ziemia. Faktem jest, że jesteśmy powiązani z gospodarką w przestrzeni kosmicznej. Myślimy więc o wzmocnieniu Ziemi. Domy jak bunkry. Naziemne źródła energii i łącza telekomunikacyjne wykorzystujące bezpieczne kable światłowodowe. Tego rodzaju rzeczy. Wystarczy, żeby wytrzymać oblężenie planety. Należy jeszcze tylko określić parametry. Sprawa numer trzy. I to jest klucz — powiedział Paxton skupiony, pochylając się do przodu. — Musimy się rozproszyć. Już mamy poza granicami Ziemi duże kolonie. Ale specjaliści od gier wojennych mówią, że gdyby Ziemia została zniszczona przez bombę Q, jest mało prawdopodobne, aby kolonie Kosmitów mogły na dłuższą metę przetrwać. Jest was po prostu zbyt mało, pula genów zbyt skąpa, a sztuczne ekologie zbyt kruche. Dlatego musimy was wzmocnić. Uczynić wasz gatunek niezniszczalnym, nawet jeśli Ziemia zginie. — Uśmiechnął się do młodych Kosmitów. — Mówię o masowej, dynamicznej migracji. Na Księżyc, na księżyce planet zewnętrznych, do nadających się do zamieszkania obszarów kosmosu. Nawet na Wenus, która została tak zdemolowana przez burzę słoneczną, iż może się okazać, że życie na niej jest teraz możliwe. Może nawet będziemy w stanie wysłać kilka statków do gwiazd, idąc za przykładem tych Chińczyków.

— Ale to się nie uda — powiedział Aleksiej. — Nawet jeśli, powiedzmy, milion ludzi znajdzie się na Wenus, pod kopułami, oddychając sztucznym powietrzem. Będą równie bezbronni jak my teraz.

— Jasne. Dlatego uczynimy następny krok. — Paxton uśmiechnął się szerzej. Wyglądało na to, że zaskakiwanie ich sprawia mu przyjemność. — Dobrze wiedzieć, że taki stary pryk jak ja wciąż potrafi planować na większą skalę niż wy, dzieciaki. Jakie jest najbardziej solidne, znane nam siedlisko? Planeta.

Lyla wlepiła w niego wzrok.

— Mówi pan o…

— O przekształceniu Księżyca lub Wenus w świat podobny do Ziemi, gdzie można by poruszać się na odkrytym terenie i to bez żadnej osłony. Gdzie można by uprawiać ziemię na wolnym powietrzu. Gdzie ludzie mogliby przetrwać, *nawet gdyby upadła cywilizacja,* nawet gdyby zapomnieli, kim byli i jak się tam znaleźli.

— Myślano o tym na Marsie — powiedziała Lyla. — Oczywiście teraz…

— Utracimy Marsa, ale Mars nie stanowił jedynej możliwości. Na bardzo długą metę, to jest jedyne skuteczne rozwiązanie — powiedział Paxton.

Aleksiej miał sceptyczny wyraz twarzy.

— To jest program, którego realizacji domagali się orędownicy podboju kosmosu od czasów Armstronga i Aldrina, ale nigdy do tego nie doszło. To oznacza transfer ogromnej ilości zasobów.

— Och, na pewno — powiedziała Bella. — Faktycznie propozycja Boba została już powszechnie zaakceptowana. I wkrótce rozpocznie się jej realizacja.

— To znaczy co? — zapytała Lyla.

— Zobaczycie. To będzie ostatnia niespodzianka…

— Traktujemy to bardzo poważnie — powiedział Bob Paxton wyzywająco. — Tak samo poważnie, jak traktowałem wszystko, co robiłem w życiu. Ażeby zyskać szansę na przyszłość, musimy zabezpieczyć teraźniejszość. To kwestia zasadnicza.

Zaczęli omawiać szczegóły propozycji Paxtona, spierając się, podając nowe argumenty na jej rzecz, odrzucając inne. Wkrótce Paxton usunął ze stołu wszystkie kolorowe informacje dotyczące burzy słonecznej i zaczął robić notatki.

* * *

Bella mruknęła do Ateny:

— Wygląda na to, że się udało. Nigdy bym nie pomyślała, że zobaczę, jak Bob Paxton i Aleksiej Carel pracują razem.

— Żyjemy w dziwnych czasach.

— O tak. I nieustannie stają się coraz dziwniejsze. Tak czy owak to jest początek. — Zerknęła na zegarek. — Nie znoszę tego, ale powinnam sprawdzić przysłane wiadomości. Ateno, możesz dać im kawy? I czego jeszcze chcą.

— Oczywiście.

Odepchnęła się od krzesła i poszybowała nad mostkiem, kierując się w stronę wahadłowca i swoich ekranów. Za jej plecami ożywiona rozmowa wciąż trwała. Usłyszała, jak Aleksiej mówi pół żartem, pół serio:

— Mówię wam, co nas naprawdę zjednoczy. Sol Invictus. Nowy bóg nowej ery…

54. Dzień Q

15 grudnia 2070 roku

Wahadłowiec wysadził Bellę na Przylądku Canaveral. Odezwał się Tales:

— Witaj w domu, Bella.

Bella, pochylona nad elastycznym ekranem, z zaskoczeniem stwierdziła, że jest już na Ziemi. Przez całą drogę z punktu L1 była zajęta otrzymanymi wiadomościami i monitorowała postępy dwóch wielkich wydarzeń, które dziś miały mieć miejsce: uruchomienia Bimini, nowej windy kosmicznej na Atlantyku, oraz największego zbliżenia bomby Q do Ziemi. Wszyscy wiedzieli, że oba te wydarzenia przebiegają zgodnie z planem. Ale trudno było się powstrzymać przed sprawdzaniem, czy wszystko idzie jak należy.

Koła przestały się obracać i wszystkie systemy wahadłowca ucichły.

Wyłączyła ekran i złożyła go.

— Dziękuję, Talesie. Cieszę się, że wróciłam. Atena przesyła pozdrowienia.

— Kilkakrotnie z nią rozmawiałem.

Ta uwaga sprawiła, że Bella poczuła się dziwnie nieswojo. Często zastanawiała się, o czym rozmawiają wielkie układy sztucznej inteligencji nad głowami ludzkości. Nawet będąc przewodniczącą Rady, nigdy się tego nie dowiedziała.

— Na zewnątrz czeka na ciebie samochód, Bella. Gotów do zawiezienia cię na miejsce, gdzie oczekuje twoja rodzina. Bądź ostrożna wstając.

Powrót do pełnej siły ciążenia wciąż dawał się we znaki.

— Za każdym razem jest coraz trudniej. Talesie, przypomnij mi, żeby zamówić szkielet zewnętrzny.

— Dobrze, Bello.

Zeszła na pas startowy. Był rześki grudniowy poranek, dzień był pogodny, słońce stało nisko, powietrze było świeże i przesycone solą. Spojrzała na zegarek, który już się przestawił na czas lokalny, wylądowała trochę przed dziesiątą.

Spojrzała w stronę morza, z którego wznosiła się ku niebu cienka pionowa nić.

Tales mruknął:

— Jest dokładnie godzina do przejścia bomby Q, Bello. Astronomowie informują, że jej trajektoria nie uległa zmianie.

— Analiza mechaniki orbitalnej działa bez zarzutu. Ludzie muszą to zobaczyć.

— Zetknąłem się z tym zjawiskiem już przedtem — spokojnie powiedział Tales. — Doskonale rozumiem, Bello.

Chrząknęła.

— Nie jestem pewna, czy rzeczywiście. Jeśli nazywasz to „zjawiskiem". Ale i tak wszyscy cię kochamy.

— Dziękuję, Bello.

Podjechał pękaty samochód ze szkła, inteligentny i przyjazny. Kiedy Bella wsiadła, szybko oddalił się od stygnącego kadłuba wahadłowca i powiózł ją prosto do wielkiej bryły Budynku Montażu Pojazdów.

Wewnątrz czekała strażniczka, wesoła, lecz silnie uzbrojona, która od tej pory miała jej towarzyszyć.

Bella poszła prosto do windy o szklanych ścianach, która szybko i cicho wjechała do środka. Patrzyła na stojące na dole rakiety, które wyglądały jak jasne drzewa. Kiedyś w tym właśnie budynku były montowane rakiety *Saturn* i wahadłowce. Mająca obecnie sto lat i jedna z największych na świecie zamkniętych budowli została zamieniona w muzeum wyrzutni rakietowych z pierwszego, heroicznego okresu amerykańskiego podboju kosmosu; znajdowały się tam rakiety nośne od *Atlasu* przez wahadłowce do *Aresa.* Teraz budynek był znów w użyciu. Oczyszczono jego róg, gdzie odbywał się montaż rakiety *Apollo-Saturn,* stał tam nowy *Apollo 14,* gotów do startu w setną rocznicę swego pierwszego lotu.

Bella kochała tę ogromną świątynię techniki, której skala wciąż była zadziwiająca. Ale dzisiaj bardziej interesowało ją, kto na nią czeka na dachu budowli.

Kiedy wyszła z windy, powitała ją Edna.

— Mama.

— Cześć, kochanie. — Bella mocno ją objęła.

Kiedy Bella i Edna szły, strażniczka towarzyszyła im przez cały czas, a za nimi toczył się robot-reporter, lśniąca kula pełna soczewek. Bella musiała się tego spodziewać. Robiła wszystko, aby nie zauważać tego milczącego, nieustannego nadzoru. W końcu był to historyczny dzień. Planując na dzisiaj uruchomienie Bimini, zamierzała zamienić dzień Q w uroczystość, chociaż nastrój, jak wyczuwała, był w tym momencie raczej nerwowy niż uroczysty.

Ogromny dach Budynku Montażu Pojazdów już dawno przekształcono w platformę widokową. Dzisiaj dach był zatłoczony, ustawiono na nim duże namioty i podium, z którego Bella miała wygłosić mowę, a wokół kłębili się ludzie. Był tam nawet mały park, atrapa miejscowej fauny i flory.

Dwaj wysocy, patykowaci mężczyźni, w dziwnych niebiesko-

czarnych szatach, ozdobionych złocistymi słońcami, wpatrywali się w malutkiego aligatora, jak gdyby był najbardziej niezwykłym stworzeniem, jakiego kiedykolwiek widzieli, i może nawet tak było. Patrzyli trochę niepewnie na swoje stopy, a twarze mieli pokryte grubą warstwą kremu przeciwsłonecznego; byli to mnisi nowego kościoła Sol Invictus — misjonarze przybyli z kosmosu.

Edna poruszała się ostrożnym krokiem kosmonautki, która powróciła do strefy normalnej ziemskiej grawitacji i lekko się skrzywiła, gdy poczuła na sobie jaskrawe światło słoneczne i podmuch wiatru. Pełna matczynej troski Bella pomyślała, że jej córka wygląda na zmęczoną i starszą niż jej biologiczne dwadzieścia cztery lata.

— Nie sypiasz dobrze, co, kochanie?

— Mamo, wiem, że teraz nie możemy o tym porozmawiać. Ale wczoraj dostałam wezwanie do sądu. Na twoje przesłuchanie i moje własne.

Bella westchnęła. Walczyła, aby oszczędzić Ednie stawania przed trybunałem.

— Przeżyjemy to.

— Nie wolno ci myśleć, że musisz mnie chronić — powiedziała Edna trochę sztywno. — Spełniłam swój obowiązek, mamo. Gdybym znów dostała taki rozkaz, uczyniłabym to samo. Kiedy będę zeznawała przed sądem, powiem prawdę. — Zmusiła się do uśmiechu. — Zresztą do diabła z tym. Thea nie może się doczekać, kiedy cię zobaczy. Rozbiłyśmy obóz, trochę z dala od tych wielkich namiotów i barów…

Edna objęła w posiadanie kawałek dachu w pobliżu krawędzi. Miejsce było całkowicie bezpieczne, ogrodzone wysokim, zakrzywionym do wewnątrz szklanym murem. Edna rozłożyła koce i rozstawiła składane stoły i krzesła, a także otworzyła kilka koszy. Była już tam Cassie Duflot z dwojgiem dzieci, Tobym i Candidą. Bawiły się z Theą, mającą cztery lata córką Edny i wnuczką Belli.

Ku swemu zaskoczeniu Bella spostrzegła, że w tym rogu dachu obchodzono Boże Narodzenie. Wokół bawiących się zabawkami dzieci leżały papiery i wstążki. W doniczce stała nawet mała sosna. Z uśmiechem przylepionym do zmęczonej twarzy siedział wśród nich starszy mężczyzna w przebraniu Świętego Mikołaja.

Podbiegła Thea.

— Babcia!

— Cześć, Theo. — Bella pozwoliła się objąć za kolana, po czym pochyliła się i przytuliła wnuczkę. Pozostałe dzieci też do niej podbiegły, może pamiętając jak przez mgłę miłą starszą panią, która przywiozła pamiątkę z pogrzebu ich ojca. Ale dzieciaki wkrótce odbiegły, powracając do swoich prezentów.

Święty Mikołaj uścisnął dłoń Belli.

— Jestem John Metternes, pani przewodnicząca — powiedział. —

Latałem z pani córką na *Liberatorze.*

— Tak, oczywiście. Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać, John. Tam, w górze, wykonałeś dobrą robotę.

Chrząknął.

— Miejmy nadzieję, że sędzia też będzie tego zdania. Mam nadzieję, że nie pomyśli pani, że tutaj wtargnąłem, rozumiem, że jest to rodzinne święto…

— Zmusiłam go, żeby wziął urlop — powiedziała Edna trochę kwaśno. — Ten stary dziwak ma obsesję sypiania w *Liberatorze,* jeśli tylko personel techniczny mu na to pozwala.

— Nie daj się jej wyprowadzić z równowagi, John. Dobrze, że tu jesteś. Ale… *Boże Narodzenie,* Edno? To dopiero piętnasty grudnia.

— To w rzeczywistości mój pomysł. — Cassie Duflot podeszła do Belli. — Chodzi o to, że tak naprawdę wciąż nie mamy pewności, jak to dzisiaj będzie, prawda? — Spojrzała na niebo, jakby szukając bomby Q. — To znaczy nie mamy *całkowitej* pewności. A gdyby coś miało pójść nie tak, jak powinno…

— Chciałaś, żeby dzieci miały Boże Narodzenie.

— Uważasz, że to dziwaczny pomysł?

— Nie. — Bella uśmiechnęła się. — Rozumiem, Cassie.

— To je uszczęśliwia — powiedziała Edna. — I co gorsza, jeżeli dzisiaj świat się nie rozleci, za dziesięć dni będziemy musieli zorganizować to samo.

— Przyciągnęłaś tu spore tłumy, Bello — powiedziała Cassie.

— Na to wygląda…

— Mamo, jeszcze nie widziałaś nawet połowy — powiedziała Edna. Wzięła matkę za rękę i poprowadziła w stronę otoczonej szklanym murem krawędzi.

Stojąc na krawędzi dachu, Bella ujrzała rozciągający się na wschodzie ocean, nad którym Słońce wisiało jak lampa, a na północy i południu kilometrami ciągnące się wybrzeże. Przylądek Canaveral był zatłoczony. Samochody stały wzdłuż brzegu, a ich linia sięgała aż do Beach Road na północy i do wyspy Merritt na południu, zasłaniając stare zakłady przemysłowe i opuszczoną bazę Sił Powietrznych. Wszędzie trzepotały flagi poruszane silnym wiatrem.

A na pełnym morzu zobaczyła szary kształt ponownie wykorzystywanej platformy wiertniczej. Wznosiła się z niej ku niebu podwójna, idealnie prostoliniowa nić, lśniąca w świetle słonecznym.

— Przybyli tu z okazji jej uruchomienia — powiedziała Edna. — Zawsze miałaś w sobie coś z showmana, mamo. Może politycy muszą tacy być. A ponowne otwarcie amerykańskiej windy w dniu dzisiejszym to dobry chwyt. Myślę, że ludzie czują się jak na przyjęciu.

— Och, to jest coś więcej niż kolejna winda kosmiczna.

Zobaczysz.

— Nowa droga w przyszłość, mamo?

— Właśnie wróciłam z konferencji z Bobem Paxtonem i innymi, poświęconej nowym pomysłom dotyczącym metod obronnych. Doniosłym pomysłom. Na przykład programom przekształcania planet.

— Żartujesz.

— Nie. Po prostu mamy wielkie plany. Muszę kiedyś porozmawiać na ten temat z Myrą Dutt. — Spojrzała w niebo. — Musimy coś zrobić z tym Mirem — tym miejscem, do którego udała się matka Myry. Tam także są ludzie. Jeżeli będziemy mogli się z nimi porozumiewać, tak jak zgodnie ze słowami Aleksieja Carela oni mogli na Marsie, z pewnością znajdziemy sposób, aby sprowadzić ich z powrotem…

Nastąpiło jakieś poruszenie. Bella zdała sobie sprawę, że ludzie się do niej zbliżają, że wpatrują się w nią setki oczu i że robot kręci się u jej stóp jak szczeniak. Nawet owi mnisi, pochyleni nad stawkiem z aligatorem, patrzyli na nią, uśmiechając się od ucha do ucha.

Spojrzała na zegarek.

— Myślę, że już czas.

— Mamo, miałaś coś powiedzieć.

— Wiem. Jeszcze minuta. — Popatrzyła na morze, na lśniącą, pionową nić windy. — Edno, zawołaj dzieci, żeby też mogły popatrzeć.

Podbiegły dzieci, ściskając w dłoniach swoje prezenty, a wraz z nimi Cassie i John Metternes, który wziął Theę na ramiona.

* * *

Z platformy wiertniczej wystrzeliła w górę raca, różowa iskra, która lecąc łukiem, ciągnęła za sobą smugę dymu. Wzdłuż toru windy można było dostrzec ruch, świecące kropelki sunęły w górę po jednej z nici. Wokół rozległ się okrzyk radości, który wkrótce podchwyciły tłumy zgromadzone na przylądku Canaveral.

— Działa — wyszeptała Bella.

— Ale co wiezie? — mruknęła Edna, mrużąc oczy. — Daj powiększenie… Do licha, wciąż zapominam, że nie jestem w kosmosie.

— Wodę — powiedziała Bella. — Worki z wodą morską. Zbiorniki zostaną przetransportowane na sam koniec i zrzucone.

— Zrzucone? Gdzie?

— Najpierw na Księżycu. A później na Wenus.

Edna wpatrywała się w windę.

— A gdzie jest zasilanie? Na tej platformie nie widać żadnych instalacji laserowych.

— Bo ich tam nie ma. Nie ma żadnego źródła zasilania, jedynie obrót Ziemi. Edno, to tak naprawdę nie jest winda. To syfon.

Oczy Edny rozszerzyły się ze zdumienia.

Orbitalny syfon stanowił rozwinięcie idei windy kosmicznej, wynikające ze szczególnej mechaniki windy. Poza orbitą geostacjonarną siła odśrodkowa przejawiała tendencję do odpychania przedmiotów od Ziemi. Sztuczka z syfonem miała wykorzystać tę tendencję, umożliwić ładunkom „ucieczkę", a jednocześnie podnieść z powierzchni Ziemi dodatkową masę. W gruncie rzeczy energia obrotu Ziemi była przekształcana w energię ruchu strumienia unoszonych ładunków.

— Więc w ogóle nie trzeba pobierać żadnej energii z zewnątrz — powiedziała Edna. — Uczyłam się o tym. Zawsze uważano, że poważnym problemem będzie nieustanne podawanie materiału — potrzeba by całego konwoju ciężarówek, pracujących dzień i noc, aby zapewnić dopływ ładunku. Ale jeżeli to, co tam wyrzucacie, to woda morska…

— Nazwaliśmy te konstrukcję Bimini — powiedziała Bella.

— Ta nazwa wydaje się odpowiednia. Rdzenni Amerykanie opowiadali hiszpańskiemu żeglarzowi nazwiskiem Ponce de Leon o źródle wiecznej młodości na wyspie Bimini. Wyspy tej nigdy nie odnalazł, ale natrafił na Florydę…

— Źródło młodości?

— Źródło ziemskiej wody przywróci światu młodość. Najpierw Księżycowi, a potem Wenus. Słuchaj, Edno, chciałam, żeby dla Kosmitów był to dowód, że traktujemy całą tę sprawę poważnie. To potrwa stulecia, ale dysponując takimi zasobami, przekształcenie planety po raz pierwszy staje się praktycznie możliwe. A jeśli poziom oceanów na Ziemi trochę się obniży i tempo obrotu planety nieco zmaleje, dzięki czemu inne światy zazielenią się znowu, myślę, że jest to warte takiego poświęcenia, nie sądzisz?

— Myślę, że masz fioła, mamo. Ale to wspaniałe. — Edna chwyciła ją i pocałowała.

Odezwał się Tales.

— Ten kanał jest bezpieczny. Bello, Edno, została jeszcze minuta do chwili największego zbliżenia bomby Q.

Choć kanał był bezpieczny, wieści wkrótce wyciekły na zewnątrz. Po namiotami na dachu budynku i wśród zebranych na przylądku Canaveral tłumów zapanowała cisza. Nagle nastrój się popsuł. Edna wzięła Theę z rąk Johna Metternesa i kurczowo przycisnęła ją do siebie. Bella chwyciła dłoń córki i mocno ją ścisnęła.

Wszyscy utkwili wzrok w górze.

55. Bomba Q

Wybór został dokonany. Bomba już patrzyła w przyszłość, myśląc o końcu swej nowej trajektorii.

Błękitny, rojny świat i wszyscy jego mieszkańcy zostali za nią.

Jak każda dostatecznie zaawansowana maszyna bomba Q była do pewnego stopnia obdarzona wrażliwością. I jej zimną duszę przeniknął żal, kiedy w sześć miesięcy później uderzyła w piaski Marsa, a wszelkie myśli zamarły na zawsze.

56. Mars 2

Listopad 2071 roku

Tu, na Hellesponcie, pył był wyjątkowo obfity, nawet jak na Marsa, prawdziwe muzeum pyłu w układzie słonecznym.

Myra siedziała w pękatym kokpicie z Ellie von Devender, gdy łazik przedzierał się przez ziemne wały i niskie wydmy. Były na południowej półkuli Marsa i jechały przez góry Hellespontu, łańcuch niskich wzgórz, niedaleko zachodniego brzegu kotliny Hellas. Koła łazika wyrzucały w górę ogromne fontanny kurzu, który opadał na przednią szybę, uniemożliwiając wszelką widoczność. Skanery podczerwieni, a nawet radar, były w tych warunkach bezużyteczne.

Myra zajmowała się technologią kosmiczną na tyle długo, by wiedzieć, że musi pokładać wiarę w urządzeniach, które ją chroniły. Łazik wiedział teoretycznie, dokąd jedzie, i znajdował drogę wyłącznie na podstawie obliczeń. Ale taka jazda przed siebie na ślepo kłóciła się z jej instynktem.

— Jednak nie możemy zwolnić — w zamyśleniu powiedziała Ellie. — Nie mamy czasu. — Określała drogę na podstawie danych astronomicznych — nawet nie patrzyła przez okno jak Myra. Ale w końcu jej główne zadanie było znacznie ważniejsze: toczyły się badania, których celem było określenie, jakie szkody wyrządziła bomba Q na Marsie, kiedy spadła tu pięć miesięcy temu, bo choć samo uderzenie spowodowało stosunkowo niewielkie zniszczenia, zasiało ziarno kwintesencji, która wkrótce miała całkowicie unicestwić planetę.

— To przez ten pył — powiedziała Myra. — Nie spodziewałam się takich warunków, nawet na Marsie.

Ellie uniosła brwi.

— Myro, to miejsce cieszy się złą sławą. Tutaj rodzi się wiele ogarniających całą planetę burz pyłowych. Nie wiedziałaś o tym? A więc witaj w Centrali Pyłów. W każdym razie wiesz, że musimy się spieszyć. Jeżeli nie odnajdziemy tej starej w setne urodziny, sprawimy zawód sentymentalnie nastawionej ludności całego świata. — Całkowicie rozluźniona wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Miała rację. Ponieważ wszyscy czekali na wyczerpujące wiadomości dotyczące katastroficznej wizji przyszłości planety, elektroniczne spojrzenie całego świata było zwrócone na Marsa i Marsjan. Było życzliwe lub chorobliwe, zależnie od punktu widzenia. A spośród wszystkich gorączkowych działań przed ostateczną

ewakuacją tego świata, nic tak nie pobudzało wyobraźni ogółu, jak to, co Jurij cynicznie nazwał „poszukiwaniem skarbów".

Mars był zawalony pozostałościami z pionierskiego okresu bezzałogowej eksploracji układu słonecznego, siedemdziesięciu lat triumfów i gorzkich rozczarowań, które znalazły swój kres, gdy Bob Paxton pozostawił pierwszy ślad ludzkiej stopy na czerwonej planecie. Większość bezczynnych sond i bezużytecznych łazików oraz rozrzucone szczątki wciąż spoczywały w pyle, tam gdzie je porzucono. Pierwsi koloniści na Marsie nie mogli marnować energii, zbierając trofea, musieli patrzeć w przyszłość. Ale teraz, gdy okazało się, że Mars może już nie mieć żadnej przyszłości, rozległy się gromkie głosy, aby odzyskać tyle owych cennych reliktów, ile się da.

Nie była to praca, która wymagała wielkich specjalistycznych umiejętności w warunkach panujących na Marsie, było to więc idealne zadanie dla Myry. Ze względów bezpieczeństwa nie mogła jednak tych dalekich wypraw łazikiem odbywać sama, przydzielono jej więc do towarzystwa Ellie, która była fizykiem, nie zaś specjalistką od spraw Marsa. Ellie była całkiem zadowolona, że jedzie razem z nią; mogła równie dobrze kontynuować pracę w poruszającym się łaziku, jak na stacji Lowella czy Wellsa. Powiedziała, że tak jest nawet lepiej, bo to ją mniej rozprasza.

Oczywiście praca Ellie była daleko ważniejsza niż polowanie na jakieś trofea. Ellie pracowała z grupą fizyków i kosmologów nad przewidywaniem tego, co ma się stać z Marsem. W tym momencie przeglądała obrazy dalekich gwiazd. Z tego co Myra była w stanie pojąć, najlepsze dane pochodziły nie z samego Marsa, lecz z badań nieba. Chociaż było to trudne do zinterpretowania, dalekie gwiazdy nie wyglądały teraz z Marsa tak samo jak z Ziemi. Myra zupełnie nie pojmowała, jak to jest możliwe.

Tak czy owak program poszukiwania szczątków dawnych wypraw badawczych odnosił sukcesy. Przy pomocy map orbitalnych Myra i inni zdołali dotrzeć do *Vikingów* oraz fragmentów wielotonowych konstrukcji z czasów Zimnej Wojny, które wciąż spoczywały na suchych, skalistych pustyniach, gdzie je pozostawiono. Słynny *Pathfinder* został wydobyty ze „skalnego ogrodu" na Ares Vallis — to akurat było łatwe; było to niedaleko Portu Lowella, miejsca lądowania pierwszego lotu załogowego. Myra wiedziała, że Brytyjczycy są zainteresowani odzyskaniem fragmentów *Beagle 2,* misternie skonstruowanej, pomysłowej sondy, która nie przetrwała podróży na Isidis Planitia. Poza tym odnaleziono łaziki badawcze, *Spirit* i *Opportunity,* zniszczone podróżami, które znacznie przekraczały ich założoną wytrzymałość. Wszystkie te artefakty miały się następnie znaleźć na Ziemi i na Księżycu.

Wyprawy te miały także cel naukowy. Interesowano się, jak

materiały syntetyczne wytrzymały stuletni pobyt w warunkach panujących na Marsie. Miejsca lądowań były interesujące same w sobie, w przeciwnym razie sondy nie zostałyby tam wysłane. Tak więc Myra i Ellie realizowały ostatni program naukowy zbierania próbek, sporządzania map i wykonywania wierceń.

Czyniono wysiłki, aby odzyskać niektóre starsze sztuczne satelity, nadal okrążające Marsa, ale od dawna milczące. Nastąpiło powszechne rozczarowanie, kiedy odkryto, że *Mariner 9,* pierwszy sztuczny satelita Marsa, zniknął; jeżeli przetrwał do lat czterdziestych, z pewnością pochłonęła go burza słoneczna, która wywołała ekspansję atmosfery Marsa.

Myra była zadowolona, że ma do roboty coś konstruktywnego. Ale nie spodziewała się takiej intensywnej kontroli, każdy jej ruch śledziła widownia obejmująca cały świat. Załogom obiecano, że z kabiny łazika nie będą przekazywane żadne obrazy. Ale Myra pamiętała, że do systemów łazika łatwo się włamać, można ją było obserwować przez cały czas.

Dzień mijał i światło, już i tak przyćmione wskutek wzbijanych przez łazik tumanów pyłu, zaczęło blednąć. Myra obawiała się, że w szybko zapadającej ciemności mimo wszystko nie odnajdą wraku *Marsa 2*.

Nagle Ellie odchyliła się do tyłu, wpatrując się w skomplikowany wykres na ekranie.

Myra przyjrzała się jej. Poznała tę nerwową kobietę na tyle dobrze, że wiedziała, iż nie pozwala sobie na okazywanie żadnych emocji oprócz irytacji. To wpatrywanie się w ekran oznaczało u Ellie prawdziwy wybuch.

— O co chodzi?

— No, mamy to. — Ellie postukała w ekran. — Los Marsa. Rozgryźliśmy to.

— Świetnie. Więc możesz prostymi słowami powiedzieć, co to oznacza?

— Nawet będę musiała to zrobić. Zgodnie z otrzymaną informacją za parę godzin mam wziąć udział w światowej konferencji prasowej, poświęconej tej kwestii. Oczywiście matematyka jest zawsze łatwiejsza. Bardziej dokładna. — Zmrużyła oczy myśląc. — Powiem to tak. Gdybyśmy mogli widzieć niebo i gdybyśmy dysponowali dostatecznie silnym teleskopem, zobaczylibyśmy, że dalekie gwiazdy oddalają się coraz szybciej, jak gdyby ekspansja wszechświata nagle przyspieszyła. Ale z Ziemi tego nie zobaczylibyśmy.

Myra zastanowiła się nad tym, co usłyszała.

— I co to oznacza?

— Bomba Q jest bronią kosmologiczną. Wiedzieliśmy to od samego początku. Bronią opartą na technologii Pierworodnych

stwarzania wszechświatów. Tak?

— Tak. Więc…

— Więc wyrzuciła Marsa w jego własny, mały kosmos. Jakby pączkujący. W tym momencie ten niemowlęcy kosmos Marsa jest połączony z jego kosmosem macierzystym. Ale to dziecko się oddzieli, pozostawiając Marsa samego.

Myra usiłowała to zrozumieć.

— Samego we własnym wszechświecie?

— Właśnie. Żadnego Słońca, żadnej Ziemi. Tylko Mars. Widać stąd, że ta broń miała na celu oddzielenie kawałka Ziemi. Wywołałoby to globalne zniszczenia, ale samą planetę pozostawiłoby prawie nietkniętą. Ale dla Marsa była zbyt potężna. I zniszczy ten mały świat doszczętnie. — Wyszczerzyła zęby w uśmiechu, ale spojrzenie miała niewesołe. — W tym nowym wszechświecie będzie zupełnie samotny. I zimny. Ale to nie potrwa długo. Wszechświat niemowlęcy ulegnie implozji. Chociaż od wewnątrz będzie to wyglądało jak eksplozja. To model w zmniejszonej skali Wielkiego Rozdarcia, które pewnego dnia rozerwie nasz wszechświat. Takie Małe Rozdarcie, jak sądzę.

Myra zaczęła się zastanawiać, ale nie próbowała drążyć paradoksu implozji i eksplozji.

— Skąd to wszystko wiesz?

Ellie pokazała na ciemne niebo.

— Na podstawie szybszego oddalania się gwiazd, które obserwujemy za pomocą teleskopów na Marsie, a którego nie widać z Ziemi. To oczywiście złudzenie. W rzeczywistości wszechświat Marsa zaczyna się oddalać od jego wszechświata macierzystego. Albo na odwrót.

— Ale nadal możemy uciec z jego powierzchni. W przestrzeń kosmiczną i na Ziemię.

— Och, tak. Na razie. Między tymi wszechświatami istnieje płynne połączenie. — Zerknęła na ekran, przewijając jego zawartość, aby zobaczyć więcej wyników. — Faktycznie to będzie fascynujący proces. Narodziny wszechświata niemowlęcego wewnątrz naszego układu słonecznego! Dzięki temu dowiemy się więcej o kosmologii niż w ciągu całego stulecia. Zastanawiam się, czy Pierworodni zdają sobie sprawę, jak wiele nas nauczyli…

Myra rozejrzała się niespokojnie po kabinie. Jeśli je obserwowano, ten chłodny, akademicki wywód nie zabrzmiał zbyt dobrze.

— Ellie. Wróć na chwilę w szeregi zwykłych ludzi.

Ellie spojrzała na nią ostro. Ale dała za wygraną.

— Przepraszam.

— *Jak długo?*

Ellie znów spojrzała na ekran i jeszcze raz przewinęła jego

zawartość.

— Dane są jeszcze niekompletne. Trudno powiedzieć. Uwzględniając dopuszczalne granice, jesteśmy jakieś trzy miesiące przed oddzieleniem.

— Więc Marsa trzeba ewakuować do lutego, tak?

— Tak jest. A potem może jeszcze dalsze trzy miesiące, zanim wszechświat niemowlęcy ulegnie implozji.

— I to będzie koniec Marsa. — A więc jeszcze tylko sześć miesięcy do końca świata mającego pięć miliardów lat. — Co za draństwo — powiedziała.

— Tak. Hej, popatrz. — Ellie wskazywała pogniecioną, pokrytą pyłem płachtę, wystającą z czerwonej ziemi. — Myślisz, że to spadochron?

— Łazik, stop. — Pojazd zatrzymał się z szarpnięciem i Myra wyjrzała na zewnątrz. — Powiększenie… Chyba masz rację. Może odsłoniły go podmuchy wiatru. Co pokazuje sonar?

— Spójrzmy. Łazik…

I oto pojawił się przed ich oczyma, zagrzebany kilka metrów pod nawianym, marsjańskim pyłem, przysadzisty kształt, dobrze widoczny na ekranie sonaru.

— *Mars 2* - powiedziała Myra.

Mars 2 był sowiecką sondą, która wystartowała na planetę w 1971 roku, stanowiąc fragment wyścigu kosmicznego, w którym brał udział amerykański *Mariner 9*. Sonda próbowała wylądować podczas najgorszej burzy pyłowej, jakiej astronomowie kiedykolwiek byli świadkiem.

— Wygląda jak kwiat — szepnęła Ellie. — O czterech płatkach.

— To była metalowa kula rozmiarów domowej lodówki. Te płatki miały się otworzyć i ustawić ją we właściwym położeniu, bez względu na to, jak by wylądowała.

— Wygląda na to, że jej los przypieczętował poskręcany spadochron. Po tym jak odbyła taką długą drogę…

Mars 2 nie rozbił się przy lądowaniu i był pierwszym wysłanym przez człowieka pojazdem, który dotknął powierzchni planety. I spadł w tym miejscu dokładnie sto lat wcześniej, w listopadzie 1971 roku.

— Udało im się. I nam też.

— Tak. A teraz spoczywa pod dwumetrową warstwą pyłu. — Ellie odpięła pasy bezpieczeństwa i wstała z krzesła. — Przynieś łopatę.

57. Babilon

Kiedy kapitan Nathaniel Grove dowiedział się w Troi, że Bisesa Dutt powróciła do Babilonu, pospieszył tam wraz z Benem Batsonem.

Przy Bramie Isztar spotkali Eumenesa, wciąż żyjącego chiliarchę coraz bardziej kapryśnego Aleksandra.

— Bisesa jest w Świątyni Marduka — oznajmił swoją koturnową angielszczyzną. — Nie zamierza jej opuścić.

Grove skrzywił się.

— Mogłem się tego spodziewać. Już kiedyś miała podobne załamanie. Kiepska sprawa, kiepska sprawa. Możemy ją zobaczyć?

— Oczywiście. Ale najpierw musimy odwiedzić innego, hm, pustelnika, i to, obawiam się, nie z własnej woli. Prosił, aby się z wami spotkać, gdybyście wrócili do Babilonu. W istocie prosił o spotkanie z kimkolwiek, jak on to nazywa, „z nowej generacji".

Okazało się, że tą osobą jest Ilicius Bloom, „konsul" z Chicago. Tuż koło murów miasta, niedaleko Bramy Isztar, strażnicy Aleksandra trzymali go w klatce.

Klatka była wyraźnie przeznaczona dla zwierząt. Była wystawiona na działanie czynników atmosferycznych i zbyt mała, aby Bloom mógł stanąć w pozycji wyprostowanej. Obok klatki stał strażnik, jeden z falangistów Aleksandra, najwyraźniej znudzony. W tylnej części klatki wisiało coś, co wyglądało jak zwierzęca skóra, pomarszczona i sucha.

Przykucnięty, odziany w brudne łachmany, z jasnymi oczami w usmolonej twarzy, Ilicius Bloom dygotał i kaszlał, choć dzień nie był zimny, a smród świeżych odchodów sprawił, że Grove aż się cofnął. Bloom był wyraźnie wdzięczny, że może się z nimi zobaczyć, ale zarazem zdawał sobie sprawę z przyczyny reakcji Grove'a.

— Nie powinniście myśleć, że to ja. Trzymali tu przedtem małpoluda. Zapchloną sukę. — Pogrzebał w ziemi. — Popatrzcie na to, to kosmyk włosów tego małpoluda! — Cisnął nim o żelazne pręty klatki. — W nocy przychodzą szczury i to wcale nie jest zabawne. Zgadnijcie, gdzie umieścili tę małpę. W świątyni, razem z tą zbzikowaną Dutt. Dacie wiarę? Słuchaj, musisz mi pomóc, Grove. Długo tu już nie wytrzymam, musisz się tym zająć.

— Uspokój się, człowieku — powiedział Grove. — I powiedz nam, dlaczego tu jesteś. Wtedy może będziemy mieli szansę cię stąd wyciągnąć.

— No to życzę powodzenia. Aleksander planuje wojnę.

— Wojnę? Z kim?

— Z Ameryką. Europa mu nie wystarcza, jakże mogłaby, skoro wie, że są jeszcze całe kontynenty do podbicia? Ale jedynym źródłem informacji na temat Ameryki, czy raczej Chicago, jestem ja.

— Och. Więc on cię przesłuchuje.

Bloom uniósł dłonie z zakrwawionymi palcami.

— Można to tak nazwać. Naturalnie zachrypłem od ciągłego mówienia. Proszę nie traktować mnie z góry, kapitanie Grove. Nie jestem oficerem brytyjskiej armii. A poza tym nie wiem, jaka to różnica. Widział pan ostatnio Aleksandra? Nie wierzę, aby ten spuchnięty brutal miał żyć jeszcze długo, a tym bardziej kierować wojną po drugiej stronie Atlantyku. Powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem, a kiedy zażądał więcej, zacząłem kłamać. Cóż innego mogłem zrobić?

— Ale jemu nigdy nie było dosyć, nigdy. Popatrzcie na to. — Niezdarnie poruszył się w klatce. Przez cienki, brudny materiał koszuli Grove zobaczył na jego grzbiecie ślady od uderzeń batem. — I na to! — Szponiastą dłonią wskazał wiszącą na ścianie klatki skórę.

Ben Batson zapytał:

— Co to jest?

— Wiecie, że ją kochałem — powiedział Bloom.

— Kogo, człowieku? — cierpliwie pytał Grove. — Kogo kochałeś?

— Isobel. Chyba pamiętasz, Grove, dziewczynę z Gnojowiska. Urodziła mi bachora! Och, byłem okrutny, byłem samolubny, ale to ja, Ilicius Bloom. — Roześmiał się i pokręcił głową.

— A mimo to ją kochałem, najlepiej jak umiała moja pełna wad dusza. Naprawdę.

— Oczywiście uczynili to, żeby mnie złamać — wyszeptał Bloom, wpatrując się w Grove'a. — Dwaj żołnierze. Zrobili to na moich oczach. Obrali ją jak winogrono. *Pozbawili ją twarzy.* Obdarta ze skóry, żyła jeszcze przez długie minuty. Każdy cal jej ciała musiał być źródłem straszliwych męczarni, pomyślcie tylko! A potem…

Batson popatrzył na kawałek skóry.

— Wielkie nieba, kapitanie! Chyba…

— Chodźmy — powiedział Grove, odciągając go w tył.

Bloom wpadł w panikę.

— Widzicie, jak mnie załatwili. Porozmawiajcie z Eumenesem. Powiedzcie burmistrzowi Rice'owi. Och, jakże chciałbym znów usłyszeć amerykańską mowę! Proszę, Grove… — Udało mu się wysunąć całą rękę przez pręty klatki. Strażnik jakby od niechcenia trzasnął go płazem miecza. Bloom zawył i cofnął się.

Eumenes odciągnął Grove'a i Batsona.

— Ilicius Bloom to już trup. Sam wpędził się w kłopoty, kiedy próbował się targować z Aleksandrem o te strzępki informacji, jakie posiadał. Potem pogrążył się ostatecznie swymi kłamstwami. Już byłby w grobie, gdyby utrzymywanie go przy życiu nie było takie tanie. Jeśli chcecie, załatwię audiencję u Aleksandra w sprawie losu, jaki go czeka, ale ostrzegam, że prawdopodobnie nie przyniesie to

niczego dobrego, a sami możecie znaleźć się w niebezpieczeństwie… Jednak najpierw — powiedział — musicie odwiedzić Bisesę Dutt.

58. Odłączenie

27 lutego 2072 roku

Wahadłowiec spoczywał na brunatnej pokrytej pyłem równinie. Blada tarcza Słońca wędrowała po pomarańczowym niebie; tutaj, na Xanthe Terra, zbliżało się południe. Statek miał kształt podwójnego stożka, był gruby i niezgrabny. Znajdował się na końcu długiego, wyżłobionego w pyle śladu, pozostałości po lądowaniu ślizgiem. W tej chwili stał na ogonie, jakby gotów do startu na orbitę. Jego spód, pokryty ciemnymi płytkami, stanowiącymi osłonę termiczną, był porysowany od licznych wejść w atmosferę, a farba wokół dysz korygujących łuszczyła się. Obok stały łaziki, których wijące się ślady ginęły na horyzoncie. Włazy znajdujące się w brzuchu wahadłowca były otwarte, a mężczyźni, kobiety i pająkowate roboty pracowali, wciągając pakunki do luku towarowego.

Stojąc w skafandrze kosmicznym, Myra pomyślała, że ten statek nie wyróżnia się niczym szczególnym. Był to zwyczajny pojazd orbitalny, który taką podróż odbywał wielokrotnie.

Ale był to ostatni statek kosmiczny, jaki miał opuścić powierzchnię Marsa.

Myra wiedziała, że jest to symboliczna chwila. Większość mieszkańców Marsa wraz ze swymi bagażami już dawno wyjechała. Rozmaite układy sztucznej inteligencji, które znajdowały się w bazach, łazikach i niektórych urządzeniach, zostaną, na ile to możliwe, uratowane, zgodnie z prawem do ochrony, przysługującym wszystkim osobom prawnym, ostatnie ich kopie zostały przesłane do zewnętrznych banków pamięci. Ale nic nie mogło bardziej chwycić za serce niż widok ostatniej paczki ładowanej do ostatniego statku, ostatniego śladu ludzkiej stopy, ostatniego zamykanego włazu.

Dlatego kamery otaczały statek ze wszystkich stron. I dlatego chiński delegat stał w grupce ludzi, z dala od innych. I dlatego gorączkowe prace załadunkowe zostały wstrzymane, kiedy pojawiła się Bella Fingal, zdymisjonowana przewodnicząca Światowej Rady Kosmicznej, która w skafandrze chyba o dwa lub trzy numery za dużym stała otoczona małym tłumem.

— Jedna godzina — odezwał się w hełmie Myry cichy automatyczny głos. Po reakcji pozostałych zorientowała się, że wszyscy usłyszeli to samo ostrzeżenie. Pozostała jedna godzina do opuszczenia Marsa, zanim wydarzy się coś niewyobrażalnego.

Myra cofnęła się, dołączywszy do małej grupy ludzi, którzy w

skafandrach wyglądali jak grube, zielone bałwany. Bella powiedziała:

— Szkoda, że ten ostatni start nie może się odbyć z Portu Lowella. — W rzeczywistości znajdowali się pięćdziesiąt kilometrów od Lowella, na Xanthe Terra, na stanowisku startowym usytuowanym na skraju Vastitas Borealis. — Byłoby bardziej stosowne, gdyby ten ostatni start odbywał się w miejscu, gdzie Bob Paxton i jego załoga po raz pierwszy wylądowali na Marsie.

— Może moglibyśmy tak to zorganizować, gdyby Lowell wciąż nie był radioaktywny — dość ostro powiedział Jurij O'Rourke. Zawołał Hanse'a Critchfielda, który dumnie trzymał tacę, na której leżały jakieś materiały. — Pani przewodnicząca, proszę — powiedział bezceremonialnie. — Oto wybór materiałów naukowych, które zebraliśmy w ciągu ostatnich miesięcy. Proszę spojrzeć. Próbki z wielu stanowisk geologicznych, od południowych wyżyn do północnych równin i stoków wielkich wulkanów. Fragmenty lodowego rdzenia czap polarnych, mają one dla mnie szczególną wartość. I może najcenniejsze ze wszystkiego, próbki marsjańskiego życia. Są to relikty przeszłości, proszę spojrzeć, mamy nawet skamieniałość wydobytą z osadu na dnie jeziora i występujące obecnie miejscowe organizmy oraz próbki transgenicznych form życia, z którymi eksperymentowaliśmy.

Grendel Speth powiedziała oschle:

— Marsjanie nadający się do spożycia.

Bella Fingal była drobną, zmęczoną kobietą, która dobiegała sześćdziesiątki. Robiła wrażenie rzeczywiście wzruszonej tym gestem. Uśmiechnęła się zza wizjera skafandra.

— Dziękuję.

Jurij powiedział:

— Jest mi przykro, że nie możemy pani ofiarować flakonika z wodą z kanałów. Albo nogi marsjańskiej machiny wojennej.

Albo jaja złożonego przez księżniczkę… i szkoda, że nie mogę pani pokazać szybowca Wernera von Brauna. Był to pierwszy poważny projekt odbycia podróży na Marsa. Taki szybowiec nie miałby problemów na gładkim lodzie na biegunach. A jeśli chodzi o przyszłość, przykro mi, że nie ujrzy pani przyszłości Marsa. Dojrzały świat ludzi, uczestniczący w międzyplanetarnym życiu gospodarczym i politycznym…

Myra dotknęła jego ramienia i zamilkł.

Bella uśmiechnęła się.

— Tak. To już koniec historii, prawda? Żadnych więcej marzeń o Marsie. Ale my nie zapomnimy, Jurij. Mogę cię zapewnić, że badania Marsa będą kontynuowane, nawet jeśli sama planeta przestanie istnieć. Nadal będziemy się uczyć o Marsie i usiłowali zrozumieć.

— A w tym ostatnim momencie pragnę jeszcze raz wam

powiedzieć, dlaczego było warto, nawet takim strasznym kosztem.

Powiedziała, że z Cyklopa nadeszły nowe wyniki.

* * *

Wielkie obserwatorium zostało zaprojektowane jeszcze przed burzą słoneczną i jego celem było poszukiwanie planet podobnych do Ziemi. Po burzy, a zwłaszcza po powrocie Ateny, wielkie teleskopy Fresnela zostały skierowane w głąb przestrzeni międzygwiezdnej.

Bella powiedziała:

— I wszędzie, gdzie patrzyli astronomowie, widzieli uchodźców.

Teleskopy Cyklopa wykryły w podczerwieni ślady całej generacji statków kosmicznych, wolnych, dużych ark, podobnych do chińskich statków; całe cywilizacje ratowały się ucieczką. Widziano też ogromne, lekkie statki z żaglami o rozpiętości setek kilometrów, które sunęły popychane światłem wybuchających gwiazd. Wykryto nawet wysyłane w wąskim paśmie sygnały laserowe, które mogły stanowić ślady prób teleportacji, rozpaczliwych usiłowań przesłania esencji życia zakodowanej w sygnale radiowym.

Myra była zaszokowana. W każdej z tych krótkich informacji kryła się cała historia.

— To robota Pierworodnych. Są wszędzie. I wszędzie robią to, co próbowali zrobić z nami, z Marsjanami i na Procyonie, *wyplenić życie*. Dlaczego?

— Gdybyśmy to wiedzieli — powiedziała Bella — gdybyśmy zrozumieli Pierworodnych, moglibyśmy dać sobie radę z zagrożeniem, jakie stanowią. Taka będzie nasza przyszłość, obojętnie jak daleko się znajdziemy. I w taki sposób znaleźliśmy się w tej sytuacji, na tej opustoszałej plaży. — Bella podała swemu współpracownikowi tacę z próbkami i zrobiła krok w tył. — Czy ci z was, którzy teraz wyjeżdżają, zechcą stanąć u mego boku?

Zgłosiła się większość obecnych, w tym Ellie von Devender, Grendel Speth, Hanse Critchfield. Pozostali na miejscu Myra, Jurij i Paula Umfraville. Chińczycy także się nie ruszyli. Jeden z nich zbliżył się do Belli i jeszcze raz jej powiedział, że zamierzają zostać, aby się opiekować pomnikami, które wznieśli swym braciom, poległym podczas burzy słonecznej.

Bella stanęła naprzeciw nich.

— Jak rozumiem, macie mnóstwo zapasów — żywność, energię — aby przeżyć do chwili, gdy…

Jurij powiedział:

— Tak, pani przewodnicząca. Zatroszczyliśmy się o wszystko.

— Niezupełnie rozumiem, jak będziecie się mogli porozumiewać, na przykład Lowell ze stacją polarną. Czy nie stracicie satelitów komunikacyjnych, kiedy nastąpi odłączenie?

— Ułożyliśmy linie naziemne — powiedziała Paula pogodnie. — Wszystko będzie dobrze.

— *Dobrze?* - Bella zmieniła się na twarzy. — Nie użyłabym takiego słowa. — Powiedziała impulsywnie: — Proszę, jedźcie z nami. Wszyscy. Nawet teraz jeszcze jest czas, aby zmienić zdanie. W wahadłowcu jest miejsce. A moja córka czeka na orbicie w *Liberatorze,* gotowa, aby zabrać was do domu.

— Dziękujemy — powiedział Jurij spokojnie. — Ale już podjęliśmy decyzję. Ktoś musi zostać. Muszą być świadkowie. A poza tym, pani przewodnicząca, to jest mój dom.

— Tutaj pochowana jest moja matka — powiedziała Paula Umfraville. — Nie mogę jej zostawić. — Jej uśmiech był, jak zawsze, oficjalny.

— Ja także straciłam tutaj matkę — powiedziała Myra. — Nie mogłabym wyjechać, nie rozwiązawszy tego problemu.

Bella stanęła naprzeciw Myry.

— Wiesz, że uczynimy wszystko, co w naszej mocy, w oparciu o kontakt, który nawiązaliśmy z Mirem. Daję ci na to moje słowo i dopilnuję, aby ta obietnica została dotrzymana.

— Dziękuję — powiedziała Myra.

— Ale ty się udajesz do jeszcze dziwniejszego miejsca, nieprawdaż? Czy jest ktoś, z kimś chciałabyś, abym porozmawiała?

— Nie. Dziękuję pani. — W ciągu wielu miesięcy po uderzeniu bomby Q, Myra dziesiątki razy próbowała się skontaktować z Charlie i Eugene'em. Bez rezultatu. Ale w końcu opuścili jej własny wszechświat dawno temu. Uporządkowała swoje sprawy. Nic jej nie pozostało, tylko Mars.

— Z całym szacunkiem, pani przewodnicząca, musi pani startować — powiedział Jurij, spojrzawszy na zainstalowany w kombinezonie chronometr.

Wokół wahadłowca nastąpiło nagłe ożywienie, kiedy odrzucono drabiny i zamknięto włazy. Myra jeszcze raz się uściskała z Ellie, Grendel i Hanse'em, z Chińczykami, a nawet z Bellą Fingal. Ale skafandry sprawiły, że uściski były niezdarne i pozbawione fizycznego kontaktu.

Bella jako ostatnia stanęła u stóp krótkiej pochylni prowadzącej do wnętrza. Rozejrzała się wokół.

— To jest koniec Marsa — powiedziała. — Popełniono tutaj straszną zbrodnię i my, ludzie, jesteśmy w nią zamieszani. To okropne brzemię, które będziemy dźwigać, my i nasze dzieci. Ale nie wydaje

mi się, że odjeżdżamy ze wstydem. W ostatnim stuleciu na Marsie wydarzyło się więcej, niż w ciągu minionego miliarda lat i wszystko, co dobre, było wynikiem działań człowieka. Musimy to zachować w pamięci. I musimy zachować w pamięci utraconego Marsa z miłością, nie ze wstydem. — Spojrzała na czerwony pył pod stopami. — To chyba wszystko.

Szybko weszła po pochylni, która podniosła się i zamknęła.

* * *

Myra, Paula i Jurij musieli szybko wracać do łazika, który po chwili oddalił się wraz z nimi na bezpieczną odległość od miejsca startu. Kiedy się zatrzymał, znowu wygramolili się na zewnątrz.

Stanęli w rzędzie, Myra między Jurijem i Paulą, trzymając się za ręce. Otaczał ich mały tłumek automatycznych kamer, które tańczyły wokół nich.

Kiedy nadeszła chwila startu, wahadłowiec uniósł się w górę bez problemu. Siła ciążenia na Marsie była niewielka, zawsze było łatwo wydostać się z jej zasięgu. Pył wzbił się w górę i szybko opadł w rzadkim powietrzu na ziemię, a wahadłowiec szybko malał na tle pomarańczowo-brązowego nieba, był już tylko bladą plamką, za którą ciągnęła się ledwie widoczna smuga kondensacyjna.

— I to by było tyle — powiedziała Paula. — Jak długo jeszcze będzie jasno?

Jurij już miał spojrzeć na zegarek, ale po chwili zmienił zdanie.

— Niedługo. Chcecie wracać do łazika, żeby pozbyć się skafandrów?

Nikt nie chciał. Wydawało im się, że powinni zostać na zewnątrz, na marsjańskiej ziemi, pod tym niesamowitym, pozbawionym błękitu niebem.

Myra rozejrzała się wokół. Otaczała ich płaska pustynia, a w oddali majaczyły niewielkie wzgórza. Ale w głębokim rowie, niedaleko miejsca, gdzie stali, pieniła się jakaś zielona roślinność podobna do mchu. Życie, które powróciło na Marsa w wyniku burzy słonecznej i które pielęgnowali ludzie. Przytuliła się do towarzyszy.

— To sen, który ludzie śnili miliony lat: tak stać tutaj i patrzyć na to.

Jurij powiedział:

— Tak…

I wtedy światło zgasło, tak po prostu, niebo pociemniało, jakby ktoś włączył ściemniacz. Słońce znikło. Niebo przybrało barwę

ciemnobrązową, potem antracytową i w końcu całkowicie czarną.

* * *

Myra stała w ciemności, przywarłszy do Jurija i Pauli. Słyszała, jak wokół terkoczą zdezorientowane kamery. Trwało to zaledwie kilka sekund.

— Mam nadzieję, że kamery zdołały to uchwycić — wyszeptał Jurij.

— Wrażenie jest takie, jak podczas całkowitego zaćmienia Słońca — powiedziała Paula. — Raz pojechałam na Ziemię, żeby zobaczyć. To było dziwnie podniecające…

Myra także czuła się podniecona, jakoś dziwnie poruszona tym pierwotnym, niezwykłym zdarzeniem. *Dziwne światła na niebie.* Ale stojąc w ciemności, poczuła dreszcz strachu, kiedy przypomniała sobie, że Słońce już nigdy, nigdy nie zaświeci na Marsie.

— Więc jesteśmy sami w tym wszechświecie — powiedział Jurij. — My i Mars.

Ziemia lekko zadrżała.

— Trzęsienie Marsa — natychmiast powiedziała Paula. — Spodziewaliśmy się tego. Właśnie znikły wywoływane działaniem Słońca siły pływowe. To minie.

Światła łazika zamigotały, a po chwili zapłonęły równym blaskiem. Rzucały na ziemię jasny krąg światła i przed Myrą pojawił się długi cień.

A przed nią widniało zawieszone w powietrzu koło. Było jak lustro, pełne refleksów świateł łazika. Myra zrobiła krok w przód i zobaczyła, jak zbliża się jej własne odbicie.

Obiekt unoszący się w powietrzu miał około metra średnicy. To było Oko.

— Pieprzone diabelstwo — powiedział Jurij. — Pieprzone diabelstwo! — Schylił się niezdarnie, podniósł garść marsjańskich kamieni i cisnął je w Oko. Kamienie uderzyły w Oko z brzękiem, który ledwo było słychać w rzadkim, zimnym powietrzu.

Ziemia nie przestawała dygotać i mała planeta wydała dźwięk jak dzwon.

Wtedy przed oczyma Myry przesunęła się biała plamka. Patrzyła na nią przez cały czas, jak zmierza ku ziemi, gdzie znikła. Był to płatek śniegu.

59. Świątynia

W Świątyni Marduka wyszedł im naprzeciw Abdikadir Omar.

Wokół świątyni zebrał się niewielki tłum. Niektórzy nawet tam sypiali w małych przybudówkach i namiotach. Wśród nich powoli chodzili handlarze, sprzedając jedzenie, wodę oraz rozmaite świecidełka i święte symbole. Abdi powiedział, że są to pielgrzymi, którzy przybyli aż z Aleksandrii i Judei.

— I są tutaj z powodu Oka Marduka?

Abdi wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Niektórzy przybywają z powodu samego Oka. Inni z powodu Marduka, jeżeli go pamiętają. Jeszcze inni z powodu Bisesy. A niektórzy nawet z powodu małpoluda, który tam jest razem z nią.

— To niezwykłe — powiedział Grove. — Pielgrzymi z Judei przybywają, żeby zobaczyć kobietę z dwudziestego pierwszego wieku!

Eumenes powiedział:

— Czasami zastanawiam się, czy tutaj nie rodzi się zupełnie nowa religia. Kult Pierworodnych i Bisesy Dutt jako ich prorokini.

— Wątpię, czy to wyjdzie im na zdrowie — powiedział Grove.

— Przedtem człowiek lubił niszczyć bogów. Chodźcie. Porozmawiajmy z Bisesą Dutt.

Abdi poprowadził ich przez tłum, a potem przez zawiłe wnętrze świątyni do komnaty Oka.

* * *

Małe pomieszczenie o osmalonych ścianach z cegły wypełniało unoszące się w powietrzu Oko. W świetle lamp olejnych Grove ujrzał swe własne odbicie, groteskowo zniekształcone, jak w gabinecie krzywych luster. Ale samo Oko było ogromne, złowieszcze; wydawało mu się, że czuje jego przyciąganie.

Bisesa zbudowała sobie w rogu komnaty coś w rodzaju gniazda z koców, papieru i fragmentów odzieży. Kiedy Grove i pozostali weszli do środka, uśmiechnęła się i wstała.

Był tam także ów małpolud. Chuda, lecz mocno zbudowana dorosła samica siedziała w kucki w klatce, równie nieruchoma i czujna, jak samo Oko. Miała jasnoniebieskie oczy. Grove odwrócił wzrok przed jej spojrzeniem.

— Wielkie nieba! — powiedział Batson, trzymając się za nos. — Ilicius Bloom nie kłamał, mówiąc, że ten smród nie pochodzi od niego,

ale od małpoluda!

— Można się do tego przyzwyczaić — powiedziała Bisesa. Przywitała się z Batsonem uściskiem dłoni i objęła Grove'a, co wprawiło go w niejakie zakłopotanie. — W każdym razie Chwytaczka ma towarzystwo.

— Chwytaczka?

— Nie pamięta jej pan, Grove? W dniu pojawienia się Nieciągłości pańscy żołnierze schwytali małpę człekokształtną i jej dziecko. Żołnierze nazwali ją Chwytaczka ze względu na sposób, w jaki używała dłoni wiążąc węzły z kawałków słomy. Ostatniego wieczoru przed próbą odesłania mnie na Ziemię poprosiłam, aby je uwolniono. Myślę, że to jest to samo dziecko, które w międzyczasie dorosło. Jeśli te australopiteki żyją tak samo długo jak szympansy, jest to zupełnie możliwe. Daję słowo, że jest zręczniejsza ode mnie.

Grove zapytał:

— Jak, u licha, się tutaj znalazła?

Eumenes powiedział:

— Sama tutaj przyszła. Należała do stada, które prześladowało zachodnie koleje. Idąc wzdłuż linii kolejowej, doszła aż do Babilonu i zaczęła się naprzykrzać rolnikom w gospodarstwach leżących poza miastem. Próbowała sforsować mury miasta. Nie można jej było odpędzić. W końcu złapano ją w siatkę i sprowadzono do miasta, po czym umieszczono na dworze jako kuriozum. Trzymaliśmy ją w klatce Blooma, ale nie przestawała w niej szaleć. Chciała się gdzieś dostać, to było jasne.

— To był mój pomysł — powiedział Abdi. — Wzięliśmy ją na smycz i daliśmy się zaprowadzić tam, gdzie chciała.

— A ona przyszła tutaj — powiedziała Bisesa. — Coś ją tutaj ciągnęło, podobnie jak mnie. Wydaje się tutaj całkiem spokojna, jakby znalazła to, czego pragnęła.

Grove zastanawiał się przez chwilę.

— Pamiętam, jak kiedyś trzymaliśmy tego małpoluda i jego matkę w namiocie rozpiętym nad unoszącym się w powietrzu Okiem, pamiętasz Biseso? Uważałem, że to trochę nie w porządku wobec Oka. Może wtedy to nieszczęsne stworzenie nawiązało z Oczami jakiś kontakt. Ale skąd, u diabła, miałoby wiedzieć, że Oko jest *tutaj!*

— Jest dużo rzeczy, których nie rozumiemy — powiedziała Bisesa. — Delikatnie mówiąc.

Grove przyglądał się legowisku Bisesy z wymuszonym zainteresowaniem.

— Wygląda na to, że jest ci tutaj całkiem dobrze.

— Wszystkie wygody zapewnione — powiedziała. Określenie to zaskoczyło Grove'a. — Mam swój telefon. Szkoda, że Skafander Pięć jest pozbawiony zasilania, bo gdyby nie to, miałabym trochę

liczniejsze towarzystwo. Tu mam chemiczną toaletę wygrzebaną z Małego Ptaka. Abdi donosi mi jedzenie i sprząta. Jesteś moim łącznikiem ze światem zewnętrznym, prawda Abdi?

— Tak — powiedział Grove — ale *dlaczego* tu jesteś?

Eumenes powiedział poważnie:

— Powinieneś wiedzieć, że Aleksander myśli, iż ona próbuje znaleźć sposób wykorzystania Oka dla jego potrzeb. Gdyby nie fakt, że Król wierzy, iż Bisesa służy realizacji jego celów, w ogóle by jej tutaj nie było. Musisz o tym pamiętać, kapitanie, kiedy się z nim spotkasz.

— W porządku. Ale jaka jest prawda, Biseso?

— Chcę wrócić do domu — powiedziała po prostu. — Tak jak to zrobiłam poprzednio. Chcę wrócić do mojej córki i do mojej wnuczki. A to jest jedyny możliwy sposób. Z całym szacunkiem, na Mirze nie na niczego, co jest dla mnie równie ważne.

Grove popatrzył na tę kobietę, osamotnioną matkę, samą wśród tego obcego jej otoczenia.

— Jak wiesz, ja także miałem córkę — powiedział i przeraził się, że jego głos zabrzmiał tak szorstko. — Wrócić do domu. Ty to wiesz. Myślę, że teraz byłaby mniej więcej w twoim wieku. Rozumiem, dlaczego tu jesteś, Biseso.

Uśmiechnęła się i znów go objęła. Niewiele już zostało do powiedzenia.

— No dobrze — powiedział Grove. — Odwiedzę cię znowu. Pozostaniemy w Babilonie jeszcze przez kilka dni. Czuję, że naprawdę powinienem spróbować coś zrobić dla tego nieszczęśnika Blooma. My, współcześni, musimy się trzymać razem.

— Jesteś dobrym człowiekiem, kapitanie. Ale nie narażaj się na żadne niebezpieczeństwo.

— Jestem szczwany lis, więc się o mnie nie bój…

W chwilę potem wyszli.

Grove raz obejrzał się na Bisesę. Chodziła wokół unoszącej się w powietrzu kuli i przyciskała gołą dłoń do powierzchni Oka. Dłoń wydawała się ześlizgiwać na boki, jakby pchana jakąś niewidzialną siłą. Grove czuł podziw dla jej swobodnego sposobu traktowania tego monstrualnego, obcego obiektu.

Odwrócił się. Był rad, że w mroku panującym w korytarzach świątyni może ukryć łzy spływające z jego starczych oczu.

60. Dom

30 marca 2072 roku

Zadzwoniła Paula, korzystając z łącza światłowodowego. Od czasu odłączenia, wielki system sztucznej inteligencji w Nowym Lowellu dopracowywał jej przewidywania dotyczące czasu, kiedy Rozdarcie w końcu dosięgnie Marsa.

— Dwunasty maja — powiedziała Paula. — Około czternastej.

Sześć tygodni.

— No to teraz wiemy — powiedziała Myra.

— Powiedziano mi, że w końcu będą mieli przewidywanie z dokładnością do jednej attosekundy.

— To bardzo pożyteczna informacja — oschle powiedział Jurij.

Paula powiedziała:

— Poza tym pracujemy nad przewidywaniami dotyczącymi stanu twojej elektrowni jądrowej. Chyba zdajesz sobie sprawę, że kończy ci się paliwo.

— Oczywiście — sztywno powiedział Jurij. — Uzupełnianie zapasów byłoby dosyć skomplikowane.

— Przewidujemy, że dociągniesz do chwili Rozdarcia. Ale ledwo, ledwo. W tych ostatnich dniach może być niezbyt przyjemnie.

— Możemy oszczędzać. Tutaj jest nas tylko dwoje.

— OK. Ale tu, w Lowellu, zawsze znajdzie się dla was miejsce.

Jurij spojrzał na Myrę, która uśmiechnęła się w odpowiedzi. Powiedziała:

— Mamy zostawić dom? Nie. Dziękuję ci, Paulo. Skończmy to tutaj.

— Myślałam, że tak powiesz. W porządku. Jeżeli zmienicie zdanie, łaziki są wystarczająco sprawne, aby was stamtąd zabrać.

— Wiem o tym, dzięki — poważnie powiedział Jurij. — Bo jeden z nich jest nasz.

Rozmawiali o tym, co robią i jak sobie radzą.

Marsjańskie lato uległo drastycznemu skróceniu. Słońce znikło dwa miesiące przed środkiem lata i na planecie zaczęła się ostatnia zima.

W pewnym sensie nie miało to wielkiego znaczenia tu, na biegunie, gdzie i tak było ciemno w ciągu połowy roku. Dla Myry największą stratą było to, że nie mogła regularnie ściągać z Ziemi filmów i bieżących wiadomości, a także listów z domu. Samej Ziemi nie brakowało jej tak bardzo jak poczty.

Ale jeśli tu, w Stacji Wellsa, można było oddać się zajęciom właściwym dla zimy, ci, którzy przebywali w Stacji Lowella, w pobliżu równika, nie byli tak przyzwyczajeni do ciemności i kiedy zaczął padać śnieg, przeżyli szok. Nie mieli żadnych urządzeń potrzebnych do przetrwania. Dlatego Jurij i Myra załadowali do jednego z dwóch znajdujących się na biegunie specjalistycznych łazików śnieżnych maty sublimacyjne i inne niezbędne rzeczy. Jeden łazik zostawili w Lowellu, po czym drugim wrócili do Wellsa. Ta podróż, której długość w jedną stronę wynosiła jedną czwartą obwodu planety, w padającym nieustannie śniegu, była przygnębiająca i wyczerpująca. Od tej pory Myra i Jurij nie opuszczali okolic bazy.

— Porozmawiamy znowu — powiedziała Paula. — Trzymajcie się. — Jej obraz zniknął.

Myra popatrzyła na Jurija.

— I to by było tyle.

— Wracajmy do pracy — powiedział.

— Może najpierw kawy?

— Daj mi jeszcze godzinę, a potem uporamy się z obowiązkami domowymi.

— OK.

* * *

Od czasu ostatecznej ewakuacji codzienna praca stała się znacznie trudniejsza. Bez uzupełniania zapasów i dostaw części zamiennych psuł się nie tylko reaktor, lecz także większość pozostałych urządzeń. A teraz było ich tylko dwoje w bazie przeznaczonej dla dziesięciu osób i Myrze, choć uczyła się szybko, brakowało wystarczającego doświadczenia.

Jednak rzuciła się w wir pracy. Tego ranka zajęła się zapychającymi się łóżkami wodnymi i wyczyściła zapaćkany bioreaktor, po czym usiłowała dojść, dlaczego układ odprowadzania wody psuł się niemal codziennie. Miała także zajęcie przy systemach sztucznej inteligencji, kierując przepływem danych naukowych, które nie przestawały nadchodzić, mimo że czujniki stale się psuły w wyniku różnych przyczyn albo po prostu grzęzły w coraz grubszej warstwie śniegu.

Systemy sztucznej inteligencji przeważnie były w stanie pracować niezależnie, same wyznaczając sobie cele naukowe i opracowując programy ich realizacji. Ale dzisiaj był dzień ochrony planetarnej, w którym musiała przeprowadzić normalną kontrolę, aby się upewnić,

czy otaczające stację środowisko jest właściwie próbkowane, monitorując w ten sposób wpływ ich obecności na powierzchnię Marsa. Musiała nawet podpisać jakieś papiery, które miały być złożone w jakiejś ziemskiej agencji. Oczywiście dokumenty te nigdy nie dotrą na Ziemię, ale mimo to je podpisała.

Po około godzinie poleciła systemom sztucznej inteligencji odszukać Jurija. Miał być na zewnątrz, w namiocie mieszczącym urządzenie wiertnicze, konserwując sprzęt, który definitywnie został wyłączony, spełniając w ten sposób obietnicę złożoną Hanse'owi Critchfieldowi. W rzeczywistości był w Puszce nr Sześć.

Zrobiła kawę i zaniosła ją ostrożnie do Szóstki. Kubki przykryła, bo wciąż nie przywykła do jednej trzeciej siły przyciągania ziemskiego i bała się rozlać kawę.

Jurij klęczał na podłodze. Przed nim stały proste sanie, przystosowane do marsjańskich warunków i zaopatrzone w składane koła, które mogły się poruszać po twardym jak bazalt lodzie. Do tego małego pojazdu załadował złożony namiot, razem z pakietami żywności i fragmentami urządzeń, które wyglądały, jakby je wydobyto z aparatury podtrzymującej życie.

Podała mu kawę.

— Co teraz?

Usiadł i zaczął popijać kawę.

— Mam jedno niespełnione marzenie. W rzeczywistości mam ich wiele, ale to nie daje mi żyć.

— Opowiedz mi o nim.

— Samodzielny atak na biegun północny Marsa. Zawsze zamierzałem to zrobić. Wyruszyłbym z krawędzi stałej czapy lodowej, tylko ja sam, w skafandrze i z saniami. Szedłbym ciągnąc sanie, aż dotarłbym do bieguna. Żadnego wsparcia, nic, tylko ja i lód.

— Czy to w ogóle możliwe?

— O tak. To góra tysiąc kilometrów, zależnie od wybranej trasy. Skafander spowalniałby tempo marszu, i żadne skafandry, jakimi dysponujemy, nie mają odpowiedniej wytrzymałości, musiałbym więc wprowadzić pewne udoskonalenia. Ale pamiętaj, że przy jednej trzeciej siły przyciągania ziemskiego mógłbym ciągnąć trzy razy więcej niż na Antarktyce, powiedzmy czterysta kilogramów. A Mars pod pewnymi względami stanowi łatwiejsze środowisko niż okolice biegunów Ziemi. Żadnych śnieżyc, żadnej sadzi.

— Musiałbyś nieść cały zapas tlenu.

— Być może. Albo wykorzystać jedną z tych rzeczy. — Podniósł kilka gadżetów służących do podtrzymywania życia, mały kolektor lodu, zestaw do elektrolizy wody. — W istocie to byłby kompromis. Te zestawy są lżejsze, niż butle z tlenem, ale ich codzienne uruchamianie opóźniłoby mój marsz. Wiem, że to byłby prawdziwy wyczyn, Myro.

Nikt nie próbował zrobić tego wcześniej. Kto się do tego lepiej nadaje niż ja?

— Będziesz musiał sporządzić plan takiej wyprawy.

— Tak. Mogłem to wszystko przemyśleć podczas zimy. Kiedy nadejdzie lato, wybiorę jakiś okres, gdy Ziemia znajduje się nad horyzontem, żeby to wypróbować. Wezmę cały ten sprzęt i sprawdzę jego działanie na lodzie wokół bazy. Ciemność nie będzie miała znaczenia. — Robił wrażenie zadowolonego, że wymyślił to nowe przedsięwzięcie. Ale spojrzał na nią niepewnie. — Myślisz, że mi odbiło?

— Nie bardziej, niż pozostałym. Ja chyba nie wierzę w ten 12 maja. A ty? Żadne z nas nie wierzy, że to kiedykolwiek nastąpi, że spotka nas śmierć. Gdyby tak było, prawdopodobnie nie moglibyśmy działać. To po prostu sprawia, że nasza sytuacja na Marsie jest bardziej… określona.

— Tak. Ale…

— Nie mówmy już o tym — powiedziała stanowczo. Uklękła koło niego na zimnej podłodze. — Pokaż mi, jak zamierzasz spakować to wszystko. Jak będziesz jadł? Będziesz rozbijał namiot dwa razy dziennie?

— Nie. Myślę, że będę go rozbijał wieczorem, a jadł w nocy i rano. Potem, w ciągu dnia, będę mógł wypić coś gorącego przez otwór w skafandrze…

Rozmawiając, snując przypuszczenia, bawiąc się rozmaitymi elementami wyposażenia, planowali wyprawę, podczas gdy mroźny marsjański wiatr tworzył coraz większe zaspy wokół pali, na których spoczywały moduły stacji.

61. Chwytaczka

Chwytaczka jako pierwsza zauważyła tę zmianę w Oku.

Budziła się powoli, jak zawsze chwytając się powoli umykających, niewyraźnych snów o drzewach. Zawieszona między istotą ludzką a zwierzęciem miała jedynie mgliste pojęcie o przeszłości i przyszłości. Jej pamięć była jak galeria pełna żywych obrazów: twarzy jej matki, ciepła gniazda, w którym przyszła na świat. I klatek. Wielu, wielu klatek.

Ziewnęła szeroko, prostując długie ramiona i rozejrzała się wokół. Wysoka kobieta, która dzieliła z nią tę jaskinię, wciąż spała. Na jej spokojną twarz padało światło.

Światło?

Chwytaczka spojrzała w górę. Oko świeciło. Było jak miniaturowe słońce zamknięte w kamiennej komnacie.

Chwytaczką uniosła dłoń w stronę Oka. Nie wydzielało ciepła, tylko świeciło. Wstała, wpatrując się w Oko, z uniesionym ramieniem.

Teraz pojawiło się coś nowego. Świecenie Oka nie było już jednorodne, jaśniejsze poziome pasy na tle szarego tła przypominały układ linii szerokości geograficznej na kuli ziemskiej. Linie te przecinały „równik" Oka i znikały w biegunie północnym. Po chwili pojawił się w taki sam sposób następny układ linii, tym razem pionowych, wybiegających z bieguna po jednej stronie równika i ginących po drugiej stronie. Teraz zabłysnął trzeci układ linii, biegnących pod kątem prostym do dwóch pierwszych. Zmieniająca się, bezgłośna gra szarych prostokątów była piękna, urzekająca.

I wtedy pojawił się *czwarty* układ linii — Chwytaczka próbowała wyśledzić, dokąd biegną — ale nagle poczuła w głowie ostry ból.

Krzyknęła. Nasadą dłoni potarła załzawione oczy. Poczuła ciepło po wewnętrznej stronie ud. Oddała mocz tam, gdzie stała. Śpiąca kobieta poruszyła się.

62. Małe Rozdarcie

12 maja 2072 roku

Rozpoczęli dzień w milczeniu.

Postępowali według ustalonego porządku, który ustalili w ciągu miesięcy, jakie spędzili razem. Mimo to, kiedy Myra się obudziła, pozostało już tylko kilka godzin do Małego Rozdarcia. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogliby jeszcze zrobić.

Jurij musiał zacząć dzień, tak jak to robił codziennie, od wyprawy po lód. System wydobywania wody ostatecznie przestał działać. Dlatego Jurij musiał codziennie wychodzić na zewnątrz do rowu, który kopał w lodzie i prowizorycznym kilofem rozbijać kawały lodu, które potem zanosił do środka, żeby się roztopiły. W rzeczywistości nie było to takie trudne; uwarstwiony lód przypominał drobnoziarnisty piaskowiec i łatwo pękał. Kiedy lód znalazł się wewnątrz, z cieczy powstałej po jego roztopieniu musieli odfiltrować zawarty w niej pył.

Kiedy Jurij z tym się uporał, znikł, aby wykonać, jak to określał, robotę Hanse'a, kontrolując działanie elektrowni, układu wentylacyjnego oraz innych systemów, które zapewniały im przetrwanie. Wyszedł, pogwizdując. Wczoraj zdobył coś, na co czekał. Pojawił się niepilotowany łazik wysłany przez załogę Nowego Lowella. Paula i tamtejsza załoga stopniowo wygrzebywali rozmaite urządzenia z radioaktywnych ruin Lowella. Jurij był zadowolony z tego, co znalazł w ostatniej dostawie, i tego ranka nie mógł się doczekać, kiedy się zabierze do roboty.

Odesłał łazik z powrotem, chociaż jego podróż miała zająć kilka dni. Jurij wydawał się myśleć, że ich obdarzone swoistą wrażliwością maszyny muszą stale mieć jakieś zajęcie, podobnie jak ich panowie, a Myra nie widziała powodu, aby się z nim spierać.

Myra także zabrała się do pracy. Miała do wykonania jedno zadanie, które zostawiła sobie na dzisiaj.

Wcisnęła się w skafander, jak zawsze w pełni respektując wszystkie zasady ochrony planetarnej, i poszła do małego ogrodu pod gołym niebem, w którym rośliny próbowały przetrwać nową marsjańską zimę. Jej stałym zadaniem było usuwanie śniegu, który gromadził się każdego dnia. Używała do tego dmuchawy, podobnej do wielkiej suszarki do włosów.

Pracując zdawała sobie sprawę z obecności Oka, które unosiło się nad ogrodem. Na terenie stacji wszędzie znajdowały się Oczy, nawet

wewnątrz niektórych pomieszczeń mieszkalnych. Jak zwykle nie zwracała na nie uwagi.

Dziś uczyniła dodatkowy wysiłek. Pozostawiła sprzęt w możliwie jak najlepszym stanie. Dotknęła grubych, twardych liści każdej rośliny, żałując, że nie może ich poczuć przez grube rękawice.

* * *

Tego ostatniego dnia Bella powróciła do miejsca, gdzie znajdował się Mars.

Z przestrzeni kosmicznej, z pokładu *Liberatora,* można było dostrzec, że coś jeszcze tam jest. To coś było w przybliżeniu kuliste i jarzyło się przyćmioną czerwienią, jak gasnący żar. Nie odbijało sygnałów, a próby osadzenia sondy na powierzchni tego obiektu kończyły się jej utratą; badanie spektroskopowe dowodziło, że powierzchnia obiektu wydaje się oddalać, a jego promieniowanie wykazywało wyraźne przesunięcie ku czerwieni.

Był to jakby supeł masy i energii krążący po orbicie Marsa. Jego pole grawitacyjne było wystarczająco silne, aby utrzymać na orbicie obserwujący to wszystko statek kosmiczny, a nawet dwa małe księżyce Marsa, Phobosa i Deimosa, które wciąż krążyły po swych dawnych torach. Ale to nie był Mars.

Edna powiedziała:

— To jest jak blizna pozostała po wycięciu Marsa.

— A dziś ta blizna się goi — dodała Bella.

Obserwowała monitory, na których było widać coraz więcej statków, coraz więcej upiornych widzów ostatniego aktu tego dramatu. Zastanawiała się, co się dzieje na samym Marsie, jeżeli Mars w jakimś sensie w ogóle jeszcze istniał.

* * *

Jurij i Myra przygotowywali sobie lunch.

Składał się z suszonych jajek, ziemniaków i niewielkiej ilości marsjańskiej zieleniny, gumowatej lecz aromatycznej. Jurij zaproponował wino, pochodzące ze znajdującej się pod kopułą winnicy w Porcie Lowella, kiedyś wyjątkowo drogie. Ale to nie wydawało się najbardziej odpowiednie i ostatecznie nie otworzył

butelki. Zresztą Myra zawsze uważała, że jest to marne wino, niezależnie od tego, czy jest drogie czy nie.

Przygotowywali lunch razem, rozstawiwszy stół i nie przeszkadzając sobie nawzajem.

— Jesteśmy jak stare małżeństwo — powiedział Jurij i powtórzył to parę razy. Tak też było, pomyślała Myra, mimo że się czasami sprzeczali, i poza sporadycznymi uściskami nigdy nie doszło między nimi do fizycznego zbliżenia, czego można by oczekiwać po jedynych dwóch istotach ludzkich, znajdujących się na biegunie ginącego świata.

Te ostatnie miesiące to nie był zły okres w jej życiu. Pomyślała, że zawsze była w cieniu kogoś innego: najpierw matki, a potem Eugene'a. Nigdy nie miała okazji założyć własnego domu. Nie mogła powiedzieć, że uczyniła to tutaj, na Marsie. Ale to tutaj Jurij zapuścił korzenie, to był świat, który zbudował. I w ciągu tych ostatnich miesięcy mogła dzielić z nim dom. Z seksem czy bez miewała znacznie gorsze związki niż z nim.

Ale tęskniła za Charlie tak mocno, że nigdy by nie uwierzyła, że to możliwe. Kiedy zbliżał się dzień Rozdarcia, to było jak stalowy drut wwiercający się w trzewia. Nie wiedziała, czy Charlie kiedykolwiek się dowie, co się stało z jej matką. Nie miała nawet żadnych aktualnych fotografii, ani nieruchomych ani animowanych, na które mogłaby patrzeć. Zrobiła wszystko, aby o tym zapomnieć, aby to ukryć w jakimś zakamarku swego umysłu. Oczywiście Jurij o tym wiedział.

Zerknęła na zegar.

— Jest później, niż myślałam. Jeszcze tylko godzina.

— Więc lepiej zabierzmy się do jedzenia. Usiedli.

Jurij powiedział:

— Hej, nawiasem mówiąc, miałem bardzo udany ranek. Ci z Lowella w końcu przysłali zapasowe filtry, o które prosiłem. Teraz będziemy mieli świeże powietrze przez cały następny rok. I wyłączyłem reaktor. Jedziemy na bateriach, ale one wystarczą. Chciałem tę kadź z uranem wyłączyć we właściwy sposób. Śpieszyłem się, żeby zdążyć, ale myślę, że zamknąłem wszystko, jak należy.

Widziała, że ta praca przyniosła mu satysfakcję, podobnie jak jej własna praca była dla niej źródłem zadowolenia.

— Och, wczoraj był w łaziku jeszcze jeden pakunek od Pauli. Powiedziała, że powinniśmy go otworzyć właśnie teraz. — Wyciągnął go ze stosu urządzeń, które przeglądał, aby odszukać filtry. Było to małe, plastikowe pudełko, które położył na stole.

Otworzył je, w jego wyścielanym wnętrzu spoczywała kula, mniej więcej rozmiarów piłki tenisowej. W pudełku znajdowała się także plastikowa torebka wypełniona pigułkami. Wyjął ją i położył na stole.

Myra wzięła do ręki kulę. Była ciężka i miała gładką, czarną

powierzchnię.

Jurij powiedział:

— Oczekiwałem jej. Jest pokryta materiałem używanym jako osłona termiczna. Jest w stanie pochłonąć znaczną ilość ciepła.

— Więc przetrwa rozpad planety?

— Właśnie.

— Nie rozumiem, co to da.

— Ale rozumiesz, jak działa ekspansja Q — powiedział Jurij z ustami pełnymi jedzenia. — Rozdarcie przebiega w ten sposób, że na początku ulegają zniszczeniu duże struktury. Najpierw sama planeta, potem ludzkie ciało. Ten mały gadżet powinien przetrwać zagładę planety, nawet jeśli zostanie wyrzucony w przestrzeń kosmiczną, i powinien istnieć trochę dłużej niż na przykład człowiek w skafandrze. Przypuszczam, że będzie otoczony rozmaitymi szczątkami. Kamienie obrócą się w drobinki pyłu, coraz mniejsze i mniejsze.

— A wewnątrz znajdują się jakieś instrumenty?

— Tak. Powinny działać, zbierając dane, dopóki ekspansja nie osiągnie centymetrowej skali i Rozdarcie rozwali kulę. Wtedy kula wyrzuci chmurę jeszcze mniejszych, miniaturowych czujników. To nanotechnologia, urządzenia o rozmiarach pojedynczych cząsteczek. Będą zbierały dane, dopóki ekspansja nie osiągnie skali molekularnej. Poza tym punktem nie będzie już niczego. Paula mówi, że tę konstrukcję pomyślano tak, aby przetrwała do ostatniej mikrosekundy. W ten sposób będzie można zgromadzić sporo dodatkowych danych.

— Więc warto to zrobić.

— O tak.

Myra podniosła kulę.

— Co za fantastyczny gadżet. Jaka szkoda, że nikt nie będzie w stanie wykorzystać tych danych.

— No, nigdy nie wiadomo — powiedział Jurij.

Położyła kulę na stole.

— A te pigułki?

Podejrzliwie dotknął palcami torebkę z pigułkami.

— Jenny w Porcie Lowella powiedziała, że przygotuje coś takiego. — Jenny Mortens była tamtejszym lekarzem, jedynym, jaki został na Marsie. — Wiesz, jacy oni są. Tak mogłoby być łatwiej, po prostu trzeba je połknąć.

— Byłoby wstyd dotrzeć tak daleko, a w ostatniej minucie dać za wygraną. Nie uważasz? A po za tym muszę myśleć o matce.

— Zgoda. — Wyszczerzył zęby w uśmiechu i jednym ruchem wrzucił torebkę z pigułkami do pojemnika na śmieci.

Spojrzała na zegarek.

— Myślę, że lepiej się ruszmy. Nie zostało już wiele czasu.

— Racja. — Wstał i zebrał naczynia. — Chyba możemy poświęcić

trochę wody, żeby je pozmywać. — Zerknął na nią. — Co myślisz o założeniu skafandrów?

W tych ostatnich chwilach oboje pragnęli być na zewnątrz. Ale nie była pewna, czy chce mieć na sobie skafander.

— Chyba chciałabym odrobinę kontaktu fizycznego, Jurij.

Uśmiechnął się.

— Uroczo to wyraziłaś. Zbyt późno na wstyd.

— Wiesz, o co mi chodzi — powiedziała, trochę zirytowana, że tak się z nią drażni.

— Oczywiście. Słuchaj, już się tym zająłem. Chodź ze mną do skafandrów i zobacz, co zrobiłem. Zaufaj mi. Myślę, że to ci się spodoba. I zawsze będzie czas, żeby się wycofać.

Kiwnęła głową.

— Dobrze. Ale najpierw tu posprzątajmy.

Więc posprzątali, pozostawiając wszystko w idealnym porządku. Przełknąwszy ostatni łyk kawy — ostatni łyk w życiu, pomyślała — Myra pozmywała naczynia w odrobinie cennej gorącej wody i odstawiła je na bok. Następnie poszła do łazienki, umyła twarz i zęby i skorzystała z toalety. Skafandry były wyposażone w odpowiednie urządzenia, ale wolała z nich nie korzystać.

Po raz ostatni wykonywała zwykłe ludzkie czynności, to był definitywnie ostatni raz. Już nigdy nie będzie spać, jeść, pić kawy czy nawet korzystać z łazienki. Zaczęła myśleć w ten sposób od chwili przebudzenia, choć bardzo się starała funkcjonować jak zwykle.

Po raz ostatni obeszła z Jurijem całą stację. Jurij niósł czarną kulę z Lowella. Wyłączyli już przedtem większość urządzeń stacji, ale teraz wydali polecenie systemom sztucznej inteligencji, aby ograniczyły wszelkie funkcje do minimum i wyłączyły oświetlenie, więc kiedy szli, zostawiali za sobą ciemność. Wszystko wokół było uporządkowane i wyczyszczone. Myrę ogarnęło uczucie dumy, że pozostawiają wszystko w takim porządku.

W końcu pozostała zapalona tylko jedna lampa fluoroscencyjna w pomieszczeniu, gdzie znajdowały się skafandry. Założyli wewnętrzne kombinezony i Jurij wsunął kulę przez otwór w skafandrze.

— Ty bierz lewy, a ja prawy — powiedział. — Jeśli chcesz podrapać się w nos, zrób to teraz.

Zatrzymali się. Po czym uściskali się i Myra poczuła jego zapach.

Rozdzielili się.

— Światła — powiedział Jurij. Ostatnia lampa zgasła i stację wypełniła ciemność. — Do widzenia, Wells — cicho powiedział Jurij do stacji.

Myra otworzyła właz i z wprawą nabytą w ciągu miesięcy spędzonych na Marsie wślizgnęła się nogami naprzód do wnętrza skafandra. Kiedy wsunęła prawą rękę do rękawa, spotkała ją

niespodzianka. Zamiast w oczekiwanej rękawicy, jej dłoń znalazła się w ciepłym uścisku.

Pochyliła się do przodu. W światłach swego skafandra zobaczyła, że rękawica jej skafandra została odcięta, a prawy rękaw przyszyty do lewego rękawa Jurija.

Jurij patrzył na nią z wnętrza swego hełmu.

— Jak ci się podoba moja robótka?

— Dobra robota, Jurij.

— Oczywiście skafandrom to się nie podobało. Uważają, że została naruszona ich integralność. Ale do diabła z nimi. Prowizoryczne uszczelnienie nie wytrzyma długo. Oczywiście wszystko będziemy musieli robić razem, jak bracia syjamscy. Jak twój skafander?

Już zdążyła przeprowadzić test diagnostyczny. Spojrzała na wyświetlacz umieszczony na piersi Jurija, żeby się upewnić, czy niczego nie przegapił, a on uczynił to samo.

— Wszystko gra, jeśli nie liczyć biadolenia rękawic.

— Doskonale — powiedział. — Więc teraz podnieśmy się, Raz, dwa, trzy…

Ich ręce połączyły się i wyprostowali się. Mechanizmy wspomagające zamontowane w jej skafandrze zawarczały, a sam kombinezon odłączył się od kopuły z cichym miauknięciem.

Z przyzwyczajenia odwróciła się, wzięła miękką miotełkę i oczyściła zamki kopuły z marsjańskiego pyłu. Jurij zrobił to samo. Z połączonymi rękami było to trochę niewygodne.

Następnie Jurij schylił się, żeby wziąć kulę z czujnikami, po czym ruszyli naprzód.

Było ciemno choć oko wykol, a śnieg nieustannie padał i bezkształtne płatki migotały w światłach skafandrów. Ale ziemia była stosunkowo gładka; wczoraj odgarnęli śnieg ze ścieżki.

Za nimi potoczyła się mała automatyczna kamera, która nawet teraz rejestrowała wszystko, co się dzieje, ale utknęła w śnieżnej zaspie. Kiedy Myra uwolniła ją lekkim kopnięciem, potoczyła się dalej, świecąc na czerwono.

Jurij stanął i położył na ziemi kulę.

— Jak myślisz, dobrze będzie tutaj?

— Chyba tak. Nie sądzę, aby to miało wielkie znaczenie.

Wyprostował się. Śnieg wciąż padał. Jurij wyciągnął dłoń i złapał kilka płatków. Na jego rękawicy wyglądały jak duże ćmy, ale po chwili znikły, ulegając sublimacji.

— O Boże — powiedział — jest tutaj tyle cudów. Wiesz, te płatki mają określoną strukturę. Każdy z nich narasta wokół ziarnka pyłu, potem powstaje zwykły lód, a na końcu zewnętrzna warstwa suchego lodu. Jest jak cebula. Śnieg pada tutaj każdej zimy. W ten sposób w

każdym płatku splatają się trzy cykle, pyłu, wody i dwutlenku węgla. Ledwo zaczęliśmy rozumieć Marsa. — W jego głosie zabrzmiała nuta goryczy, jakiej nie słyszała od wielu miesięcy. — Dla niektórych to jest prawdziwe piekło — powiedział. — To zimno i ta ciemność. Ale nie dla mnie.

— Ani dla mnie — szepnęła, ściskając jego dłoń wewnątrz zszytych rękawów ich skafandrów. — Jurij.

— Tak?

— Dziękuję ci. Te ostatnie miesiące były dla mnie…

— Lepiej nic nie mów.

Usłyszeli dźwięk jakby zamykanych drzwi, który dotarł do nich przez powierzchnię skafandrów. W uszach Myry zabrzmiał sygnał alarmowy, a na umieszczonym pod brodą wyświetlaczu zapaliły się światła.

Wtedy ziemia zadrżała.

— Jak w zegarku — powiedział Jurij.

Popatrzyli na siebie. Od chwili zniknięcia Słońca to był pierwszy prawdziwy znak, że dzieje się coś niezwykłego.

Strach chwycił ją za gardło. Nagle zapragnęła, żeby to nie działo się naprawdę, żeby mogli wrócić do stacji i dalej pracować. Przywarła do dłoni towarzysza; zderzyli się, jak dwaj zapaśnicy sumo. Jurij okręcił się, próbując spojrzeć na zegarek przypięty do ramienia na zewnątrz skafandra.

Ziemia zadrżała gwałtowniej. A wokół nich drobne odłamki lodu wystrzeliły w powietrze. Z wciąż splecionymi dłońmi odwrócili się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Pękła puszka mieszkalna, z której uchodziły powietrze i woda, natychmiast zamarzając i tworząc deszcz, który osadzał się wokół pali podtrzymujących całą konstrukcję.

— Lepiej odejdźmy trochę dalej — powiedziała Myra.

— Dobrze. — Niepewnie ruszyli do przodu, bo ziemia znowu zadrżała. Jurij powiedział: — Będzie mnóstwo roboty, żeby załatać tę wyrwę.

— Więc wezwij Hanse'a.

— Tego skurczybyka nigdy nie ma, kiedy jest potrzebny, *ojej!* - Potknął się, pociągając ją tak, że się zatoczyła.

— Co się stało?

— Uderzyłem się w głowę. — Odwrócili się. Przed nimi unosiło się Oko, mające około metra średnicy, którego dolna krawędź znajdowała się na wysokości głowy. — Pieprzone diabelstwo. — Wolną ręką Jurij wymierzył mu cios. — Jasna cholera. Jakbym walił w beton.

— Nie zwracaj na nie uwagi — powiedziała Myra. Drgania ziemi na chwilę ustały. Stali razem koło Oka, oddychając z wysiłkiem.

— Miałeś rację, że wyciągnąłeś nas na zewnątrz — powiedziała

Myra.

— A ty miałaś rację, sugerując „kontakt fizyczny”. Myślę, że w ciągu tych ostatnich miesięcy uporządkowaliśmy większość spraw, pani Dutt.

— Chyba się z panem zgadzam, panie O’Rourke. — Odetchnęła głęboko i ścisnęła mu dłoń. — Wiesz, Jurij…

Ziemia rozwarła się.

* * *

W świątynnej komnacie wysoka kobieta budziła się. Na początku powoli.

A potem poderwała się, kiedy zobaczyła Oko.

— Cholera, cholera. To musiało stać się właśnie teraz, kiedy muszę się wysiusiać. No, Skafandrze Pięć, jesteś przeżytkiem, ale stanowisz najlepsze zabezpieczenie, jakie mam… - Chwytaczka patrzyła, jak Bisesa wciąga zieloną skorupę i kładzie na ziemi świecący kamyk.

— Znów mnie zostawiasz, Biseso?

— Słuchaj, telefonie, nie budź we mnie poczucia winy, nie teraz. Już to przećwiczyliśmy. Jesteś jedynym ogniwem, umożliwiającym kontakt z Ziemią. A jeśli Abdiemu uda się zrealizować program wytwarzania elektrycznych baterii, będziesz miał zapewnione stałe zasilanie.

— Słaba pociecha.

— Nie zapomnę cię.

— Do widzenia, Biseso. Do widzenia…

— Jasna cholera. Oko. Co ono robi?

Chwytaczka wciąż stała, drżąca lecz wyprostowana, wpatrując się w zmieniające się światła, które tworzyły na ścianach komnaty skomplikowane wzory. Piąty układ linii, a teraz szósty, linii biegnących w nieprawdopodobnych kierunkach…

Wysoka kobieta krzyknęła.

* * *

Myra leżała na brzuchu na skrawku twardego jak skała lodu, z wizjerem skafandra przyciśniętym do jego powierzchni. Jurij upadł ciężko gdzieś za nią i prawą rękę miała wykręconą do tyłu. Czuła ucisk w żołądku, jak gdyby unosiła ją w górę jakaś winda.

Z wysiłkiem uniosła głowę. Mechanizmy wspomagające skafandra jęknęły, próbując jej pomóc.

Spojrzała w dół, *do wnętrza* Marsa.

Zobaczyła kawałki lodu i skał, a nawet strumienie magmy, oświetlone głębokim, czerwonym światłem, wydobywającym się gdzieś z dołu. Wypełniało to bez reszty jej pole widzenia. Wrażenie było takie, jakby patrzyła w głąb przepastnej otchłani.

A kiedy uniosła wzrok, ujrzała Oko, być może to samo, co przedtem, unoszące się przed nią, obserwujące ją uważnie.

Strach ustąpił. Przywarłszy do lodu i wciąż ściskając dłoń Jurija, czuła niemal euforię. Może będą mogli to przeżyć, może jeszcze chwilę.

Ale wtedy strumień roztopionej skały, niczym ogromna, miażdżąca pięść, wytrysnął prosto w jej stronę z wnętrza rozpadającego się Marsa.

* * *

Blizna w przestrzeni stała się przezroczysta i Bella zobaczyła przeświecające przez nią gwiazdy.

Potem obraz zniknął, jakby wyparował. Przytuliła córkę.

— To już koniec — powiedziała Edna.

— Tak. Zabierz mnie do domu, kochanie.

Tępo zakończony dziób *Liberatora* skierował się ku Ziemi.

Uwolnione od pola grawitacyjnego macierzystej planety, małe księżyce Marsa oddaliły się w przestrzeń. Teraz zaczną krążyć wokół Słońca, stając się dwiema, niczym się niewyróżniającymi asteroidami. Niewielka chmura satelitów, które ludzie umieścili na orbitach wokół Marsa, także zaczęła się rozpraszać. Przez jakiś czas przez układ słoneczny przebiegały fale grawitacyjne i pozostałe planety się zakołysały, jak liście na powierzchni stawu, do którego wrzucono kamień. Ale wkrótce te zmarszczki czasoprzestrzeni wygładziły się.

A Mars zniknął.

63. Odyseja czasu

Brama otworzyła się i zamknęła. W chwili czasu zbyt krótkiej, aby dała się zmierzyć, przestrzeń otworzyła się i zwinęła do wewnątrz.

To nie przypominało przebudzenia. To było nagłe pojawienie się, brzęk czyneli. Oczy miała szeroko otwarte, wypełniało je oślepiające światło. Wciągnęła powietrze głęboko do płuc i wydała stłumiony okrzyk, kiedy dotarła do niej świadomość własnego ja.

Leżała na plecach. Nad nią było coś niezwykle jasnego — słońce, tak, słońce, była na dworze.

Przekręciła się na brzuch. Oślepiona słońcem, prawie nic nie widziała.

Równina. Czerwony piasek. W oddali zerodowane wzgórza. Nawet niebo wydawało się czerwone, choć słońce stało wysoko.

Ten widok wydawał się znajomy.

A obok niej była Myra. To było niemożliwe, ale tak było.

Bisesa pośpiesznie poczołgała się po piasku, żeby zbliżyć się do córki. Podobnie jak Bisesa Myra miała na sobie zielony marsjański skafander. Leżała na plecach i wyglądała jak nieforemna wyrzucona na brzeg ryba.

Wizjer jej skafandra schował się i Myra zaczęła kaszleć w ostrym, suchym powietrzu. Popatrzyła na swoją prawą dłoń. Rękawicy nie było, ciało jej dłoni było blade.

— To ja, kochanie.

Myra popatrzyła na nią wstrząśnięta.

— Mama?

Przywarły do siebie.

Zrobiło się ciemniej. Bisesa spojrzała w górę.

Tarcza słońca była zdeformowana. Wyglądało jak liść, z którego wydarto wielki kawał. Zaczęło się robić chłodniej i Bisesa dostrzegła pędzące po ziemi smugi cienia.

Tylko nie to, pomyślała.

— Nie bójcie się.

Obie obróciły się, przetoczywszy się po ziemi.

Nad nimi stała kobieta. Była zupełnie bezwłosa i miała gładką twarz. Miała na sobie kombinezon w kolorze ciała, tak dopasowany, że wyglądała jak naga. Uśmiechnęła się do nich.

— Oczekiwaliśmy was.

Myra powiedziała:

— Wielki Boże. *Chanie?*

Bisesa wpatrywała się w nią.

— Kim jesteście?

— Nazywamy siebie Nowonarodzonymi. Toczymy wojnę.

Przegrywamy. — Wyciągnęła dłonie. — Proszę. Chodźcie teraz ze mną.

Bisesa i Myra, wciąż tuląc się do siebie, wyciągnęły do niej ręce. Końce ich palców dotknęły palców Charlie. Brzęk czyneli.

Posłowie

Ostatnio prawdopodobieństwo skonstruowania windy kosmicznej, przedstawionej w książce Clarke'a *Fountains of Paradise* (1979), stało się bliskie aktualnych możliwości technicznych. Podane tutaj szczegóły są częściowo oparte na badaniach finansowanych przez program NASA, które opisano w artykule *The Space Elevator* Bradleya C. Edwardsa i Erica A. Westlinga (Spacego, San Francisco, 2003). Patrz także artykuł *Leaving the Planet by Space Elevator* Edwardsa i Ragana (lulu.com, Seattle, 2006) oraz artykuły Giorcellego, Pulluma i Swana w *Journal of the British Interplanetary Society,* wrzesień 2006. Najnowsze badania dotyczące wykorzystania wind kosmicznych jako „syfonów orbitalnych" podali Colin McInnes i Chris Davis w *Journal of the British Interplanetary Society* 59, str. 368-374, 2006. Wyrażamy głęboką wdzięczność dr Edwardsowi za dyskusje odnoszące się do odpowiednich części książki. Jego firma „Black Line Ascension" może stać się prawdziwym odpowiednikiem naszego Konsorcjum Windy Kosmicznej.

Jest rzeczą niezwykłą, że pojawiają się kultury, które wydają się wierzyć w mit „drzewa świata". Niektóre z bardziej prawdopodobnych wyjaśnień rozciągają się od powstawania chmur do zjawisk obserwowanych w plazmie (patrz np. www.mavericks-cience.com/ ladder_aeon.pdf).

Pomysł „Cyklopa", teleskopu wyposażonego w soczewkę Fresnela, jest oparty na badaniach Jamesa T. Early'ego („Twenty-meter space telescope based on diffractive Fresnel lens" Early i in., Proceedings of SPIE 5166, „UV/Optical/IR Space Telescopes: Innovative Technologies and Concepts, wyd. Howard A. MacEwen, styczeń 2004). Nasz opis tarczy zbudowanej z soczewek Fresnela w *Burzy słonecznej* jest także oparty na badaniach Early'ego. Jesteśmy mu bardzo wdzięczni za dyskusje na ten temat.

Nasz opis eksploracji Marsa wykorzystuje częściowo projekt bazy na północnym biegunie Marsa, w którego opracowaniu brał udział Baxter, patrz: *Project Boreas: A Station for the Martian Geographic North Pole,* wyd. Charles S. Cockell (British Interplanetary Society, 2006). Pomysł, że stare sondy kosmiczne mogą stać się obiektem zainteresowania przyszłych wypraw na Marsa pochodzi od Baxtera (patrz: „Trophy Fishing: Early Expeditions to Spacecraft Relics on Mars", *Journal of the British Interplanetary Society* 57, str. 99-102, 2004), a historia podboju Marsa przez człowieka została przedstawiona przez Baxtera w „Martian Chronicles: Narratives of Mars in Science and SF" (*Foundation* 68, 1996 oraz *The Hunters of Pangaea,* NESFA Press, luty 2004). Nasz opis bazy na południowym

biegunie Księżyca w *Burzy słonecznej* wyprzedził plany kolonizacji Księżyca ogłoszone przez NASA w grudniu 2006 roku. Opis Tytana jest oparty na wynikach przesłanych przez lądownik Huyghens w styczniu 2005 roku.

Ostatnie badania potwierdzają, że powierzchnia półkuli północnej Marsa jest bardzo stara (Watters i in., *Nature* 444, str. 905-908, grudzień 2006) i wydaje się stanowić jeden ogromny krater powstały w wyniku uderzenia wielkiego ciała niebieskiego *(New Scientist,* 24 marca 2007). Miało to charakter naturalny. Prawdopodobnie.

Żeglowanie statkami popychanymi wiatrem słonecznym to kolejna technologia sięgająca korzeniami odległej przeszłości, której czas być może się zbliża. Fizycy i pisarze *science fiction* Gregory i James Benfordowie brali udział w projekcie *Cosmos 1* poświęconemu budowie eksperymentalnego statku kosmicznego na wiatr słoneczny, który miał zostać wyniesiony na orbitę w 2005 roku i wykorzystywałby ciśnienie światła do zmiany toru ruchu. Statek zawierał płytę CD z opowiadaniem Clarke'a z 1964 roku pt. „The Wind from the Sun". Niestety próba zakończyła się niepowodzeniem.

Zawieszenie czynności życiowych także może wkrótce zostać zrealizowane; patrz np. artykuł Marka Rotha i Todda Nystula w *Scientific American,* czerwiec 2005. Naukowcy z Imperial College w Londynie zbliżają się do opanowania technologii „metamaterialnej" niewidzialności, takiej jak przedstawiona tutaj (patrz: http:tinyurl.com/zp6jh). Badania nad wykorzystaniem napędu grawitacyjnego do zmiany kierunku ruchu asteroid przedstawił E.T. Lu i in. w *Nature* 438, str. 177-178, listopad 2005.

Skutek zastosowania „bomby kosmologicznej" ukazany w tej książce jest oparty na przewidywaniach z 2003 roku dotyczących ostatecznego losu wszechświata wypełnionego ciemną energią, przedstawionych przez Roberta Caldwella z Dartmouth College i innych (patrz: *Physical Review,* www.arxiv.org/abs/astroph/0302506). Zmienność Procyona jest fikcyjna, ale świecenie gwiazd zmiennych niekiedy przestaje ulegać wahaniom. Zdarzyło się to jednej z najsławniejszych gwiazd na niebie: Gwieździe Polarnej. Anomalii tej, jak dotychczas, nie wyjaśniono; patrz: J.D. Fernie i in., *Astrophysical Journal* 416, str. 820-824, 1993.

* * *

Astrobiologia, czyli badanie możliwości życia poza Ziemią, zyskało w ostatnich latach nowy impuls, zarówno w wyniku odkrycia

nowych form życia na Ziemi, jak i rewelacji o możliwych siedliskach życia teraz albo w przeszłości na niektórych ciałach niebieskich takich jak Mars, Europa i Tytan, oraz dzięki nowym modelom „panspermii", czyli naturalnym mechanizmom, dzięki którym istoty żyjące mogą się przemieszczać między planetami. Najnowszy przegląd tych zagadnień można znaleźć w *Life as We Do Not Know It* Petera Warda (Viking, 2005).

Strategia Pierworodnych zasadzająca się na idei zachowania energii, po raz pierwszy naszkicowana w *Oku czasu* (2004) oraz *Burzy słonecznej* (2005), znajduje odbicie w niektórych akademickich zapatrywaniach na przyszłość życia we wszechświecie. Patrz np. artykuł Michaela Mautnera *(Journal of the British Interplanetary Society* 57, str. 167-180, 2005) zatytułowany „Life in the Cosmological Future: Resources, Biomass and Populations".

Pomysł, że obszary Ameryki Północnej można by ponownie „zaludnić" zastępczymi populacjami zwierząt, wypełniając miejsce po utraconej megafaunie przeszłości, został wysunięty między innymi przez Paula S. Martina *(Twilight of the Mammoths: Ice Age Extinctions and the Rewilding of North America,* University of California Press, 2005). Ale inni zgłaszają poważne zastrzeżenia do tego planu (patrz: Rubenstein i in., *Biological Conservation* 132, str. 232,2006). Badania nad wykorzystaniem zasobów znajdujących się w przestrzeni kosmicznej do złagodzenia skutków przyszłych katastrof (niekoniecznie spowodowanych przez złośliwe istoty pozaziemskie) zostały przedstawione w dwóch artykułach CM. Hempsella, opublikowanych w *Journal of the British Interplanetary Society* 57, str. 2-21, 2004.

Przedstawione tutaj podboje Aleksandra Wielkiego są oparte na planach ekspansji jego imperium od Gibraltaru do Morza Czarnego, jakie rzeczywiście sporządził przed śmiercią; patrz np. *Conquest and Empire: The Reign of Alexander the Great* A.B. Bosworthа (CUP 1988). Ciekawy portret Chicago z czasów targów światowych 1893 roku jest zawarty w *The Devil in the White City* Erika Larsona (Random House, 2003). Obraz babilońskiego „Gnojowiska" jest oparty na znaleziskach archeologicznych w neolitycznym mieście, znanym jako Catalhoyuk; patrz: www.catalhoyuk.org.

Rozdział 25 jest oparty na poprawionym wydaniu opowiadania „A Signal from Earth" Baxtera, opublikowanego po raz pierwszy w *Postscripts* 5, jesień 2005.

Za wszelkie błędy merytoryczne oraz błędne wyobrażenia odpowiedzialni są rzecz jasna autorzy.

Arthur C. Clarke
Stephen Baxter

Czerwiec 2007
Tytuł oryginału: *Firstborn*
Copyright © by Arthur C. Clarke and Steven Baxter, 2008
Copyright © for the Polish translation by Stefan Baranowski
Copyright © for the Polish edition by vis-à-vis/Etiuda, 2009
Projekt okładki: Marcin Wojciechowski
Projekt serii: Grzegorz Ciepły
Redakcja techniczna i łamanie: Anna Atanaziewicz
Korekta: Humbert Muh
Wydawnictwo vis-à-vis/Etiuda
30-549 Kraków, ul. Traugutta 16b/9
tel. 012 423 52 74, kom. 600 442 702
e-mail: visavis_etiuda@interia.pl, biuro@etiuda.net
www.etiuda.net
Drukarnia GS sp. z o.o.
Kraków, ul. Zabłocie 43

ISBN: 978-83-61516-04-0